



ALEX GARLAND

NIEBIAŃSKA
PLAŻA

Ulica Khao San Road w Bangkoku – pierwszy przystanek na wędrownym szlaku. Richard, spragniony przygód obieżyświat, zatrzymuje się na noc w podrzędnym pensjonacie. Spotyka tam pewnego Szkota, który bredzi w narkotycznych majakach o jakiejś niebiańskiej plaży. Następnego dnia podcina sobie żyły, zostawiając Richardowi mapę z zaznaczoną drogą do plaży. Krążą o niej legendy wśród ludzi podróżujących po południowej i wschodniej Azji. Dla Richarda, wychowanego na filmach o Wietnamie, wyprawa w nieznanne rejony równie egzotycznej Tajlandii jest pokusą i wyzwaniem. Szukał przygody. Ale ta, którą znalazł, przerosła jego wyobrażenia.

Na podstawie powieści Danny Boyle nakręcił film z Leonardo DiCaprio w roli głównej.



Nr 2432

ALEX GARLAND

NIEBIAŃSKA PLAŻA

Z angielskiego przełożył

Jan Kraśko

LIBROS

Tytuł oryginału

THE BEACH

Projekt okładki i stron tytułowych

Maciej Sadowski

Zdjęcie na okładce za zgodą

Syrena Entertainment Group

Redakcja

Zofia Skorupińska

Redakcja techniczna

Alicja Jabłońska-Chodzeń

Korekta

Irena Kulczycka

Marianna Filipkowska

Copyright © Alex Garland, 1996

All rights reserved

© Copyright for the Polish edition

by Bertelsmann Media Sp. z o.o., Warszawa 2000

Bertelsmann Media Sp. z o.o. Świat Książki

Libros Warszawa 2000

Skład Joanna Duchnowska Druk i oprawa Finidr, Czechy

ISBN 83-7227-436-3

Nr 2432

Suzy, Theo, Leo, Laurze i moim rodzicom

BUM-BUM

Kocham cię, Wietnamie, kocham cię od dawna. W dzień i w nocy, kocham cię od dawna.

- Delta jeden-dziewięć, tu patrol Alfa z północno-wschodniego stoku wzgórza siedem-zero-pięć. Jesteśmy pod ostrzałem, powtarzam: jesteśmy pod ostrzałem. Potrzebujemy wsparcia powietrznego, i to, kurwa, natychmiast. Jak mnie słyszycie ?

Trzaski w eterze.

- Powtarzam, tu patrol Alfa, jesteśmy pod ostrzałem. Potrzebujemy natychmiastowego wsparcia powietrznego. Jak mnie zrozumieliście? Jesteśmy pod ostrzałem. Potwierdźcie odbiór. Jesteśmy pod... Kryć się! Kryć się!

Bum.

- Sanitariusz!

Rozpylanie mgły liściożernego kwasu nad dżunglą w delcie Mekongu, palenie trawki przez lufę giwery, latanie śmigłowcem przy akompaniamencie muzyki operowej ryczącej z głośników, smugi pocisków nad poletkami ryżowymi, zapach napalmu o świcie.

Tak dawno temu...

I chociaż kroczę dolinę śmierci, nie lękam się żadnego zła, gdyż na imię mi Richard. Urodziłem się w 1974.

BANGKOK

Dziwka

Pierwszy raz usłyszałem o plaży na Khao San Road w Bangkoku. Khao San Road była Mekką wędrowców. Niemal wszystkie stojące przy niej budynki przekształcono w pensjonaty, wszędzie poustawiano klimatyzowane budki telefoniczne do rozmów zamiejscowych i międzynarodowych, w kafejkach puszczano na wideo najnowsze hollywoodzkie filmy, nie można było przejść trzech metrów chodnikiem, żeby nie natknąć się na stragan z pirackimi kasetami z przemytu. Khao San Road służyła jako komora dekompresyjna dla tych, którzy lada dzień mieli z Tajlandii wyjechać, i dla tych, którzy właśnie tam przyjechali - była swego rodzaju pomostem między Wschodem i Zachodem.

Wylądowałem w Bangkoku późnym popołudniem i zanim dotarłem na Khao San Road, było już ciemno. Taksjarsz puścił do mnie oko i powiedział, że na końcu ulicy jest posterunek policji, więc poprosiłem, żeby wyrzucił mnie na jej początku. Nie to, żebym knuł coś niezgodnego z prawem, po prostu ujął mnie swoim konspiracyjnym czarem. Zresztą równie dobrze mógłbym zamieszkać przy samym posterunku, gdyż policjanci najwyraźniej sobie odpuścili: zapach trawki zakręcił mi w nosie, gdy tylko wysiadłem z taksówki, a połowa przechodzących obok turystów była zaćpana.

Ostatecznie podrzucił mnie do pensjonatu z małą restauracją w ogródku od ulicy. Właśnie przyglądałem się tamtejszej klienteli, żeby ocenić, co to za miejsce, gdy trącił mnie w rękę siedzący przy najbliższym stoliku chudzielec. Zerknąłem w dół. Był chyba jednym z tych przymulonych herą hippisów, którzy włóczą się po Indiach i Tajlandii. Kiedy przyjechał do Azji przed dziesięcioma laty, brał sporadycznie, ale z biegiem czasu popadł w nałóg. Miał skórę starca,

choć stuknęło mu najwyżej trzydzieści parę lat, i mierzył mnie wzrokiem, jak uliczny rabuś mierzy wzrokiem swoją przyszłą ofiarę.

- Czego? - rzuciłem czujnie.

Zrobił zaskoczoną minę, podniósł ręce i uspokajającym gestem otworzył dłonie. Potem zetknął czubek kciuka i palca wskazującego, tak że powstało coś na kształt kółka, symbolu doskonałości, i wskazał pensjonat.

- Co? Dobra meta?

Kiwnął głową.

Jeszcze raz ogarnąłem wzrokiem siedzących przy stolikach ludzi. W większości byli młodzi i sprawiali dość przyjazne wrażenie: jedni oglądali telewizję, inni gawędzili przy kolacji.

- Dobra. - Uśmiechnąłem się do niego na wypadek, gdyby nie był nałogowym ćpunem, tylko życzliwym niemową. - Przekonałeś mnie.

Odpowiedział uśmiechem i znowu wbił wzrok w ekran telewizora.

Kwadrans później rozlokowywałem się w pokoju niewiele większym od podwójnego łóżka. Mogłem określić to bardzo dokładnie, ponieważ stało tam podwójne łóżko, a z każdej jego strony pozostawało najwyżej trzydzieści centymetrów wolnego miejsca. Akurat na mój plecak.

Boczna ściana budynku była betonowa. Resztę zrobiono z nagich laminowanych płyt pilśniowych. Chwiały się pod dotykiem. Miałem wrażenie, że gdybym się o którąś oparł, runęłaby na ścianę w sąsiednim pokoju, ta z kolei na następną i że jak w efekcie domina runęłyby wszystkie ściany na piętrze. Te z płyt kończyły się tuż pod sufitem, a pozostałą przestrzeń wypełniała metalowa moskitiera. Moskitiera podtrzymywała iluzję odosobnienia i prywatności. Do chwili, gdy leżem na łóżku, bo kiedy tylko się odprężyłem i znieruchomiałem, dobiegł mnie chrobot karaluchów harcujących w sąsiednich klitkach.

Za ścianą od strony głowy mieszkało dwoje Francuzów w wieku dziesiętnastu, dwudziestu lat: piękna, szczupła dziewczyna z przystojnym chłopakiem. Kiedy otwierałem drzwi, oni swoje zamykali i mijając się w korytarzu, skinęliśmy do siebie głową. W pokoju za ścianą od strony nóg nie było nikogo. Przez moskitierę widziałem,

że światło jest zgaszone, zresztą gdyby ktoś go zajmował, słyszałbym jego oddech. Był to ostatni pokój w korytarzu, przypuszczałem więc, że wychodzi na ulicę i że ma okno.

Pod sufitem zamontowano wiatrak silny na tyle, że gdy ustawiłem go na pełną moc, zdołał poruszyć stężałe powietrze. Przez jakiś czas po prostu leżałem i patrzyłem na ten wiatrak. Obserwowanie jego niespiesznych obrotów uspokajało mnie i wnet poczułem, że bijące z góry poddmuchy, to gorące, to znów chłodnawe, powoli kołyszą mnie do snu. Zasnąć? Czemu nie? Różnica czasu dokuczają najbardziej, kiedy leci się samolotem z zachodu na wschód, dlatego dobrze jest ją odrobić i już pierwszej nocy wpaść w nowy rytm spania i czuwania.

Pstryknąłem wyłącznikiem. Zza drzwi sączyła się mdlawa poświata i wciąż widziałem wiatrak pod sufitem. Wkrótce usnąłem.

Kilka razy zdawało mi się, że korytarzem przechodzą jacyś ludzie, słyszałem też chyba, jak wrócili Francuzi z pokoju za ścianą od strony głowy, którzy zresztą zaraz wyszli. Lecz hałas mnie nie budził, a przynajmniej nie w pełni, tak że zawsze mogłem znowu zasnąć, by śnić przerwany sen. Do chwili, gdy usłyszałem jego kroki. Jego kroki były inne, zbyt dziwne, żeby je przespać. Ani lekkie, ani ciężkie, nie miały żadnej miarowości, jakby mocno powłóczył nogami.

Zaczął dobierać się do kłódki i usłyszałem stek zduszonych angielskich przekleństw. Kiedy kłódka wreszcie ustąpiła, głośno westchnął, wszedł i zapalił światło. Na sufit padł kratkowany cień moskitiery.

Zmarszczyłem czoło i spojrzałem na zegarek. Druga nad ranem - w Anglii wczesny wieczór. Uda mi się zasnąć czy nie?

Opadł na łóżko tak ciężko, że dzieląca nas ściana niebezpiecznie zadygotała. Chwilę kaszlał, potem dobiegł mnie szelest bibułki: związał skręta. Niebawem przez siatkę moskitiery do pokoju wpłynęła niebieskawa mgiełka.

Od czasu do czasu głośno wydmuchiwał dym, ale poza tym zachowywał się cicho. Czulem, że powoli zasypiam. I zasnąłem. Prawie.

* * *

- Dziwka.

Otworzyłem oczy.

- Pieprzona dziwka. Już...

Przerwał mu atak gwałtownego kaszlu.

- ...po nas.

Wybity ze snu, usiadłem na łóżku.

- Rak w koralowcach, błękitna woda, moja plaża... Kurwa mać, moja pieprzona plaża załatwiła mnie na amen. Jak ostatnia dziwka.

Mówił z silnym akcentem, ale wciąż zamroczony snem, początkowo nie mogłem go umiejscowić.

- Dziwka. - Zabrzmiało to, jakby splunăł.

Szkot. Tak, miał szkocki akcent.

Coś zachrobotało, zachybotała ściana. Przez chwilę myślałem, że chce ją przewrócić, i wyobraziłem sobie, jak laminowana płyta rozgniata mnie na łóżku. Potem za moskitierą ukazała się sylwetka jego głowy.

- Hej - powiedział.

Ani drgnąłem. Byłem stuprocentowo pewien, że mnie nie widzi.

- Hej, ty. Wiem, że mnie słyszysz. Że nie śpisz.

Dźgnął palcem w moskitierę. Klamry puściły i siatka odskoczyła. Włożył rękę w powstałą dziurę.

- Łap.

Rozżarzony pocisk przeciął ciemność i w fontannie iskier wylądował na moim łóżku. Skręt. Chwyciłem go szybko, żeby nie przepalił prześcieradła.

Tamten roześmiał się cicho.

- Mam cię. Widziałem, jak podnosisz skręta.

Przez kilka sekund nie mogłem ogarnąć sytuacji. A gdybym tak naprawdę spał? Pościel mogłaby stanąć w płomieniach. Mógłbym się po prostu spalić. Panika ustąpiła miejsca gniewowi, który jednak szybko stłumiłem. To zwykły menel, nie z takimi dawałem sobie radę. Wciąż widziałem czarną sylwetkę jego podświetlonej od tyłu głowy.

Podniosłem rękę ze skrętem.

- Oddać ci go?

- Słyszałeś mnie, podsłuchiwałeś - odrzekł, kompletnie ignorując pytanie. - Słyszałeś, jak mówiłem o plaży.

- Masz donośny głos.

- Co słyszałeś?

- Nic.

- Nic?

Milczał chwilę, potem przytknął twarz do moskitiery.

- Ściemniasz.

- Nie. Spałem. Obudziłeś mnie... Obudziłem się, kiedy rzuciłeś we mnie skrzętem.

- Podśluchiwałeś - syknął.

- Możesz mi nie wierzyć, mam to gdzieś.

- Nie wierzę ci.

- Trudno. - Stałem na łóżku, tak że nasze głowy znalazły się na tej samej wysokości, i podniosłem rękę, żeby podać mu skrzęta przez dziurę. - Masz, trzymaj. Ja chcę tylko spać.

Cofnął się, wyszedł z cienia i wtedy zobaczyłem jego twarz. Była płaska jak u boksera, z bezkształtnym, pewnie po stokroć złamanym nosem i ze szczęką zbyt wielką, żeby pasowała do górnej połowy czaszki. Wyglądałby groźnie, gdyby nie reszta, gdyby nie jego ciało. Dolna szczeka sterczała z szyi tak niewiarogodnie cienkiej, że chyba tylko cudem podtrzymującej głowę, a podkoszulek wisiał mu na ramionach jak na wieszaku.

Zobaczyłem też jego pokój. Tak jak przypuszczałem, wychodził na ulicę, ale okno miał szczelnie zaklejone gazetami. Poza tym nie było tam nic.

Włożył rękę do dziury w moskitierze i wziął skrzęta.

- Dobra - rzekłem, myśląc, że zaczynam panować nad sytuacją. - A teraz daj mi spokój.

- Nie - odparł beznamiętnie.

- Nie?

- Nie.

- Dlaczego? Coś ci... Chcesz czegoś?

- Tak. - Uśmiechnął się lekko. - I właśnie dlatego... - Znowu przytknął twarz do moskitiery. - I właśnie dlatego nie dam ci spokoju.

Wyglądało na to, że zmienił zdanie, kiedy tylko skończył mówić, bo jego głowa natychmiast zniknęła za ścianą. Zbity z tropu, stałem tak jeszcze kilka sekund, chcąc ugruntować swoją przewagę - że niby to on zszedł z łóżka pierwszy, nie ja. Potem usłyszałem, jak przypala skrzęta. Uznałem, że to koniec dyskusji, i się położyłem.

* * *

Dwadzieścia minut później zgasilem światło, ale już nie zasnąłem. Byłem zbyt spięty, zbyt nabuzowany i rozdrażniony, zbyt wiele myśli cisnęło mi się do głowy. Dziwki i plaże, plaże i dziwki. Padałem z wyczerpania, lecz we krwi miałem za dużo adrenaliny. Gdyby dano mi godzinę spokoju, może bym się i wyluzował, ale kiedy tylko facet zgasił światło, wrócili Francuzi. Wrócili i zaczęli się kochać.

Słyszając ich posapywanie, czując wibracje rozedrganego łóżka, trudno było nie wyobrazić sobie, co tam robią. Widziałem tę dziewczynę w korytarzu i wciąż miałem przed oczyma jej twarz. Cudowną twarz. Ciemna skóra, ciemne włosy, brązowe oczy. Pełne usta.

Kiedy skończyli, naszła mnie straszna chcica na papierosa - może to empatia - ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Wiedziałem, że gdybym tylko spróbował zapalić, natychmiast usłyszeliby, jak gmeram w paczce, jak trzaskam zapalką. Iluzja prywatności i odosobnienia od razu by prysła.

Dlatego wziąłem się w garść i postanowiłem leżeć bez ruchu najdłużej, jak tylko zdołam. Okazało się, że potrafię to robić bardzo, bardzo długo.

Geografia

Khao San Road budziła się bardzo wcześnie. Już o piątej na ulicy zaczęły trąbić klaksony, co było miejscową wersją porannego chóru przyrody. Personel pensjonatu brał prysznic i pod podłogą hurkotały rury. Poprzez szum wody dobiegło mnie płaczące zawođenje tajskiego.

Leżałem na łóżku, wsłuchiwałem się w te odgłosy i napięcie minioniej nocy powoli stawało się czymś odległym i nierzeczywistym. Chociaż nie rozumiałem, o czym kąpiący się Tajowie rozmawiają, ich śmiech i rozmowy niosły z sobą poczucie normalności: robili to, co robili każdego ranka, ich myślami kierowała wyłącznie rutyna. Pewnie spierali się o to, kto pójdzie do sklepu po zapasy do kuchni, a kto pozamiata korytarze.

O wpół do szóstej w kilku pokojach otworzyły się drzwi: poranne

ptaszki wyruszały na wędrowną, a z Patpongu wracali zagorzali miłośnicy zabawy do upadłego. Na schodach po drugiej stronie korytarza zatupały dwie młode Niemki w drewniakach. Do tej pory to zapadałem w czarny sen, to się budziłem, ale w końcu doszedłem do wniosku, że już nie zasnę, i postanowiłem zapalić papierosa, którego odmówiłem sobie przed kilkoma godzinami.

Poranny papieros był niczym balsam. Ustawiłem sobie na brzuchu pudełko po zapalkach, żeby mieć gdzie strząsać popiół, spojrzałem w górę i z każdym kłębem wydmuchiwanego w stronę wiatraka dymu czułem, że wraca mi dobry humor. Niebawem pomyślałem o jedzeniu i wyszedłem z pokoju, żeby zobaczyć, czy da się coś zjeść w restauracji na dole.

Przy stolikach siedziało już kilku rozespanych podróżnych, sącząc czarną kawę. Jednym z nich - sterczał na tym samym krześle co wczoraj - był mój życzliwy ópun niemowa. Sądząc po jego szklistym wzroku, musiał spędzić tam całą noc. Siadając, uśmiechnąłem się do niego przyjaźnie, a on skinął w odpowiedzi głową.

Zacząłem studiować menu, niegdyś białą kartkę papieru wielkości A4 z tak długą listą dań, że dokonanie jakiegokolwiek wyboru przekraczało moje możliwości. Nagle poczułem upojny zapach: nadszedł kuchcik z tacą placków z owocami. Postawił ją na stoliku, przy którym siedziała grupa Amerykanów, przerywając im łagodną sprzeczkę o rozkład pociągów do Chiang Mai.

Jeden z nich zauważył, że patrzę na jedzenie, i wskazał swój talerz.

- Z bananami - powiedział. - Nic, tylko to.

Kiwnąłem głową.

- Pachną apetycznie.

- Smakują jeszcze lepiej. Anglik?

- Uhm.

- Od dawna w Tajlandii?

- Od wczoraj. A pan?

- Od tygodnia. - Zatkał sobie usta kawałkiem placka i odwrócił głowę. Uznałem, że to koniec rozmowy.

Kuchcik podszedł do mojego stolika i spojrzał na mnie rozspianymi oczami.

- Poproszę placek z bananami - powiedziałem, zmuszony do podjęcia szybkiej decyzji.

- Pan zamawiać jednego placaka z bananami? - powtórzył tajską angielszczyzną.

- Jeśli można.

- Pan zamawiać picie?

- Coca-cole. Nie, sprite'a.

- Pan zamawiać jednego placaka z bananami i jednego sprite.

- Tak.

Odszedł w stronę kuchni, a mnie zalała fala błogiej szczęśliwości. Na ulicy świeciło słońce. Na chodniku straganiarz rozstawił swój kramik i układał rzędy kaset z przemytu. Tuż obok niego mała dziewczynka kroila ananasy, obierając je najpierw z twardej skóry, która wiła się cieniutkim, spiralnym wężykiem. Za nią stała jeszcze mniejsza dziewczynka ze ściereczką do przepędzania natrętnych much.

Zapaliłem papierosa. Nie musiałem. Po prostu czułem, że tak trzeba.

* * *

Francuzka zeszła bez swego chłopaka i bez butów. Była w króciutkiej spódniczce i miała szczupłe, opalone na brąz nogi. Delikatnie przepłynęła przez ogródek. Wszyscy ją obserwowaliśmy. Życzliwy ćpun niemowa, grupa Amerykanów i tajski kucharz. Wszyscy widzieliśmy, jak wygina biodra, żeby prześlizgnąć się między stolikami, słyszeliśmy, jak pobrzękuje srebrnymi bransoletami na rękach. Kiedy się obejrzała, odwróciliśmy wzrok, a kiedy skrzyła na ulicę, popatrzyliśmy za nią znowu.

* * *

Po śniadaniu postanowiłem przejść się po Bangkoku, a przynajmniej po okolicznych ulicach. Zapłaciłem za jedzenie i poszedłem do pokoju po więcej pieniędzy na wypadek, gdybym musiał pojechać dokądś taksówką.

Na szczycie schodów stała stara kobieta. Myła okno. Woda ściekała z szyby na podłogę. Staruszka była zupełnie przemoczona i wywijiała mopem niebezpiecznie blisko nagiej żarówki zwisającej z sufitu.

- Przepraszam panią... - rzuciłem, upewniwszy się, że nie stoję w stale powiększającej się kałuży i że nie grozi mi śmierć przez porażenie prądem.

Staruszka odwróciła się.

- Żarówka i woda... To niebezpieczne.

- Tak - odrzekła. Jej zgnile i czarne zęby były poprzetykane zębiskami w kolorze musztardy: wyglądało to tak, jakby miała w ustach rój os. - Gorąca, gorąca. - Celowo musnęła mopem żarówkę. Woda zagotowała się wściekle na szkle, pod sufit trysnęła smużka pary.

Zadrzałem.

- Ostrożnie! Prąd może zabić.

- Gorąca - powtórzyła.

- Tak, ale... - Urwałem, widząc, że w tym języku nic nie wskóram, mimo to postanowiłem dzielnie brnąć dalej.

Rozejrzałem się wokół. Oprócz nas na półpiętrze nie było nikogo.

- Dobra, niech pani spojrzy.

Zacząłem naśladować ruchy, jakie wykonywała, myjąc okno, a gdy wyimaginowaną szmatą zawadziłem o żarówkę, dostałem gwałtownej dygotki, jak człowiek porażony prądem.

Położyła mi na ramieniu pomarszczoną rękę, żebym przestał konwulsyjnie podrygiwać.

- Hej - zapiszczała wysokim i niezbyt łagodnym głosem. - Spoko, stary.

Uniosłem brwi, myśląc, że się przesłyszałem.

- Jest git - dodała. - Żaden problem.

- To... to świetnie - odrzekłem, próbując pogodzić obraz tajskiej czarownicy z brzmieniem hippisowskiego żargonu i wyjść z tego z twarzą. Musiała pracować przy Khao San Road od wielu lat. Czując się słusznie zbesztany, ruszyłem w stronę swego pokoju.

- Hej! - zawołała. - Masz lis.

Przystanąłem.

- Co mam?

- Lis.

- List?

- Lis! Na drzwiach!

Podziękowałem skinieniem głowy, zastanawiając się, skąd wie, w którym pokoju mieszkam, po czym poszedłem dalej.

Rzeczywiście, do drzwi przyklejono mi taśmą kopertę. Na kopercie widniał napis „Mapa” wykaligrafowany starannie połączonymi literami. Byłem tak zaskoczony dziwnym słownictwem staruszki, że nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Tajka obserwowала mnie z drugiego końca korytarza, wspierając się na moście. Pokazałem jej kopertę.

- Znalazłem. Dzięki. Wie pani, od kogo?

Zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc pytania.

- Widziała pani, kto ją tu zostawił?

Znowu przeszedłem na pantomimę i pokręciła głową.

- Nie szkodzi. W każdym razie... jeszcze raz dziękuję.

- Żaden problem - odrzekła i z powrotem zajęła się oknem.

Kilka minut później siedziałem na łóżku pod wirującym wiatrakiem, który chłodził mi kark. W rękach trzymałem mapę, a tuż obok mnie w podmuchach rześkiego powietrza szeleściła pusta koperta. Stara sprzątaczką skończyła myć okno, zwinęła majdan i pocałowała na wyższe piętro.

Mapa była pięknie pokolorowana. Kontury wysp wyrysowano zielonym długopisem, a po morzu sunęły drobniutkie fale naniesione błękitną kredką. W prawym górnym rogu widniała róża kompasowa, dokładnie podzielona na szesnaście zaznaczonych strzałkami kierunków. Na górze kartki grubym czerwonym mazakiem wypisano ZATOKA TAJLANDZKA, a mazakiem cienkim, też czerwonym, naniesiono nazwy poszczególnych wysp.

Mapa była tak staranna, że musiałem się uśmiechnąć. Przypomniały mi się prace domowe z geografii. Mozolne kalkowanie i twarz nauczyciela zwracającego zeszyty ze zgryźliwymi uwagami.

- Ciekawe, od kogo... - wymruczałem i jeszcze raz zajrzałem do koperty w poszukiwaniu jakiegoś listu czy choćby notatki. Ale koperta była pusta.

I nagle pośród licznych, skupionych w grupki wysepek dostrzegłem czarną plamkę. Przypatrzyłem jej się bliżej. Nie, to był czarny krzyżyk. Pod krzyżykiem małą literkami napisano słowo „Plaża”.

* * *

Nie bardzo wiedziałem, co chcę facetowi powiedzieć. Byłem chyba ciekaw, o co mu z tą plażą chodziło. Poza tym ostro mnie

wkurzył. Syczał po nocy przez moskitierę, zostawiał na drzwiach dziwne mapy - najwyraźniej postanowił zepsuć mi wakacje.

Drzwi. Kłódka zniknęła. Chwilę nasłuchiwałem, potem zapukałem, a wówczas drzwi się otworzyły.

Mimo zaklejonego gazetami okna w pokoju było względnie widno. Facet leżał na łóżku, gapiąc się w sufit. Chyba podciął sobie żyły. A może poderznął sobie gardło? W półmroku, przy takiej ilości rozchlapanej wokoło krwi trudno było to stwierdzić. Wiedziałem tylko jedno: na pewno się pochlastał, bo w rękę wciąż ścisnął nóż.

Jakiś czas stałem bez ruchu i patrzyłem. Potem poszedłem ściągnąć pomoc.

Etienne

Policjant był zlany potem, ale bynajmniej nie z gorąca; na posterunku mieli klimatyzację i w pokoju było zimno jak w lodówce. Nie, pocił się z wysiłku mówienia po angielsku. Ilekroć dochodził do jakiegoś trudniejszego słowa albo zdania, czoło pokrywało mu się stoma głębokimi zmarszczkami, a na jego brązowej skórze niczym opale wykwitwały kropelki potu.

- Ale pan Kaczor to nie przyjaciel, nie?

Pokręciłem głową.

- Poznałem go dopiero wczoraj wieczorem. I jeszcze jedno: on nie mógł nazywać się „Kaczor Daffy”. To taki żart.

- Żar?

- Żart. Nieprawdziwe nazwisko. - Wskazałem notatnik, gdzie je zapisał. - Kaczor Daffy to postać z komiksów.

- Z komisów?

- Z komiksów.

- Pan Kaczor jest z komisju?

- Z komiksu. Tak samo jak Królik Bugs. Albo Myszka Miki.

- Aha. W pensjonacie podał fałszywe nazwisko.

- Na sto procent.

Policjant przetarł twarz rękawem koszuli. Pot prysnął na notatnik,

rozmazując atrament. Taj zmarszczył czoło i w miejscu starych wystąpiły nowe kropelki potu.

- Teraz spytam pana o miejsce zbrodni.

- Dobrze.

- Wszedł pan do pokoju pana Kaczora... po co, ha?

Odpowiedź opracowałem sobie w drodze na posterunek.

- W nocy nie mogłem przez niego spać. Chciałem mu powiedzieć, żeby więcej nie hałasował.

- Aha. Zeszłej nocy pan Kaczor hałasował.

- Tak.

- I co pan zrobił w pokoju?

- Nic. Zobaczyłem trupa i zawiadomiłem kierownika pensjonatu.

- Pan Kaczor już nie żył? Skąd pan wie?

- Nie wiem. To znaczy nie wiedziałem. Po prostu uznałem, że nie żyje, i tyle. Wszędzie było pełno krwi.

Policjant mądrze pokiwał głową i odchylił się na krześle.

- Pan był zły na niego za ten hałas w nocy, ha?

- No, jasne.

- Jak zły? Bardzo?

Podniosłem rękę.

- Cały ranek spędziłem w restauracji. Od szóstej do dziewiątej jadłem śniadanie. Widziało mnie tam mnóstwo ludzi.

- Może on umarł przed szóstą?

Wzruszyłem ramionami. O nic się nie martwiłem. W głowie miałem klarowny obraz mławego światła, które sącząc się przez zaklejone gazetami okno, padało na pana Kaczora w feerii skrzęcych się rozbłysków. Krew była jeszcze świeża.

Policjant westchnął.

- Dobrze. Teraz opowie pan wszystko od początku.

* * *

Dlaczego nie wspomniałem mu o mapie? Ponieważ nie chciałem pakować się w śledztwo prowadzone przez obcą policję i spieszyć sobie wakacji. Poza tym śmierć tego faceta niezbyt mnie obchodziła. Widziałem rzecz tak: Tajlandia to egzotyczny kraj, gdzie jest od groma narkotyków, gdzie szaleje AIDS i gdzie czasami bywa niebezpiecznie, więc jeśli Kaczor Daffy przegiął pałę, to jego sprawa.

Odniosłem wrażenie, że policję też niezbyt to wszystko obeszło.

Po półgodzinnym, nader bezwzględny przesłuchaniu (Czy może pan udowodnić, że jadł pan placek z bananami?) pozwolił mi odejść, prosząc, żebym przez dwadzieścia cztery godziny nie opuszczał pensjonatu przy Khao San Road.

* * *

Chłopak Francuzki siedział na stopniach posterunku z twarzą wystawioną do słońca. Najwyraźniej jego też wezwano na przesłuchanie. Kiedy wyszedłem, zerknął na mnie przez ramię, myśląc pewnie, że to jego dziewczyna, a potem znowu odwrócił głowę.

W normalnych okolicznościach wziąłbym to za znak, że nie ma ochoty na pogawędkę. Dużo podróżuję samotnie, dlatego czasami brakuje mi rozmowy i towarzystwa. Jestem wtedy szczególnie wyczulony na język ciała, ponieważ nawet gdy czuję się trochę osamotniony, nie lubię się nikomu narzucać. Ale tym razem znak zignorowałem. Chociaż nie chciałem mieć do czynienia z miejscową policją, śmierć Kaczora Daffy'ego stanowiła tak niezwykle początek dnia, że nagle zapragnąłem o tym porozmawiać.

Usiadłem tuż obok, żeby nie mógł mnie unikać. Jak się okazało, zrozumiałem go zupełnie opacznie. Francuz był bardzo przyjacielski.

- Cześć - zagailem. - Mówisz po angielsku? *Je parle français un petit peu mais malheureusement je suis pas tres bon.*

Roześmiał się.

- Tak, mówię po angielsku - odrzekł łagodnie z lekkim akcentem.

- Wezwali cię w związku ze śmiercią tego faceta, co?

- Tak. Słyszałem, że to ty go znalazłeś.

Sława.

- Zgadza się - odparłem, wyjmując z kieszeni papierosy. - Dziś rano.

- Musiałeś przeżyć duży wstrząs.

- Nie było tak źle. Palisz?

- Nie, dziękuję.

Zapaliłem.

- Mam na imię Richard - powiedziałem, wydychając dym.

- Etienne - odrzekł Etienne i uściśnił sobie ręce.

Poprzedniego wieczoru dawałem mu osiemnaście, dziewiętnaście lat, ale w świetle dnia robił wrażenia starszego. Wyglądał na dwudziesto-, dwudziestojednolatka. Miał śródziemnomorską urodę, krótkie ciemne włosy i był drobnej budowy ciała. Oczywiście wyobraźni ujrzałem go za kilka lat, o parę kilogramów cięższego, ze szklaneczką wina w jednym i z *boulevard* w drugim ręku.

- Niesamowite - powiedziałem. - Przyjechałem do Tajlandii ledwie wczoraj. Chciałem tu odpocząć, o ile to w ogóle możliwe, i zamiast odpoczywać wpakowałem się w tę aferę.

- My siedzimy tu już od miesiąca, ale też uważamy, że to niesamowite.

- Cóż, jak ktoś umiera, chyba zawsze jest trochę dziwnie. A więc... gdzie przez ten miesiąc byliście? Tylko w Bangkoku?

- Nie, nie. - Energicznie pokręcił głową. - Kilka dni w Bangkoku to aż za dużo. Byliśmy na północy.

- W Chiang Mai?

- Tak, pojechaliśmy na wycieczkę. Pływaliśmy tratwą po rzece. Bardzo nudne, prawda? - Westchnął i oparł się plecami o kamienny stopień.

- Nudne?

Uśmiechnął się lekko.

- Wycieczka, tratwa... Chcę czegoś innego. Wszyscy chcą czegoś innego, ale wszyscy robią to samo. Nie ma w tym żadnej...

- Przygody.

- Pewnie po to tu przyjeżdżamy. - Machnął ręką w stronę rogu ulicy, gdzie zaczynała się Khao San Road. - Przyjeżdżamy po przygodę i zastajemy to.

- Rozczarowanie.

- Właśnie.

Milczał chwilę, lekko marszcząc czoło.

- Ten człowiek, którego znalazłeś... On był bardzo dziwny. Często słyszeliśmy, jak mówił do siebie w środku nocy. Mówił, krzyczał... Ściany są bardzo cienkie.

Ku swemu rozdrażnieniu spiekłem raka na wspomnienie odgłosów, jakie wydawali, kochając się po powrocie z miasta. Zaciągnąłem się głęboko dymem i wbiłem wzrok w schodki.

- Naprawdę? Byłem potwornie zmęczony, natychmiast zasnąłem.

- Tak. Czasami wracaliśmy do pensjonatu bardzo późno, żeby już spał.

- Ten problem macie z głową.

- Bardzo często go nie rozumieliśmy. Wiem, że mówił po angielsku, rozpoznałem po brzmieniu słów, ale... ale nie było to łatwe.

- Dla mnie też. Był Szkotem. Miał silny akcent.

- Ach, tak... A więc ty też go wczoraj słyszałeś?

Teraz z kolei on spiekł raka, tymczasem ja skoncentrowałem się na swoim papierosie. To, że się zawstydził, jeszcze bardziej spotęgowało moje zakłopotanie. Dziwne, bo gdyby miał brzydką dziewczynę, tylko by mnie rozbawił, ale ponieważ dziewczyna była wystrzałowa, poczułem się tak, jakby łączyło mnie z nią coś grzesznego. No i oczywiście łączyło: w wyobraźni.

Czerwieniliśmy się tak bez słowa, dopóki milczenie nie zaczęło nam ciążyć.

- Tak - powiedziałem o wiele za głośno. - Miał silny szkocki akcent.

- Aha - odparł, też trochę zbyt stanowczo. - Teraz już rozumiem.

W zamyśleniu potarł podbródek, jakby chciał wygładzić sobie brodę, chociaż po jego wątlym zaroście poznałem, że jeszcze długo mu nie wyrośnie.

- Ciągłe mówił o jakiejś plaży.

Patrzył prosto na mnie. Uważnie obserwował moją twarz - było oczywiste, że chce sprawdzić, jak zareaguję. Skinieniem głowy zachęciłem go do mówienia.

- Gadał o niej całą noc. Krzyczał tak głośno, że nie mogłem zasnąć, więc leżałem na łóżku i próbowałem zrozumieć poszczególne słowa. To było jak zagadka, jak rebus. - Roześmiał się wesoło. - „Pieprzona dziwka”. - Nawet nieźle go naśladował. - Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Minęły trzy noce, zanim zrozumiałem, że mówi o plaży. Tak, to było jak zagadka, jak rebus - powtórzył i umilkł.

Zaciągnąłem się dymem, czekając, aż przerwie ciszę i doda coś jeszcze.

- Lubię zagadki - powiedział, ale chyba nie do mnie.
Potem już się nie odezwał.

* * *

Podróż do Indii. Ja z kumplem. Siedemnaście lat, w głowie więcej trawki niż rozsądku. Lecieliśmy ze Srinagaru do Delhi i postanowiliśmy przewieźć trochę haszu. Każdy z nas opracował sobie sposób. Ja zwinąłem swoją działkę w plastikową folię, okleiłem ją taśmą, spryskałem dezodorantem, żeby zabić zapach, i tak sporządzony pakunek wetknąłem do butelki z tabletkami przeciwko malarii. Aż takie środki ostrożności nie były zapewne konieczne. Istniało nikle prawdopodobieństwo, że celnicy zainteresują się nagle pasażerem podróżującym liniami krajowymi. Niemniej hasz ukryłem.

Kiedy przyjechaliśmy na lotnisko, wpadłem w przerażenie. Omal nie narobiłem w portki ze strachu, oczy wychodziły mi z orbit, cały się trząsałem i pocilem jak w saunie. Jednakże, mimo paraliżującego lęku, zrobiłem coś niezwykłego: podszedłem do zupełnie obcego człowieka, do faceta, którego zobaczyłem w sali odlotów, i powiedziałem mu, że ukryłem w plecaku haszysz. Nie to, żeby musiał tę wiadomość ze mnie wyciągać. Wyśpiewałem mu wszystko z własnej woli. Nawiązałem rozmowę, przeskoczyłem na temat prochów i wyznałem, że jestem przemytnikiem.

Nie mam pojęcia, dlaczego. Wiedziałem, że to ostatnia głupota, mimo to nawet się nie zająknąłem. Po prostu musiałem komuś powiedzieć, co robię.

* * *

- Wiem, gdzie ta plaża jest.

Etienne uniósł brwi.

- Mam mapę.

- Mapę plaży?

- Ten facet mi ją narysował. Dziś rano znalazłem ją w kopercie na drzwiach mojego pokoju. Pokazuje, gdzie plaża leży i jak się tam dostać. Mam ją u siebie.

Etienne cicho zagwizdał.

- Powiedziałeś policji?

- Nie.

- Może to ważne. Może ma to coś wspólnego z jego...

- Może. - Pstryknąłem niedopałkiem papierosa. - Ale nie chcę

się w to mieszać. Pomyśleliby jeszcze, że faceta znałem albo co. A ja poznałem go dopiero dzisiejszej nocy.

- Mapa... - szepnął.

- Niesamowite, co?

Nagle wstał.

- Mógłbym ją zobaczyć? Miałbyś coś przeciwko temu?

- Nie, skąd! Ale czekasz chyba na...

- Na swoją dziewczynę? Na Françoise? Ona zna drogę do pensjonatu. Nie, chciałbym zobaczyć tę mapę. - Lekko położył mi dłoń na ramieniu. - Jeśli można.

Drgnąłem, zaskoczony intymnością gestu. Opuścił rękę.

- Jasne - odparłem. - Czemu nie? Chodźmy.

Niemowa

Idąc Khao San Road w stronę pensjonatu, nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Rozmowa nie miałaby żadnego sensu, gdyż cały czas musieliśmy przebić się przez setki turystów i podróżnych. Mijaliśmy stragan za straganem, wpadaliśmy z jednej strefy muzycznej w drugą, przyspieszaliśmy, by już za chwilę zwolnić. Ci z Creedence Clearwater kazali nam pędzić przez dżunglę, jakbyśmy o tym nie wiedzieli. Z trzeszczących głośników ryknęło najpierw techno, potem Jimi Hendrix.

Pluton. Jimi Hendrix, marycha i lufy karabinów.

Żeby dopełnić wrażenia, odszukałem węchem zapach trawki i znalazłem go pośród smrodu bijącego z rozgrzanych rynsztoków i lepkiego asfaltu. Sączyl się chyba z góry, z balkonu, na którym, opierając się o balustradę i obserwując ulicę, stało kilku owłosionych hipó w w brudnych podkoszulkach.

Nagle z boku wystrzeliła brązowa ręka. Za łokieć ścisnął mnie tajski handlarz siedzący przy swoim straganie, chudzielec o twarzy upstrzonej drobnymi bliznami po trądziku. Spojrzałem na Etienne'a. Niczego nie zauważył, szedł dalej przed siebie. Wkrótce zgubiłem go pośród podskakujących głów i opalonych szyj.

Nie zwalniając uścisku, Taj zaczął głaskać mnie po przedramieniu, miękko i delikatnie. Zmarszczyłem czoło i spróbowałem się wyszarpnąć. Przyciągnął mnie z powrotem i naprowadził moją rękę na swoje udo. Zaciśnąłem pięść i dotknąłem skóry kłykciami. Ludzie przepychali się koło nas, potrącając mnie ramionami. Ktoś pochwycił mój wzrok i posłał mi uśmiech. Taj przestał głaskać mnie po rękę i zabrał się za udo.

Spojrzałem na jego twarz. Była apatyczna i nieprzenikniona, tak samo jak jego oczy na wysokości mojego pasa. Poglaskał mnie ostatni raz, wsuwając kciuk pod nogawkę szortów, potem mnie puścił, klepnął w pośladek i odwrócił się do swego straganu.

Podbiegłem do Etienne'a; stał dwadzieścia metrów dalej, podpierając się pod boki. Kiedy podszedłem bliżej, uniósł brwi. Zmarszczyłem czoło i ruszyliśmy do pensjonatu.

* * *

Milczący ćpun siedział tam, gdzie zwykle. Kiedy nas zobaczył, przeciągnął palcem po nadgarstku.

Chciałem powiedzieć: „Smutne, co?” - ale usta miałem zlepione i gdy z trudem je otworzyłem, z gardła wydobyło się tylko westchnienie.

Françoise

Przez pięć minut patrzył na mapę bez słowa. Potem rzucił: „Zaczekaj” - i wybiegł z pokoju. Słyszałem, jak szukał czegoś za ścianą i po chwili wrócił z przewodnikiem w rękę.

- To są te wyspy. Narodowy park morski na zachód od Ko Samui i Ko Pha-Ngan.

- Na zachód od Ko Samui?

- Tak. Popatrz. Wszystkie są pod ochroną. Turyści nie mogą ich odwiedzać. Widzisz?

Nic nie widziałem. Przewodnik był po francusku, mimo to kiwnąłem głową.

Etienne czytał przez chwilę i rzekł:

- Aha. Turyści mogą dojechać tylko do... - Wziął mapę i wskazał

jedną z większych wysp małego archipelagu, leżącą o trzy wysepki od miejsca zaznaczonego czarnym krzyżykiem. - Tak, do tej. Do Ko Phelong. Jeżdżą tam na specjalne wycieczki z Ko Samui, ale... wolno im zostać na wyspie tylko jedną noc. I nie mogą jej opuszczać.

- A więc ta plaża leży na terenie parku narodowego?

- Tak.

- W takim razie niby jak się tam można dostać?

- Nie można. To park narodowy.

Usiadłem wygodniej na łóżku, oparłem się o ścianę i zapaliłem papierosa.

- No to sprawa jasna. Mapa jest gównem warta.

Pokręcił głową.

- Nie. Nie gównem warta. Bo dlaczego ci ją dał? Bardzo się przy niej napracował. Widziałeś te drobnutki fale?

- Kaczor Daffy. To jakiś psychol.

- Nie sądzę. Posłuchaj. - Wziął przewodnik i zaczął niezdarne tłumaczyć z francuskiego. - Podróżnicy... prawdziwi poszukiwacze przygód jeżdżą na wyspy za Ko Samui, gdzie znajdują spokój i... ukojenie. Ich ulubionym celem podróży jest Ko Pha-Ngan, ale nawet Ko Pha-Ngan... - Urwał. - W każdym razie piszą tu, że podróżni próbują odkrywać nowe wyspy za Ko Pha-Ngan, ponieważ na Ko Pha-Ngan jest teraz tak samo jak na Ko Samui.

- Tak samo?

- To znaczy, że Ko Pha-Ngan jest tak samo zepsuta jak Ko Samui. Za dużo turystów. Ale to przewodnik sprzed trzech lat, może teraz zepsute są również wyspy za Ko Pha-Ngan. Dlatego znaleźli zupełnie nowe miejsce w narodowym parku morskim.

- Przecież nikogo tam nie wpuszczają.

Wywrócił oczami.

- No właśnie! Dlatego tam popłynęli. Bo nie ma tam turystów.

- Strażnicy by ich stamtąd wyrzucili.

- Posłuchaj: ile jest tam wysp? Jak by ich znaleźli? Oni słyszą nadpływającą łódź i się chowają; strażnicy znaleźliby ich tylko wtedy, gdyby wiedzieli, że oni tam są. Strażnicy nie wiedzą, a my wiemy. Bo mamy to. - Przsunął ku mnie mapę. - Coś ci powiem: chyba chcę tę plażę znaleźć.

Uśmiechnąłem się lekko.

- Naprawdę - dodał. - Możesz mi wierzyć. Bardzo tego chcę.

* * *

A jakże, uwierzyłem mu, i to natychmiast. Miał w oczach coś, co od razu rozpoznałem. W okresie dorastania ja i moi dwaj kumple, Sean i Danny, przechodziliśmy okres niegroźnej przestępczości. Wczesnym rankiem - i tylko w weekendy, ponieważ w dni powszednie musieliśmy myśleć o szkole - łączyliśmy się po okolicy, tłukąc, co tylko wpadło nam w ręce. Naszą ulubioną rozrywką była zabawa w „gorącą butelkę”. Polegała na tym, że podkradało się sprzed drzwi puste butelki na mleko. Podrzucaliśmy je wysoko do góry i próbowaliśmy złapać. Najwięcej radochy było wówczas, gdy się nam nie udawało i butelka spadała na ziemię w srebrzystych rozbryzgach szkła bijącego po nogawkach džinsów. Dodatkowym i jakże ekscytującym bodźcem była ucieczka z miejsca przestępstwa, najlepiej przy akompaniamencie wrzasków rozwścieczonych zgredów.

Coś, co zobaczyłem w oczach Etienne'a, przypomniało mi pewne doświadczenie z okresu nieco późniejszego, kiedy to od tłuczenia pustych butelek przeszliśmy do tłuczenia samochodowych szyb. Siedzieliśmy właśnie w kuchni, żartobliwie rozważając ten pomysł, gdy nagle Sean zaproponował:

- Po prostu zróbmy to, i tyle.

Powiedział to ot tak, od niechcienia, ale oczy miał poważne. Wyczytałem z nich, że porzuciwszy myśli o namacalnych realiach tudzież o konsekwencjach takiego kroku, słyszał już zgrzytu wy trzask zapadających się szyb.

Etienne słyszał pewnie szum fal omywających ukrytą plażę albo był już w drodze na wyspę i ukrywał się przed strażnikami parku. Wywarło to na mnie takie samo wrażenie jak słowa Seana: „Po prostu zróbmy to, i tyle”. Racjonalizm ustąpił miejsca abstrakcji. Droga wytyczona na mapie stała się drogą możliwą.

* * *

- Pewnie moglibyśmy wynająć jakiegoś rybaka, żeby nas tam podrzucił.

Kiwnął głową.

- To może być trudne, ale wykonalne.
- Najpierw musielibyśmy dotrzeć na Ko Samui.
- Albo na Ko Pha-Ngan.
- Może dałoby się tam dopłynąć nawet z Surat Thani.
- Albo z Ko Phelongu.
- Musielibyśmy trochę popytać.
- Ale na pewno kogoś znajdziemy.
- Tak...

W tym momencie z posterunku wróciła Françoise.

O ile Etienne obrócił myśl znalezienia plaży w konkretny plan, o tyle ona ten plan wcieliła w życie. Dziwne w tym wszystkim było to, że dokonała tego niemal przypadkowo, z góry zakładając, że po prostu spróbujemy.

* * *

Nie chciałem, żeby poznała, jakie wrażenie wywiera na mnie jej uroda, więc kiedy zajrzała do pokoju, zerknąłem na nią, powiedziałem „Cześć” i znowu utkwilem wzrok w mapie.

Etienne przesunął się na łóżku i poklepał ręką miejsce, które dla niej zrobił. Françoise została w drzwiach.

- Nie czekałem na ciebie, bo spotkałem Richarda - powiedział po angielsku, pewnie przez wzgląd na mnie.

Ona żadnymi względami mnie nie darzyła i od razu zaczęła nawijać po francusku. Nie rozumiałem, o czym rozmawiają - rozpoznawałem tylko niektóre słowa, w tym moje imię - ale sądząc po szybkości i gwałtowności, z jaką dyskutowali, albo była wkurzona, że ją zostawił, albo bardzo chciała mu opowiedzieć o policyjnym przesłuchaniu.

Po chwili ton ich głosów nieco złagodniał.

- Możesz poczęstować mnie papierosem, Richard? - spytała po angielsku.

- Jasne. - Dałem jej papierosa i trzasnąłem zapalką. Kiedy osłaniała płomień przed bijącymi z góry podmuchami - wiatrak wciąż pracował - dostrzegłem maleńki tatuaż: delfina na wpół ukrytego pod paskiem zegarka. Dziwne miejsce na tatuaż. Już miałem to skomentować, ale uznałem, że byłaby to zbyt poufałość. Blizny i tatuaże. Nim zaczniesz zadawać pytania, musisz człowieka dobrze poznać.

- O co chodzi z tą mapą? - spytała.

- Dziś rano znalazłem ją na drzwiach. - Chciałem jej wszystko wyjaśnić, ale mi przerwała:

- Wiem, Etienne mi powiedział. Chcę ją zobaczyć. Podałem jej mapę, a on wskazał położenie plaży.

- Aha - powiedziała. - Niedaleko Ko Samui.

Etienne entuzjastycznie kiwnął głową.

- Tak. Krótka przejażdżka łodzią. Może najpierw trzeba będzie popłynąć na Ko Phelong, bo turyści mogą tam spędzić noc.

Françoise postukała palcem w wyspę zaznaczoną czarnym krzyżykiem.

- Wiadomo, co tam jest?

- A skąd! - odrzekłem.

- Jeśli nic tam nie ma, jak wrócimy na Ko Samui?

- Popłyniemy na Ko Phelong - wyjaśnił Etienne. - Zaczekamy na prom z turystami i powiemy, że się zgubiliśmy. To nieważne.

Françoise pyknęła z papierosa, ledwie wciągając dym do płuc.

- Rozumiem... Tak... Kiedy wyjeżdżamy?

Spojrzałem na Etienne'a, Etienne spojrzał na mnie.

- Jestem zmęczona Bangkokiem - mówiła dalej Françoise. - Możemy złapać nocny pociąg na południe. Jeszcze dzisiaj.

- No, tak, ale... - wyjąkałem, zaskoczony szybkością rozwoju wydarzeń. - Rzecz w tym, że musimy trochę poczekać. Chodzi o tego samobójcę... Przez dwadzieścia cztery godziny nie mogę opuszczać pensjonatu.

Françoise westchnęła.

- Idź na posterunek i powiedz, że musisz wyjechać. Mają twój numer paszportu, *non*?

- Mają, ale...

- Na pewno ci pozwolą.

Zgasiła papierosa na podłodze, jakby chciała powiedzieć: koniec dyskusji. I tak w sumie było.

Miejscowy koloryt

Tego samego popołudnia poszedłem na posterunek i zgodnie z przewidywaniami Françoise nie robili mi żadnych przeszkód. Szczegółowy pretekst, który sobie opracowałem - musiałem jakoby jechać do Surat Thani na spotkanie z przyjacielem - został kompletnie zlekceważony. Chodziło im głównie o to, że pan Kaczor nie miał przy sobie żadnych dokumentów, i nie wiedzieli, którą ambasadę powiadomić. Kiedy wyjaśniłem, że na pewno pochodził ze Szkocji, byli bardzo zadowoleni.

Wracając do pensjonatu, nie wiedzieć czemu pomyślałem o tym, co się stanie z jego ciałem. Przez to zamieszanie z mapą zupełnie zapomniałem, że ktoś naprawdę umarł. Bez dokumentów policja nie wiedziała, dokąd odesłać zwłoki. Może je zamrożą i będą leżały w chłodni rok albo dwa, a może je skremują. Wyobraziłem sobie jego matkę, która żyjąc spokojnie w Europie, jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że czeka ją kilka mrocznych miesięcy dociekań, dlaczego syn przestał się nagle odzywać. Ja wiedziałem, dlaczego, ona nie - uznałem, że to niesprawiedliwe. O ile w ogóle istniała.

Te myśli mnie rozstroiły. Postanowiłem nie wracać od razu do pensjonatu, gdzie Etienne i Françoise będą chcieli gadać tylko o plaży i mapie. Zaprzagnąłem pobyc trochę sam. Umówiliśmy się, że złapiemy pociąg o dwudziestej trzydzieści, więc miałem dla siebie co najmniej dwie godziny.

Skrzyłem w boczną uliczkę, przeszedłem pod rusztowaniem na wpół ukończonego budynku i znalazłem się na ruchliwej ulicy głównej. Otoczyli mnie Tajo wie. Włócząc się bezdrożami, prawie już zapominałem, w jakim jestem kraju, i chwilę trwało, nim przystosowałem się do tej nagłej zmiany.

Niebawem doszedłem do niskiego mostu nad kanałem. Nie należał do najbardziej malowniczych, mimo to przystanąłem, żeby odszukać swoje odbicie i popatrzeć na tęczowe maziaje benzyny na wodzie. Nad brzegiem pochylały się niebezpiecznie rudery squatterów. Słońce, rano zamglone, było teraz jaskrawe i gorące. W kanale chłodziła się czereda dzieciaków, skacząc na siebie z nabrzeża albo pluszcząc się w wodzie.

Jeden z nich mnie zauważył. Być może kiedyś blada twarz by go zaciekawiła - kiedyś, ale nie teraz. Patrzył na mnie chwilę, zuchwał

albo znudzony, po czym wskoczył do czarnej wody. Zdołał zrobić całkiem ambitne salto, co przyjaciele nagrodzili wesołymi okrzykami.

Wyłynął i spojrzął na mnie ponownie. Ruchami ramion oczyścił krąg w unoszących się na wodzie śmieciach, w rozdrobnionym styropianie, który przez chwilę wyglądał jak mydliny.

Pociągnąłem za połę koszuli. Pot przykleił mi ją do pleców.

* * *

W sumie odszedłem od Khao San Road na ponad trzy kilometry. Po przystanku nad kanałem zjadłem ostrą zupę z makaronem z przydrożnego straganu, przecisnąłem się między samochodami stojącymi w ulicznych korkach, minąłem dwie małe świątynie, dyskretnie ukryte między budynkami z brudnego betonu. Nie były to widoki, które kazałyby mi żałować, że tak szybko wyjeżdżam z Bangkoku. Zresztą zwiedzanie mnie nie pociąga. Gdybym został tam jeszcze kilka dni, zajrzałbym pewnie tylko do kilku knajp ze striptizem w Patpongu, nigdzie więcej.

W końcu zawędrowałem tak daleko, że nie miałem zielonego pojęcia, jak wrócić, więc złapałem rykszę. Jazda sinymi od spalin ulicami, wyłapywanie szczegółów, których nie dostrzega się, idąc piechotą - była to najfajniejsza część wycieczki.

Czekali na mnie z bagażami w restauracji na dole.

- Cześć - powiedział Etienne. - Myśleliśmy już, że zmieniłeś zdanie.

Odparłem, że nie, i wyraźnie im ulżyło.

- W takim razie lepiej się spakuj. Powinniśmy przyjechać na stację trochę wcześniej.

Poszedłem na górę po plecak. Wracając, minąłem się na półpiętrze z moim ćpunem niemową. Podwójna niespodzianka, bo pierwszy raz widziałem go nie na swoim krześle, poza tym okazało się, że wcale nie jest niemową.

- Wyjeżdżasz? - spytał, gdy się do siebie zbliżyliśmy. Kiwnąłem głową.

- Na poszukiwanie białych piasków i błękitnego morza?

- Uhm.

- Uważaj na siebie.

- Spróbuję.
- Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.
- Jasne, że spróbujesz, ale ja życzę ci, żeby coś z tego wyszło.

To jest życie, Jim, ale nie takie, jakie znamy

Wyruszyliśmy na południe sypialnym, pierwszą klasą. Kelner przyniósł nam tanie, ale dobre jedzenie - rozstawił je na stole, który nocą złożył, odsłaniając nienagannie czyste łóżka. Wysiedliśmy w Surat Thani, skąd złapaliśmy autobus do Don Sak. W Don Sak wsiedliśmy na prom, który dowiózł nas prosto do mola w Na Thon.

Tak dostaliśmy się na Ko Samui.

* * *

Odprężyłem się dopiero wtedy, gdy zaciągnąwszy zasłony, odizolowałem się od reszty pociągu. A konkretnie od Etienne'a i Françoise. Odkąd opuściliśmy pensjonat, czułem się niezręcznie. Nie to, żeby mnie denerwowali, nie. Po prostu zaczęło docierać do mnie, że naprawdę to robimy. Poza tym uświadomiłem sobie, że zupełnie ich nie znam - w podnieceniu towarzyszącym błyskawicznie podjętej decyzji kompletnie o tym zapomniałem. Jestem pewien, że oni czuli się tak samo, dlatego prawie wcale nie próbowaliśmy nawiązywać rozmowy.

Leżałem na plecach z rękami pod głową, ciesząc się pewnością, że przytłumiony stukot kół i rytmiczne kołysanie się wagonu wkrótce mnie uspią.

Większość ludzi łatwo zasypia w pociągu, ale ja nie mam z tym najmniejszych trudności. Szczerze mówiąc, trudno jest mi nie spać. Całe dzieciństwo mieszkałem w domu stojącym przy torach, a pociągi zauważa się przede wszystkim nocą. Moim Piaskowym Dziadkiem był pospieszny z Euston, który mijał nasz dom dziesięć minut po północy.

Czekając, aż zadziała odruch Pawłowa, podziwiałem zmysł, z jakim zaprojektowano mój kojec. Przez szparę w zasłonie sączyło się światło i choć już je przygaszono, widziałem wszystko dość dobrze. Był tam szereg użytecznych kieszeni i pojemników, które skrzętnie wykorzystałem. Podkoszulek i spodnie wetknąłem do małego pudełka u stóp, a buty włożyłem do elastycznej siatki wiszącej na wysokości pasa. Nad głową miałem nastawną lampkę do czytania. Była wyłączona, ale tuż obok niej żarzyło się wesołe czerwone światło.

Ogarniała mnie coraz większa senność i zacząłem fantazjować. Wyobraziłem sobie, że pociąg jest statkiem kosmicznym w drodze do odległej planety.

Nie wiem, czy tylko ja coś takiego robię. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem. Szczerze powiedziawszy, jeszcze z tego nie wyrosłem, przynajmniej jak dotąd, i nic nie wskazuje na to, że kiedykolwiek wyrosnę. Szczegółowo opracowałem sobie pewną fantazję, w której jestem uczestnikiem wyścigu statków kosmicznych trzydziestego pierwszego wieku. Wyścig trwa kilka dni, czasami nawet tydzień, i to non stop. Kiedy zasypiam, stery przejmuje automatyczny pilot, tak że mój pojazd nieustannie unosi mnie w kierunku mety. Automatyczny pilot jest racjonalnym wytłumaczeniem faktu, że fantazjując, mogę leżeć w łóżku. Logika odgrywa tu bardzo ważną rolę - nie byłoby sensu fantazjować, że uczestniczę w wyścigu samochodów formuły pierwszej, ponieważ jak mógłbym wtedy spać? Bez przesady.

Czasami wygrywam, czasami przegrywam. Ale w tym ostatnim przypadku zawsze próbuję stosować jakąś sztuczkę: a to pędzę na skrót, a to biorę zakręty szybciej niż pozostali piloci. Tak czy inaczej, pewny wygranej, zasypiam szybko i spokojnie.

Myślę, że katalizatorem fantazji w pociągu do Surat Thani było małe czerwone światelko koło lampki do czytania. Jak wszyscy dobrze wiedzą, statek kosmiczny bez małych czerwonych światełek nie jest prawdziwym statkiem kosmicznym. Cała reszta - zmyślnie urządzona kabina, szum silnika pędzącej lokomotywy (napędu niezbędnego do wykonywania skoków w nadprzestrzeń), poczucie przygody - była tylko luksusowym uzupełnieniem.

Zanim usnąłem, moje skanery wykryły już istnienie form życia na powierzchni odległej planety. Chyba na Jowiszu.

Poznałem to po charakterystycznym układzie chmur, które wyglądały jak kolorowe wzory na hippisowskim, ręcznie farbowanym podkoszulku.

* * *

Ciepłe poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała kosmiczna kapsuła, zniknęło i znowu byłem w pensjonacie przy Khao San Road. Leżałem na łóżku, gapiąc się na wiatrak pod sufitem. W pokoju brzęczał komar. Nie widziałem go, ale jego skrzydełka łopotały niczym wirnik przelatującego w pobliżu śmigłowca. Obok mnie, na mokrych od krwi prześcieradłach, siedział Kaczor Daffy.

- Możesz? - poprosił, podając mi na wpół skręconego papierosa.
- Nie damę rady. Ręce mi się lepią i śługa... ślug się rozpada.

Roześmiał się przepraszająco, kiedy wziąłem skręta.

- To przez te żyły. Pochlastałem się i ciągle krwawią. - Podniósł rękę i krew siknęła z niej na ścianę z laminowanej płyty. - Widzisz? Ale syf!

Zwinąłem skręta, ale go nie pośliniłem. Na pasemku kleju widniał krwawy odcisk palca.

- Nie, nie, spokojnie, Rich. Jestem czysty. - Popatrzył na swoje zakrwawione ubranie. - No, chyba niezbyt...

Pośliniłem skręta.

- Przypał. Tylko go zamoczę. - Podał mi ogień.

Usiadłem na łóżku. Materac ugiął się pod moim ciężarem, krew spłynęła i zalała mi szorty.

- No i? Siekiera, co? Ale spróbuj kiedyś przez lufę giwery. To jest dopiero coś.

- Czysty odlot.

- Tak jest - powiedział pan Kaczor. - Zuch, chłopak. Zuch...

Położył się z rękami pod głowę, tak że widziałem jego nadgarstki. Sztachnąłem się jeszcze raz. Krew ściekająca z łopat wiatraka bryzgała wokoło niczym deszcz.

KO SAMUI

Odpoczynek i rekreacja

Podróż ze stacji w Surat Thani na Ko Samui upłynęła w sennej mgle. Pamiętam, choć kiepsko, że szedłem za Étienne'em i Françoise do autobusu, który miał nas zawieźć do Don Sak, ale jedynym wspomnieniem z promu był wrzask Etienne'a usiłującego przekrzyczeć dudnienie silników.

- Tam, Richard! - Wskazał horyzont. - Tam jest ten park!

W oddali z morza wyłoniła się grupka zielonkawych, ledwie widocznych kształtów. Skwapliwie skinąłem głową. Bardziej interesowało mnie znalezienie jakiegoś względnie miękkiego miejsca, gdzie mógłbym zaleść z plecakiem w charakterze poduszki.

* * *

Do ośrodka wypoczynkowego Chaweng jechaliśmy wielkim, otwartym isuzu. Po lewej stronie, za rzędami kokosowych palm, lśniło błękitne morze, strome zbocza po prawej porastała dżungla. Było nas w sumie dziesięcioro. Siedzieliśmy za szoferką z plecakami wciśniętymi między kolana i z głowami pochylającymi się to w jedną, to w drugą stronę, zależnie od zakrętu. Jeden z turystów miał na ramieniu kij baseballowy, inny - aparat na kolanach. W zielonym gąszczu migały brązowe twarze.

- Delta jeden-dziewięć - wymamrotałem. - Tu patrol Alfa.

Wysiedliśmy przed niewielkim skupiskiem całkiem porządnym bungalowów, lecz niepisany protokół wędrowca nakazywał, żeby najpierw sprawdzić, co oferuje konkurencja. Po półgodzinnej włościwce po gorącym piasku wróciliśmy do tego samego miejsca.

Osobne prysznice, wentylator przy łóżku, ładna restauracja z widokiem na morze. Nieźle. Nasze bungalowy stały naprzeciwko siebie, rozdzielała je tylko wyżwirowana ścieżka wysadzana kwiatami. Było *tres beau*, jak powiedziała Françoise z rozkosznym westchnieniem. Musiałem się z nią zgodzić.

Zamknąłem za sobą drzwi i od razu poszedłem do łazienki, żeby spojrzeć w lustro. Nie oglądałem swojej twarzy od dwóch dni i chciałem sprawdzić, czy wszystko jest jak trzeba.

Przeżyłem lekki wstrząs. Przebywając wśród brązowych albo opalonych na brąz ludzi, nie wiedzieć czemu założyłem, że ja też jestem opalony, ale widmo patrzące na mnie z lustra wyprowadziło mnie z błędu. Byłem koszmarnie blady, a parodniowy zarost, czarny jak moje włosy, dodatkowo tę bladłość podkreślał. Nie licząc zapotrzebowania na silną dawkę promieni ultrafioletowych, natychmiast potrzebowałem prysznica. Mój podkoszulek nabrał słonawej sztywności materiału przepoconego, wysuszonego słońcem na pieprz i ponownie przepoconego. Postanowiłem pójść prosto na plażę i trochę popływać. Tym sposobem upiekłbym dwie pieczenie przy jednym ogniu: umyłbym się, a przy okazji trochę opalił.

Ośrodek Chaweng wyglądał jak fotografia z broszury reklamowej biura podróży. Hamaki rozpięte w cieniu pochylonych palm, oślepiająco biały piasek, skutery wodne kreślące na wodzie białe wzory niczym odrzutowce na bezchmurnym niebie. Biegłem. Po trosze dlatego, że piasek był gorący, a po trosze dlatego, że zawsze wbiegam do morza. Kiedy woda zaczęła mnie wciągać, wyskoczyłem do góry i siłą rozpędu zrobiłem salto do przodu. Wylądowałem na plecach i wypuszczając powietrze, opadłem na dno. Odchyliłem do tyłu głowę, żeby zatrzymać powietrze w nosie, znieruchomiałem na piasku i wsłuchałem się w podmorskie odgłosy.

* * *

Pluskałem się dobry kwadrans, gdy dołączył do mnie Etienne. On też przebiegł przez pasmo piasku i wskoczył do wody, robiąc salto, ale natychmiast wynurzył się z bolesnym krzykiem.

- Co się stało?! - zawołałem.

Pokręcił głową, cofając się do brzegu.

- To! To zwierzę! Ta... ta ryba!

Ruszyłem w jego stronę.

- Jaka ryba?
- Nie wiem, jak to jest po angielsku. Aaaa! Jest ich więcej! Aaaa!
Piecze!

Wreszcie do niego dobrnąłem.

- Meduzy! Świetnie!

Ucieszyłem się na widok tych białych kształtów unoszących się w wodzie niczym krople srebrzystej oliwy. Podobała mi się ich oczywista dziwaczność, podziwiałem niezwykle miejsce, jakie zajmują między światem zwierzęcym i roślinnym.

Od pewnego Filipinczyka dowiedziałem się o nich ciekawej rzeczy. Ten Filipinczyk był jedynym chłopakiem w moim wieku na wyspie, którą kiedyś odwiedziłem, dlatego zostaliśmy kumplami. Spędziliśmy razem wiele szczęśliwych tygodni, rzucając na plaży latającym talerzem i nurkując w Morzu Południowochińskim. Powiedział mi, że meduza podniesiona samą dłonią nie parzy, z tym że potem trzeba dokładnie wyszorować ręce, bo jeśli potrze się oczy albo podrapie w plecy, jad zadziała, a wtedy można oszaleć z bólu. Organizowaliśmy nawet pojedynki, ciskając w siebie meduzami niczym piłkami tenisowymi. Przy spokojnym morzu można było puszczać nimi kaczki, chociaż jeśli rzuciło się za mocno, niektóre wybuchały. Powiedział mi też, że jada się je na surowo, jak sushi. Owszem, czemu nie, o ile tylko znajdzie się amator skłonny znieść kilkudniowe skurcze żołądka i wymioty.

Popatrzyłem na meduzy. Wyglądały tak samo jak te filipińskie i wiedząc, że zaimponuję Etienne'owi swoją światowością, postanowiłem zaryzykować. Oplaciło się. Gdy wyjąłem z wody galaretowate stworzenie, wybałuszył oczy.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknął.

Uśmiechnąłem się. Nie zdawałem sobie sprawy, że Francuzi naprawdę mówią „*Mon Dieu*”. Zawsze myślałem, że to tylko legenda, tak samo jak bzdurne przekonanie, że Anglicy kończą każde zdanie słowem „*what*”.

- Nie boli? - spytał.
- Nie. To tak jak z pokrzywą. Zależy, jak ją trzymasz. Masz, spróbuj. - Wyciągnąłem do niego rękę z meduzą.
- Nie, nie chcę.
- Nic ci nie będzie. Śmiało!

- Naprawdę?
- Jasne. Złóż ręce. O tak, widzisz?
Meduza wślizgnęła się w jego dłonie.
- Oooo... - Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.
- Ale możesz dotykać jej tylko wewnętrzną stroną dłoni, w przeciwnym razie zapiecze.
- Tylko dłońmi? Dlaczego?
Wzruszyłem ramionami.
- Nie wiem. Taka zasada.
- Może skóra jest tam grubsza niż gdzie indziej.
- Może. - Wyjąłem z wody meduzę dla siebie. – Dziwne stworzenia, prawda? Spójrz, są zupełnie przezroczyste. Nie mają mózgu. Etienne entuzjastycznie pokiwał głową.

Przypatrywaliśmy się im w milczeniu, gdy nagle zauważyłem Françoise. Szła plażą do morza w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. Zobaczyła nas i pomachała ręką. Kiedy ją podniosła, kostium się napiął i stojące na godzinie pierwszej słońce podkreśliło cieniem jej piersi, zagłębienie pod żebrami i wyraźnie zarysowane mięśnie brzucha.

Zerknąłem na Étienne'a. Wciąż oglądał swoją meduzę, odciągając macki od dzwonu, tak że siedziała mu na dłoni jak szklany kwiat. Może uroda Françoise mu spowszedniała? Może już na nią zobojętniał?

Kiedy do nas dotarła, okazało się, że nasza zdobycz wcale jej nie imponuje.

- Nie lubię ich - oznajmiła krótko. - Wykąpiemy się?
Woda sięgała mi do piersi, jej do ramion.
- Przecież się kąpiemy - odrzekłem.
- Etienne wreszcie oderwał wzrok od meduzy.
- Nie, nie. Ona chce popływać. - Wskazał ręką otwarte morze. - Tam, daleko.

* * *

Płynąc, urządziliśmy sobie zabawę. Co dziewięć, dziesięć metrów nurkowaliśmy do dna po garść piasku.

Zabawa była dziwnie nieprzyjemna, przynajmniej dla mnie. Metr pod powierzchnią ciepło tropikalnego morza ustępowało miejsca zimnu tak gwałtownie, że przebijając nogami, można było

dokładnie wyczuć dzielącą te strefy granicę. Kiedy się zanurzałem, zimno obejmowało najpierw czubki palców, potem ręce, wreszcie całe ciało.

Im dalej od brzegu, tym piasek był czarniejszy i drobniejszy. Wkrótce woda na dnie stała się zbyt mroczna, żeby cokolwiek dostrzec, tak że mogłem tylko wyciągnąć przed siebie ręce i mlóć na oślep nogami, czekać, aż palce zagłębią się w mule.

Strefa zimnej wody zaczęła napawać mnie lękiem. Nurkowałem, spieszenie chwytalem garść szlamu i chociaż w płucach miałem jeszcze dużo powietrza, mocno odpychałem się od dna, żeby jak najszybciej wypłynąć. Kiedy nurkowali Etienne i Françoise, czekałem na nich z podkurczonymi nogami, utrzymując się na powierzchni dzięki ruchom rąk.

- Daleko płyniemy? - spytałem, kiedy opalający się na plaży turyści zmienili się w mrówki.

- Chcesz wracać? - spytał z uśmiechem Etienne. - Jesteś zmęczony? Możemy wrócić.

Françoise wyjęła z wody rękę i rozluźniła palce. Gruda piasku wpadła do morza i zatonała, ciągnąc za sobą mętny obłok.

- Jesteś zmęczony, Richard? - spytała z uniesionymi brwiami.

- Nie, skąd! - odrzekłem. - Płynimy dalej.

W jajo

O piątej po południu temperatura spadła, niebo ściemniało i zaczął padać deszcz. Niespodziewanie, gwałtownie i głośno - ciężkie krople ryły w piasku krater, a w tych kraterach kolejne krater. Siedziałem na małym ganku i patrzyłem, jak na ziemi wzbiera miniaturowe Morze Spokoju. Na ganek naprzeciwko wypadł Etienne, żeby zabrać szorty, które zostawił tam do wyschnięcia. Coś do mnie krzyknął - jego głos zginął w loskocie przetaczającego się grzmotu - po czym zniknął za drzwiami bungalowu.

Na moim ręku siedziała mała jaszczurka. Miała najwyżej siedem i pół centymetra długości, ogromne oczy i przezroczystą skórę.

Przedtem dziesięć minut siedziała na paczce papierosów, a kiedy znudziło mnie czekanie, aż strzeli językiem, żeby złapać jakąś muchę, wziąłem ją do ręki. Myślałem, że natychmiast się wyslizgnie, tymczasem ona jakby nigdy nic przysiadła wygodnie na mojej dłoni. Zaskoczony tym zuchwalstwem, pozwoliłem jej zostać, chociaż musiałem trzymać rękę w nienaturalnej pozycji, otwartą dłonią do góry, i szybko mnie rozbolała.

Moją uwagę przykuło dwóch chłopaków. Biegli plażą, wyjąc i krzycząc. Na wysokości mojego bungalowu skręcili, by sprężyć się wskoczyć na sąsiedni ganek.

- O żeż ty! - zawołał jeden z nich, jasny blondyn z kocią bródką.

- Kurwa mać, ale rozpiardówa! - krzyknął drugi, też blondyn, tylko żółtawy i gładko ogolony.

- Amerykanie - szepnąłem do jaszczurki.

Zakołatali do drzwi i popędzili zygzakiem w stronę restauracji, kryjąc się przed deszczem. Kilka minut później przybiegli z powrotem. Znowu załomotali do drzwi i wtedy zauważył mnie kozia bródka; najwyraźniej przedtem mnie nie widział.

- Szlag by to! Zgubiliśmy klucz! - krzyknął i wskazał kciukiem w stronę restauracji. - A oni posiali zapasowy! Nie możemy wejść.

- Utknęliśmy na amen! - dodał ten żółtawy. - Na tym deszczu!

Kiwnąłem głową.

- Pech. Gdzie go zgubiliście?

Kozia bródka wzruszył ramionami.

- Na plaży, kilometry stąd. Całe kilometry, brachu! - Podeszedł do drewnianej barierki rozdzielającej nasze ganki i zmrużył oczy. - Co to jest? - spytał.

Podniosłem rękę i pokazałem mu jaszczurkę.

- O kurde! Czy ona... zdechła?

- Nie, żyje.

- Ekstra! Możemy do ciebie wpaść? No, wiesz, żeby poznać sąsiada, i tak dalej.

- Jasne.

- Zajarasz?

- Chętnie.

- Ekstra!

Przeskoczyli przez barierkę i się przedstawili. Kozia bródka miał na imię Sammy, a ten żółtawy Zeph.

- Dziwne imię, nie? - Zeph potrząsnął swoją lewą ręką, nie chcąc wystraszyć jaszczurki. - A pełne? Zgadniesz?

- Zefaniasz - odrzekłem z niezachwianym przekonaniem.

- Pudło, stary, pudło! To żaden skrót: tak mnie ochrzczono. Wszyscy myślą, że jestem Zefaniasz, a ja jestem Zeph! Czysty odlot, nie?

- Czysty odlot - potwierdziłem.

Sammy wyjął z kieszeni wodoszczelną torebkę z plastiku, wysypał z niej trawkę, wyjął bibułki.

- Anglik, hę? - rzucił, wyglądając bibułkę palcami. - Anglicy zawsze robią skręty z tytoniu. A my nigdy. Palisz nałogowo?

- Obawiam się, że tak.

- Widzisz? A ja nie. Ale gdybym palił zwykły tytoń, też wpadłbym w nałóg. Jak leci ta piosenka, Zeph?

Zeph zaczął śpiewać coś, co brzmiało jak „Nie marnuj tego śluga, przyjacielu”, ale Sammy mu przerwał.

- Nie ta. Ta druga.

- Która? „Wypalam dwa skręty rano”? Ta?

- Ta.

Zeph odchrząknął.

- No, to tak: „Wypalam dwa skręty rano, wypalam dwa wieczorem i raduję się dobrym humorem...” A potem jest tak: „Wypalam dwa, kiedy jest pokój, i dwa, kiedy jest wojna. Wypalam dwa, i znowu dwa, bo wtedy głowa jest spokojna”. Dalej nie pamiętam.

- Nie szkodzi - powiedział Sammy. - Chwytasz, Ricardo? Dużo palę.

- Widzę.

- Uhm.

Zrobił skręta, zanim Zeph skończył śpiewać. Przypalił i podał go mnie.

- I jeszcze coś - wychrypiał astmatycznie, wypuszczając dym serią obłoczków. - Wy, Anglicy, ssiecie skręta całe wieki. My, Amerykanie, sztachamy się raz, góra dwa razy, i podajemy go dalej.

- To prawda - przyznałem.

Już chciałem przeprosić ich za złe maniery moich rodaków, gdy wtem gwałtownie się rozkaszałem.

- Ricardo! - Zeph poklepał mnie po plecach. - Użyj sobie, użyj, kaszel ci posłuży.

Kilka sekund później niebo nad morzem rozcięła jaskrawa błyskawica.

- Ekstra, brachu, ekstra! - szepnął Sammy przejętym grozą głosem, kiedy ucichł grzmot.

- Niesamowite, *compadre*, niesamowite! - zawtórował mu natychmiast Zeph.

Otworzyłem usta, zawahałem się i w zamyśleniu mruknąłem:

- Ekstra, brachu, ekstra.

- Niesamowite - powtórzył za Sammym Zeph. - Niesamowite. Jęknąłem.

- Coś nie tak, Ricardo?

- Robicie mnie w konia.

Popatrzyli na siebie, potem na mnie.

- W konia?

- W jajo.

Sammy zmarszczył czoło.

- Wal po angielsku, stary.

- Parodiujecie Keanu Reevesa. To taki zgrzyw, prawda? Nie wierzę, że tak mówicie.

Zapadła krótka chwila ciszy, potem Zeph zaklął.

- Obsuwa, Sammy. Daliśmy dupy.

- Tak - odrzekł Sammy. - Przeięliśmy pałę.

* * *

Byli harwardczykami. Sammy studiował prawo, Zeph literaturę afroamerykańską. Ich plażowy numer był reakcją na protekcjonalnych Europejczyków, których ciągle spotykali w Azji.

- To protest przeciwko bigoterii - wyjaśnił Zeph, rozsypując swoje blond loki. - Europejczycy myślą, że wszyscy Amerykanie są głupi, więc udajemy głupich, żeby potwierdzić wasze uprzedzenia. Potem błyskamy intelektem, podważając je o wiele skuteczniej, niż moglibyśmy to zrobić w bezpośrednim pojedynku na inteligencję,

który wywołuje konsternację, a w końcu niechęć.

- Naprawdę? - spytałem, szczerze zadziwiony. - Jakie to wyrafinowane!

Roześmiał się.

- Nie, nie. Robimy to tylko dla zabawy.

Mieli też inne numery. Zeph najbardziej lubił odgrywać Dupka z Deską, natomiast Sammy wołał Murzyńskiego Kochasia. Jak sama nazwa sugeruje, był to numer trochę pikantniejszy i bardziej ryzykowny niż Dupek z Deską.

- Kiedyś dostałem za Kochasia w mordę - powiedział, skręcając kolejnego papierosa. - Padłem, kurwa, jak długi.

Wcale mnie to nie zdziwiło. W Murzyńskim Kochasiu Sammy wszczywał gwałtowne klótnie z ludźmi, których zupełnie nie znał, utrzymując, że skoro w Afryce jest kraj o nazwie Niger, po łacinie „czarny”, jego wszyscy mieszkańcy, bez względu na kolor skóry, są czarnuchami.

- Nie nazywają ich czasem Nigeryjczykami? - Lekko się zjeżyłem, choć wiedziałem, że znowu próbują zrobić mnie w konia.

Sammy pokręcił głową.

- Tak wszyscy mówią, ale chyba nie. Nigeria leży tuż pod Nigrem. Graniczą ze sobą, więc gdyby i tych, i tych nazywano Nigeryjczykami, zapanowałby kompletny chaos.

- Fakt. Ale wątpię, czy nazywają ich czarnuchami.

- Jasne, ja też. Mówię to tylko po to, żeby udowodnić... Chuj wie co, ale... - Zaciągnął się dymem i podał skręta Zephowi. - Widzisz, jest tak, jak uczył mnie dziadek. Był pułkownikiem piechoty morskiej. Sammy - mawiał - cel zawsze uświeca środki. I wiesz, co? Miał rację.

Już miałem zaoponować, ale zdałem sobie sprawę, że znowu wypuszcza mnie w maliny.

- Nie można zjeść jajka, nie tłukąc skorupki - odparłem, chwytając, w czym rzecz.

Sammy uśmiechnął się i spojrzął na morze.

- Zuch chłopak - powiedział, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Błysnęło i jaskrawo oświetlone palmy na plaży zmieniły się w rząd pazurów osadzonych na patykowatych ramionach. Przestraszona jaszczurka szybko uciekła.

- Zuch chłopak.
Nachmurzyłem czoło.
- Słucham? Co mówisz?
Odwrocił głowę. On też miał zmarszczone czoło, lecz na jego ustach wciąż błędził lekki uśmiech.

- Co?
- Mówiłeś coś?
- Nie. Spojrzałem na Zepha.
- Mówił coś. Słyszałeś?

Zeph wzruszył ramionami.

- Patrzyłem na błyskawicę.
- Aha.

Pewnie bredzą po trawce - pomyślałem.

* * *

Zapadł wieczór. Deszcz nie ustawał. Etienne i Françoise nie wyściubili nosa z bungalowu, a Zeph i Sammy zostali na ganku, dopóki nie naćpaliśmy się do tego stopnia, że odebrało nam mowę. Siedzieliśmy bez słowa i wymienialiśmy luźne uwagi tylko wtedy, gdy niebem wstrząsał wyjątkowo silny grzmot.

Godzinę czy dwie po zapadnięciu zmroku przysła do nas drobniutka Tajka z restauracji, niemal ginąc pod olbrzymim parasolem plażowym. Popatrzyła na porozrzucane bibułki i rozsypaną marychę, uśmiechnęła się słabo i podała Zephowi zapasowy klucz do bungalowu. Wziąłem to za znak, że powinienem walnąć się spać.

- Było ekstra, stary - wychrypiał Sammy, gdy się żegna liśmy. - Do jutra.

Powiedział to chyba bez cienia ironii. Nie mogłem wyczuć, czy jest to kontynuacja ich plażowego numeru, czy może trawka nadzarła jego harwardzki umysł. Sprawa była zbyt skomplikowana, dlatego powiedziałem tylko: „Jasne” - i zamknąłem za sobą drzwi.

Koło trzeciej nad ranem obudziłem się na chwilę z suchością w ustach i wciąż nawalony, wyężyłem słuch. Dobiegło mnie granie cykad i szum fal omywających plażę. Burza przeszła.

Najeźdźcy z kosmosu

Rano niebo było wciąż zachmurzone. Kiedy wyszedłem na ganek, gdzie wały się nasączone deszczem pety, odniosłem dziwne wrażenie, że wróciłem do Anglii. W powietrzu czuło się lekki chłód, a zewsząd dochodził zapach mokrej ziemi i liści. Przecierając oczy, poczłapałem przez zimny piasek do bungalowu Etienne'a i Françoise. Nie odpowiadali, więc poszedłem do restauracji i zastałem ich przy śniadaniu. Zamówiłem sałatkę z owoców mango w nadziei, że egzotyczny smak zrekompenzuje wrażenie, iż nagle znalazłem się w domu, po czym się do nich przysiadłem.

- Kogo spotkałeś wczoraj wieczorem? - spytał Etienne, gdy przystawiałem sobie krzesło. - Widzieliśmy, jak rozmawialiście przed domkiem.

- Obserwowaliśmy was przez okno - dodała Françoise.

Czekając na sałatkę, sięgnąłem po papierosa. Ot tak, dla zabicia czasu.

- Poznałem dwóch Amerykanów. Zepha i Sammy'ego.

Françoise skinęła głową.

- Powiedziałeś im o plaży?

- Nie. - Zapaliłem. - Nie powiedziałem.

- Nie powinieneś o tym nikomu mówić.

- Nic im nie powiedziałem.

- To powinna być tajemnica.

Gwałtownie wypuściłem dym.

- I właśnie dlatego nic im nie powiedziałem.

- Ona martwi się tylko, że mogłeś... - Etienne urwał i uśmiechnął się nerwowo.

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło - odparłem rozdrażniony i gniewnie zgasilem papierosa.

Smakował jak psie gówno.

* * *

Kiedy kelnerka przyniosła sałatkę, spróbowałem się wyluzować i opowiedziałem im, jak Zeph i Sammy mnie nabrali. Françoise uznała, że historyjka jest bardzo zabawna. Jej śmiech częściowo rozładował napięcie i zaczęliśmy układać plan dnia.

Postanowiliśmy wynająć łódź. Agencje turystyczne nie wchodziły

w rachubę, ponieważ były zbyt dobrze zorganizowane i wątpiliśmy, czy udałoby się nam załatwić coś na lewo. Nie, musieliśmy znaleźć jakiegoś rybaka, przewoźnika niefrasobliwego lub nieświadomego praw obowiązujących w narodowym parku morskim.

Po śniadaniu rozdzieliliśmy się, żeby powiększyć szanse na sukces. Ja poszedłem na północ, w kierunku Ko Mat Lang, a oni na południe, do miasteczka, które minęliśmy w drodze do Chaweng. Mieliśmy się spotkać za trzy godziny w naszym ośrodku.

Kiedy wyruszyłem, zza chmur wyszło słońce, które jednak nie poprawiło mi nastroju. Wokoło mojej głowy brzęczały zwabione zapachem potu muchy, iść było coraz trudniej, ponieważ piasek już podsechł.

Szedłem i liczyłem pensjonaty nad brzegiem morza. W dwadzieścia minut naliczyłem siedemnaście i nic nie zapowiadało, że dalej będzie ich mniej. Wprost przeciwnie: między palmami pojawiało się coraz więcej betonu i śmieci.

* * *

W 1984 siedziałem w swoim pokoju, kosząc najeźdźców z kosmosu na atari i słuchając opiekunki, która opowiadała o Ko Samui. W pamięci utkwilo mi wiele nazw i miejsc.

Pattaya to paskudna dziura. W Chiang Mai było zimno i deszczowo. Na Ko Samui gorąco i pięknie. Spędziła tam ze swoim chłopakiem aż pięć miesięcy. Mieszkali na plaży i robili dziwne rzeczy, o których mówiła zarówno niechętnie, jak i skwapliwie.

Po maturze moi przyjaciele i ja rozjechaliśmy się po całym świecie. W sierpniu następnego roku zaczęliśmy powoli wracać i dowiedziałem się, że egzotyczny raj mojej babysitterki to już przeszłość. Nową tajlandzką mekką była Ko Pha-Ngan, wyspa leżąca na północ od Ko Samui.

Kilka lat później, kiedy już sprawdziłem paszport i potwierdziłem bilet do Bangkoku, zadzwonił do mnie kumpel.

- Daj sobie siana z Ko Pha-Ngan, Rich - powiedział. - Hat Rin to już zeszłoroczny śnieg. Sprzedają tam tylko drukowane kotyliony na przyjęcia w pełni księżycy. Ko Tao. To jest to.

* * *

Po godzinie łażenia postanowiłem zrezygnować. Jedyni Taję, których spotykałem, sprzedawali półszlachetne kamienie albo baseballowe czapki. Wróciłem do ośrodka zmęczony, spieczony i wkurzony. Poszedłem prosto do restauracji i kupiłem paczkę papierosów. Usiadłem w cieniu palmy i paląc jednego za drugim, wypatrywałem Etienne'a i Françoise z nadzieją, że im się poszczęściło.

Telewizyjny raj

Wśród Tajów, a raczej wśród południowo-wschodnich Azjatów w ogólności, spotyka się niesamowicie przekonujących transwestytów. Receptą na sukces jest drobna budowa ich ciała i gładka twarz.

Jednego z nich, osobnika wprost oszałamiającej urody, zobaczyłem, czekając pod palmą. Jego silikonowe piersi były idealnie uformowane, a biodra miał takie, że można by za nie umrzeć. Prawdziwą płęć zdradzała tylko przetykana złotem suknia, zbyt okazała jak na tajską dziewczynę spacerującą po Chaweng.

Pod pachą miał zestaw do tryktraka i mijając mnie, spytał, czy chciałbym z nim zagrać.

- Nie, dziękuję - odrzekłem z neurotycznym pośpiechem.

- Dlaczego? Pewnie boisz się, że przegrasz.

Kiwnąłem głową.

- Dobrze. W takim razie może chcesz zagrać w łóżku? - Suknia miała z boku długie rozcięcie i kiedy ją rozchylił, zobaczyłem fantastyczne nogi. - Może w łóżku dam ci wygrać...

- Nie, dzięki - powtórzyłem, czerwieniąc się lekko.

Wzruszył ramionami i odszedł. Kilka bungalowów dalej ktoś przyjął jego ofertę. Zaciekawiony, chciałem zobaczyć, kto, ale stali za pnieniem pochylonej palmy. Chwilę później spojrzałem w tamtą stronę ponownie, lecz już go nie było. Pewnie znalazł klienta.

Wkrótce potem nadszedł uśmiechnięty Etienne.

- Richard, widziałeś tę dziewczynę? Szła w twoją stronę.
- Tę w złotej sukni?
- Tak! Boże, była taka piękna!
- Owszem.
- Tak czy inaczej, chodźmy do restauracji. - Podał mi rękę i pomógł wstać. - Chyba znaleźliśmy łódź.

* * *

Facet okazał się tajską wersją obrotnego kombinatora. Miast nosić cieniutki wąsik i być szczupłym, zwinnym niczym łasica elegantem w rzucającym się w oczy garniturze był niskim grubasem w obcisłych marmurkach, których nogawki wetknął do olbrzymich reeboków.

- Da się załatwić - oświadczył, cytując zwrot z książki przedsiębiorczych aferzystów. - Oczywiście, tak. - Uśmiechnął się i szeroko rozłożył ręce. W jego ustach błysnęło złoto. - Dla mnie to łatwe.

Etienne kiwnął głową. Jak dotąd tylko on się z nim targował, co bardzo mi odpowiadało. Nie lubię załatwiać transakcji finansowych w ubogich krajach. Zawsze wtedy jestem rozdarty między poczuciem, że bieda to przecież bieda, i świadomością, że mnie orzynają.

- Twój przewodnik źle radzi, przyjacielu. Na Ko Phelong można zostać i jedną, i dwie noce. Całkiem można. Ale na tej wyspie... - Wziął przewodnik Etienne'a i serdelkowatym palcem postukał w wyspę koło Phelong. - Na tej tylko jedną.

Etienne puścił do mnie oko. Jeśli dobrze pamiętałem, według mapy pana Kaczora, którą zostawiliśmy w bungalowie, nasza wyspa leżała tuż obok.

- Dobrze - powiedział, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu, chociaż nikt nie mógł nas podsłuchać. - O tę wyspę nam chodzi. Ale chcemy zostać tam dłużej niż jedną noc. To możliwe?

Kombinator zerknął płochliwie przez ramię na puste stoliki.

- Tak - odszepnął. Nachylił się ku niemu i znowu się rozejrzał. - Ale to więcej kosztuje, sam rozumiesz...

Zażądał dwóch tysięcy batów, lecz Etienne wytrwale się targował i w końcu stanęło na tysiąc czterystu pięćdziesięciu. Obiecał, że nazajutrz o szóstej rano będzie czekał w restauracji i zaprowadzi nas do łodzi; Etienne mądrze nalegał, że zapłaci mu dopiero wtedy.

Miał zawieźć nas na wyspę i wrócić trzy dni później na wypadek, gdybyśmy tam utknęli.

Do rozwiązania pozostały tylko trzy problemy.

Gdyby udało nam się dotrzeć do celu podróży, nasz przewoźnik mógłby uznać, że zaginęliśmy. Etienne wybrnął z tego, wciskając mu historyjkę o przyjaciolach, których jakoby mieliśmy tam spotkać. Bez paniki: gdyby nas nie było, oznaczałoby to, że wróciliśmy z nimi wcześniej.

Drugi problem polegał na tym, jak dostać się na sąsiednią wyspę. Mogliśmy poprosić przewoźnika, żeby zawiózł nas tam bezpośrednio, lecz nie wiedząc, co zastaniemy na plaży, nie chcieliśmy wpakować się w nieprzyjemną sytuację, płynąc tam rybacką łodzią. Poza tym wstęp na naszą wyspę był zakazany, dlatego uznaliśmy, że lepiej wyruszyć z miejsca, gdzie turyści mogą legalnie spędzić chociaż jedną noc.

W przeciwieństwie do mnie Etienne i Françoise prawie zupełnie się tym nie przejmowali. Wpadli na proste rozwiązanie: wejdziemy do wody i popłyniemy. Porównując mapę pana Kaczora z mapą w przewodniku, doszli do wniosku, że wyspy są oddalone od siebie o mniej więcej kilometr. Uznali, że kilometr da się przepłynąć. Nie byłem tego taki pewny, pamiętając o naszej zabawie w nurkowanie z poprzedniego dnia, kiedy to silny prąd zepchnął nas kawał drogi w dół plaży. Gdybyśmy napotkali taki sam między wyspami i gdybyśmy musieli nieustannie korygować kurs, dystans mógłby się dwukrotnie wydłużyć.

No i wreszcie nasze plecaki. Co zrobić z plecakami? I ten problem rozwiązali moi Francuzi; kiedy ja ćmiłem trawkę z Zephem i Sammym, oni najwyraźniej intensywnie główkowali. Wyjaśnili mi wszystko po południu, gdy siedzieliśmy na płyciźnie, obserwując, jak fale nioszą nam piasek na nogi.

- Plecaki to żaden problem, Richard - powiedziała Françoise. -
Możliwe, że dzięki nim łatwiej nam będzie płynąć.

Uniosłem brew.

- Jak to?

- Weźmiemy kilka plastikowych worków na śmieci - tłumaczył Etienne. - Zwiążemy je, żeby nie przedostała się do nich woda. Wtedy... wtedy nie zatoną, bo w środku będzie powietrze.

- Uhm. Myślisz, że to zadziała?
Wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Widziałem to w telewizji.

- W telewizji?

- W *Drużynie A*.

- W *Drużynie A*? No, to świetnie. W takim razie na pewno damy sobie radę. - Położyłem się i podparłem łokciami.
Etienne się roześmiał.

- Masz szczęście, że nas spotkałeś, Richard. Bez nas byś tam nie dotarł.

- Tak - dodała Françoise. - A my mamy szczęście, że spotkaliśmy jego.

- Oczywiście. Bez jego mapy nigdy byśmy tej plaży nie znaleźli.
Françoise zmarszczyła czoło i uśmiechnęła się do mnie.

- Etienne, z mapą czy bez mapy, po prostu mamy szczęście, że go spotkaliśmy.

Odpowiedziałem jej uśmiechem i w tym samym momencie zdałem sobie sprawę, że parszywy humor, który gnębił mnie od rana, nareszcie mi przeszedł.

- Wszyscy mamy szczęście - zreasumowałem z błogim westchnieniem.

Etienne kiwnął głową.

- *Oui*. Słusznie.

Milczeliśmy chwilę, rozkoszując się naszym szczęściem. Potem wstałem i klasnąłem w dłonie.

- No, dobra. Może byśmy tak zrobili mały maratonik, co? Trzeba trochę poćwiczyć.

- Bardzo dobry pomysł, Richard - odrzekł Etienne i też wstał. - Chodź, Françoise.

Odeła wargi.

- *Non*, poleżę na słońcu. Będę was obserwowała. Obaj jesteście silni i dzielni. Zobaczę, który z was dopłynie najdalej.

W mojej głowie zaległy się wątpliwości. Spojrzałem na nią, chcąc sprawdzić, czy się ze mnie nie nabija. Patrzyła za Etienne'em, który już wchodził do wody, i nic z jej twarzy nie wyczytałem.

No, i tyle - pomyślałem. Pobożne życzenie.

Mimo to nie zdołałem siebie przekonać i brnąć za Étienne'em, -

zastanawiałem się, czy Françoise śledzi mnie wzrokiem. Musiałem to koniecznie sprawdzić i zerknąłem przez ramię. Weszła na suchy piasek i leżała na brzuchu twarzą do bungalowów.

A więc jednak tylko pobożne życzenie.

Eden

Zachód słońca był spektakularny. Czerwień nieba łagodnie przeszła w głęboki błękit ozdobiony kilkoma jasnymi gwiazdami, a pomarańczowe światło rzuciło miękkie cienie na plażę i wracających do bungalowów ludzi.

Znowu byłem nawalony. Właśnie odpoczywaliśmy po naszym bohaterskim maratonie, gdy nadeszli Sammy i Zeph z trawką w gazecie. Cały dzień spędzili w Lamai, szukając tego nieszczęsnego klucza, i wreszcie go znaleźli: wisiał na patyku wyrzuconym przez morze, który ktoś wbił na sztorc w piasek. Żeby to uczcić, kupili pół uncji marychy.

- Gość musiał wiedzieć, że będziemy go szukać - powiedział Zeph, siadając obok nas. - Przyzwoity gest, no nie?

- Moim zdaniem głupi - odparła Françoise. - Mógł go zabrać i okraść wasz pokój.

- No, tak. Chyba tak. - Zeph spojrzał na nią, najwyraźniej dopiero teraz ją dostrzegając, i lekko potrząsnął głową. Pewnie po to, żeby skupić wzrok i lepiej ją widzieć. - Jasne, co racja, to racja.

Słońce rozpoczęło szybką wędrówkę w stronę horyzontu w chwili, gdy trawka dała nam pierwszego kopa. Siedzieliśmy i obserwowaliśmy zmieniające się kolory z taką uwagą, jakbyśmy oglądali telewizję.

- Hej - powiedział Sammy, wrywając nas z zadumy. - Zauważyliście, że kiedy patrzy się w chmury, po jakimś czasie widać tam różne zwierzaki i twarze?

Etienne spojrzał na niego przez ramię.

- Jak to czy zauważyliśmy?

- No, tak - mówił dalej Sammy. - To niesamowite. Na przykład tam, dokładnie nad nami: mała kaczka. A tam dalej facet z wielkim nosem.

- Zauważyłem to, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem.
- Małym dzieckiem?
- Tak. Oczywiście.

Sammy cicho zagwizdał.

- Cholera, a ja dopiero teraz. Ale wiesz, to dlatego, że wychowałem się tam, gdzie się wychowałem.

- Tak? - bąknął Etienne.
- Pochodzę z Idaho.

- Aha. - Etienne ze zrozumieniem kiwnął głową. I nagle się stropił. - Tak, Idaho. Słyszałem o Idaho, ale...

- Pewnie nie rozumiesz, dlaczego, hę? W Idaho nie ma chmur.
- Nie ma chmur?

- Nie ma. Chicago to wietrzne miasto, a Idaho bezchmurny stan. Wybryk natury. Ma to coś wspólnego z ciśnieniem atmosferycznym, dokładnie nie wiem.

- Żadnych chmur?

- Ani jednej. - Sammy usiadł na piasku. - Pamiętam, pierwszy raz zobaczyłem chmurę na północy stanu Nowy Jork, latem siedemdziesiątego dziewiątego. Ujrzałem na niebie tę puszystą rzecz, wyciągnąłem rączkę i próbowałem ją pochwycić, ale... była za wysoko. - Uśmiechnął się smutno. - Popatrzyłem na mamę i spytałem: „Mamusiu, dlaczego nie mogę dosięgnąć tej cukrowej waty? Dlaczego?” - Głos uwiązał mu w gardle i Sammy odwrócił wzrok. - Przepraszam. To tylko głupie wspomnienia.

Zeph poklepał go po plecach.

- Spoko, stary - wymruczał cicho, ale tak, żebyśmy go słyszeli. - Wszystko w porządku. Ulżyj sobie. Po to ma się kumpli.

- Tak - dodał Etienne. - Nie wstydz się. Wszyscy mają smutne wspomnienia.

Sammy spojrział na niego z wykrzywioną bólem twarzą.

- Ty też, Etienne? - spytał. - Ty też masz jakieś smutne wspomnienie?

- Oczywiście. Kiedyś miałem czerwony rowerek, ale mi go ukradli.

Twarz Sammy'ego pociemniała.

- Złodzieje rowerów? Ukradli twój czerwony rowerek?

- Tak. Miałem wtedy siedem lat.

- Siedem lat! - krzyknął Sammy i grzmotnął pięścią w ziemię, obsypując wszystkich piaskiem. - Chryste! Ale się wkurwiłem!

Zapała pełna zaszokowania cisza. Sammy chwycił bibułę i zaczął wściekle zwijać skręta, tymczasem Zeph szybko zmienił temat rozmowy.

Ten gwałtowny wybuch gniewu był chyba najsprytniejszym posunięciem. Etienne zareagował tak czarująco, że wyjawienie prawdy byłoby zbyt okrutne. Sammy nie miał innego wyjścia i musiał grać do samego końca. Etienne pewnie do śmierci wierzył, że w Idaho nie ma chmur.

* * *

Zanim wypaliliśmy skręta, słońce niemal całkowicie zniknęło. Nad horyzontem widniał tylko maleńki żółtawy łuk. Podniosła się lekka bryza, która porwała kilka bibulek i powlokła je po plaży. Wraz z bryzą z restauracji za nami nadciągnął zapach jedzenia: cytrynowej trawy i frutti di mare.

- Jestem głodny - mruknąłem.

- Pięknie pachnie, co? - rzucił Zeph. - Zjadłbym duży talerz rosołu z kurczaka.

- Albo z psa - dodał Sammy. Spojrzał na Étienne'a. - Jedliśmy psinę w Chiang Mai. Smakowała jak kurczak. Wszystkie te kundle, jaszczurki, żaby i węże zawsze smakują jak kurczak.

- A szczury? - spytałem.

- Uhm, szczury też. Mają wyraźny smak kurczaka.

Zeph zagarnął garść piasku i przesypując go między palcami, kreślił na ziemi skomplikowane wzory. Potem odkaszlnął jak mówca, który chce zwrócić uwagę słuchaczy.

- A słyszeliście o Kentucky Fried Rat?

Zmarszczyłem brwi. Zabrzmiało to jak początek kolejnego numeru i czułem, że jeśli Etienne kupi go z równie rozbrajającą naiwnością jak numer z chmurami w Idaho, mogę się rozplakać. Wciąż miałem przed oczyma jego zatroskaną twarz, gdy mówił o swoim czerwonym rowerku.

- O Smażonym Szczurze z Kentucky? Nie. Co to? - spytałem ostrożnie.

- Jedna z tych opowieści, które szybko się roznoszą.

- Miejski mit - wyjaśnił Sammy. - Komuś utknęła kostka w gardle. Kiedy ją zbadano, okazało się, że to kość szczura.

- Tak, a osoba, której utknęła, jest przyjacielem ciotecznej siostry stryjka Janka. Nigdy nie przeżył tego gość, z którym rozmawiasz.

- Aha - odrzekłem - już chwytam.

- No, właśnie. Szczur z Kentucky znowu dał o sobie znać. Słyszałeś jego najnowszą opowieść?

Pokręciłem głową.

- To opowieść o plaży. O fantastycznej plaży ukrytej na którejś z tych wysp, tylko nikt nie wie, na której.

Popatrzyłem na morze. Nad brzegiem stał taj ski chłopak. Bawił się kawałkiem skorupy orzecha kokosowego, podbijając go kolanami i wewnętrzną stroną stóp. Musiał coś sknocić, bo skorupa wpadła do wody. Chłopak wziął się pod boki i stał chwilę, zastanawiając się, czy warto ją wyławiać. Potem potruchtał w stronę ośrodka.

- Nie - odrzekłem. - Wal.

- Dobra. - Zeph położył się na piasku. - Odmaluję wam cudowny obraz. Zamknijcie oczy i pomyślcie o lagunie...

* * *

Pomyślcie o lagunie osłoniętej od strony morza wysokim, łukowatym klifem. Wyobraźcie sobie bielutki piasek i koralowe ogrody nienaruszone ani sieciami trawlerów, ani dynamitem, którym kłusownicy głuszą ryby. Wyobraźcie sobie ukryte w dżungli wodospady, kaskady świeżej wody tryskającej nie w lasach, jakie spotyka się w głębi łądu, ale w dziewiczej dżungli. Wyobraźcie sobie trzy poziomowe baldachy drzew, nietknięte od tysięcy lat rośliny, ptaki o dziwnych kolorach, hasające po gałęziach małpy.

Na białym piasku, łowiąc ryby w koralowych ogrodach, żyje sobie grupa wybranych wędrowców. Wyjeżdżają, kiedy chcą, wracają, kiedy przyjdzie im na to ochota - mija miesiąc za miesiącem, a plaża jest wciąż taka sama.

- Wybranych? - spytałem jak przez sen. Jego cudowna wizja zupełnie mnie pochłonęła.

- Wybranych - potwierdził. - Namiary plaży przekazuje się tylko ustnie, i tylko nielicznym szczęściarzom.

- To raj - wymamrotał Sammy. - Eden.
- Tak jest - zgodził się z nim Zeph. - To Eden.

* * *

Françoise doznała szoku, słysząc, że Sammy i Zeph też wiedzą o plaży. Nie mogła zareagować bardziej podejrzanie, nawet gdyby bardzo chciała.

Zerwała się na równe nogi.

- No, dobrze - rzuciła, otrzepując nogi z piasku. - Wczesnym rankiem wyjeżdżamy do... na Ko Pha-Ngan, dlatego myślę, że powinniśmy pójść spać. Etienne? Richard? Chodźcie.

Widok bajkowej plaży rozmył się jak dym na wietrze.

- Jak to? - rzuciłem zdezorientowany. - Przecież jest dopiero wpół do ósmej.

- Wyjeżdżamy wczesnym rankiem - powtórzyła.

- Ale... jeszcze nie jadłem kolacji, jestem koszmaranie głodny.

- Dobrze, zaraz zjemy. Dobranoc, Sammy. Dobranoc, Zeph - dodała, zanim zdążyłem poprosić ich, żeby zjedli z nami. - Było nam bardzo miło. A co do tej plaży... Doprawdy, to tylko bzdurna historyjka. - I roześmiała się wesoło.

Zatrwożony Etienne usiadł, patrząc na nią jak na wariatkę, lecz Françoise go zignorowała i pomaszerowała w stronę restauracji.

- Chłopaki - zwróciłem się do Sammy'ego i Zepha - myślę, że Françoise... Jeśli chcecie z nami zjeść...

- *Oui, oui* - dodał Etienne. - Bardzo zapraszamy.

- Nie ma sprawy - odrzekł Sammy, lekko się uśmiechając. - Posiedzimy tu jeszcze trochę. Bawcie się dobrze na Ko Pha-Ngan. Wracacie tędy?

Skinąłem głową.

- W takim razie pewnie się jeszcze spotkamy. Zostaniemy tu co najmniej tydzień.

Uścisnęliśmy sobie ręce i ruszyliśmy za Françoise.

* * *

Kolację zjedliśmy w przytłaczającym milczeniu, które od czasu do czasu przerywała krótka wymiana zdań po francusku. Françoise zdawała sobie sprawę, że pograła głupio, i gdy mówiliśmy sobie dobranoc, była skruszona i przeproszała.

- Nie wiem, co mnie napadło - mówiła. - Nagle przestraszyłam się, że zechcą popłynąć z nami. Zeph opowiadał tak... Nie chciałam, żeby ktoś nam to... - Nachmurzyła czoło. Nie mogła się wysłowić i bardzo ją to frustrowało. - Sądziecie, że się domyślili? No, że wiemy o plaży.

Wzruszyłem ramionami.

- Trudno powiedzieć. Wszyscy byli ostro naćpani.

- Tak - wtrącił Etienne, obejmując ją i przytulając. - Wszyscy byli naćpani. Nie ma się czym martwić.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Nie dlatego, że denerwowałem się tym, co czekało nas nazajutrz, chociaż owszem, tym trochę też. Nie dawało mi spokoju to, że tak spiesznie pożegnałem się z Samym i Zephem. Dobrze się z nimi bawiłem, a było mało prawdopodobne, że spotkam ich ponownie, nawet jeśli wrócę na Ko Samui. Otumanieni trawką i zbici z tropu naszymi tajemnicami, rozstaliśmy się zbyt szybko i zbyt niezręcznie. Czulem, że czegoś im nie powiedziałem. Choć powinienem.

Z dachu

Nie nazwałbym tego snem. Ani jeden występ pana Kaczora nie przypominał snu. W tym przypadku był raczej jak film. Albo jak reportaż kręcony z ręki rozchwianą kamerą.

Pan Kaczor biegł ku mnie przez trawnik ambasady. Mocno pracował rękami i ze świeżo podciętych żył tryskała łukiem krew. Ogłuszony rykiem tłumu i hurkotem śmigłowców, patrzyłem na strzępy padających niczym śnieg akt. Na strzępy ściśle tajnych dokumentów wirujących w podmuchach rotorów i osiadających na starannie przystrzyżonej trawie.

- Urodziliśmy się dwadzieścia lat za późno, co? - Minął mnie pędem, robiąc zgrabną przerzutkę do przodu. - Kurwa mać! - Znacząca jego ruchy krew zawiśla w powietrzu niczym smuga dymu za fajerwerkiem. - Spójrz w górę!

Poszedłem za jego wzrokiem. Z dachu startowała stalowa ważka z ludźmi uczezionymi jej płóz. Zmagając się z ciężarem, maszyna przechylała się na burtę i ścięła wirnikiem wierzchołek drzewa rosnącego za murem ambasady.

Aż krzyknąłem z podniecenia.

- Zuch chłopak! - wrzasnął pan Kaczor i zakrwawioną ręką poczochnął mi włosy, brudząc kołnierzyk koszuli. - Tak trzymaj !
- Uciekniemy z dachu ambasady? Zawsze chciałem to zrobić!
- Z dachu ambasady?
- Uciekniemy? Wybuchnął śmiechem.
- A jak! Żebyś, kurwa, wiedział!

Wyjazd

Rysowałem szybko, pocąc się mimo porannego chłodu. Nie miałem czasu, żeby wykreślić ją starannie, jak pan Kaczor. Wyspy były zwichrowanymi okręgami, zakrzywiona linia wybrzeża Tajlandii - ciągiem wystrzępionych zygzaków. Oznaczyłem tylko trzy miejsca: Ko Samui, Ko Phelong i Eden.

Na dole kartki napisałem: „Zaczekajcie tu trzy dni. Jeśli do tego czasu nie wrócimy, znaczy to, że się nam udało. Do zobaczenia na plaży? Richard”.

Wyślizgnąłem się na dwór. W bungalowie Françoise i Etienne'a paliło się już światło. Drżąc, przeszedłem ukradkiem na sąsiedni ganek i wsunąłem mapę pod drzwi Zepha i Sammy'ego. Potem wziąłem plecak, przekręciłem klucz w zamku i ruszyłem do restauracji, gdzie miałem czekać na Francuzów.

Mały chłopiec, który wieczorem podbijał stopami skorupę orzecha, zamiatał podłogę. Gdy mnie ujrzał, zerknął w niebo, chcąc sprawdzić, czy jest tak wcześnie, jak myślał.

- Chce pan zamówić placek z bananami? - spytał niepewnie.

Pokręciłem głową.

- Nie, dziękuję. Ale chciałbym kupić dwadzieścia paczek papierosów.

PRZEPRAWA

Pet

Lódź naszego kombinatora była pomalowana na biało do linii wodnej, a dno miała żółte - ale tylko wtedy, gdy się wynurzało, bo pod wodą natychmiast stawało się bladozielone. Kiedyś musiała być czerwona. Biała farba była miejscami spurchlona i zeszkrobana i widniały pod nią szkarłatne pręgi przypominające blizny. Blizny, falowanie morza, warkot silnika - nagle poczułem, że lódź żyje. Wiedziałem, w którą stronę zaraz się pochyli, i fakt, że potrafiłem to odgadnąć, bardzo mnie zadziwił.

W zburzonej za burtą wodzie słońce płatało osobliwe figle. Tuż pod powierzchnią śmigły złotawe rozbłyski, które niczym ławica ryb płynęły tak szybko jak my. Włożyłem rękę do wody i otwartą dłońią zagroziłem rybom drogę. Gdy musnęła pyszczkiem linię życia, mocno zacisnąłem palce. Wyślizgnęła się i płynęła dalej na mojej pięści.

- Nie patrz w dół - powiedziała Françoise z przeciwległej burty. - Jeśli będziesz patrzył w dół, dostaniesz choroby morskiej. - Wskażała ręką przed siebie. - Patrz na wyspę. Wyspa się nie rusza.

Popatrzyłem w tamtym kierunku. Dziwne. Zdawało się, że Ko Samui została wiele kilometrów za nami, tymczasem nasza wyspa była dokładnie tam, gdzie przed godziną.

- Nic mi nie będzie - odrzekłem i znowu wychyliłem się za burzę.

Zahipnotyzowany widokiem złotych ryb, nie odrywałem od nich wzroku, dopóki woda nie zbłękitniała nad koralowym dnem. Raptem zgasł silnik. Zaskoczony nagłą ciszą, przytknąłem ręce do uszu, myśląc, że ogłuchłem.

- Teraz zapłacicie - oznajmił stanowczo nasz kombinator.

Wyszliśmy na brzeg.

Piasek nie był żółty, tylko szarawy i zarzucony wyschniętymi wodorostami, które przypływ ułożył zachodzącymi na siebie łukami. Siedziałem na pniu powalonej palmy kokosowej, obserwując znikającą w oddali łódź. Niebawem trudno ją było dostrzec, gdyż przypominała biały punkcik pojawiający się od czasu do czasu na szczytach wyższych fal. Gdy nie wychynęła z morza przez pięć minut, uświadomiłem sobie, że zostaliśmy zupełnie sami.

Kilka metrów dalej nad plecakami pochylali się Françoise i Etienne. Etienne studiował mapy, próbując dociec, która z leżących w pobliżu wysp jest naszą wyspą. Nie potrzebował mojej pomocy, więc krzyknąłem, że idę na spacer. Nigdy dotąd nie byłem na bezludnej wyspie - na takiej prawdziwej, naprawdę bezludnej - i doszedłem do wniosku, że powinienem się trochę rozejrzeć.

- Dokąd? - spytał Etienne, mrużąc oczy w słońcu.
 - Niedaleko. Zaraz wracam.
 - Za pół godziny?
 - Za godzinę.
 - Powinniśmy wypłynąć po lunchu. Nie będziemy tu nocować.
- Pomachałem mu w odpowiedzi i ruszyłem przed siebie.

Przeszedłem plażą ponad kilometr, szukając miejsca, gdzie mógłbym skręcić w głąb wyspy, i w końcu znalazłem gęstwinę, której sklepienie tworzyło tunel prowadzący w stronę linii drzew. Na jego drugim końcu widziałem zielone, skąpane w słońcu liście, więc wszedłem weń, zgarniając z twarzy pajęczyny, i po chwili dotarłem do polanki wśród wysokich do pasa krzewów. Nade mną widniał krąg nieba przecięty gałęzią sterczącą w poprzek niczym wskazówka zegara. Po drugiej stronie polanki ciągnął się las - chciałem iść dalej, ale powstrzymała mnie obawa, że mogę zabłądzić. Ujście mojego tunelu było ledwo widoczne, gdyż porastały je wysokie trawy, i swoje położenie mogłem określić jedynie według szumu łamiących się fal. Zrezygnowałem z dalszej wyprawy i przebrnąwszy przez krzewy, doszedłem do środka polanki. Tam usiadłem i zapaliłem papierosa.

Rozmyślanie o Tajlandii wprawia mnie w gniew, dlatego nim zacząłem pisać tę książkę, starałem się o tym kraju nie myśleć.

Wspomnienia przechowywałem w odległych zakamarkach umysłu - tak było wygodniej. Niemniej czasami o niej myślałem. Zwykle późną nocą, tuż przed świtem, gdy rozpoznawałem już zarys firanek w oknach i kształt książek na półkach.

W takich chwilach usiłowałem sobie przypomnieć, jak to paląc papierosa, siedziałem na polance wśród krzewów przeciętych cieniem sterczącej gałęzi. Wybierałem akurat to wspomnienie, ponieważ był to ostatni moment, który mogłem dokładnie wskazać i stwierdzić: oto prawdziwy ja. Prawdziwy i normalny. Myślałem wtedy tylko o tym, jak piękna jest ta wyspa, jak spokojna. O niczym więcej.

Nie to, żeby wszystko, co przeżyłem w Tajlandii od tamtej pory, było złe. Nie, przeżyłem również wiele dobrego. Dobrego i przyziemnego, jak choćby obmywanie twarzy o poranku, pływanie w morzu czy przygotowywanie jedzenia. Ale patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że całe to przyziemne dobro pozostawało pod wpływem tego, co działo się wokół mnie. Czasami odnoszę wrażenie, że przyszedłem na tę polankę i zapaliłem papierosa jako ja, gdy wtem zjawiał się ktoś inny i dopalił go za mnie. Dopalił, zakipował, pstryknął petem w krzaki i wrócił do Etienne'a i Françoise. Wiem, że próbuję się usprawiedliwiać. To kolejna sprawa, która dystansuje mnie od tego, co zaszło potem, ale tak to odbieram.

Ten ktoś robił rzeczy, jakich ja bym się wstydził. Stawką nie była tylko nasza moralność; istniały też małe różnice charakterologiczne. Pet - to ten drugi cisnął go w krzaki. Ja postąpiłbym inaczej. Może bym go zakopał. Nie znoszę śmieci, nie wspominając już o śmieceniu w rezerwatach.

Trudno to wyjaśnić. Nie wierzę w opętanie ani w siły nadprzyrodzone. Wiem, że tak naprawdę to ja pstryknąłem niedopalkiem w krzewy.

Chuj z tym.

Myślałem, że pisząc, nareszcie wszystko zrozumieć, ale chyba się myliłem.

* * *

Kiedy wróciłem na plażę, Etienne kucnął przy małej butli gazowej z palnikiem. Obok niego leżały trzy kopki tajskich zup w proszku: żółtych, brązowych i różowych.

- Świetnie - powiedziałem. - Umieram z głodu. Co mamy w karcie?
- Rosół z kurczaka, rosół z wołowiny albo... - Podniósł jedną z różowych torebek. - Co to jest?
- Krewetki. Wołę kurczaka.
- Ja też - odrzekł z uśmiechem. - Na deser zjemy czekoladę. Masz ją?
- Jasne. - Rozpiąłem plecak i wyjąłem trzy tabliczki. Te leżące na samym wierzchu rozmiękły, oblepiając manierkę, ale opakowanie nie pękło.
- Widziałeś coś ciekawego? - spytał, rozcinając scyzorykiem żółtą torebkę zupy.
- Nie, nic szczególnego. Prawie cały czas trzymałem się brzegu. - Rozejrzałem się wokoło. - Gdzie Françoise? Nie je z nami?
- Już zjadła. - Wskazał w stronę plaży. - Poszła sprawdzić, czy to daleko.
- Uhm. Wiecie już, która to wyspa?
- Chyba tak. Nie jestem pewien. Między mapą w przewodniku a mapą twego przyjaciela jest dużo różnic.
- Na którą postawiliście?
- Na mapę pana Kaczora. Kiwnąłem głową.
- Dobry wybór.
- Mam nadzieję. - Wyłowił z wrzątku makaron, który zwisał beładnie z ostrza scyzoryka. - Dobra. Możemy jeść.

Maraton śmierci

Françoise uważała, że to tylko kilometr, Etienne - że dwa. Nie umiem oceniać odległości na wodzie, więc powiedziałem, że półtora. Tak czy inaczej, mieliśmy do przepłynięcia kawał drogi.

Sąsiednia wyspa była szeroka, a na jej obu końcach strzelały w niebo wysmukłe szczyty połączone czymś w rodzaju przełęczy biegnącej w połowie ich wysokości. Kiedyś musiały to być dwa wulkany położone na tyle blisko siebie, że zlepiała je wypływająca lava. Bez względu na pochodzenie wyspa była co najmniej pięć razy

większa od tej, na której wysadził nas tajski kombinator. W zięjących w zieleni prześwitach widniała naga skała i miałem nadzieję, że nie będziemy musieli się po niej wspinać.

- Myślisz, że damy sobie radę? - spytałem bardziej siebie niż ich.

- *Oui*, na pewno - odparła Françoise.

- A przynajmniej spróbujemy - poprawił ją Etienne i poszedł po plecaki, które owinął plastikowymi workami na śmieci, zakupionymi rano w restauracji.

Drużyna A: telewizyjny serial, który był przebojem, kiedy miałem czternaście lat. Występowali w nim BA Barracus, Bużka, Murdoch i Hannibal - czterej wietnamscy weterani niesłusznie oskarżeni o przestępstwo, którzy zostali najemnikami, żeby stawić czoło wymykającym się prawu bandziom.

Niestety, bohaterowie nas zawiedli. Przez chwilę wyglądało na to, że skonstruowana przez Etienne'a pseudotratwa nie zatoni. Podskakując na wodzie, zanurzyła się na trzy czwarte grubości niczym lodowa góra, ale zaraz potem plastikowy worek się zapadł i plecak poszedł na dno jak kamień. Trzy dalsze próby zakończyły się takim samym fiaskiem.

- Nic z tego nie będzie - skonstatowała Françoise; zwinęła kostium do pasa, żeby się równiej opalić, i unikała mojego wzroku.

- Fakt - odparłem. - Plecaki są o wiele za ciężkie. Powinniśmy byli wypróbować to na Ko Samui.

Etienne westchnął.

- Tak. Wiem.

Staliśmy w wodzie, bez słowa rozważając sytuację.

- Dobra - przerwała ciszę Françoise. - Każdy z nas weźmie jeden plastikowy worek. Zabierzemy tylko najważniejsze rzeczy.

Pokręciłem głową.

- Odpada. Bez plecaka się nie obejdę.

- Jaki mamy wybór? Rezygnujemy?

- Cóż...

- Potrzebujemy trochę ubrań i jedzenia, tylko na trzy dni. Jeśli nie znajdziemy plaży, przyplniemy z powrotem i zaczekamy na łódź.

- A paszporty, bilety, czeki podróżne, pieniądze i tabletki przeciwko malarii?

- Tu nie ma malarii - zauważył Etienne.

- Tak czy inaczej - dodała Françoise - na wyspie paszporty nie będą nam potrzebne. - Uśmiechnęła się i bezwiednie przesunęła ręką między piersiami. - Daj spokój, Richard. Tak niewiele nas dzieli, jesteśmy tak blisko...

Zmarszczyłem brwi, nic z tego nie rozumiejąc, a przed oczyma przewinęła mi się długa lista przeróżnych możliwości.

- ...celu podróży.

- Aha - odrzekłem. - Tak. Chyba tak.

* * *

Ukryliśmy plecaki w gęstych krzakach pod charakterystyczną palmą o dwóch pniach odbijających od wspólnego trzonu. Do worka zapakowałem tabletki do oczyszczania wody, czekoladę, zapasowe szorty, podkoszulek, adidasy, mapę pana Kaczora, manierkę i dziesięć paczek papierosów. Chciałem zapakować dwadzieścia, ale się nie zmieściły. Musieliśmy też zostawić butlę gazową, co oznaczało, że będziemy jeść makaron moczony do miękkości w zimnym rosole. Cóż, przynajmniej nie zginiemy z głodu - pomyślałem. Tabletki przeciwko malarii też zostawiłem.

Zawiązawszy worki na tyle supłów, na ile się tylko dało, i włożywszy każdy do drugiego, równie mocno związanego worka, zbadaliśmy, jak sprawują się na morzu: nieobciążone plecakami, unosiły się na wodzie o wiele lepiej, niż zakładaliśmy. Miały tak dużą wyporność, że płynąc, mogliśmy się na nich opierać, pracując tylko nogami.

Za kwadrans czwarta weszliśmy do morza, nareszcie gotowi do drogi.

- Może trochę więcej niż kilometr - powiedziała Françoise.

Odpowiedź Étienne'a zagłuszył grzmot łamiącej się fali.

* * *

Płynęliśmy etapami - psychicznymi. Początkowo, pełni wiary w swoje siły, przebieraliśmy kończynami szybko i rytmicznie, gawędząc i opowiadając kawały o rekinach. Nieco później, kiedy rozboleły nas nogi i kiedy woda zrobiła się ciepła jak zupa, rozmowy ucichły. Tak samo jak na łodzi plaża za nami zdawała się równie

odległa jak majacząca przed nami wyspa. Kawały o rekinach przestały być kawałami: ogarnął mnie prawdziwy lęk i zacząłem wątpić, czy wystarczy mi sił, żeby dopłynąć do brzegu. Wątpić, a raczej „wątpić”. Byliśmy mniej więcej w połowie drogi. Brak sił oznaczał śmierć.

Jeśli Etienne i Françoise mieli podobne obawy, nie dali tego po sobie poznać. Nikt o tym głośno nie mówił, ale czuliśmy, że jakiegokolwiek uzewnętrznienie strachu tylko pogorszy sprawę. Nie to, żebyśmy mogli ją w jakiś sposób polepszyć. Samiśmy się w tę sytuację wpakowali. Teraz mogliśmy tylko stawić jej czoło.

I nagle, dziwna rzecz: płynęło mi się o wiele łatwiej. Chociaż nogi wciąż bolały jak oszalale, wykształciłem w sobie coś w rodzaju odruchu równie niekontrolowanego jak bicie serca. Odruch ten pozwalał mi poruszać kończynami i nie myśleć o bólu. Nieskończenie długo zajmowało mnie układanie gazetowego nagłówka zawiadamiającego rodaków o moim losie. **MŁODZI POSZUKIWACZE PRZYGÓD GINĄ W ŚMIERTELNYM MARATONIE PŁYWACKIM - EUROPA POGRAŻONA W ŻAŁOBIE** - ten ukazywał chyba wszystkie najważniejsze okoliczności naszej śmierci. Układanie nekrologu było trudniejsze, ponieważ niczego ważnego w życiu nie dokonałem, niemniej mój pogrzeb stanowił miłą niespodziankę. Spłodziłem kilka niezłych mów i wysłuchało ich sporo żałobników.

Akurat myślałem o tym, że po powrocie do Anglii powinienem zrobić prawo jazdy, gdy nagle zobaczyłem kawał drewna wyrzucony przez morze na brzeg i uświadomiłem sobie, że prawie dotarliśmy do celu. Przez całą drogę trzymaliśmy się blisko siebie, lecz na ostatnich stu metrach Etienne nas wyprzedził. Kiedy wyszedł z wody, zebrał resztki sił i zrobił przewrótkę, ale zaraz potem padł jak długi na piasek i leżał bez ruchu, dopóki do niego nie dołączyłem.

- Pokaż mapę - powiedział, próbując usiąść.

- Etienne - wydyszałem, z trudem łapiąc oddech. - Mamy dość. Zostajemy tu na noc.

- Ale plaża może być niedaleko, *non*? Może dzieli nas od niej tylko krótki spacer.

- Dość!

- Ale...
- Ciii...

Przywarłem policzkiem do mokrego piasku i dobywające się z piersi sapanie powoli przeszło w ciche westchnienia. Ból mięśni też ustępował.

Etienne'owi wplątał się we włosy wodorost, pojedyncza zielona wstążka. Pociągnął ją omdlewającym ruchem i wymamrotał:

- Co to jest?

Z morza wyszła Françoise, wlokąc za sobą swój worek.

- Mam nadzieję, że ta plaża istnieje - wydyszała i opadła na piasek obok nas. - Nie wiem, czy dam radę to powtórzyć.

Byłem zbyt wyczerpany, żeby się z nią zgodzić.

Teoria nieskończoności

Na suficie mojej sypialni świeci sto gwiazd. Są tam księżycy w nowiu, księżycy w fazie między kwadrą a pełnią, deszcze meteorów i spiralna galaktyka z latającym spodkiem na ogonie. Dostałem je od przyjaciółki, zdziwionej, że gdy ona zasypia, ja długo leżę, nie mogąc zmrużyć oka. Odkryła to pewnej nocy, kiedy wstała, żeby wyjść do łazienki, i nazajutrz kupiła mi gwiazdki.

Są dziwne. Znika przy nich sufit.

* * *

- Spójrz - szepnęła Françoise, żeby nie zbudzić Étienne'a. - Widzisz?

Powędrowałem wzrokiem po jej ramieniu, po nadgarstku ozdobionym dziwnym tatuażem, potem po jej palcu i ujrzałem obsypane świetlistym pyłem niebo.

- Nie. Gdzie?
- Tam. Porusza się. Widzisz tę jasną?
- Uhm.
- Teraz spójrz w dół, potem na lewo.
- Widzę. Niesamowite.

Satelita, od którego odbijało się światło... czego? Księżycy czy Ziemi? Sunął szybko i bezszelestnie między gwiazdami, szybując

nad Zatoką Tajlandzką, a potem... Potem może szybował nad Dakarem albo Oksfordem.

Etienne poruszył się i przewrócił na bok, szeleszcząc workiem, który rozłożył na piasku. W lesie za nami zaskrzeczał nocny ptak.

Podparłem się łokciem.

- Chcesz, to opowiem ci coś zabawnego.

- O czym?

- O nieskończoności. Ale to proste. Żeby to zrozumieć, nie trzeba kończyć...

Machnęła ręką, kreśląc czubkiem papierosa czerwony łuk.

- Chcesz? - szepnąłem.

- *Oui.*

- Dobra. - Cicho odkaslnąłem. - Założenie, że wszechświat jest nieskończony, oznacza, że istnieje nieskończenie wiele szans na to, że coś się zdarzy, prawda?

Kiwnęła głową. Między jej palcami rozżarzył się czerwony ognek.

- Skoro istnieje nieskończenie wiele szans na to, że dojdzie do jakiegoś wydarzenia, w końcu do niego dochodzi, bez względu na to, że prawdopodobieństwo takiego faktu jest bardzo niskie.

- Aha.

- Co z kolei oznacza, że gdzieś tam, we wszechświecie, istnieje planeta, która, dzięki serii nieprawdopodobnych przypadków i zbiegów okoliczności, przeszła dokładnie taką samą ewolucję jak Ziemia. Dokładnie taką samą, do najdrobniejszego szczegółu.

- I ona gdzieś tam jest?

- Na sto procent. Oprócz niej jest także inna, też identyczna z naszą, z tym że ta palma rośnie na niej nie tu, gdzie rośnie, tylko sześćdziesiąt centymetrów w prawo. I jest jeszcze jedna, na której ta sama palma rośnie sześćdziesiąt centymetrów w lewo. Mało tego, istnieje nieskończenie wiele planet, na których ta sama palma rośnie w nieskończenie wielu miejscach...

Cisza. Pewnie zasnęła.

- I co ty na to? - spytałem.

- Ciekawe - szepnęła. - Na tych planetach zdarzy się wszystko, co się może zdarzyć.

- Otóż to.
 - W takim razie na jednej z nich jestem na przykład... gwiazdą filmową.
 - Żadne może. Mieszkasz w Beverly Hills i w zeszłym roku zgarnęłaś wszystkie Oscary.
 - To dobrze.
 - Tak, ale nie zapominaj, że na innej planecie twój film zrobił kompletną klapę.
 - Tak?
 - Absolutnie. Zniszczyli cię krytycy, twoja wytwórnia splajtowała, a ty wpadłaś w alkoholizm i łykasz valium. Koszmar.
- Françoise przewróciła się na bok.
- Lepiej opowiedz mi o innych światach. – Uśmiechnęła się i jej zęby błysnęły srebrzyście w świetle księżyca.
 - Cóż - odrzekłem - jest o czym opowiadać...
- Etienne poruszył się i przewrócił na drugi bok.

* * *

Nachyliłem się i pocałowałem ją. Odsunęła się albo roześmiała. Albo pokręciła głową i zamknęła oczy. A może oddała pocałunek? Etienne obudził się i z niedowierzaniem zasłonił sobie usta. Albo spał dalej. Albo dalej spałem ja, a ona go pocałowała.

Miliony lat świetlnych nad plastikowymi workami, na których leżeliśmy, i nad rytmicznym szumem fal przyboju wszystko to zdarzyło się naprawdę.

* * *

Kiedy zamknęła oczy i zaczęła rytmicznie oddychać, cichutko wstałem i poszedłem nad morze. Stałem na płyciźnie, czując, że wraz z każdą napływającą falą moje stopy powoli pogrążają się w piasku. Światła Ko Samui lśniły na horyzoncie niczym skrawek zachodzącego słońca. Gwiazdny dywan sięgał sufitu mojej sypialni.

Pole

Wyruszyliśmy zaraz po śniadaniu (pół tabliczki czekolady na lebek i zimne kluski namoczone w wodzie z manierek). Nie było sensu zwlekać. Musieliśmy znaleźć jakieś źródło, a według mapy pana Kaczora cel naszej podróży znajdował się po drugiej stronie wyspy.

Początkowo szliśmy brzegiem morza z nadzieją, że ją obejdziemy, lecz wkrótce piasek ustąpił miejsca ostrym głazom, a te z kolei niedostępnym skałom i wąwozom. Zawróciliśmy i poszliśmy w drugą stronę, tracąc cenny czas - słońce stało już wysoko - i niebawem napotkaliśmy taką samą barierę. Nie mieliśmy wyboru: musieliśmy przedrzeć się w głąb wyspy. Oczywiście celem była przełęcz między szczytami, dlatego zarzuciwszy worki na plecy, weszliśmy do dżungli.

Najtrudniejsze było pierwsze trzysta metrów; między palmami rosły dziwne, bujne krzewy o ostrych jak brzytwa liściach, których nie dało się w żaden sposób obejść. Ale później teren zaczął się wznosić, palmy rzedły i coraz częściej spotykaliśmy raketowce, drzewa podobne do zardzewiałych, porośniętych pnączami raket kosmicznych o trzymetrowej wysokości korzeniach sterzących z pnia niczym pletwy stabilizatorów. Ponieważ ich gęste korony przesłaniały słońce, roślinność najniższego piętra lasu była coraz uboższa. Od czasu do czasu drogę zagradzały nam gęste kępy bambusa, lecz po krótkich poszukiwaniach zawsze znajdowaliśmy albo ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, albo przejście wygniecione przez padający konar.

Porównując namacalną rzeczywistość z jurajską roślinnością i kolorowymi ptakami z plastycznego opisu Zepha, poczułem się lekko rozczarowany. W sumie było tak, jakbym skurczywszy się do jednej dziesiątej swoich normalnych rozmiarów, szedł przez zwykły angielski las. Niemniej napotykalimy również widoki bardziej egzotyczne. Kilka razy dostrzeżliśmy brązowe małpki czmychające w popłochu po pniach raketowców, z gałęzi zwisały stalaktytowe liany - brakowało tylko Tarzana - no i znaleźliśmy wodę: skapywała nam na kark, wygładzała włosy, przyklejała podkoszulki do ciała. Było jej tak dużo, że na wpół opróżnione manierki przestały nas martwić. Wystarczyło stanąć pod gałęzią i mocno nią potrząsnąć:

z liści spływało dobrych kilka łyków wody, a przy okazji brało się szybki prysznic. Mojej uwagi nie uszedł zakrawający na ironię fakt, że w trakcie morskiego maratonu z wyspy na wyspę nasze ubranie nawet nie zwilgotniało, by kompletnie przemoknąć na suchym łądzie.

* * *

Po dwóch godzinach wędrówki stanęliśmy u stóp wyjątkowo stromego stoku. Musieliśmy się nań dosłownie wspinać, przytrzymując się mocnych łodyg paproci, żeby nie zsunąć się po błocie i zgniłych liściach. Etienne, który dotarł na górę pierwszy, zniknął nam z oczu, ale już po chwili wrócił, by entuzjastycznie nas ponaglić.

- Szybciej! - zawołał. - Chodźcie! Coś niesamowitego!

- Co?! - odrzuciłem, ale znowu zniknął za granią. Zdwoilem wysiłki i Françoise została z tyłu.

Stok prowadził do skalnego tarasu na zboczu góry. Taras - a może raczej płaskowyż - miał wielkość boiska do gry w piłkę nożną i był tak płaski i równy, że aż nienaturalny pośród splątanej dżungli wokół. Stok piął się jeszcze wyżej, chyba na kolejny taras, a potem przechodził w przełęcz między szczytami.

Etienne wszedł między krzewy, przystanął, wziął się pod boki i potoczył wokół wzrokiem.

- No i co o tym myślisz? - spytał.

Spojrzałem za siebie. Daleko w dole widziałem plażę, na której wylądowaliśmy, wyspę, na której ukryliśmy plecaki, i wiele innych wysp za nią.

- Nie wiedziałem, że ten park jest taki wielki - odrzekłem.

- Tak. Bardzo wielki. Ale nie o to chodzi.

Popatrzyłem na taras i sięgnąłem po papierosy. Kiedy klepałem się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki, zauważyłem coś dziwnego. Wszystkie porastające taras rośliny... Jakbym skądś je znał.

- O kurde - szepnąłem i zapomniany papieros wypadł mi z ust.

- No, właśnie.

- To... marycha? Uśmiechnął się radośnie.

- Widziałeś kiedyś tyle naraz?

- Nigdy. - Zerwałem parę listków z najbliższego krzaczka i roz-
tarłem je między dłońmi.

Etienne zrobił kilka kroków w głąb krzewów.

- Powinniśmy trochę zebrać - powiedział. - Moglibyśmy wysu-
żyć je na słońcu i... - Nagle urwał i przystanął. - Zaraz. Coś tu jest
nie tak...

- Co?

- Nie wiem, ale te rośliny... - Przykucnął i szybko spojrzął na
mnie przez ramię. Kąciki ust powędrowały mu do góry, ale oczy
miał poważne i dosłownie widziałem, jak krew odpływa mu z twa-
rzy. - To jest pole.

Zamarłem.

- Pole?

- Tak. Spójrz tylko na te krzaki.

- Przecież tu nie może być żadnej plantacji. Te wyspy są...

- Wszystkie rosną rzędami.

- Rzędami...

Popatrzyliśmy na siebie.

- Jezus Maria - szepnąłem. - Wpadliśmy w gówno po samą szy-
ję.

Ruszył biegiem w moją stronę.

- Gdzie Françoise?

- Françoise... - Myślałem o zbyt wielu rzeczach naraz, żeby roz-
sądnie odpowiedzieć. - Françoise... idzie.

Zanim dokończyłem, Etienne minął mnie i przykucnął na skraju
tarasu.

- Nie ma jej!

- Była tuż za mną. - Podbiegłem do niego i spojrzałem w dół. -
Może się poślizgnęła.

Wstał.

- Schodzę. Ty poszukaj tutaj.

- Tak... Dobra.

Kiedy zaczął ześlizgiwać się po błocie, między drzewami rosna-
cymi nieco dalej, po prawej stronie, mignął jej żółty podkoszulek.
Etienne był już w połowie stoku i żeby zwrócić jego uwagę, cisną-
łem w niego kamykiem. Zaklął i ruszył z powrotem.

Françoise weszła na taras, wtykając podkoszulek do szortów.

- Musiałam do łazienki! - zawołała.

Rozpaczliwie pomachałem do niej, żeby tak głośno nie krzyczała.

Przyłożyła rękę do ucha.

- Co? Hej! Widziałam ludzi. Tam, na zboczach nad nami. Idą w tę stronę. Może są z plaży, *non*?

Wdrapujący się na górę Etienne usłyszał to i zawołał:

- Richard! Uciszyć ją!

Wystartowałem jak sprinter do biegu na sto metrów. Zdążyła jeszcze spytać: „Co ty robisz?” - ale już w następnej chwili powaliłem ją na ziemię.

- Zamknij się! - I zatkałem jej usta.

Próbowała się wyszarpnąć, lecz zacisnąłem palce i odchyliłem jej głowę.

- To jest plantacja marihuany - syknąłem jej do ucha, starannie wymawiając każde słowo. - Rozumiesz?

Wybałuszyła oczy i zaczęła parskać przez nos.

- Rozumiesz? - powtórzyłem. - Wpierdoliliśmy się na czyjeś pole!

Etienne pociągnął mnie za ramię. Puściłem Françoise i, nie wiedząc czemu, skoczyłem mu do gardła. Wyślizgnął się jak piskorz, chwycił mnie od tyłu i mocno objął, przyciskając mi ręce do boków.

Próbowałem się uwolnić, ale był za silny.

- Puść mnie, idioto! Jacyś ludzie tu idą!

- Gdzie?

- Tam - szepnęła Françoise, rozcierając wargi. - Na zboczach nad nami.

Spojrzał w tamtą stronę.

- Nikogo nie widzę - powiedział, zwalniając uścisk. - Słyszycie? Co to jest?

Zamilkliśmy, ale słyszałem tylko pulsowanie krwi w uszach.

- Głosy - szepnął Etienne. - Ogluchliście?

Znowu wytyczyłem słuch. Tym razem je usłyszałem: były odległe, ale szybko się zbliżały.

- Mówią po tajsku.

Omiał się nie zadławiłem.

- Niech to szlag! Wbijmy stąd! - Niezdarnie wstałem, ale Etienne pociągnął mnie na ziemię.

- Richard - powiedział i moja sparaliżowana strachem podświadomość z zaskoczeniem zarejestrowała widok jego spokojnej twarzy.

- Jeśli zaczniemy uciekać, od razu nas zobaczą.

- To co robimy? Wskazał ciemny zagajnik.

- Ukryjemy się. Tam.

* * *

Leżąc płasko na ziemi i wypatrując przez gęste liście, czekaliśmy, aż się ukazą.

Początkowo wyglądało na to, że ich nie zobaczymy, że przejdą bokiem, ale potem trzasnęła gałązka i w miejscu, gdzie staliśmy z Etienne'em kilka minut przedtem, ujrzeliśmy młodego mężczyznę o posturze kick boksera. Był półnagi, mocno umięśniony i miał na sobie wojskowe spodnie, ciemnozielone i obszerne, z kieszeniami na nogawkach. W ręku trzymał długą maczetę, a przez ramię przewiesił automatyczny pistolet maszynowy.

Françoise przywarła do mnie ze wszystkich sił i czułem, że cała drży. Chciałem ją uspokoić, lecz twarz stężała mi z napięcia. Popatrzyła na mnie z uniesionymi brwiami, jakby spodziewała się jakichś wyjaśnień, ale mogłem tylko bezradnie pokręcić głową.

Do kick boksera dołączył drugi mężczyzna, starszy i też uzbrojony. Zamienili ze sobą kilka słów. Chociaż stali co najmniej dwadzieścia metrów od nas, doskonale słyszeliśmy ich śpiewną, dziwnie zapętloną mowę. Po jakimś czasie zawołał ich ktoś z dżungli i ruszyli przed siebie, znikając za krawędzią tarasu na zboczu, którym weszliśmy na górę.

* * *

Dwie, trzy minuty potem, gdy ich dźwięczne głosy rozmyły się w oddali, Françoise wybuchnęła płaczem. Etienne też się rozplakał. Leżąc na plecach, zasłonił oczy pięściami i lkał jak dziecko.

Patrzyłem na nich z otępiałym wyrazem twarzy. Czułem w sobie tylko pustkę. Szok związany z odkryciem pola i napięcie, z jakim obserwowaliśmy uzbrojonych po zęby Tajów, zupełnie mnie wypaliły. Klęczałem na ziemi z twarzą zlaną potem i nie myślałem absolutnie o niczym.

W końcu zdołałem wziąć się w garść.

- Dobra - powiedziałem. - Etienne miał rację. Nie wiedzą, że tu jesteśmy, ale wkrótce mogą się dowiedzieć. – Sięgnąłem po worek.
- Musimy stąd odejść.

Françoise usiadła, przecierając oczy zabłoconym podkoszulkiem.

- Tak - wymamrotała. - Chodź, Etienne.

Etienne usiadł.

- Richard - oznajmił stanowczo - nie chcę tu umrzeć.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

- Nie chcę tu umrzeć - powtórzył. - Musisz nas stąd wydostać.

Skok

Muszę ich stąd wydostać? Ja?! Nie wierzyłem własnym uszom. Przecież to on zachował zimną krew, kiedy nadeszli strażnicy. Ja omal nie narobiłem w portki ze strachu. Chciałem mu powiedzieć: „To ty nas stąd, kurwa, wydostań!”

Ale nie, wiedziałem, że stracił głowę, że już nie zapanuje nad sytuacją - wystarczyło na niego spojrzeć. Ani on, ani Françoise. Patrzyła na mnie z tym samym wyrazem twarzy co on, przerażonym i wyczekującym.

Nie miałem wyboru i to nie kto inny jak właśnie ja podjąłem decyzję o dalszym marszu. Po prawej stronie mieliśmy uzbrojonych po zęby strażników patrolujących leśne dukty, które w swej ignorancji wzięliśmy za ścieżki wydeptane przez zwierzęta. Niewykluczone nawet, że byli w drodze na plażę, gdzie mogli odkryć ślady naszych stóp albo znaleźć opakowania po czekoladach, które natchmiast zdradzą naszą obecność. A po lewej stronie? Nie mieliśmy pojęcia, co tam znajdziemy. Może kolejną plantację marihuany, może innych uzbrojonych Tajów, plażę pełną Europejczyków i Amerykanów, a może nic.

„Strach ma wielkie oczy” jest powiedzeniem, którym od tamtej pory pogardzam. Ukrywając się w krzakach i dygocząc z przerażenia, dowiedziałem się, że jeśli strach ma oczy strażnika plantacji

marihuany, wszystkie pozostałe strachy gwałtownie przy nim bledną.

* * *

Opuściwszy płaskowyz, szliśmy dobre kilka godzin, ale prawie nic z tej wędrówki nie pamiętam. Sądzę, że za bardzo koncentrowałem się na chwili bieżącej, żeby myśleć o czymś innym. Może pamięć wymaga czasu na refleksję, choćby krótką, jakiegoś punktu zaczepienia czy odniesienia.

Pamiętam tylko dwa przypominające zdjęcia obrazy. Widok z przełęczu na pole marihuany i widok drugi, bardziej surrealistyczny, ponieważ w żaden sposób nie mogłem go oglądać. Ale jeśli zamknę oczy, jawi się przede mną z taką samą wyrazistością jak inne stworzone przez wyobraźnię obrazy.

Przedstawia naszą trójkę schodzącą zboczem po drugiej stronie przełęczu. Jestem z tyłu, nieco wyżej, jakbym stał na zboczu, dlatego widzę tylko nasze plecy. Worki zniknęły. Mam puste, szeroko rozłożone ramiona, jakbym próbował zachować równowagę, natomiast Etienne i Françoise trzymają się za ręce.

Inną dziwną rzeczą jest to, że daleko przed nami widzę lagunę i pasmo białego piasku nad wierzchołkami drzew. Ale to niemożliwe. Lagunę zobaczyliśmy dopiero wówczas, gdy doszliśmy do wodospadu.

* * *

Był wysoki na cztery piętra, a ja nie znoszę takich wysokości. Żeby ocenić jego spadek, musiałem podpełznąć do krawędzi, gdyż bałem się, że zmysł równowagi, dzięki któremu potrafię stanąć na krześle, zawiedzie mnie i jak pijany runę w przepaść.

Skalny wał ciągnął się i po drugiej stronie, wchodząc daleko w morze i zakrzywiając się łagodnie, by hen, daleko, znowu połączyć się z brzegiem. Przypominał gigantyczny krąg wykuty w kamieniu po to, żeby ukryć lagunę, i wyglądał dokładnie tak, jak opisywał go Zeph. Z naszego punktu obserwacyjnego widzieliśmy, że tworzące go skały mają najwyżej trzydzieści metrów grubości, mimo to pasażerowie przepływających koło wyspy łodzi nigdy by się nie domyśliли, co za nimi leży, gdyż dostrzegliby tylko wysoki, masywny klif o

porośniętym dżunglą szczycie. Morze musiało zasilać lagunę podwodnymi kanałami i przesmykami.

Tuż pod wodospadem był basen, a z basenu wypływał znikający między drzewami strumień. Wierzchołki rosnących w przepaści drzew sięgały nam głów i gdyby nie zbyt duża odległość, moglibyśmy zejść po pniu na dół. A zejście stanowiło nie lada problem, ponieważ skalna ściana była zbyt stroma i zbyt wysoka.

- No i co wy na to? - spytałem, odczołgując się do tyłu.

- A ty? - odrzekł Etienne, wyraźnie nie chcąc przejmować dowodzenia wyprawą.

Westchnąłem.

- Myślę, że to tu. Na sto procent. Wszystko się zgadza. I z mapą Kaczora, i z opisem Zepha.

- Tak blisko, tak daleko.

- Tak blisko i tak daleko zarazem - poprawiłem apatycznie. - No, właśnie.

Françoise wstała i popatrzyła ponad laguną na otaczający ją klif.

- Może ją obejdzimy, *non*? - zasugerowała. - Może tam dalej łatwiej będzie zejść?

- Tam jest jeszcze wyżej. Teren się wznosi, widzisz?

- Moglibyśmy skoczyć do morza. To nie tak wysoko.

- Nie damy rady. Wylądujemy na skałach.

Robiła wrażenie zirytowanej i zmęczonej.

- Richard, przecież tu musi być jakieś zejście, *non*? Jeśli są tam ludzie, to znaczy, że jest.

- Jeśli ci ludzie tam są - odpowiedziałem jak echo. Jak dotąd nie zauważyliśmy na dole żadnych śladów bytności człowieka. Nie wiedzieć czemu, myślałem, że kiedy dotrzemy na plażę, zobaczymy tam grupy wędrowców o przyjaznych, opalonych słońcem twarzach, ludzi nurkujących w koralowych ogrodach, rzucających latającym talerzem, i tak dalej. Tymczasem z tego, co widzieliśmy, plaża była wprawdzie piękna, lecz zupełnie opustoszała.

- A może by tak zeskoczyć z wodospadu? - rzucił Etienne. - Jest niższy niż skały nad morzem.

Rozważałem to chwilę.

- Można by spróbować - odrzekłem, trąc oczy.

Podczas wędrowki przełęczą zużyłem chyba całą adrenalinę i byłem

teraz wyczerpany, wyczerpany do tego stopnia, że gdy w końcu znaleźliśmy naszą plażę, nie odczułem z tego powodu najmniejszej ulgi. Poza tym dałbym się posiekać za papierosa. Nie to, żebym ich nie miał, ale choć kilka razy chciałem zapalić, zawsze się powstrzymałem z obawy, że ktoś może poczuć dym.

Françoise czytała w moich myślach.

- Jeśli chcesz zapalić, to zapal - powiedziała z uśmiechem. Ona była pierwsza. Odkąd daliśmy nogę z płaskowyżu, żadne z nas ani razu się nie uśmiechnęło. - Po tej stronie przełęcz nie było żadnej plantacji.

- Tak - dodał Etienne. - Papieros może pomóc... Nikotyna pomaga.

- Celna uwaga.

Zapaliłem i poczołgałem się do skraju przepaści.

Rozumowałem tak: jeśli woda spływa tędy od tysiąca lat, istnieje duże prawdopodobieństwo, że spadając na skałę, wyźłobiła w niej basen. Basen głęboki na tyle, że można bezpiecznie doń skoczyć. Z drugiej strony, jeśli wyspa jest stosunkowo młoda, jeśli powstała na skutek działalności wulkanicznej ot, choćby przed dwustu laty, na wyźłobienie głębokiego basenu mogło nie starczyć czasu.

- Co ja tam wiem... - mruknąłem, powoli wypuszczając dym; Françoise podniosła wzrok, myśląc, że mówię do niej.

Leżące w wodzie gałęzy były gładkie. Rosnące w przepaści drzewa - wysokie i stare.

- No, dobra - szepnąłem.

Ostrożnie wstałem. Lewa stopa o dwa centymetry od skraju otchłani, prawa cofnięta dla zachowania równowagi. Przed oczyma mignęły mi obrazy z dzieciństwa: airfixy, modele samolotów, które pracowicie sklejałem, wypełniałem watą, oblewałem benzyną do zapalniczek, podpalałem i zrzucałem z górnego okna naszego domu.

- Skaczesz? - spytał nerwowo Etienne.

- Nie, chcę się tylko przyjrzeć.

Samoloty leciały łukiem w dół, najpierw oddalając się od ściany, a potem ku niej zawracając. Miejsce, gdzie roztrzaskiwały się w fontannie lepkich, płonących szczątków, zawsze leżało bliżej fundamentu, niż zakładałem. Odległość tę trudno było wyliczyć; wygładało na to, że jeśli chce, by wylądowały za schodami - i ominęły

głowy tych, którzy wychodzili z domu, żeby sprawdzić, co to za pożar - muszę wyrzucić je w powietrze z siłą większą, niż było to pozornie konieczne.

Właśnie o tym rozmyślałem, gdy nagle coś się zdarzyło. Ogarnęła mnie fala przytłaczającego spokoju, niemal nudy albo dziwnej apatii. Zdałem sobie sprawę, jak trudna jest nasza podróż, i skostatowałem, że mam jej dość. Kosztowała nas zbyt dużo wysiłku, przeżyliśmy zbyt wiele wstrząsów, zbyt wiele dylematów musieliśmy rozstrzygać. Ten stan zaowocował czymś niezmiernie istotnym, gdyż na kilka jakże ważkich sekund wyzwolił mnie od strachu. Dość. Wystarczy. Po prostu chciałem to mieć za sobą.

Tak blisko, tak daleko.

- No to skacz - powiedział mój głos.

Zawahałem się, nie wiedząc, czy dobrze usłyszałem, a potem...

Potem skoczyłem.

Było tak, jak jest chyba podczas każdego skoku w przepaść. Miałem czas na myślenie. Przez głowę przelatywały mi głupie wspomnienia, a to o moim kocie, który spadł kiedyś z kuchennego stołu i wylądował na łbie, a to o nieudanym skoku z trampoliny i o zderzeniu z twardą jak drewno wodą. Tak, była twarda jak drewno. Nie jak beton czy stal, tylko jak drewno.

I nagle wpadłem do basenu. Podkoszulek podwinął się, utknął pod brodą i kilka sekund później wypłynąłem na powierzchnię. Basen był tak głęboki, że nawet nie dotknąłem dna.

- Ha! - wrzasnąłem, młóćąc wodę rękami i nie przejmując się tym, że ktoś może mnie usłyszeć. - Żyje!

Spojrzałem do góry i zobaczyłem głowy Étienne'a i Françoise wystające zza skalnej krawędzi.

- Wszystko w porządku?! - zawołał Etienne.

- Tak! Jest fantastycznie! - I wtedy poczułem, że ściskam coś w ręku. Wciąż trzymałem papierosa - słupek tytoniu odpadł, ale filtr leżał na mojej dłoni nasączony wodą i zbrązowiły od nikotyny. Wybuchnąłem śmiechem. - Kurewsko fantastycznie! Rzućcie worki!

* * *

Siedziałem na porośniętym trawą brzegu i z nogami w wodzie czekałem, aż skoczą. Etienne miał kłopoty. Nie mógł się odpowiednio nakręcić, a Françoise nie chciała skakać pierwsza i zostawiać go samego.

Facet ukazał się w chwili, gdy przypalałem papierosa, żeby odbić sobie stratę tego, który zamókł w basenie. Wyszedł spomiędzy drzew kilka metrów ode mnie i gdyby nie jego rysy i długa broda, nie domyśliłbym się, że to biały. Skórę miał ciemną jak Azjata, chociaż jej brązowawy odcień świadczył o tym, że to tylko silna opalenizna. Miał na sobie jedynie porwane niebieskie szorty i naszyjnik z muszelek. Nosił brodę i nie potrafiłem określić jego wieku, niemniej doszedłem do wniosku, że jest niewiele starszy ode mnie.

- Siemasz - powiedział, przekrzywiając głowę na bok. - Szybko jak na PK. Skoczyłeś dokładnie po dwudziestu trzech minutach. - Mówił po angielsku, z trudnym do umiejscowienia akcentem. - Ja deliberowałem ponad godzinę, no, ale byłem sam. Wtedy jest trudniej.

PK

Położyłem się i zasłoniłem oczy przedramieniem. Ponad szumem wodospadu usłyszałem odczłowieczony głos Etienne'a krzyżącego, że jest gotów do skoku. Nie widział przybysza, gdyż ten stał zbyt blisko skały. Nie zwracałem sobie głowy odpowiedzią.

- Nic ci nie jest? - Zasześciła trawa i mężczyzna zrobił kilka kroków w moją stronę. - Przepraszam. Powinienem był... Pewnie się trochę spietrałeś.

Spietrałem się? Ja?

- Nie. Jestem zupełnie spokojny.

Odpreżony. Rozluźniony, jakbym pływał w powietrzu. Papieros coraz mocniej rozgrzewał mi skórę między palcami.

- PK? - wymamrotałem. - To niby ja?

Poczułem na twarzy jego cień. Brodacz pochylił się, żeby sprawdzić, czy nie zemdląłem.

- Mówiłeś coś?

- Tak, mówiłem.

Etienne skoczył. Spadając, przeraźliwie krzyczał. Głośny plusk, z jakim wpadł do basenu, przeszedł w łoskot spadającej wody, a łoskot spadającej wody zabrzmiał jak dudnienie łopat helikopterowego wirnika.

- Pytałem, kogo nazywasz PK.
Mężczyzna znieruchomiał.
- Byłeś tu kiedyś? Nie pamiętam cię.
Uśmiechnąłem się lekko.
- Jasne, że tu byłem. We snach.

* * *

Szyszki. Giwery. Żołdaki. Trepy. Żółtki. Enple. Zeta. Pepecel. Esel. Es-zet. PK.

PK. Nowy. Żołnierz, który rozpoczyna swoją pierwszą turę w Wietnamie. Pierdolony kot.

Gdzie się tego wszystkiego dowiedziałem?

W 1989 widziałem *84 Charlie Mopic*. W 1986 *Pluton*. Pamiętam, mój kumpel Tom spytał:

- Rich, chcesz obejrzeć *Pluton*?
- Jasne - odrzekłem. Uśmiechnął się szeroko.
- To idź do kina.

Zawsze tak żartował, miał to we krwi. Jeszcze tego samego wieczoru poszliśmy do Swiss Cottage Odeon, pamiętam nawet, że do sali numer jeden.

W roku 1991 staliśmy z Seanem w hali odlotów, szukając czegoś, przy czym szybciej upłynęłaby długa podróż do Dżakarty.

- Może coś Lustbadera? - zasugerował Sean.

Pokręciłem głową. Oglądałem Michaela Herra rozsyłającego komunikaty i rozkazy. Godziny zleciały nie wiedzieć kiedy.

Pierdolony kot? Chociaż kroczę doliną śmierci, nie lękam się żadnego zła, gdyż jestem najgroźniejszym skurwielem w całej dolinie.

Ja kotem?

* * *

Szliśmy za nim przez dżunglę. Czasami przeskakiwaliśmy meandrujący między drzewami strumień, który wypływał z basenu,

czasami przecinaliśmy małe polanki; na jednej z nich dymiło wygasłe ognisko, a wokół ogniska wały się nadpalone rybie łby.

Prawie nie rozmawialiśmy. Miał na imię Jed, nie powiedział nic więcej. Pytania zbył machnięciem ręki.

- Pogadamy na miejscu - wyjaśnił. - Mamy do was tyle samo pytań, co wy do nas.

* * *

Na pierwszy rzut oka obóz wyglądał niemal dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałem. Na dużej, pylistej polanie pośród raketowców stało kilkanaście prymitywnych bambusowych chat. Dostrzegłem tam również kilka zupełnie niepasujących do otoczenia namiotów, ale poza tym kolonia prawie niczym nie różniła się od typowej azjatyckiej wioski, a sporo takich wiosek widziałem. Na przeciwnym końcu obozowiska stał długi drewniany barak, a zza baraku wypływał nasz znajomy strumień. Prawie natychmiast zakręcał, omywając skraj polany, i po regularności jego brzegów poznałem, że rozmyślnie zmieniono jego bieg.

Ogarnąwszy to wszystko spojrzeniem, zauważyłem, że polana tonie w dziwnym świetle. W dżungli było to ciemno, to znów jasno, natomiast tutaj panował niezmienny półmrok. Zmierzch w środku dnia? Powiodłem wzrokiem po pniu jednego z gigantycznych drzew. Jego zapierającą dech w piersi wysokość podkreślał brak dolnych konarów, które zostały celowo ścięte, dzięki czemu mogłem w pełni ocenić jego ogrom. Konary wyrastały znacznie wyżej, strzelając do góry niczym szczyt dachu i łącząc się z konarami drzew rosnących po drugiej stronie polany. Ale złącze to było za grube, za gęste i wyteżywszy wzrok, zauważyłem, że gałęzie się z sobą splatają, że się wokół siebie owijają, tworząc rozległy strop z drewna, liści i zwisających pnączy - baldachim, którego rolę natychmiast zrozumiałem.

- Kamuflaż - powiedział Jed. - Nie chcemy, żeby dostrzeżono nas z powietrza. Czasami przelatują tędy samoloty. Rzadko, ale przelatują. - Wskazał do góry. - Początkowo wiązałyśmy je sznurami, ale teraz same tak rosną. Od czasu do czasu musimy je trochę przycinać, bo robi się tu za ciemno. Ekstra, co?

- Niesamowite - przyznałem. Widok ten pochłonął mnie do tego stopnia, że nie zauważyłem ludzi, którzy wyszedłszy z baraku, ruszyli w naszą stronę. Było ich troje. Dwie kobiety i mężczyzna.

- Sal, Cassie i Bugs - powiedziała jedna z kobiet, gdy podeszli bliżej. - Sal to ja, ale nie próbujcie zapamiętać naszych imion. - Uśmiechnęła się ciepło. - Spotkacie innych i wszystkie się wam pomylą, a w końcu i tak się ich nauczycie.

Kogo jak kogo, ale Bugsa na pewno z nikim nie pomyłę - pomyślałem, z trudem tłumiąc śmiech. Zmarszczyłem czoło i przytknąłem rękę do skroni. Od tego skoku moja głowa robiła się coraz lżejsza i lżejsza, jakby za chwilę miała ulecieć w powietrze.

- Françoise, Etienne i Richard - przedstawiła nas Françoise.

- Jesteście Francuzami! Cudownie! Dotąd mieliśmy tu tylko jednego Francuza.

- Richard jest Anglikiem. - Gdy wskazała mnie gestem ręki, chciałem grzecznie pochylić głowę, ale przesadziłem i wykonałem lekki skłon.

- Cudownie! - powtórzyła kobieta, obserwując mnie ciekawie kątem oka. - Musicie coś zjeść, pewnie jesteście bardzo głodni. - Spojrzała na towarzyszącego im mężczyznę. - Bugs, zrobisz im gulasz? Potem usiądziemy, utniemy sobie długą pogawędkę i się poznamy. Co wy na to?

- Świetnie - odrzekłem. - Chętnie. I wiesz, chyba masz rację: rzeczywiście jestem głodny jak wilk. - Tym razem nie zdołałem powstrzymać śmiechu. - Jedliśmy tylko zimne kluski i czekoladę. Nie mogliśmy zabrać butli z gazem... Etienne musiał ją zostawić i... i...

Jed próbował mnie podtrzymać, ale się spóźnił. Jego zaniepokojona twarz zawirowała, zniknęła gdzieś z boku i runąłem na plecy. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, zanim pochłonęła mnie ciemność, był maleńki skrawek błękitu prześwitującego przez zwarty baldachim gałęzi.

Batman

Cierpliwie czekałem, aż się ukaże. Wiedziałem, że jest w pobliżu, ponieważ w świetle świecy widziałem krew wokół łóżka, a na prześcieradle odkryłem krwawy odcisk dłoni. Czułem, że jest na drugim końcu baraku, że chce nagle wychynąć z mroku i mnie zaskoczyć. Nic z tego. Tym razem na niego czekałem.

Mijały minuty. Pocilem się i wzdychałem. Wosk spływał po świecy i skapywał na piasek. Z belki pod sufitem spadła jaszczurka, która wylądowała między moimi nogami.

Jaszczurka z burzy. Pewnie przyszła mnie odwiedzić.

- Aaa, to ty? Jak się masz? - Chciałem ją podnieść, ale się wyśliznęła, zostawiając za sobą centymetr różowego ogonka.

Jedna ze sztukzek pana Kaczora. Zakląłem i podrzuciłem ogonek do góry.

- Bardzo sprytnie. Nie wiem, co to znaczy, ale robi wrażenie. - Opadłem na poduszkę. - Hej, Kaczor! Zuch chłopak! Tak trzymaj!

- Do kogo mówisz? - spytał rozespany głos z głębokiego cienia.

Usiadłem.

- To ty? Masz inny głos.

- To ja, Bugs.

- Bugs. Pamiętam. Czekał, niech no zgadnę. Królik Bugs, tak?

Długo nie odpowiadał.

- Tak - odrzekł w końcu. - Królik Bugs.

Podrapałem się w głowę. Włosy miałem pozlepiane i zmierzwi-
one.

- Tak myślałem. Najpierw Kaczor Daffy, teraz Królik Bugs. - Zachichotałem. - Kto będzie następny? Struś Pędziwiatr?

Ciche mamrotanie dwóch głosów w ciemności.

- Świnka Piggi? Yosemite Sam? Nie, nie, zaczekaj, już wiem: Szalony Kojot, prawda?

W pomarańczowej poświacie wypełniającej barak dostrzegłem jakiś ruch, szczupłą postać w długim białym podkoszulku. Szła ku mnie i po chwili ją rozpoznałem.

- Françoise! Françoise, co za sen! Lepszy niż ten, który miałem ostatnio.

- Ciii... - Uklęka i podkoszulek oblepił jej uda. - To nie sen.

Potrząsnąłem głową.

- Ależ tak, to sen. Wierz mi. Spójrz tylko na tę krew. To krew pana Kaczora. Podciął sobie żyły i ciągle krwawi. Szkoda, że nie widziałas, jak naświnił w Bangkoku.

Rozejrzała się i znowu popatrzyła na mnie.

- To krew z twojej głowy, Richard.

- Ale...

- Skaleczyłeś się, kiedy upadłeś.

- Ale Kaczor...

- Ciii... Proszę cię, tu śpią ludzie.

Zdezorientowany, znowu opadłem na poduszkę, a ona położyła mi rękę na czole.

- Masz lekką gorączkę. Dasz radę zasnąć?

- Nie wiem.

- Spróbujesz?

- Dobrze.

Okryła mnie prześcieradłem po samą szyję i uśmiechnęła się lekko.

- No. A teraz zamknij oczy.

Zacisnąłem powieki.

Oparła się o poduszkę i pocałowała mnie delikatnie w policzek.

- To sen - wymamrotałem, gdy jej kroki ucichły w głębi baraku.

- Wiedziałem, że to sen.

* * *

Trzymając się belki, pan Kaczor wisiał nade mną niczym bezskrzydły nietoperz. Pod sterczącymi żebrami ziało groteskowe zagłębienie, z kołyszących się rąk nieustannie ściekała krew.

- Wiedziałem. Wiedziałem, że tu jesteś. - Krew trysnęła silniejszym strumieniem i zbryzgała mi pierś. - Zimna jak u gada.

Pan Kaczor nachmurzył czoło.

- Jest równie gorąca jak twoja. Masz gorączkę, to dlatego. Powinieneś się zakryć. Jeszcze tu wykitujesz.

- Jest za gorąco.
- Hmm. To za gorąco, to za zimno...
- Otarłem usta mokrą dłonią.
- Mam malarię?
- Malarię? Jesteś wyczerpany nerwowo, i tyle.
- To dlaczego Françoise nie jest?
- Bo nie denerwowała się tak bardzo jak ty. - Wysunął wielką szczękę i wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. - Bardzo o ciebie dbała, wiesz? Naprawdę. Kiedy spałeś, była tu aż dwa razy.
- Teraz też śpię.
- Jasne. Jak zabity.
- Wokół knota zebrano się za dużo wosku i płomień świecy zachybotał. Na dworze grały cykady. Znowu spadło na mnie kilka kropel lodowatej krwi. Zadrzałem z zimna i otuliłem się prześcieradłem.
- Co to było z tą jaszczurką?
- Z jaszczurką?
- Uciekła. Podczas burzy siedziała mi na dłoni. A teraz uciekła.
- Pamiętam, że podczas burzy też ci uciekła.
- Nie, trzymałem ją w ręku.
- Na pewno, Rich?
- Jeziorko wosku wezbrało, przelało się i knot buchnął jasnym płomieniem, oświetlając sufit baraku. Czarna sylwetka. Bezskrzydły nietoperz z pazurami na pątkowatych ramionach.
- Błyskawica - szepnąłem.
- Znowu wysunął dolną szczękę.
- Zuch, chłopak.
- Chuj...
- Tak trzymaj.
- ...z tobą. Mijały minuty.

Rozmowa

Musiałoby być wczesne przedpołudnie. Domyśliłem się tego tylko po upale. W ciemności baraku, którą rozpraszało jedynie monotonne światło świecy, trudno było zmierzyć upływ czasu.

U stóp łóżka siedział Budda z dłońmi na brunatnożółtych kolanach. Budda niezwykle, bo bardzo kobiecy. Mówił z amerykańskim akcentem, miał ciężkie piersi, wyraźnie widoczne pod szafranowym podkoszulkiem, długie, związane z tyłu włosy, idealnie okrągłą twarz i naszyjnik z morskich muszelek na szyi. Z żarzących się obok kadzidełek snuły się pod sufit spiralne smużki perfumowanego dymu.

- Dokończ, Richard - powiedział, patrząc wymownie na miseczkę w moich rękach: na połówkę świeżego orzecha kokosowego z resztką słodkawej zupy. - Zjedz wszystko.

Podniosłem miseczkę do ust, ale natychmiast ją odstawiłem, bo zapach kadzidła zmieszał się z silnym zapachem ryby.

- Nie mogę, Sal.

- Musisz, Richard.

- Zwymiotuję.

- Spróbuj, Richard.

Bardzo często powtarzała imię swego rozmówcy, jak to Amerykanka. Robiła to z poufałością rozbrajającą i wymuszoną zarazem - dziwne wrażenie.

- Nie mogę. Naprawdę.

- To dla twego zdrowia.

- Prawie wszystko zjadłem. Spójrz.

Podniosłem miseczkę i popatrzyliśmy na siebie ponad zakrwawionym prześcieradłem.

- No, dobrze - westchnęła. - Chyba wystarczy. - Skrzyżowała ramiona i zmrużyła oczy. - Richard, musimy porozmawiać.

* * *

Byliśmy sami. Od czasu do czasu wchodzili tam jacyś ludzie, ale nikogo nie widziałem. Słyszałem tylko trzask drzwi w drugim końcu baraku i mały prostokąt światła w ciemności, zanim się zamknęły.

Kiedy doszedłem do momentu, gdy znalazłem zwłoki pana Kaczora, Sal posmutniała. Nie to, żeby zareagowała gwałtownie, nie. Ot, opadły jej brwi i stężała dolna warga. Etienne i Françoise musieli jej o wszystkim opowiedzieć, dlatego wiadomość o śmierci Daffy'ego nie wywarła na niej aż tak wstrząsającego wrażenia. Nie potrafiłem jej rozgryźć. Jakby było jej przykro, ale przykro ze

względu na mnie: że musiałem oglądać coś tak potwornego.

Zareagowała tak tylko raz, tylko wtedy. Nie przerywała mi, nie marszczyła czoła, nie uśmiechała się, nie kiwała głową. Po prostu siedziała bez ruchu w pozycji kwiatu lotosu i słuchała. Początkowo trochę zbijało mnie to z tropu i zdawszy relację z kluczowych wydarzeń, zamilkłem, dając jej czas na komentarz, ale ona czekała, aż podejmę wątek. Niebawem wpadłem w strumień świadomości i mówiłem do niej jak do magnetofonu albo do księdza.

Raczej jak do księdza, gdyż nagle poczułem się jak w konfesjonale. Pełen skruchy, opisałem jej swoją paniczną reakcję na tarasie i próbowałem się usprawiedliwić, dlaczego skłamałem policji, a milczenie, z jakim tego wszystkiego słuchała, odbierałem jak rozgrzeszenie. Zrobiłem nawet mglistą aluzję do mojej fascynacji Françoise, ot tak, żeby wreszcie to z siebie wyrzucić. Była zbyt zakamufLOWANA, żeby Sal mogła ją zrozumieć, niemniej wspomnieć o tym - wspomniałem.

Nie wyznałem jej tylko tego, że zdradziłem komuś położenie wyspy. Tak, powinienem był powiedzieć jej o tych dwóch Amerykanach, ale pomyślałem, że może się wkurzyć. Doszedłem do wniosku, że lepiej zaczekać. Że najpierw zbadam teren, a potem zdecyduję. Po co ryzykować i wtykać kij w mrowisko już na samym początku pobytu na wyspie?

Przemilczałem też, że pan Kaczor odwiedza mnie w snach, ale to zupełnie inna sprawa. Nie widziałem powodu, dla którego musiałbym jej o tym mówić.

* * *

Koniec opowieści, a więc moment kiedy zemdląłem po wejściu do obozu, mocno podkreśliłem, sięgając po swój plastikowy worek, z którego wyjąłem karton papierosów. Sal uśmiechnęła się. Atmosfera konfesjonahu prysła, ustępując miejsca dawnej, rozbrajająco wymuszonej poufałości.

- Hej - rzuciła, przeciągając sylaby z silnym północnoamerykańskim akcentem. - Widzę, że przyjechałeś dobrze przygotowany.

- Uhm. - Nic więcej powiedzieć nie mogłem, gdyż właśnie przypalałem papierosa od świecy. - Jestem nałogowcem nad nałogowcami.

- Widzę - odrzekła ze śmiechem.

- Chcesz?

- Nie, dzięki. Lepiej nie.

- Rzucasz?

- Rzuciłam. Ty też powinienesz spróbować. Tu jest łatwiej.

Pyknałem kilka razy, nie wciągając dymu do płuc, żeby papieros stracił smak wosku.

- Rzucę, kiedy skończę trzydzieści, trzydzieści parę lat. Kiedy będę miał dzieci.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. - Powiodła palcem po brwiach, żeby zgarnąć z nich pot. - Cóż, wygląda na to, że przeżyliście po drodze wielką przygodę. Nowi goście przyjeżdżają tu zwykle pod nadzorem. Lecz okoliczności towarzyszące waszej podróży były bardzo niezwykle.

Czekałem, aż to rozwinie, ale ona zamilkła i wyprostowała nogi, jakby chciała odejść.

- Mogę cię o coś zapytać? - rzuciłem szybko.

Zerknęła na nadgarstek. Nie nosiła zegarka, zrobiła to zupełnie odruchowo.

- Mam trochę pracy, Richard.

- Proszę cię, dręczy mnie tyle pytań...

- Oczywiście, ale wszystkiego dowiesz się z czasem. Nie ma pośpiechu.

- Tylko kilka.

Znowu skrzyżowała nogi.

- Pięć minut.

- Dobra. Najpierw... najpierw chciałbym się dowiedzieć, gdzie jesteśmy, co to za miejsce.

- Nadmorski ośrodek wypoczynkowy.

Zmarszczyłem czoło.

- Nadmorski ośrodek wypoczynkowy?

- Letnisko, do którego przyjeżdża się na wakacje.

Zmarszczyłem czoło jeszcze bardziej i po jej oczach poznałem, że moja mina ją bawi.

Chciałem spytać, czy przyjeżdżają tu na urlop, ale głos uwiązł mi w gardle. Cóż za rozczarowanie! Miałem niejasne odczucia co do różnic między turystami i podróżnikami, sęk w tym, że im więcej podróżowałem, tym różnic tych było mniej. Niemniej jedną dostrzegąłem bardzo wyraźnie: turyści jeżdżą na urlopy, natomiast

podróżnicy robią zupełnie co innego. Podróżnicy podróżują.

- A czego się spodziewałeś? - spytała.

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, nawet o tym nie myślałem. - Powloli wypuściłem dym. - Ale na pewno nie nadmorskiego ośrodka wypoczynkowego.

Machnęła pulchną ręką.

- No, dobra, tylko się z tobą droczę. Oczywiście, że to coś więcej niż zwykły ośrodek. Jednocześnie nic go od takiego ośrodka nie różni. Przyjeżdżamy tu, żeby wypocząć na pięknej plaży, ale nie jest to zwykłe lotnisko, ponieważ próbujemy od takich lotnisk uciec. Innymi słowy, nie chcemy, żeby miejsce to zmieniło się w coś, przed czym uciekamy. Rozumiesz?

- Nie.

Wzruszyła ramionami.

- Zrozumiesz. To nie takie skomplikowane.

Rozumiałem, o czym mówiła, ale postanowiłem się do tego nie przyznawać. Chciałem, żeby opisała mi wyspiarską społeczność wolnych duchem ludzi tak, jak opisywał ją Zeph. Wizyta w „nadmorskim ośrodku wypoczynkowym” była marną nagrodą za trudy, które musieliśmy pokonać, i kiedy przypomniałem sobie nasz maraton i koszmarny strach, jaki ogarnął mnie na polu marihuany, załała mnie fala gorczy.

- Nie rób takiej rozczarowanej miny, Richard.

- Nie, nie, ja tylko...

Ścisnęła mnie za rękę.

- Jeśli zaakceptujesz tę wyspę taką, jaka jest, wkrótce przekonasz się, że to cudowne miejsce.

Kiwnąłem głową.

- Przepraszam. Nie chciałem sprawiać wrażenia rozczarowanego. Nie jestem rozczarowany. Ten barak, te drzewa... To wszystko jest niesamowite. - Roześmiałem się cicho. - To głupie. Chyba oczekiwałem, że będziecie tu mieli jakąś... ideologię. Że wytknęliście sobie jakiś cel.

W milczeniu dopaliłem papierosa. Sal ani drgnęła.

- A ci uzbrojeni goryle na polu marychy? - spytałem, starannie chowając niedopałek do kieszeni. - Mają z wami coś wspólnego?

Pokręciła głową.

- To narkotykowi magnaci?

- „Magnaci” jest określeniem zbyt dramatycznym. Mam wrażenie, że właścicielami tych pól są byli rybacy z Ko Samui, ale mogę się mylić. Przypłynęli tu dwa lata temu i po prostu zajęli połowę wyspy. Już nie możemy tam chodzić.

- Jak radzą sobie z władzami parku?

- Tak samo jak my. Siedzą cicho. Pewnie macza w tym palce połowa strażników, którzy pilnują, żeby nie przyplływali tu żadni turyści.

- Ale wiedzą, że tu jesteście.

- Naturalnie, tylko że niewiele mogą zrobić. Przecież nikomu o tym nie doniosą. Gdyby władze zorganizowały na nas jakiś nalot, musieliby zorganizować nalot i na nich.

- A więc nie sprawiają wam żadnych kłopotów?

Musnęła ręką naszyjnik.

- Oni trzymają się swojej połowy, my swojej – odrzekła z ożywieniem i nagle wstała, z bezsensowną uwagą otrzepując zakurzoną spódnicę. - Wystarczy, Richard. Naprawdę muszę już iść, a ty wciąż masz gorączkę. Musisz trochę odpocząć.

Nie chciało mi się protestować i ruszyła w stronę wyjścia. Jej podkoszulek bieleł się w świetle świecy nieco dłużej niż skóra i spódnica.

- Jeszcze jedno pytanie! - zawołałem. Odwróciła się. - Ten człowiek w Bangkoku. Znałś go?

- Tak - odrzekła cicho i znowu ruszyła do drzwi.

- Kto to był?

- Przyjaciel.

- Mieszkał tu?

- Był przyjacielem - powtórzyła.

- Ale... No, dobra. Ostatnie pytanie.

Nie zatrzymała się i teraz widziałem tylko jej szafranowy podkoszulek podskakujący w mroku.

- Ostatnie!

- No?

- Gdzie jest kibełek?

- Na zewnątrz. Druga chata na skraju obozowiska.

Srebrzysty prostokąt światła wpadającego do baraku szerniał i znikł.

Zwiedzanie

Kibełek, mała bambusowa chatka na skraju polany, był dobrym przykładem znakomitej organizacji obozowiska. W środku znajdowała się niska ławka z dziurą wielkości piłki futbolowej, przez którą widziałem płynącą wodę - odnogę strumienia o celowo zmienionym biegu. W dachu wycięto drugą dziurę, żeby do kabiny wpadało mdlawe światło przefiltrowane przez baldachim z gałęzi.

W sumie był wygodniejszy niż większość tego rodzaju przybytków w świecie, które nie uległy jeszcze wpływowi zachodniej cywilizacji. Nie znalazłem tam jednak papieru. Nie to, żeby fakt ten mnie zaskoczył, choć myślałem, że znajdę chociaż liście. Zamiast papieru i liści przy wodnym kanale stał plastikowy dzban.

Plastikowe dzbany można spotkać we wszystkich toaletach prowincjonalnej Azji, a ich przeznaczenie intryguje mnie od lat. Nie wierzę, żeby Azjaci podcierali się rękami - to absurdalne - lecz jeśli woda w tych dzbanach nie służy do obmywania palców, nie widzę dla niej innego wykorzystania. Na pewno się nią nie zlewają. Podczas takiego zabiegu, przede wszystkim wielce nieskutecznego, straszliwie by się upaprali, tymczasem skończywszy ablucje, wychodzili z toalety susi jak pieprz.

Spośród wielu tajemnic orientu ta powinna być najłatwiejsza do rozwikłania, lecz okrywa ją zmowa milczenia. Mam kumpla w Manili i kiedyś popłynęliśmy razem na małą wyspę u wybrzeży Luzonu. Pewnego dnia zaskoczyłem go nad błotnistym rowem: stał tam i z wyraźnym zatroskaniem spoglądał na porośnięte namorzynami bagnisko. Kiedy spytałem, co się stało, spłoszował, a raczej posiniał z wściekłości i wskazał kilka kawałków papieru toaletowego pływających po wodzie. Wpadł w panikę, ponieważ lekki prąd spychał je w kierunku domów. Denerwował się nie ze względów higienicznych, tylko dlatego, że papier mógł zdradzić jego zachodnie nawyki - nawyki, które tubylcy uważali za odrażające i nie do przyjęcia. Zawstydzony, rozważał nawet, czy nie wejść na bagno, nie wyłowić papieru i gdzieś go nie ukryć.

Rozwiązaliśmy problem, bombardując bagnisko kamieniami, dopóki namoknięte strzępy papieru nie zatoneły. Kiedy odchodziliśmy

z miejsca przestępstwa, poprosiłem, żeby opisał mi dopuszczane przez miejscowych alternatywy, ale nie chciał nic powiedzieć. Wspomniał tylko posępnie, że byłyby dla mnie równie obrzydliwe, jak nasze przyzwyczajenia są obrzydliwe dla nich. Bliżej prawdy nie dotarłem.

Na szczęście chciałem się tylko wysiusiać, dlatego mogłem zaoszczędzić sobie eksperymentowania. Postanowiłem, że kiedy nadejdzie pora na coś grubszego, ucieknę do dżungli.

Wyszedłem z toalety i ruszyłem przez polanę. Wciąż miałem lekką gorączkę, ale nie zamierzałem spędzać kolejnych godzin na wychaniu dusznego powietrza i obserwowaniu migotliwego płomienia świecy. Dlatego, mijając barak, pomyślałem, że może by tak trochę pozwiedzać. Miałem też nadzieję, że znajdę Etienne'a i Françoise, którzy odkąd się ocknąłem, przepadli jak kamień w wodę. Pewnie też zwiedzali wyspę.

* * *

Naliczyłem dziewięć namiotów i pięć chat, wyłączając barak. Namioty służyły tylko jako sypialnie - widziałem w nich plecaki i ubrania, a w jednym leżał nawet gameboy firmy Nintendo - natomiast wszystkie chaty miały konkretne i funkcjonalne przeznaczenie. Oprócz szaletu była tam również kuchnia i łazienka, też zasilane przez odnogi głównego strumienia. W czwartej chacie mieścił się składzik na narzędzia stolarskie, a w piątej magazyn, w którym stało kilka skrzyń z konserwami. Widok ten skłonił mnie do zastanowienia, jak długo ta kolonia istnieje. Sal utrzymywała, że plantacje marihuany założono przed dwoma laty, co oznaczałoby, że jej towarzysze przyjechali tu jeszcze wcześniej.

Namioty, narzędzia, konserwy, gameboy. Im więcej widziałem, w tym większy wpadałem podziw. Nie chodziło o to, że obozowisko w ogóle zorganizowano, tylko o to, w jaki sposób je zorganizowano. Ani jedna chata nie robiła wrażenia nowszej od pozostałych. Linki naciągowe namiotów zakotwiczone głazami, a głazy wkopano w ziemię. Nic nie wyglądało na dzieło przypadku, wszystko było starannie zaplanowane: zaprojektowane, a nie wyewoluowane.

Gdy tak chodziłem po polanie, zaglądnąłem do otwartych namiotów i przypatrując się baldachimowi z gąlezi tak intensywnie, że aż

rozboleł mnie kark, do podziwu dołączyło poczucie frustracji. Do głowy przychodziły mi dziesiątki pytań, a każde rodziło następne pytanie. Było oczywiste, że założyciele obozowiska musieli potrzebować łodzi, przynajmniej raz na jakiś czas. To sugerowałyby, że pomagali im Tajowie, a to z kolei, że Tajowie określonej proweniencji. Owszem, kombinatorzy z Ko Samui mogli nagiąć przepisy, pozwalając wędrowcom zostać w parku kilka dni dłużej, ale nie wyobrażałem sobie, żeby regularnie dostarczali im jedzenie i narzędzia.

Uderzyło mnie również to, że obozowisko jest dziwnie opustoszałe. Musiało w nim mieszkać sporo ludzi i chociaż kilka razy słyszałem w pobliżu głosy, nikt się nie pokazał.

Po pewnym czasie spokój i te sporadycznie rozbrzmiewające głosy zaczęły działać mi na nerwy. Początkowo czułem się tylko osamotniony i było mi siebie żal. Uważałem, że Sal nie powinna zostawiać mnie samego, zwłaszcza że nie znałem wyspy i jeszcze nie wydobrzałem. A moi przyjaciele, Etienne i Françoise? Czy przyjaciele nie powinni czuwać w pobliżu, by upewnić się, że niczego mi nie potrzeba?

Ale wkrótce samotność przerodziła się w paranoję. Stwierdziłem, że drgam na każdy odgłos z dżungli, że dziwnie głośno szuram nogami, że zachowuję się z przesadną obojętnością, grając przed ludźmi, którzy - jak podejrzewałem - obserwują mnie spośród drzew. Martwiłem się nawet nieobecnością Etienne'a i Françoise.

Może wpłynęła na to gorączka, a może była to normalna reakcja w nienormalnych okolicznościach. Tak czy inaczej, ten koszmarny spokój zaczął doprowadzać mnie do szału. Postanowiłem uciec z polany. Zawróciłem do baraku po papierosy i buty, ale kiedy zobaczyłem długie, cieniste przejście wiodące od drzwi do mojego oświetlonego płomieniem świecy łóżka, zmieniłem zamiar.

Od polany odchodziło kilka ścieżek. Wybrałem najbliższą.

* * *

Szczęśliwym trafem prowadziła prosto na plażę. Piasek był gorący, więc dobiegłem do brzegu i zapamiętawszy, w którym miejscu wyszedłem z dżungli, rzuciłem w myśli monetą i skręciłem w lewo.

Uciezka spod klaustrofobicznego baldachimu obozowiska trochę mnie uspokoiła, poza tym idąc płycizną, zobaczyłem wiele rzeczy, które skutecznie zajęły moją uwagę.

Gdy stałem na krawędzi wodospadu, olbrzymi krąg granitowych skał zdawał się barierą broniącą zejścia w dół, natomiast teraz tworzył barierę uniemożliwiającą wejście na górę. Najcięższe więzienie nie miało groźniejszych, bardziej odstrasżających murów, chociaż trudno było nazwać to miejsce więzieniem. Pomijając piękno samej laguny, wysoki klif dawał poczucie bezpieczeństwa - był niczym mury zamku zbudowanego na odwyrtkę, mury zatopione, miast wzniesionych. Nie odniosłem wrażenia, żeby Sal przejmowała się zbyt wiele strażnikami z plantacji marihuany, niemniej świadomość, że dzieli nas od nich skalna ściana, dodawała mi otuchy.

Laguna była niemal idealnie podzielona między ląd i morze. Jej średnicę ocenilem na prawie dwa kilometry, chociaż nie polegałbym za bardzo na dokładności tego pomiaru. Stałem teraz znacznie bliżej skał broniących dostępu od strony morza i dostrzegłem w nich szczegóły niewidoczne z krawędzi wodospadu. Wzdłuż linii wodnej widniały czarne zagłębienia i groty. Wyglądało na to, że wchodzą głęboko w skałę - niewykлучzone, że głęboko na tyle, by mogła przepłynąć tamtędy mała łódź. Morze było upstrzone sterzczącymi głazami, gładkimi i błyszczącymi od omywających je fal, i spłaszczonymi wiekami tropikalnych deszczów.

Przeszedłem plażą paręset metrów i w pewnym momencie dostrzegłem kilka kształtów pluszczących się wokół jednego z większych głazów. Dziwne, ale początkowo wziąłem je za foki i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że przecież w Tajlandii nie może być fok. Wytężywszy wzrok, rozpoznałem w nich ludzi. Nareszcie kogoś znalazłem.

Chciałem zawołać, ale się powstrzymałem - tylko dlatego, że niejasny instynkt nakazywał zachowanie ostrożności. Skręciłem i pobiegłem w stronę drzew, gdzie mogłem usiąść w cieniu i zaczekać, aż pływacy wyjdą z wody. Znalazłem tam ślady stóp, podkoszulki i - ku swej wielkiej ucieście - otwartą paczkę marlboro. Po milisekundzie wahania jednego ukradłem.

Chwilowo ukontentowany, paliłem, puszczając kółka. Powietrze było nieruchome, mimo to stwierdziłem, że kółka szybko się wznoszą

i nienaruszone znikają wśród zwisających liści palm. Dopiero po dobrych kilku sztachach wykonywałem, że unosi je gorąco bijące od spieczonego słońcem piasku.

Poczynania pływaków stanowiły o wiele mniejszą zagadkę: po prostu polowali na ryby. Co jakiś czas zastygali w bezruchu i ze wzniesionymi ościeniami uważnie wpatrywali się w wodę. Nagle wszyscy naraz ciskali ościeniami, nurkowali, pluskali się trochę, by po chwili powtórzyć wszystko od początku. Wyglądało na to, że dobrze im idzie.

Exocet

Było ich sześcioro. Wszyscy mieli mokre włosy, ciemną skórę i wszyscy wyglądali jak swoje dokładne kopie. Etienne'a i Françoise rozpoznałem dopiero wtedy, gdy przeszli przez gorący piasek, żeby ułożyć w cieniu upolowane ryby.

Coś kazało mi się zawahać, zanim wyszedłem z za drzew. Na widok moich towarzyszy podróży, tak bardzo zaprzyjaźnionych z pozostałymi pływakami, poczułem się dziwnie. Wszyscy się śmiali i mówili do siebie po imieniu. Zdałem sobie sprawę, ile straciłem, przespiając w baraku pierwszą noc i pierwszy dzień pobytu w obozowisku. A kiedy wreszcie wychyłałem z kryjówki, nikt mnie nie zauważył. Stałem dobre kilka minut ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy, czekając, aż któreś z nich podniesie wzrok.

Nie wiedziałem, co zrobić, i w końcu zakaszlałem. W moją stronę odwróciło się jednocześnie sześć głów.

- Cześć - rzuciłem niepewnie.

Zapadła cisza. Françoise lekko zmarszczyła czoło, jakby nie potrafiła mnie z nikim skojarzyć. Po chwili na ustach Etienne'a wykwitł szeroki uśmiech.

- Richard! Już ci lepiej! - Podbiegł bliżej. - Uwaga! - zawołał, obejmując mnie mokrą ręką i wykonując szeroki gest drugą. - Oto nasz przyjaciel, który chorował.

- Cześć, Richard - odpowiedział mu chór pływaków.

- Cześć...

Etienne objął mnie jeszcze mocniej.

- Tak się cieszę, że już ci lepiej.

- Ja też.

Ponad jego ramieniem spojrzałem na Françoise. Wciąż stała w grupie pozostałych. Uśmiechnąłem się do niej. Odpowiedziała uśmiechem, ale jakby krzywym. Albo znaczącym. Nagle ogarnęło mnie przerażenie, że w delirium mogłem jej coś nagadać.

Żeby wpędzić mnie w jeszcze większą panikę, podeszła bliżej i leciutko dotknęła mego ramienia.

- Cieszę się, że zdrowiejesz, Richard - powiedziała beznamiętnie i kiedy otwierałem usta, żeby coś odpowiedzieć, szybko się odwróciła.

- Upolowałem rybę! - powiedział Etienne. - To mój pierwszy raz i już upolowałem wielką rybę! - Wskazał na piasek. - Widzisz tę niebieską?

- Uhm. - Słuchałem go jednym uchem, gdyż nie mogłem odpedzić lodowatych myśli.

- To moja!

* * *

Przedstawiono mnie pozostałym pływakom.

Moshe, wysoki Izraelczyk, śmiał się przeraźliwym śmiechem i wykorzystywał go tak samo, jak szalenciec wykorzystuje rewolwer, siekąc kulami, gdzie i jak popadnie. Słyszac jego śmiech, odruchowo mrugałem, jakbym słyszał huk młota spadającego na cegłę czy metal. Nasza rozmowa była bardzo utrudniona, gdyż konwulsyjne zaciskanie i rozwieranie powiek zaowocowało czymś w rodzaju efektu stroboskopowego.

Były tam również dwie wyniosłe Jugosłowianki, których imion nie potrafiłem wymówić, a już na pewno przesyłabizować, i które robiły wielką sprawę z tego, że pochodziły z Sarajewa.

- Jesteśmy z Sarajewa - mówiły i znacząco zawieszaly głos, jakby oczekiwały, że im z tego powodu pogratuluje albo zemdleje.

Był też Gregorio. Od razu się polubiliśmy. Miał miłą twarz, z łatynoska seplenił i kiedy nas sobie przedstawiono, powiedział:

- Bardzo mi miło. - Potem wytarł rękę w podkoszulek, wyciągnął ją do mnie i dodał: - Wszystkim nam miło.

* * *

Kiedy szliśmy po płyciźnie w kierunku obozowiska, Etienne coś do mnie mówił, ale dosłownie nic z tego nie zapamiętałem. Opowiadał mi chyba o tym, co straciłem, chorując, jak przez mgłę pamiętam też, że czule obejmował swoją rybę i że pierś miał w srebrzystych łuskach, ale cała reszta tonie w mroku niepamięci. Co jest miarą tego, jak bardzo byłem poruszony słowami, które mogłem wypowiedzieć w obecności Françoise.

Zdałem sobie sprawę, że muszę, że po prostu muszę dowiedzieć się prawdy, bo inaczej oszaleję. Françoise szła kilka kroków za grupą, dlatego udając, że zainteresowała mnie jakaś muszla, zostałem z tyłu. Ale gdy tylko przystanąłem, Françoise wyraźnie przyspieszyła kroku, a kiedy ją dopędziłem, celowo zwolniła.

A przynajmniej tak mi się wydawało. Trudno było stwierdzić na pewno. Zaintrygowało ją coś między drzewami, lecz jej zaciekawienie mogło być równie prawdziwe jak moje muszelką.

Miałem dość. Doszedłem do wniosku, że moje podejrzenia są słuszne, i nie zastanawiając się dłużej nad racjonalnością swego postępowania, zdecydowałem bezzwłocznie oczyścić atmosferę.

Znowu zostałem z tyłu i chwyciłem ją za rękę.

- Françoise - zacząłem, próbując odpowiednio dostroić ton głosu, żeby pytanie nie zabrzmiało ani zbyt stanowczo, ani zbyt obojętnie. - Czy dzieje się tu coś dziwnego?

- Dziwnego? - spytała z rozszerzonymi oczami. - Wiesz, wszystko tu jest trochę dziwne. Nie zdążyłam jeszcze przywyknąć...

- Nie, nie, nie chodzi o wyspę. Posłuchaj, może to tylko moje przywidzenia, ale czuję, że coś dziwnego dzieje się między nami.

- Między nami?

- Między tobą i mną. - Momentalnie spiekłem raka. Odkaszlnąłem, spuściłem głowę i dodałem: - Może kiedy byłem chory, powiedziałem ci coś, co...

- Aha. - Spojrzała na mnie. - Boisz się, że mogłeś mi coś powiedzieć? Ale co?

- Nie wiem. Właśnie o to chciałem cię spytać.

- Tak, ale ja cię pytam, co mi mogłeś powiedzieć. Czego się boisz?

Kurwa mać - pomyślałem. - Odwrót na z góry upatrzone pozycje, i to już.

- Niczego. Niczego się nie boję.

- W takim razie...

- Nie wiem. Po prostu wydawało mi się, że dziwnie się zachowujesz. Ale to pewnie tylko przywidzenia. Dajmy sobie spokój.

Nagle przystanęła.

- Dobrze. - Reszta grupy poszła dalej. - Zrobię to za ciebie. Boisz się, że powiedziałeś, iż mnie kochasz, *non*?

- Co?! - wykrzyknąłem oszołomiony, jakby tuż przy mnie wybuchła francuska rakietka marki „Exocet”. Pozbierałem się i zniżyłem głos. - Chryste! Ależ skąd!

- Richard...

- To śmieszne.

- Proszę cię, Richard. To nie jest śmieszne. Tego się właśnie bałem.

- Nie. Wcale nie. Chciałem tylko...

- Richard!

Urwałem. Patrzyła mi prosto w oczy.

- Tak - przyznałem powoli. - Tego się właśnie bałem.

Westchnęła.

- Françoise... - zacząłem, ale mi przerwała.

- Niepotrzebnie. Miałaś gorączkę, a w gorączce mówi się dziwne rzeczy. Rzeczy, które nic nie znaczą. Bałeś się, że powiedziałeś coś, co nic nie znaczy. Nie szkodzi, ja to rozumiem.

- Gniewasz się?

- Oczywiście, że nie.

- A... A czy powiedziałem... coś takiego?

- Nie.

- Naprawdę?

Odwróciła głowę.

- Naprawdę. Jesteś słodki, że się tym martwisz, ale nic takiego nie powiedziałeś. Nie myśl już o tym. - Wskazała na pozostałych;

byli o jakieś piętnaście metrów przed nami. - Chodź. Powinniśmy iść.

- No, to chodźmy - odrzekłem cicho.

- Tak, chodźmy.

* * *

Dołączyliśmy do grupy, nie zamieniwszy już ani słowa. Françoise podeszła do Etienne'a i zaczęła rozmawiać z nim po francusku, ja wlokłem się trochę z boku. Gdy dochodziliśmy do ścieżki prowadzącej do obozowiska, zrównał się ze mną Gregorio.

- Ty czujesz się pewnie jak nowy uczeń w szkole.

- Hmm... Tak, tak jakby.

- Pierwsze dni są trudne, ale nic się nie martw. Ty szybko znajdziesz przyjaciół.

Uśmiechnąłem się. Mocno zaakcentował słowo „Ty”, dzięki czemu nadał zdaniu bardzo osobisty wydźwięk, jakby uważał, że jest we mnie coś szczególnego, co ułatwi mi znalezienie przyjaciół. Wiedziałem, że to tylko jego angielszczyzna, niemniej poczułem się rażniej.

Game over

Kiedy byliśmy na plaży, w obozowisku zaroilo się od ludzi. Zobaczyłem Bugsa i Sal rozmawiających przy drzwiach baraku z ludźmi obwieszonymi linami. Jakiś grubas patroszył przed kuchnią ryby, układając je na szerokich liściach i wrzucając wnętrzości do plastikowego, uwalanego krwią kubła. Kucająca obok niego dziewczyna dmuchała w ognisko i dokładała szczapek do ognia.

Życie skupiało się na środku polany. Była tam większość kolonistów - kłębili się bez celu albo gawędzili. Na drugim końcu obozowiska jakaś dziewczyna starannie rozwieszała mokre ubranie na linkach namiotu.

Gregorio miał rację. Rzeczywiście czułem się jak nowy uczeń w szkole. Powiodłem wzrokiem po polanie jak po boisku w czasie przerwy między lekcjami, zastanawiając się, jakich podziałów i hierarchii będę musiał się nauczyć i którzy z tych trzydziestu paru

mężczyzn i kobiet zostaną moimi przyjaciółmi.

Jedna twarz rzucała się w oczy: twarz Murzyna siedzącego samotnie tyłem do baraku. Wyglądał na dwadzieścia lat, miał ogoloną głowę i wpatrywał się intensywnie w małe, szare pudełko - w gameboya, którego zauważyłem poprzednio w namiocie.

Etienne i Françoise poszli za Moshem, żeby oddać ryby do wypatroszenia. Już miałem za nimi ruszyć - atmosfera szkolnego boiska kazała mi trzymać się z kumplami - ale przedtem jeszcze raz zerknąłem na Murzyna z gameboyem. Facet wykrzywił twarz i pośród szmeru rozmów usłyszałem jego głos:

- Koniec gry.

Ruszyłem w jego stronę.

* * *

Kiedyś czytałem, że najpowszechniej zrozumiałym słowem w świecie jest „OK”, a zaraz po nim „coca-cola”. Myślę, że powinni to badanie powtórzyć ze szczególnym uwzględnieniem wyrażenia „Game over”, czyli koniec gry.

Game over - w grach wideo ten moment lubię najbardziej. Nie, powinienem to uściślić. Najbardziej lubię moment na ułamek sekundy przed pojawieniem się tego napisu.

„Streetfighter II”, gra stara, ale jara. Leo kieruje ruchami Ryu. Ryu jest najlepszy, bo najbardziej wszechstronny: szybki, świetny w obronie i nie do powstrzymania w ataku. Theo gra Blanką. Blanka, szybszy niż Ryu, jest dobry jedynie w ataku. Można go pokonać tylko w jeden sposób: dopaść przeciwnika i nie popuszczać. Kopniak z wysoku, kopniak ze śrubą, atak z obrotu, ugryzienie w głowę - oszołomić bydlaka i zmusić go do uległości.

I Ryu, i Blance kończy się energia. Wystarczy jeden celny cios i mogą polec, dlatego obaj się czają. Tańczą na przeciwległych końcach ekranu i czekają, aż przeciwnik wykona pierwszy ruch. Inicjatywę przejmuje Leo. Ciska ognistą kulą, żeby zmusić Thea do podniesienia gardy, i błyskawicznie atakuje kopniakiem z wysoku, mierząc w zielony łeb potwora. Lecz płynąc w powietrzu, słyszy ciche pyk-pyk-pyk. To Theo postukuje w przycisk sterujący ciosami

Blanki. Podwyższa napięcie w elektrycznym systemie obronnym, tak że kiedy Ryu dotyka stopą głowy przeciwnika, poraża go dwieście tysięcy woltów.

To jest właśnie ten ułamek sekundy, o którym wspominałem.

Leo dobrze to postukiwanie słyszy. Już wie, że przegrał. Ma jeszcze czas, żeby wybełkotać: „Jestem trup”, i w tej samej chwili Ryu rozjarza się niczym choinka, a jego szkielet frunie na drugi koniec ekranu zwęglony niczym spalona grzanka.

Właśnie wtedy gracz zdaje sobie sprawę, że zaraz umrze. Ludzie różnie wtedy reagują. Jedni klną i się wściekają. Drudzy wzdychają albo sapią. Jeszcze inni przeraźliwie krzyczą. Przez dwanaście lat nałogowego grania słyszałem wiele takich krzyków.

Myślę, że ten ułamek sekundy dostarcza rzadkiej możliwości poznania naszych reakcji w chwili, gdy będziemy umierać naprawdę. Gry wideo odsłaniają w człowieku coś czystego i naturalnego. Słyszając postukiwanie w przycisk, Leo mówi: „Jestem trup”. Mówi to szybko, z rezygnacją i zrozumieniem. Gdyby jechał autostradą i ujrzał tuż przed sobą wirujący wokół własnej osi samochód, powiedziałby pewnie to samo.

Natomiast ja należę do tych, którzy dostają szału. Ciskam dżojstikiem w podłogę, kurczowo zaciskam powieki, odrzucam do tyłu głowę, a z moich ust płynie potok przekleństw.

Przed dwoma laty miałem przygodówkę pod tytułem „Obcy 3”. Wmontowali w nią ekstraknyf. Kiedy graczowi skończyły się wszystkie życia, na ekranie pojawiała się realistyczne zdjęcie obcego z ociekającymi śliną szczękami, a cyfrowy głos mówił: „Koniec gry, brachu!”

Bardzo mi się to podobało.

* * *

- Cześć - powiedziałem.

Podniósł wzrok.

- Cześć.

- Ile ułożyłeś?

- Sto czterdzieści cztery.

- Nieźle.

- Robię sto siedemdziesiąt siedem.

- Sto siedemdziesiąt siedem?

Kiwnął głową.

- A ty?

- Mój rekord to jakieś sto pięćdziesiąt.

Znowu kiwnął głową.

- Jesteś jednym z tych trzech nowych, tak?

- Aha.

- Skąd?

- Z Londynu.

- Ja też. Chcesz zagrać?

- Jasne.

- Dobra. - Wskazał na ziemię. - Przystaw sobie krzesło.

ŻYCIE NA PLAŻY

Asymilacja i ryż

Kilka lat temu byłem w trakcie zrywania ze swoją pierwszą „poważną” dziewczyną. Pojechała do Grecji na wakacje i okazało się, że miała tam romans z jakimś Belgiem. Jakby tego nie dość, za parę tygodni gach miał odwiedzić ją w Londynie. Po trzech piekielnych nocach i dniach zrobiło się niebezpiecznie: zdałem sobie sprawę, że jeszcze trochę i zwariuję. Pojechałem rowerem do ojca i zaszantażowałem go emocjonalnie, żeby pożyczył mi pieniądze na wyjazd z kraju.

W trakcie tej wyprawy dowiedziałem się czegoś bardzo ważnego. Ucieczka w podróż naprawdę skutkuje. Wszedłem na pokład samolotu i niemal w tej samej chwili życie w Anglii przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zapalił się napis: „Proszę zapiąć pasy”, i wszystkie problemy zniknęły. Złamany podłokietnik miał pierwszeństwo nad złamanym sercem. Zanim maszyna wystartowała, nie pamiętałem już, że Anglia w ogóle istnieje.

* * *

Po pierwszym dniu na nogach, kiedy to laziłem bez celu po polanie, przestałem zadawać jakiegokolwiek pytania na temat życia w obozowisku.

Ryż: ponad trzydziestu ludzi, dwa posiłki dziennie. Poletka ryżowe to wiele akrów płaskiej, dobrze nawodnionej ziemi, której na wyspie po prostu nie było, dlatego wiedziałem, że koloniści go nie uprawiają. Gdyby nie doszło do Wyprawy po Ryż, pewnie nigdy nie dowiedziałbym się, skąd go brali. Po prostu bym to sobie odpuścił.

Asymilacja: pracowaliśmy od pierwszego dnia, wszyscy wiedzieli, jak mamy na imię, przydzielono nam łóżka w baraku. Czuję się tak, jakbym mieszkał tam całe życie.

Było tak samo jak w samolocie: pamięć zaczęła się kurczyć. Ko Samui? Ko Samui to tylko mgliste, senne wspomnienie. Bangkok? Niewiele więcej niż znajome słowo. Trzeciego czy czwartego dnia pomyślałem, że wkrótce mogą przyjechać tu Zeph i Sammy, i zastanawiałem się, jak zareagują koloniści. I nagle zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam ich twarzy. Dwa dni później nie pamiętałem już, że w ogóle mogą się zjawić.

Jest takie powiedzenie: w całkowicie niebieskim świecie kolor nie istnieje. Ma dla mnie dużo sensu. Jeśli widzisz coś dziwnego, zadajesz pytania, ale jeśli świat zewnętrzny jest zbyt odległy na to, żeby posłużyć jako punkt odniesienia, wszystko wydaje się normalne.

Zresztą po co miałbym zadawać jakieś pytania? Przystosowanie się było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Robiłem to, odkąd tylko zacząłem podróżować. Inne powiedzenie: kiedy wszedłeś między wrony, kracz jak one. W dekalogu podróżnika jest to przykazanie numer jeden. Czy wmaszerujesz do hinduskiej świątyni, żeby spytać: „Dlaczego czcicie krowę?” Nie. Rozglądasz się, analizujesz, dostosowujesz się i akceptujesz.

Asymilacja i ryż. Były to po prostu rzeczy, które należało zaakceptować - nowe aspekty nowego życia.

Ale nawet teraz nie zadaję pytań najistotniejszych.

Nieważne, dlaczego tak łatwo przystosowałem się do życia w kolonii. Ważne jest to, dlaczego życie w kolonii tak łatwo przystosowało się do mnie.

* * *

Przez pierwsze dwa czy trzy tygodnie nie mogłem się odczepić od pewnej piosenki. Właściwie nie była to nawet piosenka, tylko dwie linijki tekstu. Nie znam jej tytułu, ale myślę, że nazywa się *Street Life*, Uliczne życie, ponieważ słowa szły mniej więcej tak: „Uliczne życie to jedyne życie, jakie znam. Uliczne życie, da-da-da, da, da, da, da-da-da”. Ale zamiast śpiewać „uliczne życie” śpiewałem „plażowe życie” i potrafiłem bez końca powtarzać tylko ten jeden jedyny kawałek.

Keaty dostawał szalu.

- Richard - mówił - przestań śpiewać tę cholerną piosenkę.

Wzruszałem ramionami i odpowiadałem:

- Nie mogę się od niej odczepić.

Po takiej wymianie zdań przez jakiś czas próbowałem się pilnować, ale już dwie godziny później nieświadomie zaczynałem swoje. Docierało to do mnie dopiero wtedy, gdy Keaty klepał się w czoło i syczał:

- Prosiłem cię, żebyś przestał wyć! Chryste!

I znowu musiałem wzruszyć ramionami. W końcu on też zaczął ją podśpiewywać, a kiedy mu to wytknąłem, okropnie zacharczał i nie pozwolił mi grać w gameboya do końca dnia.

Dobranoc, John-Boy

Szybko wpadałem w rutynę.

Wstawałem o siódmej albo o wpół do ósmej i od razu szedłem na plażę z Etienne'em i Keatym. Françoise zwykle się nie kąpała, ponieważ miała długie włosy i nie chciało jej się oczyszczać ich z soli, ale czasami trochę pływała. Potem wracaliśmy do obozowiska i opłukiwaliśmy się w łaźni.

Śniadanie było o ósmej. Ekipa pracująca w kuchni co rano gotowała ryż, ale jeśli ktoś chciał, mógł przyrządzić sobie jakieś dodatki. Większość jadła sam ryż, ale kilku próbowało ugotować rybę albo warzywa. Nie zwracałem sobie tym głowy. Przez pierwsze trzy dni dodawaliśmy do ryżu nasze zupy w proszku, tak dla smaku, ale potem zupy się skończyły i zostaliśmy przy suchym ryżu.

Po śniadaniu koloniści zaczynali się rozchodzić. Przedpołudnia były przeznaczone na pracę i każdy miał jakąś robotę. O dziewiątej obozowisko zawsze pustoszało.

Były cztery główne rodzaje zajęć: rybołówstwo, ogrodnictwo, kucharzenie i ciesielka.

Etienne, Françoise i ja dołączyliśmy do grupy rybaków. Do naszego przyjazdu zajmowały się tym dwie ekipy, my - dołączył do nas Gregorio - utworzyliśmy trzecią. W skład dwóch pozostałych wchodził Moshe i Jugosłowianki oraz Szwedzi. Szwedzi trzymali się

razem, traktowali swoje zajęcie bardzo poważnie i codziennie przepływali przez jaskinię w klifie, żeby łowić na otwartym morzu. Czasami wracali z rybą długości ludzkiej nogi i wszyscy się nimi zachwycali.

Miałem dużo szczęścia. Gdyby pierwszego dnia Etienne i Françoise nie wyrazili chęci pójścia na ryby, nie poznałbym Gregoria i mógłbym skończyć w brygadzie ogrodniczej. Pracował w niej Keaty i nieustannie na to narzekał; do wodospadu, gdzie leżał ogród, miał pół godziny drogi. Szefem ogrodników był Jean, syn farmera z południowo-zachodniej Francji, który wymawiał swoje imię, jakby odchrząkiwał, i który trzymał podwładnych żelazną ręką. Problem w tym, że kiedy już ktoś trafił do konkretnej grupy, trudno ją było zmienić. Nie to, żeby obowiązywały jakieś reguły, ale ponieważ wszyscy pracowali w brygadach, więc gdy opuszczało się jedną, trzeba było znaleźć sobie miejsce w innej.

Gdybym nie został rybakiem, pewnie wstąpiłbym do zespołu cieśli. Kucharzenie zdecydowanie mi nie odpowiadało. Nie licząc tego, że przygotowanie obiadu dla ponad trzydziestu gąb przekraczało ludzkie siły, wszyscy trzej kucharze przesiąkli odorem rybich wnętrzności. Szefował im facet o przezwisku Unhygienix, który miał w namiocie prywatny zapas mydła. Zużywał kostkę tygodniowo, ale nic mu to nie pomagało.

Ekipą cieśli kierował Bugs, chłopak Sal i stolarz z zawodu. Odpowiadał za barak i wszystkie chaty i to on wpadł na pomysł powiązania gałęzi drzew i utworzenia baldachimu nad obozowiskiem. Zauważyłem, że koloniści darzą go dużym szacunkiem. Pewnie dlatego, że wszyscy korzystali z owoców jego pracy, ale i dlatego, że był chłopakiem Sal.

Jeśli koloniści mieli jakiegoś przywódcę, na pewno była nim Sal. Kiedy mówiła, ludzie słuchali. Cały dzień krążyła wokół laguny, kontrolując poszczególne zespoły i sprawdzając, czy wszystko przebiega jak trzeba. Początkowo poświęcała nam bardzo dużo czasu. Chciała się upewnić, czy dobrze się aklimatyzujemy, i często towarzyszyła nam w połowach, ale po pierwszym tygodniu uznała, że dajemy sobie radę, i od tamtej pory rzadko widywaliśmy ją podczas pracy.

Jedyną osobą, która nie miała konkretnego przydziału, był Jed. Dni spędzał samotnie: rano pierwszy wychodził z obozowiska, wracał

wieczorem ostatni. Keaty twierdził, że najczęściej bywa przy wodospadzie i na klifie. Niekiedy znikał na dłużej i nocował gdzieś na wyspie. Kiedy wracał, zwykle przynosił świeżą trawkę, którą musiał podwędzić na płaskowyżu.

* * *

Okolo wpół do trzeciej koloniści powoli schodzili się do obozowiska. Najwcześniej wracali kucharze i rybacy, żeby można było przygotować jedzenie. Potem zjawiali się ogrodnicy z warzywami i owocami, a o trzeciej na polanie znowu kłębił się znajomy tłumek.

Jadaliśmy tylko śniadanie i późny obiad. To w zupełności wystarczało. Obiad wydawano o czwartej, a o dziewiętej szliśmy spać. Po zmierzchu nie mieliśmy praktycznie nic do roboty i mogliśmy tylko ćmić trawkę. Rozpalanie ognisk było zabronione z obawy, że ogień zostanie dostrzeżony z nisko przelatujących samolotów nawet przez baldachim z gałęzi. A latało ich sporo, ponieważ na Ko Samui było małe lotnisko.

Nie licząc tych, którzy mieli własne namioty, cała reszta spała w baraku. Upłynęło trochę czasu, zanim przywykłem do sypiania w dwudziestojednosobowej grupie, ale w końcu to polubiłem. Łączyło nas silne poczucie bliskości, którego Keaty i inni nocujący w namiotach nie mogli doświadczyć. Obowiązywał też pewien rytuał. Może nie co noc, ale często i za każdym razem zmuszał mnie do uśmiechu.

Jego pomysł zaczerpnięto z telewizyjnego serialu pod tytułem *Waltonowie*. Na końcu każdego odcinka kamera pokazywała dom Waltonów, a widz słyszał głosy domowników mówiących sobie dobranoc.

W baraku odbywało się to tak:

Kiedy koloniści zaczęli już przysypiać, rozespany głos z ciemności mówił: „Dobranoc, John-Boy”. Następowala krótka chwila ciszy. Czekaliśmy, aż ktoś przejmie pałeczkę, i w końcu ktoś ją przejmował. „Dobranoc, Frankie” - albo Sal, albo Gregorio, albo Bugs - mówił ktoś inny, wypowiadając imię osoby, z którą chciał się pożegnać. Ten, którego imię wymieniono, musiał powiedzieć dobranoc komuś innemu i trwało to dopóty, dopóki nie wywołano wszystkich.

Zacząć mógł każdy, nie obowiązywała żadna kolejność. Im mniej zostawało imion, tym trudniej było zapamiętać, które już wymieniono, a których jeszcze nie, ale stanowiło to część zabawy. Jeśli ktoś się pomylił, wymownie cmokano albo głośno wzdychano, dopóki nie padł celny strzał.

Z jednej strony rytuał był tylko marnym naśladownictwem, z drugiej zaś czymś więcej. Nigdy nikogo nie pomijano i już w trakcie pierwszego, w którym uczestniczyliśmy, wymieniono nasze imiona, Etienne'a, Françoise i moje.

Najmiej było wtedy, gdy słyszałem swoje imię, ale nie rozpoznawałem głosu. Myśl, że ktoś nieoczekiwany wybrał akurat mnie, była bardzo krzepiąca. Usypiałem, zastanawiając się, kto to mógł być i kogo wybiorę następnym razem.

Negatyw

Rankiem czwartej niedzieli mojego pobytu na wyspie wszyscy koloniści wylegli na plażę. W niedzielę nie pracowano.

Był odpływ i między linią drzew a morzem powstał pas piasku szeroki na dwanaście metrów. Sal zorganizowała wielki mecz w piłkę nożną, w którym brali udział wszyscy oprócz mnie i Keaty'ego. Siedzieliśmy na sterczącym z wody głazie, wsłuchując się w ich krzyki. Oprócz zamięłowania do gier wideo łączyło nas jeszcze jedno: całkowita obojętność na uroki futbolu.

Koło moich stóp śmignął srebrzysty cień.

- Mam cię - wymamrotałem, ciskając w rybę wyimaginowanym ościeniem.

Keaty nachmurzył czoło.

- Łatwe życie.
- Łowienie ryb?
- Łowienie ryb.

Kiwnąłem głową. Fakt, było łatwe. Nie przypuszczałem, że ja, niezdarny mieszczuch z Zachodu, potrafię opanować tę starodawną umiejętność, ale okazało się, że nie ma w tym nic trudnego. Trzeba było tylko stanąć na głazie, zaczekać na rybę i przebić ją ościeniem. Cała sztuka polegała na odpowiednim ruchu nadgarstka, tak samo

jak podczas rzutu latającym talerzem. Podkreślony oścień obracał się w wodzie, nie tracąc pędu.

Keaty przeczesał ręką włosy. Nie golił głowy od naszego przyjazdu i porastała ją dwutygodniowa szczecina.

- Powiem ci, dlaczego - mruknął.

- No?

- Przez ten upał. Tu możesz się w każdej chwili ochłodzić, a w ogrodzie cały czas smażysz się na słońcu.

- A wodospad?

- Do wodospadu jest dziesięć minut drogi. Idziesz, pływasz i zanim wrócisz, znowu jest ci gorąco.

- Rozmawiałeś z Sal?

- Wczoraj. Powiedziała, że mogę się przenieść, jeśli znajdę kogoś na podmiankę, ale kto zechce pracować w ogrodzie?

- Jean chce.

- Tak, on chce. - Keaty westchnął. - Pieprzony Jean de Florette.

- Jean le Frogette - odparłem i parsknął śmiechem.

Na plaży wybuchł radosny krzyk. Etienne strzelił gola. Biegał w kółko z ręką w górze, a Bugs darł się na swego bramkarza. Pod drzewami dostrzegłem Françoise. Siedziała w grupce widzów i kłaskała.

Wstałem.

- Wykąpiesz się?

- Jasne.

- Chcę zobaczyć te koralowce, jeszcze ich nie widziałem.

- Dobra, ale weźmy maskę Grega. Bez maski nurkowanie w ogrodach nie ma sensu.

Spojrzałem na plażę. Wznowiono grę. Bugs zawzięcie dryblował po piasku, chcąc odrobić stratę, ale Etienne cały czas siedział mu na karku.

- Popłyniesz po nią? Zaczekam.

- Dobra.

Keaty odbił się i skoczył. Śledziłem wzrokiem jego sylwetkę na tle dna, ale wkrótce zniknęła mi z oczu. W końcu wypłynął, pokonawszy pod wodą imponującą odległość.

- Przyniosę trochę trawki! - krzyknął.

Pokazałem mu uniesiony kciuk i znowu zanurkował.

* * *

Odwrociłem się i spojrzałem na skały dzielące nas od morza. Szukałem szczeliny, którą przed kilkoma dniami pokazał mi Gregorio. Mówił, że najpiękniejsze ogrody leżą dokładnie pod nią.

Początkowo byłem trochę dezorientowany. Dawałem głowę, że szukam w dobrym miejscu. Gregorio kazał mi iść wzrokiem po linii głazów przecinających lagunę niczym stopnie. Głazy widziałem, ale szczelina zniknęła.

I nagle ją znalazłem. Greg pokazywał mi to miejsce późnym popołudniem. Cały klif tonął w cieniu i szczelina była czarna, ale teraz jej wystrzępione, skąpane w porannym słońcu krawędzie bieleły się jaskrawo na tle ciemnego granitu.

- Jak negatyw - powiedziałem na głos, uśmiechając się do siebie.

Na plaży znowu wybuchł wesoły krzyk. Drużyna Bugsa wyrównała.

Koralowe ogrody

Obciążony dwoma kamieniami wielkości grejpfruta, opadłem na dno i skrzyżowawszy nogi, usiadłem na piasku. Kamienie położyłem na udach, żeby nie wypłynąć.

Otaczały mnie przyzmy koralowców, pagód o jaskrawych barwach, rozmytych i rozrośniętych w gorącym tropikalnym morzu. W niszy między ich wachlarzami coś drgnęło, coś się cofnęło. Ruch był prawie niedostrzegalny, wychwyciłem jedynie lekkie zawirowanie światła pośród kolorów. Wyteżyłem wzrok, próbując wyjaśnić ten niezwykle efekt, lecz koralowce znowu wyglądały tak samo jak przedtem.

Leżało przede mną dziwne stworzenie. Morski ogórek - nazwa przysłała mi do głowy tylko dlatego, że gdzieś o nich słyszałem; równie dobrze mogła to być morska dynia. Grubość ramienia, miał niewiele ponad trzydzieści centymetrów długości i skupisko maleńkich macek na końcu z mojej strony. Ostrożnie trąciłem go koralowym piórem odłamanym z pobliskiego wachlarza. Ogórek się nie poruszył, ani drgnął, więc nabrawszy odwagi, leciutko ucisnąłem go palcem. Nigdy dotąd nie dotykałem czegoś równie miękkiego. Jedwabista skóra nie stawiała prawie żadnego oporu i szybko zabrałem

rękę, żeby jej nie rozerwać.

Dziwne - pomyślałem z uśmiechem. Coraz dziwniejsze. Wstrzymywanie oddechu działało na mnie jak najlepsza trawka. Po pulsowaniu krwi w uszach i po wzrastającym ciśnieniu w płucach poznałem, że powietrza wystarczy mi na niecałe dwadzieścia sekund.

Zadarłem głowę. Metr osiemdziesiąt, dwa metry nad głową zobaczyłem nogi Keaty'ego. Poruszał nimi łagodnie jak dziecko siedzące na wysokim krzeselku, co przykuło uwagę małej, niebieskiej ryby. Interesowały ją głównie jego kostki. Ilekroć wysuwał nogi do przodu, szybko podpływała bliżej, jakby chciała uszczknąć z kostki małe co nieco, lecz zatrzymywała się gwałtownie kilka centymetrów od zdobyczy. Gdy nogi opadały, machała płetwami i dawała drapaka, pewnie przeklinając siebie za brak odwagi.

Po moim policzku spłynął zimny strumyczek. Patrzyłem w górę i uwięzione w masce powietrze odrywało ją od twarzy. Szybko spojrzałem w dół i ucisnąłem szkło, żeby odzyskała szczelność, ale nic z tego. Do środka przedostało się za dużo wody. Stoczyłem kamienie z nóg i siła wyporu wypchnęła mnie na powierzchnię.

Przeplływając koło nóg Keaty'ego, pod wpływem impulsu zakrzywiłem palce na kształt rzędu zębów i uszczypnąłem go w kostkę.

* * *

- Dlaczego to zrobiłeś?

Rozcierałem skórę, żeby przestało mnie swędzieć w miejscu, gdzie maska uciskała twarz. Keaty rozcierał kostkę.

- Była tam mała ryba... - Urwałem i zacząłem się śmiać.

- Jaka ryba?

- Chciała cię ugryźć, ale nie miała odwagi.

Pokręcił głową.

- Myślałem, że to rekin.

- Są tu rekiny?

- Miliony. - Wskazał kciukiem niewidoczne za klifem morze i znowu pokręcił głową. - Wystraszyłeś mnie.

- Przepraszam.

Podciągnąłem się i usiadłem obok niego.

- Tam jest niesamowicie. Przydałby się jakiś akwalung albo co. Minuta to za krótko.

- Akwalung albo gumowy wąż. - Wyjął z kieszeni plastikowy pojemnik na film. W środku były bibułki i trawka. - Dwa lata temu pojechałem na Ujung Kulon. Byłeś tam?

- W Chanta.

- Na Ujung Kulon też są koralowce i miejscowi schodzili na dno z węzłem. Wytrzymywali nawet długo, ale mogli siedzieć tylko w jednym miejscu. Mimo to...

- Węza pewnie tu nie ma, co?

- Nie.

Odczekałem, aż zwinie skręta.

- Pewnie dużo podróżowałaś.

- Sporo. Tajlandia, Indonezja, Meksyk, Gwatemala, Kolumbia, Turcja, Indie, Nepal. Aha, byłem i w Pakistanie. Tak jakby. Miałem trzydniowy przystanek w Karaczi. To się liczy?

- Raczej nie.

- Tak myślałem. A ty?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie byłem ani w Ameryce Południowej, ani w Afryce. Właściwie to objechałem tylko Azję. No i Europę. A Europa? Europa się liczy?

- Nie, chyba że uznasz moje Karaczi. - Przypalił. - Ulubiony kraj?

Myślałem chwilę.

- Albo Indonezja, albo Filipiny.

- A najgorszy?

- Chyba Chiny. Parszystwo. Przez pięć dni nie zamieniłem z nikim ani słowa, nie licząc zamawiania posiłków w knajpach. Jedzenie też mają tam ohydne.

- A mój to Turcja - odparł ze śmiechem Keaty. - Miałem tam zostać dwa miesiące, ale wyjechałem już po dwóch tygodniach.

- A ulubiony?

Rozejrzał się, zaciągnął dymem i podał mi skręta.

- Tajlandia. To miejsce. Właściwie to nie Tajlandia, bo nie ma tu Tajów, ale... Tak. Ta wyspa.

- Fakt, jest jedyna w swoim rodzaju... Długo tu siedzisz?

- Dwa lata. Z hakiem. Poznałem Sal w Chiang Rai.

Zaprzyjaźniliśmy się, trochę razem łąziliśmy. Powiedziała mi o wyspie i zabrała mnie z sobą. Pstryknąłem niedopałkiem do wody.

- Opowiedz mi o Daffym. Nikt o nim nie mówi.

- Tak, ludzie byli wstrząśnięci... - W zadumie podrapał się w głowę. - Pytasz nie tego, kogo trzeba. Ledwie go znałem. Facet był sztywny, z rezerwą, przynajmniej w stosunku do mnie. Wiedziałem, kto to jest, ale rzadko z sobą gadaliśmy.

- A kim on był?

- Żartujesz?

- Nie. Mówiłem, nikt o nim nie wspomina, więc...

Zmarszczył brwi.

- Jeszcze nie widziałeś drzewa? Tego przy wodospadzie?

- Chyba nie.

- Kurde mol! To ty nic nie wiesz. Jak długo tu jesteś? Miesiąc?

- Ponad.

- Jezu - mruknął z uśmiechem. - Jutro cię tam zaprowadzę. Sam zobaczysz.

- Może teraz?

- Chcę popływać. Zwłaszcza że jestem nawalony. Poza tym teraz moja kolej. Dawaj maskę.

- Naprawdę chciałbym...

Zsunął się do wody.

- Jutro. Po co ten pośpiech? Czekaleś cztery tygodnie. - Mocno ściągnął pasek z tyłu głowy i zanurkował, koniec dyskusji.

- Dobra - rzuciłem do spokojnej wody, czując, jak trawka i plażowe życie przesłaniają moją ciekawość. - W takim razie jutro.

Kiedy znowu przyszła moja kolej, długo obserwowałem koralowce, szukając zmieniających się barw, lecz dziwne zjawisko, które zauważyłem poprzednio, nie chciało się powtórzyć. Mieszkańcy podwodnych pagód pozostali w ukryciu. Albo moja obecność już ich nie przerażała.

Wkurzony

Tego samego wieczoru o szarówce dostaliśmy naszyjniki z morskich muszelek. Nie było żadnej pompy, żadnej ceremonii. Sal i Bugs podeszli do miejsca, gdzie siedzieliśmy, i po prostu je nam wręczyli. Mimo to fakt ten miał dla mnie duże znaczenie. Choć wszyscy odnosili się do nas bardzo przyjaźnie, byliśmy jedynymi kolonistami bez naszyjnika, co podkreślało nasz status nowo przybyłych. To, że je wreszcie dostaliśmy, oznaczało, iż ostatecznie nas zaakceptowano.

- Który jest dla mnie? - spytała Françoise, uważnie oglądając wszystkie po kolei.

- Który chcesz - odrzekła Sal.

- Wezmę ten. Podoba mi się kolor tej dużej muszli. - Popatrzyła na Etienne'a i na mnie, zmuszając nas do rywalizacji o dwa pozostałe.

- Który chcesz, Etienne? - spytałem.

- Ty wybierz.

- Wszystko jedno.

- Mnie też.

- No więc?

Jednocześnie wzruszyliśmy ramionami i wybuchliśmy śmiechem. Sal nachyliła się i wyjęła naszyjniki z rąk Françoise.

- Proszę - powiedziała, dokonując za nas wyboru. Oba były bardzo podobne, ale mój miał pośrodku odłamane ramię czerwonej rozgwiazdy.

Nalozylem go.

- Dziękuję, Sal.

- Podziękuj Bugsiowi. To on go zrobił.

- Dziękuję, Bugs. Bardzo ładny naszyjnik.

Kiwnął głową, bez słowa przyjmując komplement, i ruszył przez polaną do baraku.

* * *

Nie mogłem się co do niego zdecydować. Dziwne, ponieważ był typem faceta, którego powinienem natychmiast polubić, i to niemal bez żadnych zastrzeżeń. Był szerszy w ramionach i lepiej umięśniony ode mnie. Jako szef cieśli na pewno znał się na swoim fachu. Przypuszczałem również, że jest bardzo inteligentny. Trudno było

to ocenić, gdyż niewiele mówił, ale kiedy już coś powiedział, brzmiało to całkiem sensownie. Jednakże mimo tych wszystkich imponujących cech miał w sobie coś, co trochę mnie do niego zniechęcało.

Ot, weźmy choćby to, jak przyjął moje podziękowanie za naszyjnik. Milczące skinienie głową było gestem à la Clint Eastwood; czuło się, że jest sztuczne. Albo to. Mieliśmy jeść zupę. Gregorio powiedział, że zaczeka, aż zupa ostygnie - wrzała, bo garnek wciąż stał na ogniu - ale Bugs demonstracyjnie nabrał pełną łyżkę i włożył ją sobie do ust. Nie powiedział ani słowa, tylko przelknął łyżkę gorącej zupy. Było to zdarzenie tak blahe, że opisując je, czuję się wprost zażenowany.

Ale myślę, że to warto jest opisać. W poniedziałek drugiego tygodnia mojego pobytu na wyspie Bugs wstawiał drzwi w jednej z chat, gdzie przechowywano zapasy. Ciężko mu szło, ponieważ miał tylko dwie ręce, a potrzebował trzech: dwóch do przytrzymywania drzwi i trzeciej do wbicia trzpienia blokującego zawiasy. Obserwowałem go chwilę, zastanawiając się, czy mu nie pomóc, kiedy wreszcie ruszyłem w jego stronę, młotek wyslizgnął mu się z dłoni. Chciał go odruchowo złapać i drzwi runęły mu na nogę.

- Cholera jasna! - Puściłem się biegiem. - Nic ci nie jest?

Zerknął w dół. Z paskudnie rozharatanego golenia spływała krew.

- Nie - odrzekł i schylił się po młotek.

- Przytrzymać drzwi?

Pokręcił głową.

No to wróciłem na swoje miejsce, żeby dalej ścinać koniuszki bambusowych „żerdzi na ościenie. Pięć minut później omsknął mi się nóż i rozplątałem sobie kciuk.

Głośno krzyknąłem.

Bugs nawet się nie odwrócił, a kiedy podbiegła do mnie Françoise - jej zaniepokojona twarz była jeszcze piękniejsza niż zwykle - wyczułem jego satysfakcję. Ze stoickim spokojem wbijał trzpień w zawias, podczas gdy w pyle u jego stóp zbierały się kałuże krwi.

- Bardzo mnie zabolalo - powiedziałem do Françoise na tyle głośno, żeby mnie usłyszał.

Skoro już się na ten temat rozpisałem, dodam, że dręczyło mnie jeszcze jedno. Jego imię: Bugs.

Nadać sobie taki przydomek to powiedzieć mniej więcej tak: „Jestem milczkowatym stoikiem, ale nie bierzcie mnie zbyt poważnie! Wiecie, jak się nazywam? Królik Bugs!” Drażniło mnie w nim wiele rzeczy, ale w sumie nie miałem powodu, żeby go przez to nie lubić. Rzecz w tym, że Bugs traktował siebie niezwykle serio.

Rozgryzałem go dwa tygodnie i często zachodziłem w głowę, skąd się wzięło to imię. Gdyby tak jak Sal był Amerykaninem, rodzice mogliby go tak ochrzcić. Bez urazy, ale Amerykanie potrafią wymyślać bardzo dziwne imiona. Bugs jednak pochodził z Afryki Południowej, a nie wyobrażałem sobie, żeby bracia Warnerowie mieli tak duże wpływy w Pretorii. Z drugiej strony, poznałem kiedyś Południowoafrykańczyka imieniem Goose, czyli gęś, a więc nigdy nie wiadomo.

* * *

Dobra. Wróćmy do wieczoru, kiedy dostaliśmy naszyjniki.

- Dobranoc, John-Boy.

Cisza. Wpadłem w panikę.

Czy powiedziałem to dość głośno? Czyżby w nocnej etykiecie tkwił jakiś kruczek, którego nie wychyciłem? Fakt, że miałem już naszyjnik, dodał mi odwagi, ale może rozpoczynać ceremonię mogli tylko szefowie poszczególnych grup albo koloniści, którzy przebywali na wyspie co najmniej od roku?

Serce waliło mi jak młotem, czoło zrosił pot. No, to koniec - pomyślałem. - Odejdę skoro świt. Czeka mnie koszmarne maratony do Ko Samui i pewnie pożrą mnie rekiny, ale nic to. Dobrze mi tak.

- Dobranoc, Ella - odpowiedział z ciemności rozespany głos.

Zamarłem.

- Dobranoc, Jesse - odezwał się ktoś inny.

- Dobranoc, Sal.

- Dobranoc, Moshe.

- Dobranoc, Cassie.

- Dobranoc, Greg.

- Dobranoc...

Rok zerowy

Jeśli chodzi o opaleniznę, robiłem szybkie postępy. Podczas pierwszych kilku dni niebo było głównie zachmurzone, ale zanim się przetarło, miałem już dobry podkład i uniknąłem oparzeń. A teraz powoli dochodziłem do swego najciemniejszego odcienia. Podniosłem gumkę szortów, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście.

- O rany... - powiedziałem, widząc kremowobiałą skórę.

Etienne odwrócił głowę. Siedział na głazie, chłodząc nogi w wodzie. Z zazdrością zauważyłem, że jest opalony na złotawo. Nigdy się tak nie opalałem. W najlepszym przypadku kolor mojej skóry przypominał barwę świeżo zaoranej ziemi. Niekiedy powiadałem, że opalam się na orzech, ale to nieprawda.

- Co się stało?

- Nic. Spójrz. Robię się czarny.

Bezwiednie przesunął ręką po swoim naszyjniku.

- Myślałem, że mówisz o tym miejscu.

- O plaży?

- Powiedziałeś „O rany” i sądziłem, że myślisz, jak tu dobrze.

- Tak, często myślę, że... Nasz maraton, strażnicy na tym polu i cała reszta. Warto było przez to wszystko przejść, prawda?

- Warto.

- Polujesz na ryby, pływasz, leniuchujesz, wszyscy są przyjaźni. To takie proste, ale... Wiesz, gdybym mógł zatrzymać świat, cofnąć czas i wskrzesić nowe życie, kazałbym ludziom żyć właśnie tak. - Potrząsnąłem głową, żeby przestać gadać. - Wiesz, o co mi chodzi.

- Myślisz dokładnie tak samo jak ja.

- Naprawdę?

- Tak. Jak wszyscy koloniści.

Wstałem i rozejrzałem się. Gregorio i Françoise wychodzili z wody kilka glazów dalej, a za nimi, hen, pod klifem broniącym dostępu do morza, dostrzegłem trzy ciemne plamki: Moshe i Jugosłowianki. Od strony brzegu dochodziło miarowe stukanie - Bugs i jego cieśle wcielali w życie nowy projekt - a plażą szła samotna postać. Początkowo myślałem, że to Ella, ale zmrużywszy oczy - od

białego piasku bił silny blask - rozpoznałem Sal.

Pamiętam, jak droczyła się ze mną, każąc mi zrewidować swoje oczekiwania. „Jeśli zaakceptujesz tę wyspę taką, jaka jest, wkrótce przekonasz się, że to cudowne miejsce” - tak wtedy powiedziała. Podparłem się, zamknąłem oczy, wystawiłem twarz do gorącego słońca i zdałem sobie sprawę, że miała rację.

Z zamyślenia wyrwał mnie zimny prysznic - woda ochlapała mi nogi. Otworzyłem oczy. To były ryby w kubie na ułamek sekundy przed końcem gry. Obserwowałem je chwilę, podziwiając ich żywotność. Często zaskakiwało mnie to, jak długo umierały. Nawet przebite ościeniem, potrafiły rzucać się godzinę, bijąc ogonem krwawą pianę.

- Ile mamy? - spytał Etienne.

- Siedem. W tym dwie duże. Chyba wystarczy, co?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli Gregorio i Françoise też mają siedem, powinno wystarczyć.

- Na pewno upolowali więcej niż siedem. - Zerknąłem na zegarek. Była dokładnie dwunasta. - Dzisiaj wracam wcześniej. Keaty ma mi pokazać to drzewo.

- Drzewo?

- Jakieś drzewo koło wodospadu. Chcesz iść z nami? Kubeł możemy zostawić tutaj.

Pokręcił głową, wskazując Françoise i Gregoria z maską na czole. - Chcę zobaczyć koralowce. Podobno są piękne.

- Fakt. Złapię cię potem.

- Dobrze.

- Powiedz reszcie, gdzie jestem.

- Powiem.

Zanurkowałem. Wszedłem do wody pod ostrym kątem i wyrównałem tuż nad dnem. Oczy piekły mnie od soli, mimo to nie zaciśnąłem powiek. Nawet bez maski Gregoria rozmyte kolory i rozpierchające się ryby tworzyły wspaniały widok.

* * *

Do ogrodu mogłem dojść dwiema trasami. Jedna prowadziła bezpośrednio do celu i co rano chodził nią Keaty. Była najkrótsza,

ale szedłem tamtędy tylko dwa razy, i to z nim. Wiedziałem, że gdybym spróbował sam, mógłbym się zgubić; nie licząc charakterystycznych palm czy roślin, w dżungli nie było żadnych punktów orientacyjnych. Dlatego wybrałem drugą trasę, to znaczy ruszyłem brzegiem strumienia wypływającego z basenu przy wodospadzie. Koło basenu miałem skrócić w lewo i idąc wzdłuż klifu, trafić do ogrodu.

Po dziesięciominutowym marszu zrozumiałem, dlaczego Keaty narzeka na swoją robotę. Bez chłodnej wody i morskiej bryzy w dżungli panował upał jak w cieplarni. Zanim dotarłem do wodospadu, byłem cały lepki i zlany potem.

Odkąd przypłynęliśmy na wyspę, odwiedziłem to miejsce tylko dwa razy, zawsze z kimś. Po trosze dlatego, że nie miałem powodu, żeby tu przychodzić, ale i dlatego - co zrozumiałem dopiero teraz - że czułem się tu nieswojo. Wodospad stanowił granicę między laguną i światem zewnętrznym, światem, o którym prawie zapomniałem, i stojąc nad basenem, zdałem sobie sprawę, że nie chcę, by mi o nim przypominano. Zadarłem głowę i patrząc przez wodną mgiełkę, dostrzegłem miejsce, gdzie kuciałem przed skokiem. To, co przeżyliśmy przedtem, budziło niedobre wspomnienia. Nie zatrzymałem się nawet, żeby obmyć twarz. Odszukałem ścieżkę prowadzącą do ogrodu i ruszyłem przed siebie.

Kwadrans później zobaczyłem Keaty'ego, który stojąc na skraju warzywnej grządki, posępnie dziobał chwasty zrobionym przez Bugsa rydlem.

- Cześć - rzucił z nagłym ożywieniem. - Co ty tu robisz?
 - Miałeś mi pokazać jakieś drzewo. Wcześniej skończyłem robotę.
 - Racja. Zapomniałem. - Popatrzył na Jeana, który warczał na jednego z ogrodników. - Jean!
- Francuz odwrócił głowę.
- Muszę wiać trochę wolnego!
 - Hę?
 - Wróć później jeśli zdasz, dobra?
- Pomachał mu na do widzenia, a Jean niepewnie mu odmachał. Keaty wypchnął mnie z ogrodu.

- Jeśli mówisz szybko, ni cholery nie rozumie - wyjaśnił. - Inaczej kazałby mi czekać do fajrantu.

- Sprytne.

- Uhm.

* * *

Był to raketowiec rosnący jakieś dwadzieścia metrów na prawo od basenu. Zauważyłem go już wcześniej, kiedy zastanawiałem się, jak zejść z wodospadu. Kilka gałęzi prawie dotykało klifu i rozważałem, czy nie skoczyć na nie niczym Indiana Jones. Stojąc u jego stóp, cieszyłem się, że miałem dość rozsądku, by z tego zrezygnować. Skoczyłbym na złudnie cienką warstwę liści i z wysokości dwunastu metrów runąłbym na ziemię.

Drzewo, podobnie jak inne raketowce, było imponujące, ale to nie dlatego Keaty mnie tam przyprowadził. Chciał pokazać mi napisy wyżłobione w jego prawie czterometrowej długości stabilizatorze. Trzy imiona i cztery cyfry. Bugs, Sylvester, Daffy. I cztery zera.

- Sylvester?

- Sylvester.

Pokręciłem głową.

- Sal.

- Myślałem, że wiesz.

- A więc oni byli pierwsi?

- Pierwsi. Przyłynęli tu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. Łodzią wynajętą na Ko Pha-Ngan.

- Znali już tę wyspę, czy...

- Zależy, z kim gadasz. Bugs twierdzi, że dowiedział się o lagunie od jakiegoś rybaka z Ko Phaliu, ale Daffy mówił, że pływali z wyspy na wyspę i znaleźli ją przypadkiem.

- Przypadkiem...

- Ale obozowisko i całą resztę zaczęli budować dopiero rok później. Drugą połowę osiemdziesiątego dziewiątego spędzili na Goa i wrócili na Ko Pha-Ngan na Nowy Rok.

- Bo co? Bo Ko Pha-Ngan już się kończyła?

Kiwnął głową.

- Dogorywała. Wtedy zaskoczyli. Widzisz, pływali na Ko Samui, odkąd odkryli, że to tylko krok od Ko Pha-Ngan, gdzie turyści nie

mogli wtedy bywać, więc kiedy stwierdzili, że jeszcze rok i nie będą mieli do czego wracać...

- Tak, góra rok. Słyszałem, że w dziewięćdziesiątym pierwszym na Ko Pha-Ngan było już tragicznie.

- No, właśnie. Oni dostrzegli to wcześniej. Zwłaszcza Daffy. Daffy miał prawdziwą obsesję. Wiesz, że nie chciał jeździć do Indonezji?

- Nic o nim nie wiem.

- Bojkotował Indonezję przez Bali. Był tam raz, pod koniec lat osiemdziesiątych, i już nigdy potem nie wrócił. Ciągłe powtarzał, że rzygać mu się chciało, kiedy zobaczył, co się tam dzieje.

Usiedliśmy pod stabilizatorem raketowca i zapaliliśmy.

- Tak czy inaczej - mruknął Keaty, mocno wydmuchując dym - trzeba przyznać, że odwalili kawał dobrej roboty.

- Fakt.

- Wiedzieli, co robią. Kiedy Sal mnie tu przywiozła, a było to... tak, w dziewięćdziesiątym trzecim, prawie wszystko było już gotowe. Stał barak, nad polaną wisiał baldachim.

- Dwa lata.

- Uhm. - Podał mi papierosa.

- Kiedy przypląnąłeś, ludzi było tyle samo co teraz?

Myślał chwilę.

- Prawie.

Spojrzałem na niego, wyczuwając, że kręci.

- Jak to „prawie”?

- Nie licząc Szwedów.

- Przez dwa lata doszli tylko Szwedzi?

- I Jed. Szwedzi i Jed.

- To nie tak wielu. Dobrze strzeżliście tajemnicy.

- Uhm. Zgasilem papierosa.

- A co znaczą te zera? Uśmiechnął się lekko.

- To data. Pomysł Daffy'ego.

- Data? Czego?

- Ich przyjazdu na wyspę.

- Mówiłeś, że dotarli tu w osiemdziesiątym dziewiątym.

- Owszem. - Wstał i poklepał płetwę stabilizatora. - Ale Daffy mówił, że jest to rok zerowy.

Objawienia

Zaszyjesz się na Bali, na Ko Pha-Ngan, Ko Tao czy Bocoray, a stonka prędzej czy później cię dopadnie. Nie ma mowy, żeby Samotna Planeta się przed nią uchroniła. A gdy już przypuści szturm, rozpoczyna się odliczanie do dnia Sądu Ostatecznego. Ale kiedy zaszyjesz się w rezerwacie, w narodowym parku morskim, gdzie nie powinno cię być...

Im więcej o tym myślałem, tym bardziej mnie to fascynowało. Nie w pierwszym lepszym parku morskim, tylko w parku morskim w Tajlandii. Akurat tu, w mekce wędrowców, w krainie plecaków. Słodszą od ironii była jedynie logika. Filipiny to archipelag złożony z siedmiu tysięcy wysp, lecz nawet tam, na tym olbrzymim, wystrzępionym wybrzeżu, tajemnica taka jak nasza byłaby trudna do utrzymania. Ale kto zauważy, że spośród legionów podróżnych odwiedzających Bangkok i południowe wyspy kraju kilku się chyłkiem odłączyło?

Dziwne, że najmniej intrygowało mnie, jak tego dokonali. Wiedziałem, jak. W trakcie moich podróży nauczyłem się jednego: jeżeli chce się coś zrobić, trzeba to po prostu zrobić, i już. Nie mów, że lecisz na Borneo. Zarezerwuj bilet, załatw wizę, spakuj plecak i ruszaj.

Na podstawie skąpej opowieści Keaty'ego wyobraziłem sobie taką scenę: styczeń roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego, a może Nowy Rok. Ko Pha-Ngan, a może Hat Rin. Wschód słońca. Daffy, Bugs i Sal rozmawiają. Sal znalazła łódź do wynajęcia - może nawet ją kupią - a Bugs ma w plecaku kilka narzędzi. Daffy załatwił worek ryżu i trzydzieści torebek zupy w proszku. Rozmiękła czekolada oblepiła manierkę i przybrała jej kształt.

Siódma rano. Idą plażą. Gdzieś z tyłu, z nadbrzeżnych głośników, słychać dudnienie przenośnego generatora. Nie oglądają się za siebie, tylko spychają łódź na wodę i wyruszają do swego tajemnego raj, który odkryli przed rokiem.

Wracając do obozowiska - po drodze miałem wpaść do koralowego ogrodu i zgarnąć Etienne'a - nagle stwierdziłem, że chciałbym znowu spotkać się z panem Kaczorem. Żeby uścisnąć mu rękę.

* * *

Nie znalazłem ani Etienne'a, ani Françoise. Na plaży wpadłem na Gregoria. Niósł na polanę nasze ryby, a kiedy powiedziałem mu, dokąd idę, spojrzał na mnie niepewnie.

- Chyba musisz trochę zaczekać - powiedział. - Tak z godzinę.
- Dlaczego?
- Etienne i Françoise...
- Kochają się?
- Nie wiem, ale...
- Uhm. Godzinę, powiadasz? Uśmiechnął się zakłopotany.
- Może go trochę przeceniam.

Przypomniała mi się moja pierwsza noc w Bangkoku i pokręciłem głową.

- Nie - odrzekłem zirytowany swoim spiętym głosem. - Masz dobre oko.

I tak wróciłem do obozowiska z Gregoriem.

Nie było tam nic do roboty i mogliśmy tylko porównywać nasze ryby z rybami upolowanymi przez innych. Szwedzi jak zwykle przynieśli największe i chwalili się kucharzom swoimi niezawodnymi technikami. Wkurzali mnie jak jasna cholera, ale jeszcze bardziej denerwowały mnie natrętne obrazy przedstawiające Etienne'a i Françoise na plaży. Nie dawały mi spokoju i w końcu, żeby zająć czymś myśli, poszedłem do namiotu Keaty'ego i wygrzebałem gameboya.

* * *

Większość hersztów walczy systemem: rozgryziesz system, zabijesz herszta. Ich klasycznym przedstawicielem jest pierwsze wcielenie Doktora Robotnika z „Sonic One” (wersja megadrive firmy „Greenhills Zone”). Kiedy Robotnik schodzi z góry ekranu, skocz na niego z lewej platformy. Kiedy zaatakuje, uchyl się i skocz na niego z prawej. Kiedy zwróci się w prawo, powtórz wszystko od początku, tylko na odwrotną stronę. I tak osiem razy, bo za ósmym razem Robotnik wybuchnie i ucieknie.

Doktor Robotnik jest łatwy. Pokonanie innych hersztów wymaga większej zręczności i sporego wysiłku. Na przykład herszt z

„Tekken” to nieugięty, wymachujący pięściami koszmar.

Hersztem, który odwrócił moją uwagę od Etienne'a i Françoise, był nie kto inny jak sam Wario, nemezis Maria. Sęk w tym, że aby do niego dotrzeć, musiałem pokonać siedem morderczych poziomów. W drodze do jego siedziby mocno oberwałem, tracąc cenną możliwość uzupełnienia energii niezbędnej do tego, żeby łotra wykończyć.

Od czasu do czasu zaglądał mi przez ramię Unhygienix. Odchodził od garów, żeby sprawdzić, jak sobie radzę. On i Keaty byli jedynymi kolonistami, którzy zdołali ukończyć grę.

- Nie przystawaj na tej platformie. - (Mówił z silnym włoskim akcentem, którego nie próbuję tu nawet naśladować. Będziecie musieli go sobie wyobrazić).

Sfrustrowany, nachmurzyłem czoło.

- Jeśli nie przystanę, przywali mnie spadająca skała.

- Si. Dlatego trzeba szybciej skakać. O tak.

Chwytał gameboya i biorąc pod uwagę wielkość jego płaskich dłoni, muszę przyznać, że sterował Mariem z zaskakującą zręcznością. Pokazywał mi, jak przejść dany etap gry, po czym wracał do gotowania, rytmicznie postukując palcami w swój gigantyczny brzuch. Gameboy był potem śliski i cuchnął rybą, uznałem jednak, że to dobra cena za jego rady.

Trwało to półtorej godziny, ale w końcu udało mi się dopaść Waria z pełnym zapasem energii. A przynajmniej tak wydawało mi się do chwili, gdy monochromatyczny ekran zaczął błędnąć.

- Baterie! - wrzasnąłem.

Keaty, który zdążył już wrócić z ogrodu, wystawił głowę z namiotu.

- To już ostatnie, Rich.

- Nie została ani jedna?

- Ani jedna.

- Ale miałem właśnie rozwalić Waria!

Przepraszająco wzruszył ramionami.

- Może trochę odczekaj. Jeśli wyłączysz go na dwadzieścia minut, jeszcze z pięć pograsz.

Jęknąłem. Pięć minut to stanowczo za mało. Wyczerpane baterie były gorzkim ciosem. Mogłem przeboleć, że Wario ocalał, ale

„Tetris” to zupełnie inna sprawa. Odkąd Keaty powiedział mi o swoim rekordzie - sto siedemdziesiąt siedem linii - uporczywie próbowałem go pobić. Moim najlepszym wynikiem było sto sześćdziesiąt, ale codziennie go podwyższałem.

- Co za absurd! - powiedziałem. - A walkmany?

Keaty westchnął.

- Walkmany możesz sobie odpuścić.

- Dlaczego?

- Dawajcie, a będzie wam dane, odmierzą wam bowiem taką miarę, jaką wy mierzycie.

Zdębiałem.

- Że co?

- Do piętnastego roku życia co niedzielę chodziłem do kościoła.

- Cytujesz Biblię?

- Ewangelia według świętego Łukasza, rozdział szósty, werset trzydziesty ósmy.

Nie do wiary.

- Chryste, co ma z tym wspólnego Biblia?

- Jest tu tylko pięciu ludzi, którzy mają walkmany. Wszyscy prosili mnie kiedyś o baterie i wszystkim odmówiłem.

- Aha... No, to dupa.

- Uhm - zgodził się ze mną Keaty. - Na to wygląda.

Niewidzialne sznurki

Los sprawił, że mimo wszystko nie daliśmy dupy. Pomoc nadeszła z najmniej spodziewanej strony.

Poszliśmy do kuchni, żeby powiedzieć Unhygieniksowi o bateriach, i kiedy zacząłem mu tłumaczyć, w czym rzecz, odwrócił się od ognia z twarzą lśniącą od potu i zaczerwienioną z gniewu. Odruchowo cofnąłem się o krok, zdumiony, że tak bardzo się przejął.

- Baterie? - powtórzył niepokojąco cichym głosem.

- Uhhh... Tak.

- A ryż?

- Ryż?

Pomaszerował szybko do magazynu żywności. My za nim.

- Spójrzcie!

Zajrzeliśmy do środka. Były tam tylko trzy puste i dwa pełne worki ryżu.

- No i? - rzucił Keaty.

Unhygienix gwałtownie rozwiązał najbliższy worek i wysypał się z niego ryż: czarno-zielony, napęczniały, zbity w wielkie grudy i kompletnie spleśniały.

- Jezu - wymamrotałem, zatykając sobie nos i zasłaniając usta przed odrażającym fetorem. - Koszmar.

Kucharz wskazał dach.

- Przeciek?

Unhygienix kiwnął głową, zbyt wściekły, żeby odpowiedzieć, i wrócił do swoich garów.

- Cóż - mruknął Keaty, gdy wracaliśmy do namiotu. - Nie ma tego złego. Powinieneś się cieszyć.

- Jak to?

- Brak ryżu to Wyprawa po Ryż. Przy okazji kupimy nowe baterie.

* * *

Leżał na plecach, paląc mojego papierosa. Zostało mi tylko pięć paczek, ale ponieważ wykończyłem jego baterie, nie mogłem mu odmówić.

- Moim zdaniem ludzie nie lubią tego z dwóch powodów - teoretyzował. - Po pierwsze, Wyprawa po Ryż jest bardzo uciążliwa. Po drugie, to powrót do świata.

- Do świata?

- Do świata. Daffy tak mówił. Tu jest plaża, a świat to cała reszta.

Uśmiechnąłem się. Dobrze wiedziałem, skąd Daffy wziął to określenie: z tego samego miejsca co ja. Keaty podparł się łokciami.

- Co cię tak śmieszy?

- Nic, tylko... Żołnierze w Wietnamie nazywali tak Amerykę. Nie wiem. Po prostu pomyślałem, że to zabawne.

Powoli kiwnął głową.

- To histeria.

- Co się robi podczas Wyprawy po Ryż?

- Dwóch ludzi bierze łódź i płynię na Ko Pha-Ngan. Kupują ryż i wracają.

- Mamy łódź?

- Oczywiście. Nie wszyscy płyną tak dobrze jak ty.

- Nie wiedziałem... Nie przypuszczałem, że... Szybki skok na Ko Pha-Ngan to chyba nic strasznego, co?

Teraz z kolei on się uśmiechnął.

- Tak, ale nie widziałeś jeszcze tej łodzi.

Godzinę później na polanie zasiedli kręgiem wszyscy koloniści - wszyscy oprócz Etienne'a i Françoise, którzy nie wrócili jeszcze z plaży. Wiadomość o spleśniałym ryżu rozniosła się błyskawicznie i Sal zwołała naradę.

Gdy czekaliśmy na jej rozpoczęcie, Keaty trącił mnie łokciem i szepnął:

- Założę się, że Jed zgłosi się na ochotnika.

- Jed?

- Uwielbia takie rzeczy. Obserwuj go, sam się przekonasz.

Już miałem mu odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie Sal klasnęła w dłonie i wstała.

- No, dobrze - zagaiła z ożywieniem. - Jak wszyscy wiecie, mamy problem.

- I to, kurwa, spory - mruknął z przeciwległej strony kręgu ktoś mówiący z australijskim akcentem.

- Myśleliśmy, że ryżu starczy na siedem tygodni, ale okazuje się, że zostało go tylko na dwa dni. Nie jest to katastrofa i nikt nie umrze z głodu, mimo to problem trzeba rozwiązać. - Zamilkła. - Wiecie, o co chodzi. Musimy zorganizować Wyprawę po Ryż.

Ten i ów wydał z siebie okrzyk niezadowolenia; wyglądało na to, że głównie z poczucia obowiązku.

- Tak więc... Kto się zgłasza?

Jed natychmiast podniósł rękę.

- Nie mówiłem? - szepnął Keaty.

- Dziękuję, Jed. Jednego ochotnika już mamy. Kto jeszcze? - Sal powiodła wzrokiem po twarzach zebranych, z których większość pospuszczała głowy. - No! Przecież wiecie, że Jed nie może płynąć sam.

Tak samo jak przed skokiem z wodospadu zdałem sobie sprawę z tego, co robię, kiedy już to zrobiłem. Moja ręka powędrowała do

góry jak na niewidocznym sznurku przywiązany do nadgarstka.

Sal zerknęła na Bugsa. Kątem oka zauważyłem, że wzruszył ramionami.

- Ty też się zgłaszasz, Richard?

- Tak - odrzekłem, wciąż trochę zdziwiony, że naprawdę podniosłem rękę. - Tak. Na ochotnika.

Sal posłała mi uśmiech.

- Dobrze. W takim razie sprawa załatwiona. Wypłyniecie jutro rano.

* * *

Prawie nie musieliśmy się przygotowywać. Potrzebowaliśmy tylko ubrań, bo pieniądze dała nam Sal. Resztę dnia spędziłem na odpieraniu zarzutów Keaty'ego, który twierdził, że zwariowałem.

Etienne i Françoise wrócili z plaży o zmroku. Oni też byli zdziwieni, że się zgłosiłem.

- Mam nadzieję, że życie na wyspie cię nie znudziło - powiedziała Françoise, gdy gawędziliśmy przed wejściem do baraku.

- A skąd! - odrzekłem ze śmiechem. - Pomyślałem tylko, że może być ciekawie. Poza tym nie byłem jeszcze na Ko Pha-Ngan.

- To dobrze. Byłoby smutno, gdyby Eden cię znudził, non? Jeśli Eden cię znudzi, co ci zostanie?

- Eden?

- Nie pamiętasz? Zeph nazywał tę wyspę Edenem.

- Zeph... - Zmarszczyłem czoło, ponieważ (jakżeby inaczej?) zdążyłem już o tym zapomnieć. - Słusznie. Tak ją nazywał.

Czas na kreskówkę

Wbijałem wzrok w wodę. Inaczej nic z tego nie wychodziło. Obrazy pod powierzchnią nieustannie się zmieniały i musiałem się skoncentrować, żeby zrozumieć, co widzę.

Patrzyłem na koralowce. Na czerwone koralowce o białych zakrzywionych paluchach. Ale już w następnej chwili widziałem nagie żebra sterczące z zakrwawionych zwłok. Z rozerwanych na strzępy ciał, z dziesięciu, dwudziestu, a może nawet z tylu, ile było koralowców.

- Test Rorschacha - powiedział pan Kaczor.

- Ummm.

- Czy to rój motyli? A może kwietnik? Nie. To sterta martwych Kambodżan. - Roześmiał się cicho. - Tego testu nie zaliczyłeś.

- Ty chyba też nie.

- Dobrze powiedziane, Richard. Celna uwaga.

Pan Kaczor spojrział na swoje rany. Na nadgarstkach i przedramionach utworzyły się wielkie czarne strupy. Wyglądało na to, że w końcu przestał krwawić.

- Muszę ci powiedzieć, że przeżyłem koszmar, zanim się w końcu zamknęły. Kurewski koszmar. Serio.

- Jak to zrobiłeś?

- Założyłem sobie opaski uciskowe, co spowolniło upływ krwi na tyle, że nareszcie zaczęła krzepnąć. Sprytne, co?

- Zuch, chłopak... - zacząłem, dostrzegając swoją szansę, ale natychmiast mi przerwał.

- Dobra, dobra, wystarczy. - Zakołysał się na piętach niczym dziecko, które ma do przekazania dobrą wiadomość. - Chcesz wiedzieć, po co to zrobiłem?

- Po co zagoiłeś sobie rany?

- Tak.

- No?

Uśmiechnął się z dumą.

- Zrobiłem to, ponieważ chciałeś uścisnąć mi rękę.

Uniosłem brwi.

- Nie pamiętasz? Oglądałeś to drzewo przy wodospadzie i wracając na polanę, pomyślałeś, że chciałbyś uścisnąć mi dłoń. Powiedziałem sobie tak: Nie pozwolę, żeby uścisnął mi dłoń, kiedy krwawię jak zarzynana świnia! Po moim trupie! - Ostatnie słowa mocno podkreślił, dźgając palcem powietrze. - Rich uściśnie czyściutką rączuchnę. Czyściutką i suchą. Taką, na jaką zasługuję.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, zupełnie o tym zapomniałem i nie byłem pewien, czy nadal tego chcę.

- Ale...
- No to grabula! - Z ciemności wystrzeliła pokryta strupami ręka.

- Ale...
- Co ty, Richard? Nie uściśniesz mi ręki? Nie wierzę.
Miał rację. Nie potrafiłbym odtrącić wyciągniętej ręki, nawet ręki wroga.

- Jasne. Oczywiście... - odparłem i jakby po namyśle do dałem: - Daffy.

Wyciągnąłem swoją.

Eksplodowały mu nadgarstki. Rozpękły się w dwóch fontannach krwi, która, sikając niczym z ogrodowego węża, przemoczyła mnie, oślepiła i zalała mi usta.

- Przestań! - wrzasnąłem, plując i odwracając się do niego tyłem.

- Nie mogę!

- Kurwa mać, natychmiast przestań!

- Ale...

- Jezu!

- Zaczekaj! Zaczekaj... Już ustaje.

Syk tryskającej krwi przeszedł w rytmiczny chłupot. Ostrożnie zerknąłem przez ramię. Pan Kaczor stał z rękami na biodrach i wciąż obficie krwawiąc, patrzył na moje przemoczone ubranie.

- Chryste! - Pokręcił głową. - Czuję się... niezręcznie. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę, Richard. Nie wiem, jak cię przepraszać.

- Ty głupi sukinsynu! Wiedziałeś, że pękną!

- Nie... Właściwie to tak, ale...

- Kurwa mać, wszystko sobie zaplanowałeś!

- To miał być żart.

- Żart?! - Zawahałem się. W ustach czułem smak żelaza i soli.
Zrobiło mi się niedobrze. - Idiota!

Opadły mu ramiona.

- Przepraszam - wymamrotał ze smutkiem. - To był chyba kiepski pomysł... Chyba lepiej sobie pójdę. - Minał mnie i przekroczył krawędź skalnej półki, ale, zamiast spaść do wody, po prostu zawisł w powietrzu.

- Odpowiesz na jedno pytanie?

- Na jakie?

- Kogo zamierzasz tu ściągnąć?
- Skąd?
- Stamtąd, ze świata. Przecież ty i Jed...

Nagle urwał i zmarszczył czoło. Potem spojrział w otchłań pod stopami, jakby dopiero teraz ją zauważył.

- O cholera! - jęknął i runął w dół jak kamień.

Wychyliłem się. Fale opadły, ale woda była zmacona krwią i nie mogłem go dostrzec. Odczekałem chwilę, żeby sprawdzić, czy nie wypłynie, ale nie wypłynął.

WYPRAWA PO RYŻ

Jed

Nie pozwolił mi obudzić Etienne'a i Françoise. Prośli, żebym się z nimi pożegnał, ale Jed pokręcił głową i powiedział:

- To niekonieczne.

Stałem przy pogrążonych we śnie Francuzach, zastanawiając się, o co mu chodzi. Obudził mnie pięć minut wcześniej, zatykając mi ręką usta i szepecząc „Ciiii” tak blisko ucha, że musnął mi brodą policzek. Uważałem, że właśnie to było niekonieczne.

I że niekoniecznie musiał zabierać nóż. Zobaczyłem go na plaży, kiedy szykowaliśmy się do przepłynięcia laguny: duży nóż o zielonej rękojeści i pokrytej teflonem klindze.

- Po co ci to? - spytałem.

- Oł, narzędzie - odparł treściwie. Puścił do mnie oko i dodał: - Paskudny, co? - Po czym wszedł do wody z majchrem w zębach.

* * *

Do Wyprawy po Ryż był dla mnie tajemnicą. Najwięcej czasu spędziliśmy razem pierwszego dnia, kiedy przyprowadził nas do obozowiska po skoku z wodospadu. Potem prawie się nie widywaliśmy. Niekiedy spotykałem go wieczorami - nigdy wcześniej, ponieważ dopiero wtedy wracał na polanę - i jeśli w ogóle wszczynaliśmy rozmowę, była to rozmowa o niczym. Rozmowa o niczym z reguły wystarcza mi do wyrobienia sobie opinii o rozmówcy. Szybko go oceniam, często błędnie, a potem uparcie tę ocenę podtrzymuję. Ale w przypadku Jeda zrobiłem wyjątek i wstrzymałem się z wydawaniem osądów. Postąpiłem tak głównie ze względu na sprzeczne

opinie na temat jego charakteru. Unhygienix go lubił, a Keaty uważał go za wygłupa.

- Siedzieliśmy sobie na plaży - opowiadał kiedyś z czołem zrytym zmarszczkami irytacji - i nagle z dżungli dobiegł nas jakiś trzask. Pewnie orzech kokosowy spadł z palmy albo coś w tym rodzaju. Krótko mówiąc, trzask. Jed zesztyniał i zerknął przez ramię. Tak, wiesz, niby odruchowo, jak doświadczony komandos.

Kiwnąłem głową.

- Chciał, żebyście to zauważyli.

- Właśnie. Chciał, żebyśmy zauważyli, jaki jest, kurwa, czujny! - Roześmiał się, pomilczał trochę i znowu rozpoczął znajomą diatribę na temat harówki w ogrodzie.

Ale Unhygienix Jeda lubił. Czasami, wychodząc nocą do kibelka, widziałem, jak siedzieli razem przy kuchni i palili trawkę z plantacji. A skoro Unhygienix go lubił, Jed nie mógł być taki zły.

* * *

W klifie od strony morza były trzy jaskinie. Jedna przy koralowych ogrodach u podstawy szczeliny o wystrzępionych brzegach, druga dwieście metrów na prawo od niej, a trzecia około pięćdziesięciu metrów na lewo. Płynęliśmy do tej ostatniej.

Dobrze mi się płynęło. Morze było chłodne i szybko rozpędziło poranną mgiełkę w głowie. Większość drogi pokonałem pod wodą, obserwując czmychające ryby i zastanawiając się, która z nich trafi tego dnia na stół. To dziwne, że w lagunie było tyle ryb. Codziennie zabijaliśmy co najmniej trzydzieści, mimo to wcale ich nie ubywało.

Zanim dotarliśmy do jaskini, wstał świt. Słońca jeszcze nie widzieliśmy - łuk klifu łączącego się z brzegiem zasłaniał widok od wschodu - ale niebo było już jasne.

- Znasz to miejsce? - spytał Jed.

- Widziałem je z głazów.

- Ale nigdy tędy nie przepływałeś.

- Nie. Byłem kiedyś w koralowych ogrodach i widziałem jaskinię. Tuż pod szczeliną.

- Ale nigdy tędy nie przepływałeś - powtórzył.

- Nie.

Spojrzał na mnie z naganą w oczach.

- Błąd. Złota zasada głosi: kiedy trafisz do nowego miejsca, najpierw sprawdź, jak z niego wyjść. Te jaskinie to jedyna droga na otwarte morze.

Wzruszyłem ramionami.

- To tędy wchodzisz na klif, żeby przedostać się za wodospad?

- Spójrz tam. - Wszedł do grotty i wskazał pionowo w górę. Dziwne, ale w ciemności dostrzegłem okrągły skrawek błękitu wielkości pięści, a kiedy oczy przywykły do słabego światła, zauważyłem zwisającą z szybu linę.

- Komin - wyjaśnił. - Można wspiąć się i bez liny, ale z liną jest łatwiej.

- Wspiąć się i szczytem klifu wrócić na wyspę, tak?

- Otóż to. Chcesz spróbować?

- Jasne. - Miałem wrażenie, że mnie sprawdza.

Uniósł brwi.

- Oho, łowca przygód! Nie wiedziałem, że z ciebie taki chojrak.

To mnie wkurzyło.

- Co w tym trudnego? Znalazłem tę lagunę i mogę...

- A może to laguna znalazła ciebie? - Zerknął na mnie kątem oka i nagle się uśmiechnął. - To tylko zgryw, Richard. Przepraszam. Zresztą nie mamy na to czasu. Podróż potrwa co najmniej cztery godziny.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma.

- Przybliżony czas przybycia: jedenasta zero zero.

- Jedenasta zero zero... - Zachichotał i poklepał mnie po ramieniu. - PCP, PK... - rzucił, naśladując rozwlekły amerykański akcent.

- Lubię takich facetów.

* * *

Keaty poznał Sal i Bugsa w Chiang Rai. Razem przeszli przez zieloną granicę do Birmy, a kiedy wyprawa dobiegła końca, Sal spytała go, czy chciałby trafić do rajku.

Gregorio pojechał na Sumatrę, gdzie go pobito i obrabowano. Kiedy znalazł go Daffy, próbował dotrzeć autostopem do Dżakarty, żeby skontaktować się z hiszpańską ambasadą. Daffy zaproponował mu forszę na bilet. Gregorio się wzbraniał, bo widział, że Kaczor

krótce stoi z forszą. „Czniaj Jawę” - poradził Daffy i powiedział mu o plaży.

Sal spędziła z Ellą osiemnaście godzin w autobusie. Ella miała przenośny zestaw do tryktraka.

Daffy usłyszał, jak Cassie pyta o pracę w jakimś barze w Patpongu.

Unhygienix ugotował Bugsowi obiad z sześciu dań na łodzi mieszkalnej w Srinagarze; na przystawkę była zupa z orzecha kokosowego, a na deser lody z mango.

Moshe przyłapał na gorącym uczynku manilskiego kieszonkowca, który próbował przeciąć brzytwą plecak Daffy'ego.

Bugs pracował z Jeanem przy winobranii w Blenheim w Nowej Zelandii.

Jed...

Jed po prostu się zjawił. Skoczył z wodospadu i wparadował do obozowiska z płóciennym śpiworem i z przemoczonym wiechciem trawki pod pachą.

Keaty powiedział, że koloniści wpadli w panikę. Czy jest sam? Jak dowiedział się o plaży? Czy idą za nim inni? Wszyscy biegali po polanie jak banda szaleńców, ale w końcu nadeszli Sal, Bugs i Daffy i zabrali Jeda do baraku na rozmowę. Pozostali czekali na dworze. Słyszeli wrzask Daffy'ego i głos Bugsa, który próbował go uspokoić.

* * *

Klif miał około trzydziestu metrów grubości, ale ujście jaskini było niewidoczne, ponieważ zaraz za wejściem jej strop opadał poniżej poziomu morza. Perspektywa nurkowania w czarnej wodzie niezbyt mnie cieszyła, ale Jed zapewniał, że strop szybko się wznosi.

- Kaszka z mleczkiem. Zanim się spostrzeżesz, znowu wypłyniesz na powierzchnię.

- Tak?

- A jak! Jest odpływ, więc mamy do pokonania tylko połowę długości jaskini. Podczas przyływu trzeba za jednym zamachem przepłynąć całą, ale nawet wtedy to pestka. - Wziął głęboki oddech, zanurkował i zostałem sam.

Odczekałem chwilę, pływając w miejscu i wsłuchując się w plusk wody odbijający się echem od ścian. Stopy i łydki miałem zimne -

sięgały chłodnej strefy, co przypomniało mi naszą zabawę w nurkowanie na Ko Samui.

- Łowca przygód - powiedziałem na głos. - Wziął mnie za łowcę przygód... - Wiedziałem, że był to tylko żart, że chciał mi dodać odwagi i chyba dodał. Chlupotliwe echo przyprawiało mnie o ciarki i czarna jak atrament woda wydała mi się o wiele mniej przerażająca.

* * *

Jed pracował w grupie Bugsa tylko sześć dni. Potem go zwolniono i zaczął chodzić za wodospad, „na te swoje głupie misje”, jak ujął to Keaty.

Początkowo dużo o tym mówiono. Koloniści uważali, że powinien pracować jak inni, i denerwowało ich, że Sal, Bugs i Daffy nie chcą wyjaśnić, dlaczego pozwalają mu chodzić luzem. Ale czas mijał, twarz Jeda stawała się coraz bardziej znajoma i wreszcie przestano zadawać pytania. Najważniejsze było to, że nikt za nim nie przypłynął, czego wszyscy się obawiali, poza tym Jed zapewniał regularne dostawy trawki, która przedtem była rzadkim luksusem.

Keaty miał swoją teorię. Ponieważ Jeda nie zrekrutowano, nikt go dobrze nie znał i jego ewentualne odejście mogłoby zagrozić bezpieczeństwu obozowiska. Dlatego kiedy odkryto jego upodobania, Sal zaczęła wysyłać go z tajnymi misjami tylko po to, żeby miał zajęcie i był zadowolony.

Osobiście uważam, że teoria jest mało prawdopodobna. Cokolwiek Jed robił, robił to jedynie dlatego, że tak chciała Sal. Dyplomacja nie miała z tym nic wspólnego.

* * *

Zwykle nurkuję z otwartymi oczami, ale wtedy wyjątkowo je zamknąłem i pracując samymi nogami, wymacywałem drogę rozczapierzonymi dłońmi. Założyłem, że każde uderzenie nóg popycha mnie do przodu o metr, i uważnie je liczyłem, żeby wiedzieć, jaką odległość już przepląnąłem. Doliczywszy do dziesięciu, zacząłem się niepokoić. W płucach narastał ból, a przecież Jed zapewniał, że podwodny przesmyk da się przepląnąć w niecałe czterdzieści sekund. Kiedy doliczyłem do piętnastu, dotarło do mnie, że muszę podjąć decyzję o ewentualnym powrocie do jaskini. Dałem sobie

jeszcze trzy uderzenia nogami i nagle czubki moich palców wychynęły na powierzchnię.

Wiedziałem, że coś jest nie tak, gdy tylko wziąłem pierwszy oddech. Powietrze cuchnęło. Cuchnęło tak strasznie, że chociaż płuca pękały mi z braku tlenu, prawie natychmiast się zadławiłem. Rozejrzałem się, odruchowo i bezsensownie, ponieważ wszędzie panowała ciemność tak doskonała, że nie widziałem nawet swoich palców, choć trzymałem je dwa centymetry od twarzy.

- Jed! - zawołałem.

Nie odpowiedziało mi nawet echo.

Wyciągnąłem rękę i dłoń utknęła głęboko w czymś mokrym, w czymś z zimnymi jak lód mackami, które momentalnie przywarły do skóry. Poczulem gwałtowny przypływ stężonej adrenaliny i czym prędzej wyszarpnąłem rękę.

- Wodorosty - szepnąłem, gdy dudnienie krwi w uszach nieco przycichło. Oblepiające skałę wodorosty, które tłumili wszelki hałas.

Znowu się zadławiłem i po chwili obficie zwymiotowałem.

- Jed...

Samopomoc

Kiedy już zacząłem, wymiotowałem nieustannie przez dobre kilka minut. Przy każdym skurczu żołądka zgiąło mnie wpół, tak że jechałem do Rygi z głową zanurzoną w wodzie, by natychmiast się wyprostować i nabrać powietrza przed następnym skurczem. W końcu, po trzech skurczach na pusto, wymioty ustały. Pławiłem się w ciemności i we własnych aminokwasach, dumając, co, kurwa, teraz.

Najpierw pomyślałem, że najlepiej będzie zanurkować i popłynąć dalej korytarzem, którym płynąłem dotąd; przypuszczałem, że wynurzyłem się za wcześnie, zmylony obecnością poduszki powietrznej, która powstawała w tym miejscu podczas odpływu. Łatwo powiedzieć. Kiedy wymiotowałem, skręcało mnie na wszystkie strony i kompletnie straciłem orientację. Wtedy przyszła mi do głowy myśl druga: trzeba określić wymiary poduszki. To mogłem

zrobić. Zacisnąłem zęby i znowu wepchnąłem dłoń w wodorosty. Odrzuciło mnie ze wstrętu, ale tym razem nie zabrałem ręki i przez oślizgłą warstwę wyczułem skalny strop mniej więcej metr nad głową.

Po kilku minutach macania udało mi się odtworzyć w miarę dokładny obraz mojej pułapki. Poduszka miała około dwóch metrów szerokości i trzech długości. Z boku była wąska półka, na której mogłem usiąść, ale pozostałe ściany opadały stromym łukiem prosto do wody. W tym miejscu obraz tracił spójność. Macając wokoło rękami i stopami, znalazłem cztery skalne korytarze. Pod wodą trudno jest stwierdzić cokolwiek na pewno i mogło być ich jeszcze więcej.

Ponure odkrycie. Gdyby były tylko dwa, to którymkolwiek bym popłynął, wynurzyłbym się albo w lagunie, albo w morzu po drugiej stronie klifu. Ale jeśli dwa pozostałe prowadziły donikąd? Mógłbym wpłynąć do jakiegoś labiryntu.

- Dwa z czterech - wymamrotałem. - Jeden z dwóch. Pół na pół. - Nie miało znaczenia, jak to ujmowałem. Szanse były marne.

Rozwiązanie alternatywne? Zostać na miejscu i czekać, aż znajdzie mnie Jed, ale niezbyt mi to odpowiadało. Czulem, że w tej ak-samitnej ciemności, w wodzie pełnej moich własnych wymiocin, prędzej czy później dostanę zajoba, poza tym nie miałem zielonego pojęcia, na jak długo starczy mi powietrza. Ta ostatnia myśl była szczególnie przerażająca. Wyobraziłem sobie, jak siedzę skulony na małej półce i wdychając stężony dwutlenek węgla, stopniowo popadam w złowieszczą senność.

Jakiś czas tkwiłem we względnym bezruchu, lekko poruszając nogami i rozważając wszystkie możliwe opcje. Potem ogarnęła mnie panika. Zacząłem dziko mlócić wodę, wpadając na ściany, dławiąc się i skamłąc. Wbijałem dłonie w wodorosty porastające strop i zrywałem je wielkimi polciami. Rozharatałem sobie łokieć o półkę, czulem, że po ramieniu spływa mi gorąca krew. „Ratunku! - krzyczałem. - Ratunku!”

- Ratunku...

Brzmiało to tak żałośnie, jakbym płakał. Zaszokowany, na chwilę umilkłem i sekundę później strach ustąpił miejsca fali obrzydzenia. Nie zważając na straszliwy odór, nabrałem powietrza i zanurkowałem. Tym razem nie mierzyłem czasu ani nie zastanawiałem

się, który korytarz wybrać. Wpłynąłem do pierwszego z brzegu i poprułem przed siebie ze wszystkich sił.

Lista

Wybrałem fatalnie. Rękami i nogami boleśnie tłukłem o ściany, a głęboko w piersi wyrosła mi gula wielkości grejpfruta, która parla w stronę gardła. Mniej więcej pięćdziesiąt sekund później ciemność zaczęła ustępować miejsca czerwieni. Gdy czerwień się rozjarzyła, a gula dotarła do jabłka Adama, pomyślałem, że umieram. Pośrodku czerwieni wykwitła świetlista plama. Była żółta, ale wiedziałem, że zaraz zbieleje. Przypomniał mi się pewien program telewizyjny, w którym twierdzono, że tuż przed śmiercią człowiek widzi światełko na końcu tunelu, gdyż taki obraz wytwarzają umierające komórki mózgu. Nagle ogarnęła mnie całkowita rezygnacja. Dotychczas płynąłem żabką, teraz mlóciłem wodę chaotycznym pieskiem. Kiedy zaszurałem brzuchem o skałę, zdałem sobie sprawę, że nie wiem już, gdzie jest góra, gdzie dół.

I wtedy się wkurzyłem. Wiem, że brzmi to nonszalancko, ale inaczej nie potrafię tego opisać. Myślę, że część mojego otępiałego umysłu nie chciała przyznać, iż teoria ułamka sekundy przed końcem gry jest teorią całkowicie mylną. Bo ani nie wpadłem we wściekłość, ani nie walczyłem. Po prostu pograżałem się w niebycie. Opór tej części umysłu dodał mi sił, a wraz z przyływem energii przyszła świadomość, że czerwień wcale nie musi oznaczać śmierci. Mogło to być światło, promienie słońca przebijające wodę i skórę mocno zaciśniętych powiek. Wykorzystując resztki sił, zmusiłem się do jeszcze jednego machnięcia nogami.

Wpłynąłem na światłość i świeże powietrze. Gwałtownie zamrugałem i dysząc jak przebita ościeniem ryba, powoli skupiłem wzrok na rozmazanej sylwetce Jeda. Siedział na skalnej półce. Przy półce cumowała długa łódź w kolorze morza.

- Hej! - rzucił, nie oglądając się za siebie. - Nie spieszyłeś się, hmm?

Początkowo nie mogłem odpowiedzieć, gdyż wciąż pompowałem w siebie powietrze.

- Co tam robiłeś? Nie było cię całe wieki.

- Topiłem się - wycharczałem.

- Naprawdę? Znasz się na silnikach? Próbowałem go uruchomić, ale nic z tego.

Podpłynąłem bliżej i spróbowałem wciągnąć się na półkę, ale byłem zbyt osłabiony i chlupnąłem z powrotem do wody.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Jasne. - Zaczął bezwiednie przesuwając ostrzem noża po brodzie, jakby się golił. - Benzyna jest, bo zaglądałem do baku, a jeszcze wczoraj pływali nią Szwedzi...

- Jed! Utknąłem w poduszce powietrznej, z której wychodziło więcej korytarzy niż... niż... - Urwałem, nie mogąc odszukać w pamięci żadnej słynnej budowli z wielką liczbą wejść. - Omal się nie utopiłem!

Dopiero wtedy na mnie spojrział.

- W poduszce powietrznej? - Opuścił nóż. - Jesteś tego pewien?

- Kurwa mać, no jasne, że jestem!

- Gdzie?

- A skąd mam wiedzieć? Gdzieś... gdzieś tam. - Spojrzałem na czarne ujście jaskini i zadygotałem.

Jed zmarszczył czoło.

- Dziwne. Pływałem tędy setki razy i nigdy nie znalazłem żadnej poduszki.

- Uważasz, że kłamię?

- Nie, ale... I mówisz, że jest tam kilka wyjść?

- Co najmniej cztery. Wymacałem je, ale nie wiedziałem, którym popłynąć. To był koszmar. Prawdziwy koszmar.

- W takim razie musiałeś zboczyć z głównego przesmyku. Cholera, przepraszam cię, Richard. Naprawdę nie wiedziałem, że coś takiego może się zdarzyć. Pływam tędy tak często, że pewnie odruchowo wybieram właściwą trasę. - Głośno zacmokał. - Ale to niesamowite. Pływali tędy dosłownie wszyscy i nikt nigdy nie zablądził.

Ciężko westchnąłem.

- Mam, kurwa, szczęście.

- Co pech, to pech. - Podał mi rękę i pomógł wyjść z wody.

- Mogłem tam umrzeć.

Kiwnął głową.

- Fakt. Bardzo mi przykro.

Jakiś głos w mojej głowie mówił, że powinienem się na niego wściec, ale nie bardzo wiedziałem, za co. Dlatego położyłem się na plecach i spojrzałem w chmury. Po niebie sunęła maleńka srebrzysta plamka, ciągnąc za sobą białą smugę pary wodnej. Wyobraziłem sobie siedzących przy oknie pasażerów, którzy spoglądają w dół na Zatokę Tajlandzką i zastanawiają się, co też może się tam dziać. Kilku z nich na pewno patrzyło na naszą wyspę.

Nie, nie odgadliby tego nawet za milion lat. Na tę myśl wykrzesalem z siebie słaby uśmiech.

Na ziemię sprowadził mnie Jed.

- Śmierdzisz rzygowinami - powiedział.

- Bo w nich pływałem.

- I łokieć ci krwawi.

Spojrzałem na swoją rękę i natychmiast zaczęła mnie piec.

- Chryste, jestem wrak.

Pokręcił głową.

- Nie ty, tylko łódź.

* * *

Miała sześć metrów długości, metr dwadzieścia szerokości i pojedynczy bambusowy wysięgnik na prawej burcie. Lewą burtą, zabezpieczoną odbojnicami z grubych, ciasno splecionych liści palmowych, dotykała skalnej ściany. Niewidoczna od strony morza, cumowała bezpiecznie w miniporcie ukrytym za wejściem do jaskini.

W łodzi leżał rybacki sprzęt Szwedów. Ich ościenie były dłuższe od naszych i z zazdrością odnotowałem, że zdobyli skądś podbierak. Nie to, że łowiąc w lagunie, potrzebowaliśmy podbieraka, ale na pewno by się przydał. Mieli też żyłkę i haczyki, co tłumaczyło fakt, dlaczego zawsze przynosili największe ryby.

Wbrew temu, co powiedział Jed, od razu tę łódź polubiłem. Podobał mi się jej południowoazjatycki kształt, ozdobne malunki na dziobie, silny zapach morskiej trawy i przesiąkniętego solą drewna. Ale najbardziej podobało mi się to, że dobrze takie łodzie znałem z licznych podróży na inne wyspy.

Cieszyło mnie, że mam zapas wspomnień, dzięki którym mogę odczuwać tę egzotyczną nostalgię.

Kiedy zacząłem podróżować, zbieranie wspomnień czy też doświadczeń było głównym celem moich wszystkich wypraw. Kolekcjonowałem je, jak filatelista kolekcjonuje znaczki pocztowe, układając w głowie listę rzeczy, które chciałem zrobić albo zobaczyć. Większość ich była banalna. Chciałem zobaczyć Tadź Mahal, Borobudur, tarasy ryżowe w Bagio, Angkor Wat. Mniej - a może bardziej - banalne było to, że pragnąłem zobaczyć, jak wygląda prawdziwa nędza. Uważałem, że jest to doświadczenie, które powinien zaliczyć każdy, kto chce uchodzić za interesującego światowca.

Oczywiście najpierw odhaczyłem na liście nędzę. Potem musiałem podejmować wyzwania trudniejsze i bardziej ponure: na przykład udział w zamieszkach. Dążyłem do tego z obsesyjnym wprost zapalem. Zamieszki, gaz łzawiący na ulicach, huk odpalanych w gniewie pocisków - to było to.

Jeszcze potem zapragnąłem otrzeć się o śmierć. Kiedy miałem osiemnaście lat, spotkałem w Hongkongu starego azjatyckiego najemnika, który opowiedział mi, jak to trzymano go pod bronią w Wietnamie. Opowieść kończyła się tym, że przytknięto mu lufę do piersi i oświadczono, iż zaraz zginie.

- To zabawne - wyznał - ale w obliczu śmierci strach mija. Człowiek jest spokojny. Czujny, to naturalne, lecz spokojny.

Energicznie kiwnąłem głową. Nie to, żebym znał te odczucia z własnego doświadczenia. Po prostu byłem zbyt przejęty, żeby zrobić coś innego.

Otrzeć się o śmierć - przejście przez pole marihuany na płaskowyżu znakomicie do tej kategorii pasowało, tak samo jak przygoda w poduszce powietrznej. Nie mogłem tylko utrzymywać, że byłem „czujny (to naturalne), lecz spokojny”, choć tak bardzo chciałem kiedyś tę kwestię wykorzystać.

* * *

Dwadzieścia minut później doszedłem do siebie.

- No, dobra - powiedziałem, siadając. - Odpalajmy.

- Nic z tego. To rżęch. Chyba będziemy musieli ściągnąć tu Szwedów.

- Dam sobie radę. Pływałem takimi łodziami dziesiątki razy.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem, mimo to gestem ręki zaprosił mnie na pokład.

Wpełzłem na rufę i ku swej radości stwierdziłem, że znam ten typ silnika. Uruchamiało się go jak kosiarkę do trawy: trzeba było owinąć sznur wokół koła zamachowego i mocno szarpnąć. Po bliższej inspekcji odkryłem, że na sznurze jest gruby węzeł, na obwodzie koła rowek.

- Próbowałem pięćdziesiąt razy - mruknął Jed, gdy wepchnąłem węzeł w wycięcie.

- Wszystko zależy od ruchu nadgarstka - odparłem z celową wesołością. - Zaczynasz powoli, a potem szarpiesz.

- Tak?

Skończywszy, jeszcze raz powiodłem wzrokiem po silniku. Nie szukałem niczego konkretnego, ale chciałem, żeby Jed odniósł takie wrażenie. Próżność się oplącała. Spod warstwy smaru i brudu sterczał czubek prawie niewidocznego przełącznika, a tuż pod nim widniał napis ON/OFF. Zerknąłem przez ramię i ukradkiem ustawiłem przełącznik we właściwej pozycji.

- No to ognia! - wrzasnąłem, szarpiąc za koniec sznura.

Silnik odpałił natychmiast, nawet nie kichnął.

Ląd

Gdy w chmurze spalin wypływaliśmy hałaśliwie z ukrytego w klifie miniportu, przyznaję, że bardzo ciągnęło mnie na Ko Pha-Ngan. Choć wiadano, że złote czasy wyspa ma już za sobą, o Hat Rin wciąż krążyły legendy, tak samo jak o Patpong Road czy o szlakach opiumowych w Złotym Trójkącie, i chciałem się przekonać, dlaczego. Cieszyło mnie również to, że robię coś ważnego dla kolonistów. Nie znosili Wypraw po Ryz, aja zgłosiłem się na ochotnika i wiedziałem, że Sal to docenia. Czułem, że uczestniczę w przedsięwzięciu istotnym i wartościowym.

Ale już godzinę później, gdy na horyzoncie wyłoniła się sylwetka Ko Pha-Ngan, ciekawość zaczęła ustępować miejsca lękowi. Takiemu

samemu lękowi, jaki ogarnął mnie, gdy w drodze do ogrodu mijałem wodospad. Nagle uświadomiłem sobie, że powrót do świata oznacza powrót do tego, o czym tak skutecznie próbowałem zapomnieć. Nie byłem pewien konkretnie, do czego, lecz nie opuszczało mnie silne przekonanie, że nie chcę o tych rzeczach pamiętać. Nie mogliśmy rozmawiać - silnik potwornie ryczał - ale odniosłem wrażenie, że Jeda gnębią podobne myśli. Z ręką na rumplu siedział na tyle sztywno, na ile tylko pozwalało kołysanie łodzi, i ani na chwilę nie odrywał wzroku od wyspy.

Sięgnąłem pod szorty. Zabrałem z sobą nową paczkę papierosów - z nadzieją, że nie zamokną - oraz zapałki. I papierosy, i zapałki włożyłem do plastikowego pudełka, w którym Keaty przechowywał trawkę i bibułki.

- To najcenniejsza rzecz, jaką mam - powiedział, zanim mi je pożyczył. - Pilnuj go jak oka w głowie.

- Możesz na mnie liczyć - odparłem z powagą, wyobrażając sobie trzygodzinną podróż bez miligrama nikotyny.

Przypalanie papierosa było nader dramatyczne, ponieważ zapałki, tajskie barachło, pękały na pół, gdy się je przycisnęło za mocno do draski. W każdym razie pierwsze trzy pękły, czwartą zdmuchnął wiatr. Zabrałem ze sobą tylko dziesięć i zaczynałem już tracić zimną krew, ale w końcu jakoś się udało. Jed odpalił ode mnie i znowu przenieśliśmy wzrok na Ko Pha-Ngan. Między błękitem i zielenią mogłem już dostrzec pasmo białego piasku.

Żeby uniknąć myślenia o powrocie do świata, myślałem o Françoise.

Kilka dni przedtem urządziliśmy z Etienne'em zawody w koralowych ogrodach; chodziło o to, kto wskoczy do wody z mniejszym pluskiem. Poprosiliśmy, żeby została sędzią, więc obserwowała nas chwilę, potem wzruszyła ramionami i oznajmiła:

- Obaj jesteście bardzo dobrzy.

Etienne robił wrażenie zdziwionego.

- Tak - odrzekł niecierpliwie - ale który z nas jest lepszy?

Françoise znowu wzruszyła ramionami.

- Cóż mam powiedzieć? - odparła ze śmiechem. - Obaj nurkujecie po mistrzowsku. - I cmoknęła nas w policzek.

Ja też byłem zaskoczony. Etienne bił mnie w te klocki na łeb.

Nie miałem co do tego cienia wątpliwości. Bez wysiłku skakał tyłem na głowę, umiał zrobić scyzoryk i jaskółkę, miał w repertuarze szereg dziwnych łamańców bez konkretnej nazwy. Natomiast mnie skok tyłem nigdy nie wychodził: zwykle mnie przerzucało i zamiast na głowę lądowałem na nogi. Jeśli zaś chodzi o bezgłośnie nurkowanie, Etienne wchodził do wody prosto jak bambusowy oścień, ja zaś waliłem się do morza niczym pień drzewa z rozczapierzonymi gałęziami. Nie musiałem siebie oglądać, żeby wiedzieć, jak to wygląda.

Dlatego Françoise skłamała, mówiąc, że obaj nurkujemy równie dobrze. Było to kłamstwo dość zabawne. Nie złośliwe i najwyraźniej dyplomatyczne, jednocześnie zaskakujące i trudne do rozgryzienia.

* * *

- Na zachód... więcej miejsca!... - usłyszałem poprzez warkot silnika.

Okrzyk Jeda wyrwał mnie z przyjemnych marzeń. Obejrzałem się i przytknąłem rękę do ucha.

- Co mówisz?!

- Biorę kurs na zachód! - odwrzasnął. - Tam jest dłuższa plaża! I mniej chat!

Pokazałem mu uniesiony kciuk i znowu spojrzałem przed siebie. Kiedy rozmyślałem o Françoise, wyspa znacznie się przybliżyła. Rozróżniałem już pnie, a nawet liście palm kokosowych, widziałem kładące się za nimi cienie.

Powrót

Sto metrów od brzegu Jed wyłączył silnik, żebyśmy mogli dobić do brzegu o wiosłach. Chcieliśmy wyglądać na zwykłych wycieczkowiczów, ale niepotrzebnie zawracaliśmy sobie głowę. Plaża, na której wylądowaliśmy, była zupełnie pusta, nie licząc kilku starych, zapuszczonych chat, w których najwyraźniej od dawna nikt nie mieszkał.

Wskoczyliśmy do wody i ciągnąc łódź za wsięgnik, dobrnęliśmy do brzegu.

- Zostawimy ją tutaj? - spytałem, gdy wyszliśmy na piasek.
- Nie, trzeba ją ukryć. - Jed wskazał w kierunku drzew. - Może tam. Idź sprawdź, czy teren jest czysty.

- Dobra.

Ruszyłem przed siebie lekkim truchtem, ale niemal natychmiast musiałem zwolnić. Mój zmysł równowagi nie zdążył się jeszcze przystosować do warunków lądowych i zataczałem się jak pijany marynarz. Nieprzyjemne wrażenie szybko minęło, lecz przez jakiś czas musiałem uważnie stawiać nogi, w przeciwnym razie na pewno upadłbym jak długi.

Kilkadziesiąt metrów dalej znalazłem dwie palmy rosnące od siebie na tyle daleko, żeby zmieścił się między nimi wysięgnik łodzi, i na tyle blisko, żeby nie rzucać się w oczy. Przestrzeń między nimi porastały wysokie, rozłożyste krzewy, które mogłyby całkowicie przykryć łódź, zwłaszcza z pomocą kilku odpowiednio przyciętych gałęzi. Równie ważne było to, że najbliższa z opustoszałych chat stała co najmniej pięćdziesiąt metrów dalej.

- Tutaj będzie chyba dobrze, co?! - zawołałem.

- Jasne! - odkrzyknął. - Pomóż mi.

Byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy dysponowali trzecią parą rąk. Żeby nie uszkodzić śruby, musieliśmy jednocześnie dźwigać rufę i popychać łódź do przodu, a dokładniej mówiąc, do przodu i pod górę. Po piasku szło ciężko jak jasna cholera, ale gdy dotarliśmy do pasma niskiej trawy, rozpoczął się prawdziwy koszmar. Posuwaliśmy się krótkimi, chaotycznymi zrywami, od których omal nie pękały nam kręgosłupy, a każdy zryw zbliżał nas do celu najwyżej o trzydzieści centymetrów.

- Niech to szlag! - wydyszałem, gdy dźwignęliśmy rufę po raz dwudziesty i gdy dziób łodzi po raz dwudziesty zboczył z kursu. - Zawsze jest tak ciężko?

- Hę? - Jed nie rozumiał.

- Na Wyprawach po Ryż.

- Oczywiście - odparł, ocierając pot z brody. Oleiste krople spłynęły mu po przedramieniu i ściekły z łokcia. - Dlatego nikt nie chce tego robić.

W końcu zdołaliśmy wepchnąć łódź między palmy i ukryć ją pod baldachimem krzewów, a kiedy uzupełniliśmy kamuflaż o kilka

dotatkowych gałęzi, można ją było dostrzec tylko wówczas, gdy wiedziało się, gdzie szukać. Martwiliśmy się nawet, że sami jej nie znajdziemy, dlatego oznaczyliśmy to miejsce, wbijając w piasek rozwidlony patyk.

Byliśmy kompletnie wyczerpani, ale pocieszały nas dwie myśli. Po pierwsze, wiedzieliśmy, że zepchnięcie łodzi na wodę będzie znacznie łatwiejsze, gdyż teraz mieliśmy już „z górki”, poza tym ocean był o wiele większym celem niż wąski przesmyk między dwiema palmami. Po drugie, postanowiliśmy, że gdy tylko dojdziemy do Hat Rin, zjemy olbrzymi lunch.

Maszerowaliśmy plażą w dobrych nastrojach, zastanawiając się, jakie napitki zamówimy, i dyskutując o wyższości sprite'a nad coca-colą. Jed zauważył ich pierwszy, ale ponieważ odeszliśmy już kawał drogi od łodzi, zbytnio się tym nie przejęliśmy. Chłopak i dziewczyna. Kiedy nas mijali, patrzyłem prosto na nich. Ot tak, bez żadnego konkretnego powodu. Może chciałem się do nich uśmiechnąć, gdyby powiedzieli: „Cześć”?

Nie powiedzieli nic. Oczy wbijali w ziemię, a po ich minie poznałem, że zachowanie równowagi sprawia im tyle samo kłopotu co przedtem mnie.

- Widziałeś ich? - spytałem, gdy znaleźli się poza zasięgiem głosu. - Nawaleni od samego rana.

- Szpryca na śniadanie, szpryca na lunch.

- Szpryca albo prochy.

Jed kiwnął głową, odkaszlnął i splunął.

- Pieprzone świry.

* * *

Godzinę później szliśmy szpalerem gwarnych chat, meandrując między opalającymi się plażowiczami i omijając graczy rzucających latającymi talerzami. Zdumiewało mnie, że ludzie nas nie zauważają. Wszyscy wyglądali tak dziwnie, że byłem przekonany, iż wrażenie jest obopólne.

- No, to chodźmy wrzucić coś na ruszt - powiedział Jed, gdy byliśmy w połowie Hat Rin.

Weszliśmy do najbliższej kafejki i usiedliśmy. On zaczął wertować menu, tymczasem ja nie przestawałem podziwiać otoczenia. Szczególnie osobliwe wrażenie wywierał beton pod stopami oraz

plastikowe krzesło, na którym siedziałem. Krzesło było zwyczajne - podobne do tych, jakie pamiętałem ze szkoły: miało wyprofilowane siedzisko, dziurę w oparciu i metalowe nogi w kształcie litery „V” - mimo to dziwnie niewygodne. W żaden sposób nie potrafiłem na nim usiedzieć. Albo się zsuwałem, albo przysiadłem na samym brzeżku, co było równie niewygodne.

- Co się, do diabła, dzieje? - mruknąłem.

Jed zerknął na mnie znad menu.

- Nie mogę normalnie usiąść... Parsknął śmiechem.

- Można dostać kręćka, no nie?

- Ano, można - przyznałem.

- A twoja gęba?

- Co moja gęba?

- Kiedy ostatni raz oglądałeś się w lustrze? Wzruszyłem ramionami. Koło łaźni było mikroskopijne lusterko, z którego mężczyźni korzystali przy goleniu, ale widać w nim było tylko maleńki fragment twarzy. W normalnym lustrze nie przeglądałem się od ponad miesiąca.

- Tam jest umywalka i lustro. Idź i popatrz sobie. Przeżyjesz szok.

Nagle zaniepokojony, zmarszczyłem czoło.

- Bo co? Mam coś na twarzy?

- Nie. Po prostu idź i się przejrzyj. Sam zobaczysz.

Miał rację. Przeżyłem wstrząs. Z lustra nad umywalką patrzył na mnie zupełnie obcy facet. Nigdy w życiu nie miałem tak ciemnej skóry. Czarne włosy wypłowiły, zbrązowiły i zwinęły się w loki, a zęby lśniły jaskrawą bielą. Poza tym jakbym się postarzał - wyglądałem na dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat - no i miałem piegowaty nos. Szczególnie zaszokowały mnie te piegi. Nigdy ich dotąd nie miałem.

Jak zahipnotyzowany, wpatrywałem się w lustro dobre kilka minut. Mógłbym tam sterczeć i godzinę, gdyby nie zawołał mnie Jed, który chciał już zamówić jedzenie.

- No i co? - spytał, gdy wróciłem do stolika uśmiechnięty jak idiota.

- Niesamowite. Idź zobacz. Czysty odlot.

- Nie... Nie oglądałem się od pół roku. Poczekam jeszcze trochę, żeby bardziej mnie ciepnęło.

- Od pół roku!

- Uhm. Może nawet dłużej. - Rzucił mi menu. - No? Co wybierasz? Jestem głodny jak wilk.

Przejrzałem gigantyczną listę potraw, zatrzymując wzrok na plackach z bananami, ale szybko zmieniłem zdanie.

- Chyba wezmę dwa cheeseburgery.

- Dwa cheeseburgery. Coś jeszcze?

- Coś jeszcze? Dobra. W takim razie ostry rosół z kurczaka. Ostatecznie jesteśmy w Tajlandii.

Jed wstał i zerknął przez ramię w stronę tłumu na plaży.

- Wierzę ci na słowo - rzucił oschle i poszedł złożyć zamówienie.

* * *

Czekając na jedzenie, oglądaliśmy telewizję. Na drugim końcu sali było wideo i akurat puszczała *Listę Schindlera*. Siedzący na koniu Schindler obserwował likwidację getta i zauważył dziewczynkę w czerwonym płaszczu.

- Jak oni to zrobili? - spytał Jed, sącząc colę. Ja piłem sprite'a.

- Co?

- Ten płaszcz. Myślisz, że pomalowali go pędzelkiem?

- Każdą klatkę? Jak w kreskówkach?

- Uhm.

- Coś ty. Zrobił to komputer. Jak w *Parku jurajskim*.

- Aha... - Dopił colę i głośno mlasnął językiem. - To jest to.

Zmarszczyłem brwi.

- *Usta?*

- Cola, głupku, cola.

Przygotowywanie jedzenia musiało trwać wieki, ponieważ kiedy je nam w końcu podano, Schindler znowu patrzył na czerwony płaszcz; każdy, kto widział ten film, dobrze wie, że dziewczynka pojawia się po raz wtóry co najmniej godzinę po ich pierwszym spotkaniu. Na szczęście w kafejce był również automat z „Najeżdźcami z kosmosu”, więc czas mi się zbytnio nie dłużył.

Kampucza

Jed dał mi wybór. Mogłem pójść z nim po ryż albo zostać na Hat Rin. Nie potrzebował pomocy, dlatego postanowiłem zostać. Zresztą miałem do załatwienia kilka sprawunków. Chciałem uzupełnić zapas papierosów i kupić baterie dla Keaty'ego.

W jednej z kawiarenek natrafiłem na sklep - a raczej na szklaną ladę z wyłożonymi pod nią towarami - i zrobiwszy zakupy, stwierdziłem, że zostało mi jeszcze sporo pieniędzy na drobne prezenty.

Przede wszystkim kupiłem mydło dla Unhygieniksa. Wybór był dość trudny, ponieważ mieli tam mydło różnych odmian i gatunków, zachodnie i miejscowe, ale żadne z nich nie było mydłem, jakiego używał nasz kucharz. Szperałem między kostkami dobre kilka minut i w końcu znalazłem coś odpowiedniego. Nazywało się „Luxume”. Napis na opakowaniu głosił, że jest „naturalne, acz perfumowane”. Moją uwagę przykuło słowo „acz”, a kwestię rozstrzygnęło słowo „perfumowane” - wiedziałem, że intensywny zapach jest dla Unhygieniksa najważniejszy.

Kupiłem też kilka zapasowych ostrzy do maszynki - chciałem podzielić się nimi z Etienne'em, Gregoriem i Keatym - oraz tubkę pasty Colgate dla Françoise. Żaden z kolonistów pasty nie używał; mieliśmy w łaźni dziesięć wspólnych szczoteczek, chociaż wielu nie zawracało sobie głowy myciem zębów i żuło z rana wykałaczkę. Françoise nie miała nic przeciwko dzieleniu się szczoteczką, ale tęskniła za smakiem pasty, dlatego wiedziałem, że się ucieszy.

Dokupiłem jeszcze kilka paczek landryn - nie chciałem nikogo pominąć - oraz szorty. Te, które miałem na sobie, były już dobite i wiedziałem, że wytrzymają najwyżej miesiąc, góra dwa.

Skończywszy zakupy, nie miałem nic do roboty. Wypilem jeszcze jednego sprite'a, a ponieważ nie trwało to zbyt długo, postanowiłem przejść się po Hat Rin. Zrezygnowałem już po kilkuset metrach. Oprócz plażowych chat nie było tam nic do oglądania, dlatego usiadłem na piasku i z nogami w wodzie wyobraziłem sobie ciepłą reakcję kolonistów na podarki, które ode mnie dostaną. Odmalowałem w myśli scenę jak z filmu z Asteriksem: Asterix wraca z

pełnej przygód wyprawy, a rodacy wydają na jego cześć wielką ucztę. Oczywiście musielibyśmy obejść się bez piezzonego dzika i galijskiego wina, mieliśmy za to mnóstwo trawki, a Jed właśnie kupował ryż, którym będziemy mogli obejść się do syta. Z zamyślenia wyrwał mnie czyjś głos.

- Sajgon. Obłęd do kwadratu. - Mężczyzna. Australijski akcent.

- Co ty powiesz? - Dziewczyna. Angielka.

- Siedzieliśmy tam dwa miesiące. To miasto jest jak Bangkok sprzed dziesięciu lat. Może nawet ciekawsze.

Zerknąłem w bok. Dwie dziewczyny, dwóch chłopaków. Rozmawiali bardzo głośno, jakby chcieli wzbudzić zainteresowanie przechodniów.

- Sajgon Sajgonem, ale Kampucza... Kampucza to było dopiero coś - wtrącił drugi Australijczyk, chudzielec o króciutko ostrzyżonych włosach, długich bokobrodach i mikroskopijnej bródce. - Byliśmy tam półtora miesiąca. Zostalibyśmy dłużej, ale zabrakło nam szmalu. Musieliśmy wrócić do Tajlandii po ten pieprzony przekaz.

- Tak, to niezłe miejsce - zgodził się z nim ten pierwszy. - Moglibyśmy posiedzieć tam nawet sześć miesięcy.

- Albo i sześć lat.

Popatrzyłem na morze. Dobrze znałem tego rodzaju rozmowy i doszedłem do wniosku, że nie warto nadstawiać ucha. Ale prawie natychmiast stwierdziłem, że nie potrafię się wyłączyć. Nie dlatego, że głośno mówili - zaintrygowało mnie to, że facet mówił o jakiejś Kampuczy, i zastanawiałem się, czy chodzi mu o Kambodżę.

Niewiele myśląc, spojrzałem w ich stronę i spytałem:

- Hej, tak z ciekawości: dlaczego nazywacie Kambodżę Kampucza?

Spojrzeli na mnie wszyscy czworo.

- Mówicie o Kambodży, prawda?

Jeden z Australijczyków pokręcił głową. Nie to, żeby chciał mi zaprzeczyć, nie. Po prostu próbował rozgryźć, co ze mnie za typ.

- Chodzi o Kambodżę, tak? - powtórzyłem na wypadek, gdyby mnie nie usłyszał.

- O Kampuczę - odparł. - Właśnie stamtąd wracam.

Wstałem i podszedłem bliżej.

- Ale kto nazywa Kambodżę Kampuczą?

- Kambodżanie.

- A więc nie Kampuczanie, tylko Kambodżanie, tak?

Zmarszczył czoło.

- Co Kambodżanie?

- Nic. Po prostu ciekawi mnie, gdzie słyszeliście tę nazwę.

- Stary - wtrącił drugi Australijczyk. - Co za różnica, gdzie je słyszeliśmy? Kampuczą to Kampuczą.

- Jasne, tylko zawsze myślałem, że Kampucza to nazwa, którą ukuli Czerwoni Khmerzy. Ale pewnie nie miałem racji. Może to historyczna nazwa Kambodży, chociaż...

Mówiłem coraz ciszej, wreszcie zamilkłem, gdyż nagle uświadomiłem sobie, że wszyscy czworo patrzą na mnie jak na wariata. Uśmiechnąłem się niepewnie.

- Nieważne. Po prostu bardzo mnie to zaciekawiło... Kampucza... Dziwnie to brzmi...

Milczenie.

Czułem, że się czerwienię. Wiedziałem, że strzeliłem jakąś gafę, tylko nie miałem pojęcia, jaką. Z coraz bardziej rozpaczliwym uśmiechem na twarzy próbowałem im to wyjaśnić, lecz zmieszanie i zdenerwowanie tylko pogorszyło sprawę.

- Usłyszałem, jak któryś z was powiedział „Kampucza”. Myślałem, że to nazwa stosowana przez Czerwonych Khmerów, ale Sajgon to z kolei stara nazwa Miasta Hozimina, dlatego... Broń Boże nie chcę porównywać wietnamskich partyzantów z Czerwonymi Khmerami...

- Ale co z tego wynika?

Celna uwaga. Zastanawiałem się chwilę.

- Nic. Chyba nic...

- W takim razie dlaczego nam przeszkadzasz, stary?

Nic nie przychodziło mi do głowy. Niezręcznie wzruszyłem ramionami i wróciłem do swojej torby z zakupami, słysząc, jak jeden z nich mamrocze:

- Jeszcze jeden pojebaniec. Wszędzie ich pełno.

Zapłonęły mi uszy, zaswędziały czubki palców. Nie czułem się tak, odkąd byłem małym dzieckiem.

Dno dna. Dobry nastrój minął. Nie mogłem zrozumieć, co powiedziałem nie tak. Przecież próbowałem tylko włączyć się do

rozmowy, cóż w tym straszego? Doszedłem do wniosku, że wszystko przez różnicę między naszą plażą i światem zewnętrznym. Plażą, gdzie można było w każdej chwili włączyć się do każdej rozmowy, i światem, który tego zabraniał.

Kilka minut później wstałem, żeby odejść. Tamci rozmawiali teraz o wiele ciszej i nie opuszczało mnie parszywe uczucie, że gadają o mnie. Usiadłem nieco dalej, pod samotną palmą na plaży. Umówiłem się z Jedem o siódmej w kawiarni, gdzie jedliśmy lunch, i miałem do zabicia kupę czasu. Kilka godzin. Zbyt wiele godzin. Wyglądało na to, że czeka mnie ciężka próba.

* * *

Wypaliłem ciągiem dwa i pół papierosa. Chciałem wypalić trzy, może nawet więcej, ale w połowie trzeciego złapał mnie pięciominutowy napad kaszlu. Niechętnie zakopałem niedopałek w piasku.

Zażenowanie szybko ustąpiło miejsca gniewowi. Przedtem patrzyłem na Hat Rin z chłodną ciekawością, teraz z nienawiścią. Ohydna zaraza. Wyczuwałem ją wszędzie, bo wszędzie widziałem uśmiechniętych jak rekiny Tajów, wszędzie dostrzegałem beztroski hedonizm, zbyt wypracowany, żeby sprawiał wrażenie spontanicznego. Ale przede wszystkim wyczuwałem odór rozkładu. Wisiał nad Hat Rin tak samo, jak zwabione zapachem potu i słodkich olejków muchy wiszą nad smażącymi się plażowiczami. Najbardziej doświadczeni wędrowcy uciekli już na sąsiednie wyspy, ci średnio zaawansowani zastanawiali się właśnie, gdzie zniknęła cała radość życia, a hordy turystów szykowały się już do ataku na świeżo wydeptane szlaki.

Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, jak bezcennym skarbem jest nasza tajemna plaża. Zmroziło mnie na myśl, że mogłby spotkać ją los Hat Rin. Zacząłem spoglądać na leżące wokół mnie ciemne ciała, jakbym fotografował nieprzyjaciół, jakbym się z nimi zapoznawał, jakbym ich klasyfikował i archiwizował dane. Od czasu do czasu przechodzili koło mnie chłopcy i dziewczęta i słyszałem strzępki ich rozmów. Naliczyłem coś koło dwudziestu różnych akcentów i języków.

Większości nie rozumiałem, ale wszystkie wypowiedane w nich słowa brzmiały jak groźby.

Przesycone takimi myślami minuty wlokły się w nieskończoność, dlatego kiedy zaciążyły mi powieki, pozwoliłem im opaść. Upał i wczesna pobudka dały o sobie znać. Popołudniowa sješta była rozkoszną ucieczką od rzeczywistości.

Wina

Muzyka ryknęła o ósmej - na szczęście, w przeciwnym razie spałbym pewnie do północy. Na plaży zainstalowano cztery albo nawet pięć różnych systemów nagłaśniających, a każdy z nich grał na własną melodię. Wyraźnie słyszałem tylko te z lewej i prawej strony, lecz w głowie wibrowały mi basy wszystkich pięciu naraz. Klnąc i przecierając oczy, zerwałem się na równe nogi i popędziłem plażą do kafejki.

O tej porze kłębił się tam tłum gości, ale Jeda dostrzegłem natychmiast, gdyż siedział przy naszym starym stoliku. W rękę ścisnął butelkę piwa i był okrutnie wkurzony.

- Gdzieś ty się, kurwa, włóczył? - warknął, gdy usiadłem. - Czekam tu i czekam.

- Przepraszam. Zasnąłem... Miałem kiepski dzień.

- Czyżby? Założę się, że mój był gorszy.

- Dlaczego? Co się stało? Kupiłeś ryż?

- Kupiłem. O ryż to ty się nie martw.

Przeszyłem go wzrokiem. W jego głosie zabrzmiała złowieszcza nutka.

- No to o co chodzi?

- To ty mi powiedz.

- O czym?

- O tych dwóch jankesach.

- O dwóch jankesach?

Łyknął piwa.

- Tak, o dwóch jankesach, którzy rozpowiadają wszystkim o Edenie w narodowym parku morskim.

- O cholera...

- Oni cię znają. Słyszałem, jak mówili o tobie po imieniu. I mają mapę. - Zmrużył oczy, jakby z trudem nad sobą panował. - Kurwa

mać, oni mają mapę, Richard! Pokazywali ją jakimś Niemcom! I Bóg wie komu jeszcze!

Pokręciłem głową. Byłem oszołomiony.

- Zapomniałem...

- Kim oni są?

- Zaczekaj, Jed, nie rozumiesz. Nie powiedziałem im o plaży. To oni powiedzieli mnie. Już o niej wiedzieli.

Huknął butelką w stolik.

- Kim oni są?

- To Zeph i Sammy. Poznałem ich na Ko Samui.

- Mów dalej.

- Mieszkali w sąsiednim bungalowie. Spędziliśmy razem trochę czasu, a w przeddzień naszego wyjazdu na Ko Phelong zaczęli opowiadać o plaży.

- Sami z siebie?

- Tak! Oczywiście, że tak!

- A ty wyrysowałeś im mapę.

- Nie! Nic im nie powiedziałem. Nikt z nas nie pisał ani słowa.

- W takim razie skąd ją wytrzasnęli?

- Nazajutrz rano... Rano narysowałem tę mapę i wsunąłem im ją pod drzwi. - Chciałem zapalić, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że zmarnowałem trzy zapalki.

- Dlaczego?

- Bo się bałem!

- I narysowałeś im mapę? Przecież nawet o to nie prosili!

- Nie wiedziałem, czy ta plaża w ogóle istnieje. Równie dobrze mogliśmy jechać donikąd. Musiałem powiedzieć komuś, gdzie jesteśmy na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- Co mogło pójść nie tak?

- Nie wiem! Wtedy nic nie wiedzieliśmy! Nie chciałem, żebyśmy przepadli jak kamień w wodę!

Podparł się pod brodę.

- Jest kiepsko, stary.

- Mogliśmy zniknąć w tym parku i nikt nie miałby pojęcia...

Pokiwał głową.

- Rozumiem.

Milczeliśmy chwilę, Jed - wbijając wzrok w stolik, ja - patrząc wszędzie, tylko nie na niego. Przy automacie z „Najeźdźcami” stała

krępa Murzynka o włosach zebranych w wążutkie, przyklejone do głowy warkoczyki. Właśnie próbowała skasować ostatniego potwora, ale ten poruszał się tak szybko, że ledwo go było widać. Murzynka nieustannie pudłowała i zanim najeżdźca dotarł do linii granicznej, odwróciła się z niesmakiem od ekranu. Choć tego nie słyszałem - w kafejce panował gwar i grała hałaśliwa muzyka - po jej minie poznałem, że statek eksplodował. W końcu Jed podniósł wzrok.

- Ci jankesi... Myślisz, że mogą dotrzeć na wyspę?

- To możliwe. Prawie ich nie znam.

- Cholera jasna! Byłoby fatalnie. Fatalnie... - Nagle położył mi rękę na przedramieniu. - Posłuchaj - rzekł. - Gryziesz się tym?

Kiwnąłem głową.

- Niepotrzebnie. Serio. Cokolwiek się z nimi stanie, to nie twoja wina. Postąpiłbym pewnie tak samo jak ty.

- Cokolwiek się z nimi stanie? - powtórzyłem ostrożnie. - Jak to?

- Tak to, że bez względu na dalsze wydarzenia nie powinieneś się tym gryźć. To ważne. Jeśli już musisz kogoś obwiniać, obwiniaj Daffy'ego. - Głęboko westchnął. - Albo mnie.

- Ciebie?

- Mnie.

Otworzyłem usta, żeby poprosić o wyjaśnienia, ale uciszył mnie gestem ręki.

- Nie, nie, nie ma sensu o tym gadać.

- Dobra - odrzekłem cicho.

- Zresztą może się okazać, że nie ma też żadnego problemu. Za kilka tygodni wrócą pewnie do domu, a mapa pojedzie z nimi. Nawet jeśli zostaną w Tajlandii, istnieje duża szansa, że nie będą zwracać sobie głowy organizowaniem wyprawy na wyspę. To niełatwa sprawa, a oni wyglądali na głupków.

- Obyś miał rację! - odparłem głucho, pamiętając, z jakim mistrzostwem odstawili swój plażowy numer.

- Została nam tylko nadzieja. Nadzieja i oczekiwanie. - Dopił piwo. - Ryż musimy przenieść na łódź jeszcze dzisiaj. Nie chcę targać tych worów za dnia. Gotowy?

- Tak. Wstał.
- Dobra. W takim razie chodźmy.

* * *

Za kafejką było wąskie przejście między dwiema plażowymi chatami, a w przejściu leżały nasze worki przykryte brezentową płachtą. Ułożyliśmy je na niej, chwyciliśmy płachtę za rogi i wlokąc ją po piasku, wyruszyliśmy w daleką drogę powrotną do łodzi.

Zaraz za Hat Rin zrobiliśmy przystanek na papierosa, zjedliśmy też po kilka landryn z mojej torby z prezentami.

- Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem - mruknął Jed, gdy podałem mu torebkę.

- Nie ma sprawy.

- Nie, nie. Przepraszam. Nie zasłużyłeś na to.

Wzruszyłem ramionami. Chyba jednak zasłużyłem.

- Nie spytałem cię jeszcze, dlaczego miałeś kiepski dzień.

- Ach, mój dzień... Bez powodu. Wszystko przez Hat Rin. Przez to miejsce, przez tych ludzi. Patrzyłem na nich i ciarki mnie przechodziły.

- Mnie też. Dno, co nie?

- Kompletne.

- Richard?

- Tak?

- Kiedy wrócimy, nie wspominaj nikomu o tych jankesach.

- Ale...

- Chodzi o Bugsa i Sal. Oni tego nie rozumieją.

Spojrzałem na niego, ale właśnie rozwijał landrynę z papierka.

- Skoro uważasz, że tak będzie lepiej...

- Tak. Tak uważam.

* * *

Droga powrotna zajęła nam trzy godziny. Świecił księżyc i w jego jaskrawym blasku już z daleka dostrzegliśmy nasz rozwidlony patyk. Poszedłem sprawdzić, co z łodzią, tymczasem Jed pozdejmował worki i rozłożył płachtę na piasku. W krzakach między palmami było ciemno choć oko wykol, ale bez trudu wymacałem zakrzywioną

rufę łodzi. To mi wystarczyło. Mieliśmy środek transportu, żeby stamtąd uciec, i mogłem się odprężyć.

Kiedy wróciłem, Jed już spał. Położyłem się obok niego i spojrziałem w niebo, wspominając dzień, kiedy patrzyłem w gwiazdy z Françoise. Gdzieś pośród nich istniał świat równoległy, w którym zatrzymałem mapę dla siebie. Żałowałem, że nie jest to nasza Ziemia.

W porannej mgle

Pan Kaczor siedział w swoim pokoju w pensjonacie przy Khao San Road. Odchylił gazetę i wyglądał przez okno na ulicę. Na łóżku wały się kolorowe kredki i mazaki, którymi wykreślił mapę. Samej mapy nigdzie nie zauważyłem, więc pewnie zdążył już przykleić ją do moich drzwi.

Drżały mu ramiona.

- Pan Kaczor? - zacząłem ostrożnie.

Odwrócił się, zaskoczony powiódł wzrokiem po pokoju i dostrzegł mnie przez moskitierę pod sufitem.

- Rich... Cześć.

- Cześć. Dobrze się pan czuje?

- Nie. - Po jego brudnym policzku spłynęła łza. - Zaraz podetnę sobie żyły i jest mi źle.

- Tak mi przykro. Mogę coś dla pana zrobić?

Westchnął.

- Dzięki, Rich. Dobry z ciebie kumpel, ale już za późno. Od jedenastu tygodni leżę w tutejszej kostnicy.

- Nikt pana nie odebrał?

- Nikt. Policja skontaktowała się z angielską ambasadą. Odnaleźli moich rodziców w Glasgow, ale starzy nie chcieli przyjechać i podpisać dokumentów upoważniających do wydania zwłok. Nic ich nie obchodzi. - Na jego policzku dostrzegłem kolejną łzę. - Ja, ich jedyny syn.

- To straszne.

- Jeśli nikt tych dokumentów nie podpisze, za miesiąc mnie skremują. Ambasada nie pokryje kosztów transportu ciała do Anglii.

- A pan... chciał być pochowany.
- Nie mam nic przeciwko kremacji, ale jeśli rodzice po mnie nie przyjadą, nie chcę, żeby mnie odsyłano. Wolę już, żeby moje prochy zostały tutaj. - Głos mu się załamał. - Żeby rozsypało je nad Morzem Południowochińskim. Wystarczy skromna uroczystość, nie wielkiego... - I gwałtownie się rozszochał.

Przycisnąłem twarz do moskitiery, żałując, że dzieli nas ściana.

- Spokojnie, nie jest tak źle.

Pokręcił głową i wtedy usłyszałem, że szlochając, podśpiewuje temat z serialu *M*A*S*H*.

Nie wiedząc, gdzie uciec wzrokiem, zaczekałem, aż skończy.

- Ma pan dobry głos - powiedziałem, gdyż nic innego nie przyszło mi do głowy.

Wzruszył ramionami, otarł twarz brudnym podkoszulkiem i uświłił się jeszcze bardziej.

- Silny nie jest, ale chyba dość dźwięczny...

- Nie, nie, jest bardzo dobry, naprawdę. Zawsze lubiłem *M*A*S*H*.

To go trochę pocieszyło.

- Ja też. Te śmigłowce na początku.

- Tak, śmigłowce były ekstra.

- Wiesz, że to serial o Wietnamie?

- Nie o Korei?

- O Wietnamie. Korea to tylko przykrywka.

- Aha...

Znowu zerknął w szparę między gazetami. Wyglądało na to, że nie zamierza się już odzywać, i żeby podtrzymać rozmowę, spytałem go, na co patrzy.

- Na nic - odrzekł cicho. - Na śpiącego rikszarza... Na zbłąkane-go kundla węszącego w śmietniku... Kiedy żyjesz, są to rzeczy tak oczywiste, że nie zwracasz na nie uwagi, ale kiedy wiesz, że już nigdy więcej ich nie zobaczysz... - Zaciśnął pięści i znowu zadrżał mu głos. - Już czas.

- Czas... się zabić?

- Tak - odparł. - Tak - powtórzył bardziej stanowczo.

Szybko podszedł do łóżka, usiadł, sięgnął pod poduszkę i wyjął nóż.

- Nie! Niech pan tego nie robi!
 - Już podjąłem decyzję.
 - Można ją jeszcze zmienić!
 - Nie, już się nie cofnę.
 - Panie Kaczorze! - wykrzyknąłem cicho.
- Za późno. Właśnie zaczął podcinać sobie żyły.

* * *

Nie patrzyłem, jak umiera, ponieważ uznałem, że nie wypada, ale zajrzałem do niego pięć minut później. Jeszcze żył: rzucał się na łóżku, zalewając ściany strumieniami krwi. Oczekałem jeszcze kwadrans i znowu przycisnąłem twarz do moskitiery. Już się nie ruszał i wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy go znalazłem. Leżał na boku, z nogami za brzegiem łóżka. Tego szczegółu poprzednio nie zauważyłem. Może próbował wstać, zanim umarł.

- Zajmę się pańskimi prochami - wyszeptalem przez siatkę. - Niech się pan o to nie martwi.

Ćpun

Obudziłem się o pierwszym brzasku. Słońce nie wychynęło jeszcze zza horyzontu i plażę omywała dziwna niebieskawa poświata, ciemna i jasna zarazem. Było bardzo pięknie i spokojnie. Nawet fale łamały się ciszej niż zwykle.

Nie obudziłem Jeda, bo lubię być na nogach, kiedy inni jeszcze śpią. Mam wtedy ochotę zrobić coś przyjemnego i pożytecznego, jak choćby śniadanie - jeśli tylko jest z czego - a tego ranka poszedłem na spacer brzegiem morza. Idąc, szukałem ładnych muszelek. Naszyjnik, który zrobił dla mnie Bugs, był w porządku, ale zawierał dużo muszelek szarych i nijakich. Miałem wrażenie, że Bugs po prostu olał sprawę. Nawet naszyjnik Françoise, najładniejszy z trzech, które nam wręczono, nie był tak ładny jak naszyjniki innych kolonistów. Wkrótce zebrałem niezłą kolekcję i przebierając w muszelkach, musiałem dokonywać coraz trudniejszych wyborów. Najpiękniejsza, jaką znalazłem - domek maleńkiego kraba - była

upstrzona kropeczkami: błękitnymi, czerwonymi i zielonymi. Postanowiłem, że zawiśnie pośrodku mojego nowego naszyjnika, i z niecierpliwością wyczekiwałem chwili, gdy po powrocie na wyspę będę mógł go zrobić.

Natknąłem się na nich na granicy piasku i trawy jakieś dwieście metrów od miejsca, gdzie ukryliśmy łódź. Chłopak i dziewczyna: ta sama para, którą mineliśmy z Jedem po południu. Spali. W pierwszym odruchu chciałem zawrócić, ale powstrzymała mnie ciekawość. Wybrali sobie podejrzanie samotną chatę, stojącą wiele kilometrów od Hat Rin, i zaintrygowało mnie, co to za ludzie. Schowałem muszelki do kieszeni i ruszyłem w ich stronę.

Z bliska wyglądali dość szpetnie. Dziewczyna miała paskudnie owrzodzone usta i obsiadły ją tłuste, czarne komary. Na nogach i rękach popasało co najmniej trzydzieści, a kiedy machnąłem nad nimi ręką, nawet nie drgnęły. Na chłopaku nie było ani jednego. No jasne - pomyślałem. Taką chudziną by się nie najadły. Sądząc po wzroście, powinien ważyć siedemdziesiąt kilogramów, ale ważył najwyżej pięćdziesiąt. Jego ciało przypominało anatomiczny przekrój: widać było każdą kość, każdy żalosny mięsień. Obok niego stała buteleczka z adresem jakiejś podejrzanej apteki w Surat Thani. Zajrzałem do środka. Była pusta.

Dopiero po dłuższej chwili zauważyłem, że chłopak ma lekko rozchylone powieki. Powstały w nich wążutkie szparki, które w pierwszej chwili trudno było dostrzec. Czekałem, aż mrugnie. Nie mrugnął i chyba nie zamierzał, więc wytrzymałem wzrok, żeby sprawdzić, czy oddycha. Oddychać też nie oddychał. Nachyliłem się i dotknąłem jego piersi. Była ciepła, ale ponieważ powietrze też było ciepłe, niczego to nie dowodziło. Wzmogłem ucisk. Palce zagłębiły się między żebra, skóra ześlizgnęła się luźno z kości. Wciąż nie wyczuwałem pulsu. Zacząłem liczyć, starannie przeliczając sekundy na słonie - jeden słonie, dwa słonie, trzy słonie... - i kiedy naliczyłem ich sześćdziesiąt, wiedziałem, że facet nie żyje.

Zmarszczyłem czoło, popatrzyłem w lewo, potem w prawo. Nie licząc sylwetki śpiącego Jeda, plaża była kompletnie opustoszała. Potem spojrzałem na dziewczynę. Siedziały na niej komary, dlatego wiedziałem, że żyje, poza tym jej piersi unosiły się i opadały.

Ta sytuacja mnie poruszyła. Chłopakiem się nie przejąłem. Przyjechał do Tajlandii, zaczął i przedawkował - jego broszka. Ale dziewczyna to zupełnie co innego. Za jakiś czas ocknie się z narkotycznego snu, by ujrzeć trupa na pustej plaży. Nie wyobrażałem sobie gorszego przebudzenia, a ponieważ to ja ją znalazłem, uznałem, że powinienem zadbać o jej dobre samopoczucie. Zapaliłem papierosa, by zastanowić się, jak mógłbym jej pomóc.

Obudzić ją? Wykluczone. Nawet gdybym zdołał ją ocucić, spanikowałyby i narobiła krzyku. Do sprawy włączyłyby się miejscowe władze i doszłoby do katastrofy. Mogłem obudzić Jeda i spytać go o radę, ale postanowiłem tego nie robić. Wiedziałem, co by powiedział. Powiedziałyby, że to nie nasz interes, i kazałyby mi natychmiast odejść, a ja nie chciałem tego robić.

W końcu wpadłem na dobry pomysł: ukryję ciało chłopaka w krzakach. Zawlokę je tam i ukryję. Kiedy dziewczyna się ocknie, pomyśli, że poszedł na spacer. Zanim dotrze do niej, że zaginął, upłynie kilka dni. Tak, będzie się martwiła, ale przynajmniej nie dowie się, że wykitował. Do tego czasu zjedzą go pewnie mrówki i żuki, i tylko ja będę znał prawdę.

Nieustannie spoglądając na zegarek, wziąłem się do roboty. Wiedziałem, że Jed się wkrótce obudzi i że niebawem odpłyniemy.

* * *

- Jed! - szepnąłem.

Poruszył się i machnął ręką, jakby chciał spędzić muchę z twarzy.

- Obudź się.

- Co? - wymamrotał.

- Pora odpływać. Już jasno.

Usiadł i popatrzył w niebo. Słońce stało już nad horyzontem.

- Cholera jasna! Rzeczywiście. Zaspałem. Przepraszam. Zbiegajmy się. Szybko.

Powiedziałem mu o chłopaku w połowie drogi między Ko Pha-Ngan i naszą wyspą.

- Jezus Maria, Richard! - Wrzeszczał tylko dlatego, że silnik głośno pracował. - Po kiego chuja to zrobiłeś?
- A co powinienem był zrobić?
- Trzeba było go tam zostawić, ty pieprzony idioto! Co nam do niego? Nie!
- Wiedziałem, że to powiesz - odparłem wesoło. - Wiedziałem.

WIĘŹNIOWIE SŁOŃCA

Pranie mózgu

Nikt nie wykazał najmniejszego zainteresowania. Kilku spytało z grzeczności: „Jak było?” - ale gdy tylko zaczynałem odpowiadać, ich oczy robiły się szkliste, a ich uwagę przykuwało coś ponad moim ramieniem.

Początkowo bardzo mnie to frustrowało - chciałem się wygadać, wytłumaczyć im, jak dennie jest na Ko Pha-Ngan - a frustrację dodatkowo pogłębiała obojętność, z jaką zareagowali na moje skromne prezenty. Françoise spróbowała pasty do zębów i natychmiast wypłuła ją, mówiąc: „Obrzydliwa. Zapomniałam już, jak piecze”, natomiast Keaty powiedział, że tajskie baterie - kupiłem tajskie - są do dupy, bo szybko zdychają. Jedyną osobą, która okazała mi wdzięczność, był Unhygienix. Kiedy dałem mu mydło, od razu poszedł pod prysznic, a potem zdał mi pochwalny raport na temat obfitej piany, jaką wytwarzało.

Ale frustracja trwała tylko dopóty, dopóki pamiętałem o Ko Pha-Ngan, to znaczy krótko. Tak samo jak po skoku z wodospadu teraz też zacząłem o wszystkim zapominać. Zapominałem szybko i skutecznie, tak że już tydzień później poza laguną i kręgiem chroniących ją klifów nie istniało prawie nic. Nie licząc oczywiście świata zewnętrznego, który przybrałszy swój pierwotny kształt, znowu był tylko nazwą czegoś mglistego i pozbawionego konkretnego oblicza.

Na samym końcu przestałem martwić się Zephem i Sammym; jeszcze piątej nocy leżałem bezsennie, gnębiony niepokojem o plany, jakie mogą knuć wraz z tajemniczymi Niemcami. Ale w miarę upływu dni coraz trudniej było utrzymać ten sam poziom niepokoju, zwłaszcza że nikt obcy na wyspie się nie zjawiał. Nazajutrz po

tej nocy spytałem Jeda, czy on też myśli o naszym problemie. Zakłócał ręką.

- Trochę - odparł. - Ale sądzę, że nic nam nie grozi.

- Naprawdę?

- Tak. Tych dwóch to turystyczni pielgrzymi. Spojrzysz na nich i widzisz otwarty przewodnik. Jeśli się myślę, zareagujemy, kiedy nadejdzie ku temu pora. - Wyłuskał z brody kołtun włosów. - Wiesz co? Któregoś dnia dorwę jednego z tych od *Samotnej Planety* i spytam faceta, co też, kurwa, samotnego dostrzegł w Khao San Road.

Wykrzywiłem usta w uśmiechu.

- A potem mu przyłożysz, tak?

Nie odpowiedział. Nawet uśmiechem.

Szczęki I

Kilka tygodni po Wyprawie po Ryż obudziło mnie bębnienie deszczu o dach baraku. Od naszego przyjazdu na wyspę padało tylko trzy, cztery razy, i to przelotnie. Ale ten deszcz był tropikalną ulewą, większą nawet od tej, którą przeżyliśmy na Ko Samui.

Kilkoro z nas zbiło się w gromadkę w drzwiach. Patrzyliśmy na polanę. Wiszący nad nią baldachim rozdzielał wodę na grube strumienie, które błyszcząc niczym lasery, żłobiły w ziemi błotniste dziury. Pod jednym z nich stał Keaty, na wpół ukryty pod srebrzystym parasolem rozbryzgów deszczówki lejącej mu się na głowę. Rozpoznałem go tylko po czarnych nogach i po ledwo słyszalnym śmiechu. Stał tam i Bugs. Głowę odchylił do tyłu, lekko rozłożył ręce, dłońmi chwycił deszcz.

- Myśli, że jest Chrystusem - wymamrotał ktoś za mną. Odwróciłem się. To był Jesse, krępy Nowozelandczyk, który pracował w ogrodzie z Keatym. Należał do ludzi, z którymi prawie nie rozmawiałem, ale byłem niemal stuprocentowo przekonany, że to właśnie on podjął hasło, gdy pierwszy raz rozpoczynałem naszą dobranocową zabawę.

Spojrzałem na Bugsa: rzeczywiście, postawą przypominał Chrystusa. Albo postawą, albo błogim wyrazem twarzy.

- Widzisz? - rzucił Jesse.

Uśmiechnąłem się.

- Może cieszka uderzyła mu do głowy - mruknęła Cassie i wszyscy zachichotali.

Już miałem dodać coś od siebie, ale Jesse trącił mnie łokciem w bok. Z głębi baraku szła ku nam Sal. Obok niej truchtał zdenerwowany Gregorio.

- Dlaczego jeszcze tutaj jesteście? - rzuciła.

Nikt nie odpowiedział, więc spytałem:

- A gdzie mamy być?

- Na rybach, w ogrodzie: w pracy.

Jesse wzruszył ramionami.

- Sal, w taki deszcz nic w ogrodzie się nie zrobi.

- Rośliny trzeba chronić. Mógłbyś zbudować jakieś zadaszenie.

- Rośliny potrzebują deszczu.

- Ale nie takiego.

Jesse znowu wzruszył ramionami.

- A ty, Richard? Co będziemy jedli, jeśli przestaniecie łowić ryby?

- Czekałem na Grega.

- Greg już tu jest.

- Tak, już jestem - powiedział Gregorio. Doszli do nas Etienne i Françoise. - Wszyscy już są.

* * *

Biegliśmy na plażę, ślizgając się w błocie. Nie mam pojęcia, dlaczego biegliśmy, ponieważ w sekundę przemokliśmy do suchej nitki, poza tym najbliższe trzy godziny i tak mieliśmy spędzić w wodzie. Przypuszczam, że chcieliśmy jak najszybciej upolować kilka ryb i dać sobie siana.

Biegając, myślałem o krótkiej wymianie zdań w drzwiach baraku. Nigdy nikomu nie wspominałem, że chłopak szefowej mnie irytuje. Nikomu, nawet Keaty'emu. Zważywszy pozycję Bugsa wśród kolonistów, uznałem, że to kiepski pomysł, zwłaszcza że mój krytycyzm wydawał mi się małostkowy. Ale słysząc, co mówili o nim Jesse i Cassie, zacząłem się zastanawiać, czy inni mają o nim takie samo zdanie jak ja. Chociaż w sumie nie powiedzieli niczego

zgryźliwego, na pewno się z niego nabijali, a do tej chwili przez myśl mi nie przeszło, że ktoś może robić sobie jaja z Bugsa.

Uderzyło mnie jeszcze coś: gdy nadeszła Sal, wszyscy nagle uci-chli. Gdyby nie to, zgryw byłby o wiele mniej wymowny. Ale ponie-waż zamilkli, poczułem się jak świadek jakiegoś podziału - jakkol-wiek lekkiego - i niewykluczone, że zostałem w nim uwzględniony. Postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o Jessem i Cassie choć-by tylko po to, żeby lepiej ich poznać. Spytałbym Gregoria, ale wie-działem, że otrzymam odpowiedź dyplomatyczną i bezużyteczną. Nie. Keaty i Jed: to z nimi musiałem pogadać.

* * *

Morze zasnuwała gęsta, nisko stojąca mgła z parującego deszczu. Stanęliśmy pod palmowym liściem i podpierając się ościenia-mi, patrzyliśmy na brzeg.

- To głupota - powiedziała Françoise, kręcąc głową. - Nie moż-na zabić ryby, jeśli jej nie widać.

Etienne mruknął na znak zgody i dodał:

- Nie widać nawet wody.

Gregorio pokazał nam maskę.

- Tak, ale użyjemy tego.

Jęknąłem.

- Zawsze tak robicie, kiedy pada?

- Zawsze.

- Ale to znaczy, że polować może tylko jedna osoba. Nie skoń-czymy tego do nocy.

- Tak, czeka nas bardzo długa praca.

- A Moshe, Jugosłowianki i Szwedzi? Oni nie mają masek.

- Będą próbowali coś upolować, ale zabijają najwyżej kilka ryb...

Kiedy pada, bywamy tu bardzo głodni.

- A jeśli będzie lało pięć dni? - spytała Françoise? - Może lać pięć dni, *non*?

Gregorio wzruszył ramionami i spojrział w niebo. Wyglądało na to, że przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny ulewa nie zelżeje ani odrobinę.

- Bywamy tu bardzo głodni - powtórzył i wbił oścień głębiej w mokrą ziemię.

Zamilkliśmy. Najwyraźniej każdy z nas czekał, aż ktoś inny zgłosi się do pierwszej tury z maską. Co do mnie, chętnie stałbym pod tą palmą cały dzień, nie zważając na ogrom czekającego nas przedsięwzięcia, ponieważ rozpoczęcie pracy oznaczało, że będziemy musieli ją dokończyć.

Minęło pięć minut, minęło dziesięć, wreszcie Etienne zarzucił swój oścień na ramię.

Westchnąłem.

- Nie. Ja pójdę.

- Na pewno? Możemy rzucić monetą.

- A masz monetę? Uśmiechnął się smutno.

- Możemy rzucić... maską. Jeśli upadnie na szybkę, pójdę pierwszy.

- Ja też mogę pójść pierwszy.

- Jak chcesz. - Poklepał mnie po ramieniu. - Będę drugi.

- Dobra.

Gregorio podał mi maskę i ruszyłem w stronę brzegu.

- Nurkuj głęboko i zagładaj pod głazy! - zawołał. - Ryby się ukrywają.

Pływanie w gęstej mgłę było dość ekscytujące. Nie mogłem użyć maski, ponieważ rozbryzgi wody uniemożliwiały oddychanie ustami, co z kolei oznaczało, że musiałem ciągle mrugać, żeby pozbyć się wody z oczu. Widoczność spadła do kilkudziesięciu centymetrów, każdy oddech wymagał sporego wysiłku i po pewnym czasie poczułem, że wchłania mnie kokon niebezpieczeństwa łagodnego i w sumie dość miłego.

Zatrzymałem się przy pierwszym głazie, jaki napotkałem. Należał do tych mniejszych i sterczał z wody jakieś sześćdziesiąt metrów od brzegu. Rzadko z niego korzystaliśmy, gdyż mogła tam usiąść tylko jedna osoba, ale ponieważ byłem sam, nie robiło to żadnej różnicy. Gdy na nim stanąłem, górna połowa mojego ciała przebiła warstwę mgły. Etienne stał na piasku, osłaniając głowę rękami złożonymi w kształt czapki z daszkiem. Pomachałem mu ościeniem. Zauważył mnie, odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku drzew.

Najpierw musiałem znaleźć ciężki kamień, żebym mógł usiąść na dnie z porządnym zapasem powietrza. Nałożyłem maskę i zanurkowałem. Światło było ciemnoszare, przytłumione mrocznym

niebem i mgłą, ale na widoczność nie narzekałem. Nie dostrzegłem jednak żadnych ryb, nawet chmar drobnicy, która zwykle krążyła między koralowcami.

Szukałem kamienia. Poruszałem się powoli i niespiesznie. Nie chciałem spłoszyć ryb, jeśli w ogóle jakieś tam były. W końcu wypatrzyłem kamień odpowiedniej wielkości i wagi. Kończyło mi się powietrze, więc wbiłem obok niego oścień i wypłynąłem na powierzchnię.

Gdy ponownie schodziłem na dno, zauważyłem kilka mieczników, które przypląnęły sprawdzić, kto przybył do ich burzowego przytuliska. Usiadłem na dnie z kamieniem na udach i czekałem, aż, gnane ciekawością, podpląną bliżej.

* * *

Zauważyłem go podczas trzeciego zejścia. Właśnie zabiłem pierwszego miecznika i pewnie zwałił go zapach krwi. Nie należał do olbrzymów - grubości uda, był o trzydzieści centymetrów dłuższy od mojej nogi - niemniej na jego widok doznałem tęgiego szoku. Nie wiedziałem, co robić. Mimo niewielkich rozmiarów napędził mi strachu, ale nie chciałem wracać na brzeg z jedną rybą. Musiałbym się tłumaczyć, wyjaśnić, dlaczego tak szybko zrezygnowałem, a gdyby zauważył go ktoś nurkujący po mnie, najadłbym się wstydu. Spokojnie - pomyślałem. - To pewnie tylko dzidziuś.

Postanowiłem wrócić na górę i zaczekać, aż rekin odpłynie. I tak zrobiłem. Drząc w strugach deszczu, przycupnąłem na głazie - nie chciałem, by tamci zobaczyli, że nic nie robię - i spędziłem tak dziesięć minut. Od czasu do czasu sprawdzałem, czy tam jeszcze jest. Był. Krążył niespiesznie w pobliżu miejsca, gdzie poprzednio siedziałem, i obserwował mnie swymi atramentowymi ślepiami.

Błysnęło, zagrzmiało i w tym samym momencie przyszła mi do głowy błyskotliwa myśl. Nadziałem na oścień podrygującego w agonii miecznika, położyłem się na brzuchu, po czym zanurzyłem głowę i uzbrojoną rękę. Rekin zareagował natychmiast: zwinnie machnął ogonem i przyspieszył. Ruszył pod kątem w moją stronę i już myślałem, że przepłynie obok głazu, ale gdy znalazł się niecałe dwa metry ode mnie, wykonał gwałtowny zwrot i rzucił się na rybę.

Odruchowo zabrałem rękę. Atak był tak szybki i złowieszczy, że instynkt wziął górę nad zdrowym rozsądkiem. Rekin śmignął koło głazu i zniknął za ścianą koralowców. Gdy nie pojawił się po dziesięciu sekundach, wynurzyłem głowę, żeby nabrać powietrza.

Zakląłem, wziąłem kilka głębokich oddechów i znowu ją zanurzyłem.

Gdy wrócił, był już ostrożniejszy, bo choć przepływał tuż koło głazu, nie wykazywał prawie żadnego zainteresowania przynętą. Pewnie dlatego, że miecznik zdążył już zdechnąć i bezwładnie oklapnąć. Żeby go ożywić, zacząłem potrząsać ościeniem. Rekin natychmiast odzyskał dawny wigor. Znowu rozpoczął swoje charakterystyczne podejście pod kątem, ale tym razem pamiętałem o napięciu mięśni ramienia i kiedy zaatakował, mocno pchnąłem. Ostry czubek ościenia zsunął się po dziąsłach, a może zębach, i utknął mu w paszczy.

Potężnym skrzętem tułowia podciągnąłem się do góry z nadzieją - co za idiota! - że zdołam wytaszczyć rekina na głaz, ale oścień po prostu pękł. Patrzyłem nań kilka sekund, a potem zsunąłem się do wody.

Przytłumioną szarość przecinały dziwnie nieruchome smugi krwi. Dostrzegłem go kilka metrów dalej. Miotał się dziko i szarpał, kłapiąc paszczą, z której sterczał ułamany kawałek bambusa, a czasami nurkował do samego dna i walił pyskiem w piach.

Zdałem sobie sprawę, że nigdy dotąd nie zabiłem większego zwierzęcia ani niczego, co walczyłoby o życie z taką furią. Jakby czytając w moich myślach, rekin zaczął miotać się jeszcze gwałtowniej i wkrótce pochłonął go obłok poruszonego piasku i rozdartych na strzępy wodorostów. Od czasu do czasu - jak w kreskówce - wystawiał tylko łeb albo ogon, po czym znowu zniknął. Uśmiechnąłem się na ten widok i do moich ust dostała się słona woda. Wypłynąłem. Musiałem splunąć i nabrać powietrza. Potem, nie zamierzając zbliżyć się do rozszalałego rekina, pływałem na powierzchni z zanurzoną twarzą, czekając, aż bestia zdechnie.

Siemasz

Nie prowadzę dziennika podróży. Kiedyś prowadziłem i był to wielki błąd. Z wyprawy zapamiętałem tylko to, co chciało mi się zapisać. Cała reszta umknęła, jakby umysł poczuł się urażony moim przywiązaniem do pióra i papieru. Z tego samego powodu nie zabieram w podróż aparatu fotograficznego. Wakacje z aparatem to wypełnianie zdjęciami kolejnych albumów, a obrazy nieujęte w kadr to obrazy zapomniane. Poza tym zdjęcia nie budzą zbyt wielu wspomnień. Kiedy przeglądam zdjęcia dawnych towarzyszy podróży, zawsze dziwi mnie, jak mało pamiętam z tego, cośmy razem przeszli.

Gdyby tylko wynaleziono aparat do rejestrowania zapachów... Zapachy są o wiele wyrazistsze niż obrazy. Często idę londyńską ulicą w upalny dzień, wdycham zapach gorących spalin albo rozmiękłego asfaltu i nagle przenoszę się do bocznej uliczki w Delhi. Ilekroć mijam sklep rybny, natychmiast myślę o Unhygieniksie, a jeśli dojdzie mnie zapach świeżej trawy (takiej spod kosiarki), myślę o Keatym. Wątpię, czy którykolwiek z nich ucieszyłby się, znając moje skojarzenia - Unhygienix na pewno nie - ale nic na to nie poradzę.

Niemniej bardzo żałuję, że na plaży nie było nikogo z aparatem, gdy wyszedłem z deszczowej mgły z ubitym rekinem na ramieniu. Musiałem wyglądać tak męsko.

* * *

Tego popołudnia byłem bohaterem kolonii. Rekina upieczono i pocięto na plastry, żeby każdy mógł się w nim porządnie rozsmakować, a Keaty kazał mi wstać i opowiedzieć moją przygodę w obecności wszystkich obozowiczów. Kiedy opisywałem pierwszy atak rekina, gwałtownie nabrali powietrza i wstrzymali oddech, jakby oglądali pokaz sztucznych ogni, a kiedy opowiadałem o tym, jak to napiłem mięśnie przed zadaniem śmiertelnego ciosu, radośnie krzyknęli.

Przez resztę dnia i cały wieczór składano mi gratulacje. Najmilszy był Jed. Podszedł do mnie - akurat paliłem trawkę z Étienne'em, Françoise i Keatym - i powiedział:

- Dobra robota, Richard. To naprawdę coś. Myślę, że powinniśmy nazwać cię Tarzanem.

Keaty zachichotał jak szaleniec - głównie dlatego, że był już tego

nawalony - a Jed usiadł z nami i przyćpaliśmy wszyscy razem.

Było tym milej, że Keaty i Jed dobrze się z sobą czuli. Po Wyprawie po Ryż próbowałem przekonać Keaty'ego, że Jed to równy gość, i wyglądało na to, że odniosłem pewien sukces. Okazało się również, że mają ze sobą coś wspólnego; był to jeden z tych dziwnych zbiegów okoliczności i z powodzeniem mogliby nie dowiedzieć się o tym do końca życia. Przed sześciu laty obaj zatrzymali się na noc w pensjonacie w Yogyakarcie: w tym samym pensjonacie i na tę samą noc. Odkryli to, ponieważ właśnie tej nocy w pensjonacie wybuchł tajemniczy pożar - jak się okazało, wcale nie taki tajemniczy. Keaty ćpał, a natrętne komary doprowadzały go do szału. Wiedząc, że nie lubią dymu, rozpałił małe ognisko i zanim się spostrzegł, w płomieniach stanął cały pokój. Jed musiał uciekać z pensjonatu, skacząc z drugiego piętra, i stracił wtedy wszystkie pieniądze. Kiedy Keaty go przeprosił, wszyscy dosłownie padli ze śmiechu.

Jeśli ktoś nam ten wieczór trochę zepsuł, to tylko Bugs, lecz - o ironio! - nawet rozmowa z Bugsem zakończyła się wesoło. Nadszedł, gdy znowu ryczeliśmy ze śmiechu, tym razem wspominając chwilę, gdy Etienne zdał sobie sprawę, że stoimy na polu marihuany.

- Siemasz - powiedział, odrzucając do tyłu głowę, żeby nie przeszkadzały mu włosy.

Chwilę milczałem, bo brakowało mi tchu, a potem spytałem: „Co?” Nie był to zbyt trafny dobór słów. Naprawdę chciałem być przyjacielski, tymczasem zabrzmiało to jak wyzwanie.

Jeśli Bugs był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać.

- Chciałem ci pogratulować. Tego rekina.

- Aaa... tak. Dzięki. Cieszę się, że... że go upolowałem. - Przymulony mózg znowu podsuwał najbardziej niewłaściwe słowa. - To mój pierwszy.

- Wszyscy się z tego cieszymy. Ja też upolowałem kiedyś rekina.

- Tak? - spytałem, ze wszystkich sił koncentrując się na tym, co mówię. - Naprawdę? Niesamowite. Musisz... Koniecznie musisz nam o tym opowiedzieć.

- Koniecznie - powtórzył Keaty i odkaszlnął, jakby próbował stłumić chichot.

Bugs odczekał chwilę.

- To było w Australii.

- W Australii. O kurczę.

- Jakieś pięć lat temu.

- Pięć lat temu? Nieprawdopodobne.

- Upolowałem rekina tygrysięgo. Miał prawie cztery metry długości.

- Cztery metry! Ale olbrzym!

Nagle Keaty wybuchnął histerycznym śmiechem, którym zaraził Jeda, a Jed - pozostałych. Bugs uśmiechnął się słabo.

- Może opowiem o tym innym razem.

- Koniecznie. To wspaniała historia - wykrztusiłem, zanim odwrócił się i odszedł.

- Koniecznie - wychrypiał Keaty, a wówczas i ja nie wytrzymałem.

- Boże, Richard - powiedziała Françoise kilka minut później z twarzą mokrą od łez. - Co ty wygadywałeś? Każde słowo...

- Było do bani. Wiem. Nic nie mogłem na to poradzić.

Etienne trącił mnie łokciem w bok.

- Nie lubisz go, hę?

- To nie to. Po prostu jestem nawalony jak stodoła. Nie mogę trzeźwo myśleć.

- Pieprzysz - odrzekł Keaty, wykrzywiając usta w przebiegłym uśmiešku.

Jed kiwnął głową.

- Przyznaj się. Widziałem, jak na niego łypiesz.

Zapadła cisza. Patrzyli na mnie, czekając na odpowiedź.

W końcu wzruszyłem ramionami.

- No, dobra. Zdemaskowaliście mnie. Uważam, że to dupek.

Tym razem ryczeliśmy ze śmiechu tak długo i bezradnie, że ludzie zaczęli zerkać w naszą stronę, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Taksi!

- Dobranoc, John-Boy. - Głos Bugsa, głośny i stanowczy.

- Dobranoc, Rich - padła natychmiastowa odpowiedź. Tego głosu nie rozpoznałem, choć myślę, że był to Moshe.

Uśmiechnąłem się w ciemności. Wiedziałem, że nasze wyglupy wkurzyły Bugsa, wiedziałem też, że chce w ten sposób odzyskać... Co? Autorytet albo szacunek. A tu masz: ledwo powiedział „Dobranoc, John-Boy”, gdy Moshe wymienił imię faceta, który te wyglupy rozpoczął. To musiało zabołeć.

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, odczekałem kilka sekund i w końcu rzuciłem:

- Dobranoc, Jesse.

Jesse wywołał Elle, Ella australijskiego stolarza, australijski stolarz Jugosłowianki - pozostała część rytuału mi umknęła, gdyż pogrążyłem się w zamyśleniu.

* * *

Leżąc tamtej nocy i wsłuchując się w grznot wodnych laserów atakujących dach baraku, doszedłem do wniosku, że muszę odpowiedzieć sobie na jedno pytanie. Dlaczego Bugs tak mnie denerwował? Bo naprawdę denerwował. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie przydusił mnie Jed.

Nie to, żeby Bugs zrobił mi coś złego albo zachował się niegrzecznie. Szczerze mówiąc, prawie w ogóle z nim nie rozmawiałem. To znaczy rozmawiałem, ale nasze rozmowy dotyczyły wyłącznie pracy: próśb o nowe ościenie dla rybaków, wiadomości od Gregoria czy Unhygieniksa, i tak dalej.

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, sporządziłem w głowie listę wszystkich rzeczy, które zrobił, żeby mnie wkurzyć. Zaliczyłem do nich jego głupi stoicyzm, kiedy zranił się w nogę, gorącą zupę, jego debilne imię. Odkryłem w nim również irytujące ciągotki do wiecznej rywalizacji. Jeśli oglądałeś wschód słońca nad Borobudurem, powiedziałby ci, że ładniejszy jest zachód. Znasz dobrą knajpkę w Singapurze? On zna lepszą. Złapałeś rekina gołymi rękami...

Nie, jeśli chodzi o rekina, na pewno by mnie nie przegadał. Postanowiłem nie dać mu szansy.

Tak czy inaczej, nie były to powody wystarczające. Musiało istnieć coś jeszcze.

- To tylko przeczucie... - mruknąłem, przekreślając się na drugi bok, żeby zasnąć, ale to mnie nie zadowoliło.

Gdyby odwiedził mnie tamtej nocy pan Kaczor, mógłby powiedzieć mi coś więcej o charakterze Bugsa. Niestety. Pan Kaczor był pod tym względem jak taksówki. I nocne autobusy.

Krwawe odbicie

Łało nieustannie półtora tygodnia, ale w czwartek wczesnym rankiem przestało. Wszyscy powitali ten fakt z wielką ulgą, lecz nikt nie ucieszył się tak bardzo jak rybacy. Minutowe pobyty na dnie, wypatrywanie ryb, które nadpływały tylko od czasu do czasu i tylko po to, żeby uciec przed ościeniem, szybko się nam znudziły. Dlatego kiedy stwierdziliśmy, że niebo jest znowu błękitne, co tchu popędziliśmy do laguny. Rozpętało się coś w rodzaju orgii zabijania - w półtorej godziny zgromadziliśmy całodzienny zapas ryb - a potem do zabicia pozostał już tylko czas.

Gregorio i Etienne popłynęli do koralowych ogrodów, a Françoise i ja wróciliśmy na plażę, żeby się poopalać. Początkowo leżeliśmy w milczeniu: ja obserwowałem swój pępek, żeby sprawdzić, ile pomieści potu, ona przesypywała piasek między palcami. Kilka metrów dalej w cieniu drzew stały kubły z upolowanymi rybami. Ryby się jeszcze rzucały, a towarzyszący temu plusk był dziwnie kojący, choć zważywszy jego pochodzenie, kość nie powinien. Myślę, że stanowił doskonałe uzupełnienie chwili - morska bryza, słońce - i zabrakło mi go, gdy wszystkie ryby zdechły.

Wkrótce potem Françoise usiadła, a właściwie uklękła. Ręce złożyła na biodrach, wysunęła w bok swoje szczupłe, brązowe nogi, zsunęła górę kostiumu i uniosła ramiona ku błękitnemu niebu. Trwała tak kilka minut, a potem opuściła ręce na kolana.

Zanim zdążyłem pomyśleć, westchnąłem.

Spojrzała na mnie i spytała:

- Co się stało?

Zamrugąłem.

- Nie, nic.
- Westchnąłeś.
- Ach... Po prostu myślałem... - Dokonałem błyskawicznego przeglądu listy możliwości: o powrocie słońca, o bezruchu laguny, o bieli piasku... - O tym, jak łatwo byłoby tu zostać.

Kiwnęła głową.

- Prawda? Zostać tu na zawsze. Tak, bardzo łatwo...

Milczałem chwilę, a potem też usiadłem, wylewając pepkowy zbiornik potu na gumkę szortów.

- Myślisz czasami o domu? - spytałem.

- O Paryżu?

- O Paryżu, o rodzinie, o przyjaciółkach. O tym wszystkim.

- Hmm, nie. Nie myślę.

- Ja też nie. Ale nie uważasz, że to trochę dziwne? Przeżyłem w Anglii kawał życia, a prawie tego nie pamiętam. Tęsknić też nie tęsknię. Nie telefonowałem ani nie pisałem do rodziców od przyjazdu do Tajlandii i wiem, że się o mnie martwią, mimo to nic w związku z tym nie robię. Po prostu nie odczuwam takiej potrzeby. Kiedy byłem w Ko Pja-Ngan, nawet o tym nie pomyślałem. Nie sądzisz, że to dziwne?

- Rodzice... - Zmarszczyła czoło, jakby z trudem przypomniiała sobie znaczenie tego słowa. - Tak, to dziwne, ale...

- Kiedy ostatni raz się z nimi kontaktowałaś?

- Nie wiem. Chyba... Tak, dzwoniłam do nich z ulicy, przy której się poznaliśmy.

- Z Kao San Road.

- Tak, stamtąd.

- To było trzy miesiące temu.

- Trzy miesiące... Tak.

Położyliśmy się na gorącym piasku. Przypuszczam, że wspomnienie o rodzicach wprowadziło nas w lekki niepokój i ani ona, ani ja nie chcieliśmy drażnić tematu.

Niemniej interesujące było to, że nie tylko ja doświadczałem amnestycznego oddziaływania naszej plaży. Zastanawiało mnie, skąd się ten efekt bierze i czy ma coś wspólnego z samą plażą, czy z jej mieszkańcami. Nagle stwierdziłem, że nie wiem absolutnie nic o przeszłości swoich kolegów, że praktycznie rzecz biorąc, znam tylko ich narodowość. Spędziłem niezliczone godziny na rozmowach z Keatym, a wiedziałem o nim jedynie to, że chodził do szkoły

niedzielnej. Nie wiedziałem, czy ma braci albo siostry, nie wiedziałem, co robią jego rodzice, nie miałem pojęcia, w której części Londynu się wychował. Mogliśmy mieć tysiące wspólnych doświadczeń, mimo to nie podjęliśmy najmniejszego wysiłku, żeby się o tym przekonać.

Jedynym tematem, który przenosił nas poza krąg klifów nad laguną, były podróże. O tym potrafiliśmy rozmawiać bez końca. Nawet teraz mógłbym sporządzić listę krajów, które zwiedzili moi przyjaciele. W sumie nie było w tym nic zaskakującego, zważywszy, że (nie licząc naszego wieku) tylko to nas łączyło. Poza tym rozmowa o podróżach znakomicie zastępowała rozmowę o domu. Wiedząc, jakie miejsca ktoś odwiedził i które z tych miejsc należą do jego ulubionych, można dużo o tym kimś powiedzieć.

Unhygienix, na przykład, najgłębszym uczuciem darzył Kenię, co w jakiś sposób pasowało do jego małomówności. Bez trudu potrafiłem wyobrazić sobie, jak biorąc udział w safari, spokojnie chłonie bezkres otaczającego go krajobrazu. Keaty, człowiek żywszy i skłonniejszy do wybuchów entuzjazmu, bardziej pasował do Tajlandii. Spokojny i dobroduszny Etienne od lat pragnął pojechać do Bhutanu, natomiast Sal często opowiadała o Ladakh, północnej prowincji Indii, krainie po części bardzo liberalnej, po części surowej. Wiedziałem, że moja miłość do Filipin jest równie zdradliwa. Papierowa, pozornie uporządkowana demokracja, którą regularnie ogarniał irracjonalny chaos - miejsce, gdzie natychmiast czułem się jak w domu.

Co do innych, Greg lubił łagodną południową część Indii, Françoise uwielbiała piękną Indonezję, Moshe marzył o Borneo - pewnie dlatego, że jego ciało porastała gęsta dżungla włosów - a Jugosłowianki, nasze niekonwencjonalne nacjonalistki, kochały się na zabój w swoim własnym kraju. Nie muszę dodawać, że Daffy bez wahania wybrałby Wietnam.

Zdaję sobie sprawę, że w ocenianiu ludzi na podstawie ich podróźnej marszruty tkwi element popularnej psychologii, gdyż zawsze można wyselekcjonować tylko te aspekty narodowościowe, które najbardziej do danej osoby przystają. W przypadku Keaty'ego wybrałem entuzjazm i witalność, ponieważ interesowność i

wyrachowanie zupełnie do niego nie pasowały, natomiast w przypadku Françoise zignorowałem dyktaturę i masowe mordy we Wschodnim Timorze. Niemniej mocno wierzę w zasadę jako taką.

* * *

- Odniosę ryby - powiedziałem, wstając. Podparła się łokciami.
- Teraz?
- Unhygienix pewnie już czeka.
- A skąd!
- Może i nie, ale... mam ochotę na spacer. Chcesz pójść ze mną?
- Dokąd?
- Nie wiem. Do wodospadu, do dżungli... Może poszukalibyśmy tego basenu.
- Nie, chyba zostaną tutaj. Albo popływam w ogrodach.
- Dobra.

Podszedłem do kublów i kiedy się nad nimi pochyliłem, ujrzałem swoje odbicie w krwawej wodzie: sylwetkę głowy i dwoje jasnych oczu. Przypatrywałem się mu chwilę, gdy wtem usłyszałem kroki Françoise. Za moim ramieniem wychyłała jej ciemna twarz i poczułem jej rękę na swoich plecach.

- Nie chcesz popływać w koralowcach?
- Nie. - Zacisnąłem palce na uchwytych kublów, ale się nie wyprostowałem, wiedząc, że gdy tylko to zrobię, ręka opadnie. - Wolę się przejść. Na pewno nie chcesz pójść ze mną?
- Nie. - Jej odbicie wzruszyło ramionami. - Za gorąco na spacer.

Nie odpowiedziałem i kilka sekund później znowu usłyszałem jej kroki. Kiedy się obejrzałem, wchodziła do morza. Obserwowałem ją, dopóki woda nie sięgnęła jej talii, a potem ruszyłem do obozowiska.

Naturyzm

Gdy stanęło się twarzą do odległych pól marihuany, po lewej i po prawej stronie rozciągała się dżungla. Ta po lewej była dobrze znana, ponieważ cieśle wycinali z niej drzewa na budulec. Krzyżowały się tam liczne ścieżki prowadzące i do ogrodu Jeana, i do wodospadu, i na plażę. Jednakże ta po prawej wciąż była dziewicza, dlatego postanowiłem ją zwiedzić.

Jedyna prowadząca w głąb ścieżka urywała się już po pięćdziesięciu metrach. Wycięto ją ze względu na leżący nieco dalej staw ze słodką wodą, który Sal chciała początkowo przekształcić w większy i wygodniejszy substytut obozowej łaźni. Pomysł zarzucono, kiedy Cassie odkryła, że ze stawu piją małpy, tak że teraz ze ścieżki korzystali jedynie ludzie, którzy tak samo jak ja nie radzili sobie z plastikowym dzbanem w toalecie. Jeśli założyć, że nikt inny tamtędy nie chadzał, wyliczyłem, że dżunglę wolało co najmniej trzy czwarte kolonistów. Ścieżka była na tyle uczęszczana, by zyskać sobie nazwę - Khyber Pass, Przełęcz Khyber - a ponieważ regularnie ją odwiedzaliśmy, nigdy nie zarastała.

Pół godziny trwało, zanim dotarłem nad staw, który trochę mnie rozczarował. Przedzierając się przez zarośla, wyobrażałem sobie kąpiel w gładkiej, chłodnej toni połączonej z obserwacją małp hasających w koronach drzew. Tymczasem zamiast pięknego stawu znalazłem błotnistą sadzawkę i chmary much, w dodatku piekielnie gryzących. Po niecałej minucie przeklinania i ciągłego wymachiwania rękami uciekłem do dżungli, ścigany chichotem naczelnych.

Nie licząc ostrych traw, które od czasu do czasu cięły mi nogi, chodzenie na bosaka nie sprawiało mi najmniejszych trudności. Nie nosiłem butów od tygodni, dzięki czemu podeszwy stóp stwardniały do tego stopnia, że prawie ich nie czułem. Kilka dni przedtem wyciągnąłem z pięty półcentymetrowej długości cierń. Był pokryty skorupą ziemi i na pewno chodziłem z nim od jakiegoś czasu, nie odczuwając żadnej niewygody.

W przedzieraniu się przez dżunglę przeszkadzało mi jedynie tempo: było bardzo wolne, gdyż musiałem nieustannie zbaczać z trasy, by obchodzić gęste krzewy albo kępy bambusów, tak że w

końcu nie wiedziałem już, dokąd idę. Nie martwiło mnie to, ponieważ byłem pewien, że prędzej czy później dotrę do plaży albo do klifów. Niestety, przez tę pewność siebie nie starałem się zapamiętać trasy, tak że gdy ponad godzinę później znalazłem papaj owy sad, za nic w świecie nie potrafiłbym nikomu wytłumaczyć, jak tam trafiłem.

Nazywam to sadem z braku lepszego określenia. Papaje rosły nieregularnie i były różnej wielkości, a więc na pewno nikt ich nie posadził. Najpewniej znalazły sobie kawałek dobrej ziemi albo po prostu wykorzystwały wolne miejsce w gęstym poszyciu lasu. Bez względu na to, jak się tam znalazły, stanowiły cudowny widok. Prawie wszystkie były dojrzałe, jaskrawopomarańczowe i wielkie jak dynie, a w powietrzu unosił się ich słodki zapach.

Bez trudu ukreśliłem łądęgę najbliższego owocu i rozluپałem go o pień drzewa. Świetlisty miąższ smakował jak melon i perfumy - no, może nie aż tak, ale był naprawdę pyszny. Potem wyjąłem z kieszeni skręta, którego zrobiłem przed wyjściem z obozowiska, znalazłem sobie kawałek miejsca, usiadłem, zapaliłem i obserwowałem dym zbierający się pod liśćmi papai.

Po jakimś czasie z ukrycia wychynęły pierwsze małpy. Nie potrafię powiedzieć, jakiego gatunku, ale były małe i brązowe, o długich ogonach i kocich pyszczkach. Początkowo trzymały się z daleka. Nie przyglądały mi się, nie robiły właściwie nic, tylko obchodziły mnie szerokim łukiem, co stanowiło jedyny dowód na to, że w ogóle zauważyły moją obecność. Ale potem matka z maleńkim małpiątkiem ucepionym jej brzucha podeszła bliżej i wyjęła mi z dłoni kawałek papai. Nawet nie wyciągnąłem do niej ręki - zachowałem go sobie na później, bo chciałem najpierw wypalić skręta - ale ona miała najwyraźniej inne plany. Ot, poczęstowała się jakby nigdy nic, a ja po prostu zbaraniałem.

Zaraz potem inna małpa poszła w ślady tej z maleństwem. Po niej następna, i jeszcze jedna. Kilka minut później z trudem nadażałem z odrywaniem kawałków papai, ponieważ małpki natychmiast wrywały mi je z rąk. Zlany lepkiem sokiem, cały czas mrużyłem oczy, gdyż nie zdążyłem wyjąć skręta z ust, a małe, czarne rączki wyciągały się do mnie ze wszystkich stron. W końcu każda

dostała po kawałku owocu i siedząc ze skrzyżowanymi nogami pośród stada żujących małą, mogłem chwilę odsapnąć. Czułem się jak David Attenborough.

* * *

Z dżungli wyprowadził mnie w końcu wyraźny szum spadającej wody. Usłyszałem go kwadrans po wyjściu z papajowego sadu, a reszta była już tylko kwestią podążania za tym odgłosem.

Wyszedłem w pobliżu raketowca z imionami Bugsa, Sal i Daffy'ego na stateczniku i natychmiast zanurkowałem do basenu, żeby zmyć z siebie papajowy sok. Dopiero kiedy się wynurzyłem, zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam. W cienistych rozbryzgach wody całowali się nadzy Sal i Bugs.

Niech to szlag - pomyślałem i już miałem dyskretnie wyjść na brzeg, gdy zauważyła mnie Sal.

- Richard?

- Cześć. Przepraszam. Nie widziałem was.

Bugs wykrzywił usta w szyderczym uśmiešku. Chyba chciał mi dać do zrozumienia, że moje przeprosiny są lubieżne. Nietaktowne w zestawieniu z jego odprężoną, acz szczerą męskością. Kutas. Wytrzymałem jego spojrzenie i szyderczy uśmiešek ustąpił miejsca uśmiechowi szaleńca, od którego powinien był zacząć.

- Nie bądź niemądry, Richard - powiedziała Sal, uwalniając się z jego uścisku. - Jak się tu znalazłeś?

- Poszedłem na spacer Przełęczą. Po drodze znalazłem papajowy sad, w końcu trafiłem tutaj.

- Papajowy sad? Dużo ich tam rośnie?

- Mnóstwo.

- Powiedz Jeanowi. Na pewno go zainteresują.

Wzruszyłem ramionami.

- Sęk w tym, że chyba już ich nie znajdę. Łatwo się tam zgubić.

Na twarzy Bugsa znowu wykwitł szyderczy uśmiešek.

- Trzeba mieć wprawę.

- Albo kompas - odparłem.

Pogardliwe wykrzywienie ust.

- Spędziłem w dżungli tyle czasu, że wyrobiłem sobie instynkt,

jak zwierzę. - Uniósł ręce i odrzucił do góry mokre włosy. - Może znajdzie je jutro.

- Uhm. Powodzenia! - Odwróciłem się i cicho dodałem: - Tylko nie zabłądź.

Zanurkowałem i popłynąłem w stronę brzegu, wynurzając się dopiero na płyciźnie. Ale nie, jeszcze nie uciekłem.

- Richard! - zawołała Sal, gdy wyszedłem z wody. - Chwileczkę. Obejrzałem się.

- Wracasz na polanę?

- Tak.

- Zaczekaj. - Płynęła z mocno uniesioną brodą i wyglądała trochę jak żółw. - Przejdiesz się ze mną do ogrodu? Powinam tam wpaść, a Bugs musi wracać do baraku. Byłabym wdzięczna za towarzystwo, poza tym od dawna nie rozmawialiśmy.

Kiwnąłem głową.

- Dobra.

- Świetnie.

Uśmiechnęła się i wróciła po ubranie.

Dobra nowina

Narzuciła niespieszne tempo. Czasami przystawała, żeby popatrzyć na kwiaty albo wyrwać zielsko ze ścieżki. Czasami zatrzymała się bez widocznego powodu i kreśliła stopą koła na piasku.

- Richard - zaczęła - chcę ci powiedzieć, jak bardzo się cieszymy, że znalazłeś naszą tajemną plażę.

- Dzięki, Sal - odparłem i w tym samym momencie dotarło do mnie, że nie będzie to tylko przyjacielska pogawędka.

- Mogę mówić otwarcie? Kiedy przyplłynęliście, trochę się niepokoiłiśmy. Pewnie rozumiesz, dlaczego...

- Oczywiście.

- Ale wszyscy troje doskonale się do nas dopasowaliście. Zrozumiełiście obozowego ducha lepiej, niż się spodziewaliśmy. I nie myśl, że zlekceważyliśmy fakt, iż zgłosiłeś się na Wyprawę po Ryz, że upolowałeś rekina...

- Eee tam - odrzekłem skromnie. - Miałem fart, i tyle.
- Bzdura, Richard. Dzięki temu rekinowi wszyscy odzyskali węwę, a podczas deszczów morale zwykle podupada. Wciąż mam wyrzuty sumienia, że naskoczyłam na ciebie tamtego mokrego poranka, ale czasami muszę być... twarda. Nie uważam się za przywódczynię, ale...
 - Wszyscy dobrze to rozumieją, Sal.
 - Dzięki.
 - Zresztą, jakkolwiek by na to patrzeć, jesteś przywódczynią.
 - Może. Ale nie z własnej woli. - Roześmiała się wesoło. - Ludzie przychodzą do mnie z problemami i próbuję im pomagać... Na przykład Keaty. Jesteście przyjaciółmi, dlatego chyba wiesz, co go gryzie.
 - Nie chce pracować w ogrodzie.
 - Właśnie. To taki kłopot. Niełatwo jest przesuwac ludzi z grupy do grupy. Ktoś musi odejść, żeby zrobić nowe miejsce, a w zespole rybackim miejsca już nie ma. Mówił ci, że chciałby z wami pracować?
 - Uhm.
 - Od miesięcy powtarzam mu, że to niemożliwe. Widzisz, kiedy przyjechaliście, właśnie miał przejść do rybaków. Był strasznie rozczarowany, ale przyjął to po męsku. Inni mogliby... Sama nie wiem... Mogliby mieć wam za złe.
 - Jasne. Spadliśmy jak z nieba i podkradliśmy mu robotę.
 - Właśnie. Byłam mu bardzo wdzięczna i bardzo się ucieszyłam, kiedy zostaliście przyjaciółmi. Tak żałowałam, że nie mogę mu pomóc... - W oko wpadło jej jakieś zielsko. Spróbowała je wyrwać i niecierpliwie zacmokała, gdy stawiało opór. - Cóż, bez wolnego miejsca w brygadzie rybackiej miałam związane ręce. A teraz uświadomiłam sobie, że miejsce się nie zwolni, chyba że coś w tej sprawie zrobię...
 - Przełknąłem ślinę.
 - Nikt się chyba nie przeniesie. A może by tak zdjąć jednego ze Szwedów?
 - Jednego ze Szwedów? - Sal zachichotała. - Nie rozdzielilibyś ich nawet pod groźbą rewolweru, a i wtedy miałbyś trudności. Nie, tylko śmierć ich rozłączy. Trzech blond muszkieterów...
 - A Moshe?

- Hmm... Nie, nie chciałabym go przenosić. Dobrze sobie radzi z Jugosłowiankami.

- W takim razie kto? - spytałem, nie potrafiąc ukryć nutki niepokoju w głosie.

- Tak, Richard. Obawiam się, że to musisz być ty. Nie mam wyboru.

Jęknąłem.

- O, nie, Sal, proszę. Nie chcę się przenosić. Uwielbiam polować na ryby i jestem w tym dobry.

- Wiem, Richard, wiem. Ale spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Keaty musi odejść z ogrodu. Étienne'a i Françoise nie rozdzielię. Gregorio łowi od dwóch lat. Jugosłowianki... - Pokręciła głową. - Nie powinnam ci tego mówić, ale one są za głupie, żeby robić cokolwiek innego. Jean ich nie trawi, a na stolarce się nie znają. Żałuję, że je tu sprowadziłam. Mam słabość do uchodźców. Naprawdę, gdybym tylko mogła...

- Taaa... - mruknąłem.

- Ale przecież nie przenoszę cię do ogrodu.

Znieruchomiałem.

- Nie?

- Boże drogi, ależ skąd! Keaty nagadał ci pewnie takich rzeczy, że długo byś tego nie zniósł.

Przez głowę przeszła mi straszna myśl. Mając do wyboru ogród i pracę w zespole Bugsa, bez wahania poddałbym się żelaznej dyscyplinie Jeana.

- Keaty... - zacząłem, nawet nie próbując ukryć zdenerwowania.

- Keaty nic takiego mi nie mówił.

- Mówił, mówił. Nie musisz stosować dyplomatycznych uników.

- Nie, naprawdę...

Machnęła ręką.

- Wszystko jedno. Nie będziesz pracował w ogrodzie.

Zacisnąłem powieki, czekając na wyrok.

- Będziesz pracował z Jedem.

Otworzyłem oczy.

- Z Jedem?!

- Tak. Chcę mieć partnera i zaproponowałam cię.

- O rany... - mruknąłem, szczerze zdumiony. Przez myśl mi nie

przeszło, że Jed może potrzebować partnera. Choć się zaprzyjaźniliśmy, nadal uważałem go za samotnika. Sal czytała we mnie jak w otwartej księdze.

- Tak, wiem, Jed nie lubi pracy zespołowej. Ja też byłem zaskoczona. Najwidoczniej zrobiłeś na nim dobre wrażenie podczas Wyprawy po Ryż.

- Ale w czym mu trzeba pomóc? Przecież on... on tylko kradnie trawkę, prawda?

- Tak, ale robi też inne rzeczy. Sam ci wszystko wyjaśni.

- Rozumiem.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Tak się cieszę, że to załatwiliśmy. Nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć, martwiłam się od wielu dni. No, ale teraz pozostaje już tylko odszukać Keaty'ego. Sam przekazesz mu dobrą nowinę czy ja mam to zrobić?

Ich bin ein pläzowicz

Kiedy dotarliśmy do ogrodu, okazało się, że Keaty poszedł już do obozowiska, więc ruszyłem biegiem, żeby go złapać, natomiast Sal została, by wytłumaczyć Jeanowi, że musi radzić sobie z jednym robotnikiem mniej.

Dogoniłem Keaty'ego kilkaset metrów dalej i kiedy mu wszystko wyjaśniłem, bardzo mi współczuł, chociaż nowina była dla niego pomyślna.

- Czuję się parszywie, Rich - mruknął, gdy skończyłem mówić. - Nie chciałem, żeby Sal zdejmowała cię z brygady.

Kiwnąłem głową.

- Myślę, że ma to więcej wspólnego z Jedem niż z tobą. Prosiłeś o przeniesienie, odkąd tu przyjechaliśmy, i dopiero teraz coś się wydarzyło.

- Może. Jesteś wkurzony, co?

- Cóż...

- Przepraszam.

- To nie twoja wina. To po prostu pech. Zresztą nie wiem, co. Ale na pewno nie twoja wina.

- Mam nadzieję, Rich. Ale i tak bardzo mi przykro.

Kilka chwil sliśmy w milczeniu.

- Wiesz, dlaczego Jed tak nagle potrzebuje pomocy?
- Nie wiem nawet, przy czym. Wciąż nie mamy pojęcia, co on tam właściwie robi.
- Teraz się przynajmniej dowiemy.
- Chcesz powiedzieć, że ja się dowiem. Jeśli coś ci nieopatrznie zdradzę, będę musiał cię zabić.
- Uśmiechnął się krzywo.
- Wiesz co? Myślę, że w duchu jesteś z tego zadowolony. Głowę daję, że nie możesz się już doczekać, żeby pójść z nim na wyprawę.
- Wzruszyłem ramionami.
- Nie pytaj, co plaża może zrobić dla ciebie.
- Szlachetna postawa. Tak trzymać.
- Taaa... Jeśli już muszę się przenieść, wolę chyba pracować z Jedem niż z kimkolwiek innym.
- Uhm. A już na pewno nie z Jeanem. Tego bym ci nie życzył.
- Pozostawał tylko ogród i ciesielka. Przed chwilę myślałem, że Sal chce zrobić ze mnie stolarza, i omal nie dostałem ataku serca. Wyobraziłem sobie, jak haruję cały dzień z Bugsem, i zrobiło mi się słabo, więc kiedy powiedziała, że chodzi o Jeda... Nie wiem, ale chyba mi ulżyło.
- Skoro tak mówisz...
- Tak, naprawdę.
- Za zakrętem spomiędzy drzew wychynął nasz barak. Przed kuchnią kręcili się ludzie, zatem pozostali rybacy zdążyli już pewnie wrócić. Nie dostrzegłem ani Françoise, ani Etienne'a. Najwidoczniej jeszcze polowali.
- Już mieliśmy wejść na polanę, gdy ktoś do nas zawołał. Obejrzeliliśmy się, by zobaczyć Jessego, który biegł ku nam z torbą warzyw z ogrodu.
- Hej ! - wydyszał. - Słyszałem, że porzucasz Jar Dan. - *Jardin* - chwilę trwało, nim przetłumaczyłem sobie jego nowozelandzką angielszczyznę.
- Tak. Przechodzę do rybaków.
- Wiem, wiem. Masz szczęście, sukinkocie. - Spojrzał na mnie. - A ty niefart, brachu. Stracić taką fuchę! Musisz być wkurzony. Teraz będziesz harował z nami.
- Nie przechodzę do ogrodu.
- Jesse wyszczerzył zęby.

- Będziesz cieślą! U Jezusa!
- Nie. Przydzielono mnie do Jeda.
- Do Jeda?!
- Uhm.
- A niech mnie. O co tu chodzi? Mamy za mało trawki?
- Może. Wkrótce się dowiem.
- Tak, na pewno... - W zamyśleniu pokiwał głową i klepnął Keaty'ego w plecy. - Tak czy inaczej, jesteś już rybakiem. Będziesz pływał się w lagunie i całutki boży dzień patrzył na Françoise. Też bym tak chciał.

Keaty zerknął na mnie płochliwie, co mnie zaskoczyło.

- Uważaj. Cassie usłyszy.

Jesse parsknął śmiechem.

- Racja. Obedrze mnie żywcem ze skóry. - Puścił oko ni to do mnie, ni do Keaty'ego i popatrzył na polanę. - No, tak... Kucharze już gotują. Lepiej zaniosę im warzywa.

- Dobra. - Jesse odbiegł. Keaty obserwował go chwilę i znowu spojrzął na mnie. - To jedyny ogrodnik Jeana, którego będzie mi brakowało.

- Wygląda na porządnego faceta.

- Żebyś wiedział. Polubiłbyś go. Jego i Cassie. Zwłaszcza że nie należą do największych fanów Bugsa.

- Tak?

- Narzekałem, że Jean ma twardą rękę, ale Bugsa... Bugsa doprowadza Cassie do szału.

- Zauważyłem.

- Tobie też będzie brakowało rybaków.

- Hmm... - Wziąłem głęboki oddech i powoli wypuściłem powietrze. Oddech musiał być za głęboki i chyba zbyt powoli wypuszcząłem powietrze, ponieważ Keaty znowu obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem. - Tak, na pewno - dodałem.

Dyslokacja

Etienne, Françoise i Gregorio stali dość daleko, tak że idąc do nich, miałem sporo czasu, żeby pomyśleć, jak praca z Jedem wpłynie na moje dotychczasowe życie. Myślałem głównie obrazami,

które zmieniając się szybko niczym slajdy w rzutniku, przedstawiały nas czworo podczas rozmowy i zabawy: nurkujących z naszego ulubionego głazu, zakładających się, kto upoluje największą rybę, płynących po ościenie, które chybiły lub dosięgły celu, parodiujących nieudane i szczególnie komiczne rzuty. Oczywiście najdłużej podziwiałem obraz Françoise. Françoise jako amazonki: zastygłej w bezruchu z ościeniem nad głową, wpatrującej się z dzikim skupieniem w cienie ryb pod wodą. Nawet teraz potrafiłbym go odtworzyć.

Podchodząc bliżej, pomyślałem, że chyba już o wszystkim wiedzą, bo nagle zamilkli i spojrzeli na mnie ze spokojnymi, poważnymi twarzami. Nie, chyba jednak nie: musieli coś wyczuć, widząc moją minę. Minę i postawę. Jeśli ktoś idzie powoli ze zwieszoną głową, wiadomo, że coś się święci.

Kiedy wreszcie przystanąłem, zapadła dziwna cisza. Oni milczeli, czekając, aż się odezwę, natomiast ja czułem, że zostałem już odizolowany od grupy. Przypomniał mi się tamten ranek, kiedy wyzdrowiałem po gorączce, by odkryć, że podczas gdy ja spałem w baraku, Etienne i Françoise zdążyli już znaleźć sobie miejsce w nowym świecie. Milczenie się przedłużało, więc zmarszczyłem czoło, potarłem kark i bezradnie wrzuciłem ramionami.

- Co się stało, Richard? - spytał niespokojnie Etienne. - Bo coś się stało, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Co? Powiedz.

- Zdjęto mnie z brygady.

- Zdjęto cię z...

- Zostałem przeniesiony do innej roboty. Sal... Właśnie mi powiedziała.

Françoise aż sapnęła.

- Ale dlaczego? Jak ona mogła to zrobić?

- Chodzi o Jeda. Potrzebuje partnera. Zastąpi mnie Keaty.

Gregorio zamachał rękami.

- Zaczekaj, Richard. Ty nie chcesz się przenosić, tak?

- Lubię polować...

- W porządku. Zostaniesz. Znajdę Sal i zaraz z nią porozmawiam. - I pomaszerował do baraku.

- Gregorio ją przekona - powiedział po chwili Etienne. - Nic się nie martw. Nie będziesz musiał odchodzić.

- Tak, nie będziesz musiał odchodzić - powtórzyła jak echo Françoise. - Jesteśmy zgranym zespołem. Zostaniesz z nami.

Skinąłem głową, ucieszony tą demonstracją solidarności, jednocześnie zupełnie nieprzekonany. Wiedziałem, że decyzja Sal będzie ostateczna, i jakby dla potwierdzenia tych domysłów z baraku dobiegł jej niski głos tłumaczący Gregoriowi, że innego wyjścia nie ma.

* * *

Zaskoczony nagłością zmian i niepewny przyszłości, bardzo się nad sobą rozczulałem, ale w miarę upływu dnia coraz bardziej współczułem Keaty'emu. Po fiasku misji Gregoria resztę popołudnia spędziliśmy, siedząc kręgiem na polanie, ćmiąc trawkę i narzekając na los. Keaty do nas nie dołączył. Został przed swoim namiotem i choć udawał, że pochłania go gameboy, widziałem, że jest dobity. Myślę, że czuł się za to wszystko odpowiedzialny, poza tym na pewno dobijał go fakt, że koledzy z nowej brygady są tacy nieszczeniwi z powodu okoliczności towarzyszących tym nagłym zmianom.

W końcu jego smutek stał się nie do zniesienia. Wyczuwając, że obowiązek ten spoczywa na mnie, poprosiłem go, żeby się do nas przysiadł. Zażenowany, odłożył gameboya, podszedł bliżej i natychmiast zaczął przeproszać za sytuację, która - jak uważał - powstała z jego winy. Zaprotestowaliśmy, ale to go nie pocieszyło. Okazało się, że on też rozmawiał z Sal, nalegając, żeby go nie przenosiła, ale nic nie wskórał. To dostarczyło nam przynajmniej tematu, który nie pogłębiał dyskomfortu Keaty'ego, gdyż dotyczył prawdziwych, acz tylko domniemyanych powodów zmian.

- Może coś dzieje się na wyspie? - spekulowała Françoise. - Może ma to coś wspólnego z właścicielami pól marihuany na płaskowyżu?

Keaty mruknął na znak zgody, ale widać było, że Gregorio w to wątpi.

- Powiedzmy, że Tajowie zakładają nowe pola po tej stronie wyspy - odrzekł. - Tak, mielibyśmy problem, ale nawet wtedy Jed nie potrzebowałby pomocnika. Bo i po co? Nie powstrzymałby ich ani z

dziesięcioma, ani z pięćdziesięcioma pomocnikami. Nie ma żadnej różnicy.

- Czy kiedykolwiek ktoś z nimi rozmawiał? - spytał Etienne.

- Z Tajami? - Gregorio pokręcił głową. - Daffy, kiedy tu przyjechali, nikt poza tym. Wiedzieli, że tu jesteśmy. Powiedzieli mu, że możemy zostać, jeśli tylko nie przekroczymy granic laguny. Od tamtej pory nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu.

- Może wkurzyło ich, że Jed podkrada trawkę? - zasugerowałem.

- Tak, ale to niczego nie zmienia. Są na nas źli czy nie są, po co Jedowi partner?

- W takim razie o co może chodzić?

Gregorio spojrział na swoje ręce, potem znowu przeniósł wzrok na mnie.

- Nie wiem, Richard. Naprawdę nie wiem.

* * *

Gawędziliśmy do późnego wieczoru, ale do niczego nie doszliśmy, bo cały czas krążyliśmy w kółko. Bez Sal i Jeda nie mogliśmy odpowiedzieć na żadne pytanie, lecz Jed wciąż nie wracał, a z Sal nikt nie miał ochoty rozmawiać. Wreszcie położyliśmy się spać.

Dwie godziny trwało, zanim w końcu zasnąłem, a dręczące mnie myśli były równie niezwykle jak cały miniony dzień. Po raz pierwszy od przyjazdu na wyspę pomyślałem o domu. Ba! Po raz pierwszy za domem zatęskniłem. Nie to, żebym pragnął tam wrócić na stałe, nie - chciałem tylko skontaktować się z kilkoma ważnymi dla mnie ludźmi i dać im znać, że żyję. Zwłaszcza z moją rodziną i paroma przyjaciółmi.

Przypuszczam, że był to efekt mojej rozmowy z Françoise i późniejszych niepokojących wydarzeń. Myśl o rodzicach krążyła po zakamarkach umysłu, nie ulegając amnestycznemu wpływowi plaży.

Decydujący ruch

- Cześć. - Odwróciłem się. W bramie domu stał mały chłopiec. Uśmiechnął się i wyszedł na chodnik. - Chcesz się czegoś napić?

Patrzyłem na niego zmieszany. Jako dziecko pan Kaczor był pucołowatym grubaskiem. Zdziwiło mnie, że z tak dobrze odżywionego chłopczyka wyrósł kościsty chudzielec, którego poznałem przy Khao San Road.

- To ty, prawda? - spytałem dla pewności.

- Tak, to ja. - Poklepał mnie po ramieniu pulchną rączką. - Chcesz się czegoś napić? - powtórzył.

Potarłem szyję.

- A co masz?

- Może być sok z czarnej porzeczki albo woda.

- W takim razie sok.

- Dobra. Zaczekaj.

Wszedł do domu, kołysząc się jak kaczka. Pomyślałem, że pewnie stąd wzięło się jego przezwisko. Wkrótce wrócił z filiżanką w rękach.

- Niestety, nie jest za zimny. Woda w kranie ścieka godzinami.

- Nie szkodzi.

Podał mi filiżankę i uważnie się przyglądał, jak piję.

- Dobry? Lepszy byłby z lodem.

- Nie, jest w sam raz.

- Mogę przynieść kilka kostek.

- Nie trzeba. - Dopilem resztkę soku. - Był taki, jak trzeba.

- Świetnie. - Uśmiechnął się promiennie. - Chcesz obejrzeć mój pokój?

* * *

Pokój pana Kaczora był bardzo podobny do mojego: sterty ubrań, na ścianach plakaty z pozaginanymi rogami, zmięta kapa u stóp łóżka, poobijane matchboksy na półkach, wszędzie szklane kulki i żołnierzyki. Jediną różnicą było to, że dzieliłem pokój z młodszym bratem, co po dwakroć zwiększało bałagan.

Na podłodze pośrodku pokoju piętrzył się przewrócony stos komiksów z Tintinem i Asteriksem.

- O kurde! - rzuciłem z podziwem. - Ale kolekcja!

Pan Kaczor szeroko otworzył oczy, podbiegł do drzwi i nerwowo wyjrzał na korytarz.

- Richard - syknął, odwracając się do mnie z surowo uniesionym palcem. - Nie wolno tego mówić!

- Nie wolno mówić „O kurde”? Zaczerwienił się i gwałtownie zamachał rękami.

- Ciii! Jeszcze ktoś usłyszy!

- Ale...

- Żadnych „ale”! - Zniżył głos do szeptu. - Każde przekleństwo kosztuje w tym domu dwa pensy!

- Aha. Już nie będę.

- To dobrze - odparł poważnie. - Powinieneś zapłacić, ale ponieważ nie znalazłeś przepisów, odstąpię od wyegzekwowania kary.

- Dzięki. - Podeszedłem do sterty komiksów i wziąłem pierwszy z wierzchu. *Cygara faraona*. - Widzę, że lubisz Tintina.

- Uwielbiam! A ty? Mam wszystkie numery oprócz pierwszego.

- A ja wszystkie, łącznie z pierwszym.

- *Błękitnego lotosa* też?

- Ale tylko po francusku.

- No, właśnie! Dlatego go nie mam. Strasznie mnie to wnerwia.

- Niech ktoś ci poczyta. Mnie czytała mama. Świetna rzecz.

Pan Kaczor wzruszył ramionami.

- Moja mama nie zna francuskiego.

- Aha.

- Który lubisz najbardziej?

- Hmm... Trudne pytanie. - Myślałem kilka sekund. - Na pewno nie *Tintina w Ameryce*.

- Ani *Szmaragd Castafiore*.

- Nie, ani tego... Bo ja wiem? Może *Tintina w Tybecie*. Albo *Kraba ze złotymi kleszczami*. Nie potrafię się zdecydować.

- Chcesz wiedzieć, który ja lubię najbardziej?

- No?
- *Więźniów słońca.*
- Kiwnąłem głową.
- Mocna rzecz.
- Tak. Pokazać ci inną książkę, którą też bardzo lubię?
- Pokaż.

Pan Kaczor ukucnął, pomacał pod łóżkiem i wyciągnął stamtąd księgę wielkości stolika do kawy. Jej czerwone okładki zdobył jedynie tytuł tłoczony złotymi literami. *Time. Dekada w fotografii: 1960-1970.*

- To książka taty - rzucił lekko. Usiadł na podłodze i poklepał miejsce obok siebie. - Nawet nie powinienem jej tu mieć. Wiesz co?

- No?
- W tej książce... - Dla większego efektu dramatycznie zawiesił głos. - W tej książce jest zdjęcie dziewczyny.

Głośno prychnąłem.

- Wielkie mi co.
- Ale gołej dziewczyny!
- Gołej?
- Uhm. Chcesz zobaczyć?
- Jasne.
- Dobra, zaczekaj. - Zaczął kartkować album. - To gdzieś w środku... Mam! Spójrz!

Położyłem sobie księgę na kolanach. Dziewczynka była rzeczywiście goła i miała dziesięć, dwanaście lat. Biegła wiejską drogą.

Pan Kaczor nachylił się i przytknął usta do mojego ucha.

- Widać dokładnie wszystko! - szepnął podniecony.
- Fakt - przyznałem.
- Wszyściutko! Każdy szczegółik! - Zachichotał, zakrył usta rękami i zakolysał się nerwowo. - Wszyściutko!
- Tak - odrzekłem i nagle ogarnęła mnie osobliwa niepewność. W zdęciu było coś dziwnego.

Popatrzyłem na pola wokół drogi, nienaturalnie płaskie i obce. Potem zauważyłem grupkę budynków za dziewczynką, albo nieostrych, albo rozmytych w obłokach dymu. Dziewczynka była zdeenerwowana, ręce trzymała tak, jakby bała się dotknąć swego ciała. Obok niej biegły inne dzieci. Obserwowało je kilku najwyraźniej znudzonych żołnierzy.

Zmarszczyłem czoło. Szybko przenosiłem wzrok to na dziewczynkę, to na żołnierzy, to na dziewczynkę, to na żołnierzy. Jakbym dostał oczopląsu i nie wiedział, na czym się skupić. Nie byłem nawet pewien, co widzę.

- Kurwa mać - mruknałem i z trzaskiem zamknąłem album.

Pan Kaczor usiadł prosto.

- Przykro mi, Rich - powiedział. - Ostrzegałem cię. Tym razem będziesz musiał zapłacić.

NA RUBIEŻY

Aspekt numer jeden

Jed miał szerszy rozstaw oczu, dlatego chwilę trwało, nim zamiast dwóch rozmytych kręgów zobaczyłem jeden, ostry i wyraźny. Potem musiałem powolutku lustrować morze, podpierając się łokciami, ponieważ każdy gwałtowniejszy ruch przenosił mnie parę kilometrów w prawo albo w lewo. Pasma piasku i linię zielonych palm znalazłem dopiero po kilkunastu sekundach, ale kiedy już je znalazłem, pięć znajomych postaci zlokalizowałem niemal natychmiast. Były w tym samym miejscu co poprzedniego ranka i niemal każdego ranka od dziewięciu dni. Nie wypatrzyliśmy ich tylko raz, przed czterema dniami, kiedy to plaża była zupełnie pusta. Trochę się zdenerwowaliśmy, lecz zupełnie niepotrzebnie, gdyż wychynęły zza drzew dwie godziny później.

- Wciąż tam są - powiedziałem.
- Coś szykują?
- Nie.
- Po prostu leżą.
- Jeden chyba stoi, ale się nie rusza.
- Widzisz całą piątkę?

Przeliczyłem ich.

- Tak. Są wszyscy.
- To dobrze. - Jed odkaszlnął cicho w rękę. Byliśmy bardzo blisko pola marihuany i nie mogliśmy za głośno rozmawiać. Palić też nie mogliśmy, co nie sprzyjało moim nerwom. - To dobrze.

* * *

Mój pierwszy dzień z Jedem zaczął się dość kiepsko. Obudziłem się w parszywym nastroju, otumaniony snem i wciąż lekko przybity

myślą, że muszę odejść od rybaków. Ale gdy tylko wyjaśnił mi, o co chodzi, wszystko zrozumiałem. I natychmiast wpadłem w panikę. „Nie mogło się zdarzyć nic gorszego, nie mogło się zdarzyć nic gorszego” - powtarzałem to w kółko niczym mantrę, podczas gdy on cierpliwie czekał, aż się uspokoję. Trwało to i trwało, ale w końcu trochę zwolniłem, tak że mógł wtrącić choć kilka słów, a wówczas dotarł do mnie pełny obraz sytuacji.

Dobre w tym wszystkim było to, że Sal wciąż nie wiedziała o mojej niedyskrecji z mapą. Jed powiedział jej tylko, że na sąsiedniej wyspie ktoś się pojawił, lecz nie wspomniał, że może to mieć jakiś związek ze mną. Nadal uważała, że wybrał mnie wyłącznie dlatego, iż znudzony samotnością, zapragnął mieć pomocnika. Inną dobrą wiadomością było to, że Sal zgodziła się mnie przenieść dopiero w dwa dni po tym, jak Jed zauważył intruzów. Oznaczało to, że jeśli próbują dotrzeć do naszej plaży, mają z tym duże kłopoty.

Tak, musieliśmy założyć, że szukają plaży. Musieliśmy też założyć, że dwóch z nich to Zeph i Sammy, a pozostała trójka to Niemcy, których Jed widział na Ko Pha-Ngan. Absolutnej pewności nie mieliśmy, ponieważ lornetka była za słaba, żeby dostrzec przez nią choćby jasną plamkę blond włosów, lecz istniało duże prawdopodobieństwo, że się nie mylimy.

Resztę dnia spędziłem w stanie szoku, z lornetką Jeda przyklejoną do oczu, przekonany - ilekroć któryś z nich się poruszył - że zaraz popłyną w naszą stronę. Ale nie, nie popłynęli. Właściwie to prawie nie schodzili z plaży, ot, kąpali się tylko albo znikali na kilka godzin w dżungli. Po trzech, czterech takich dniach panika po prostu musiała minąć. I minęła, ustępując miejsca silnemu niepokojowi, a potem zwykłemu napięciu. W stanie napięcia mogłem w miarę trzeźwo myśleć, a nawet na swój sposób się odprężyć. I dopiero wówczas zacząłem dostrzegać inne aspekty pracy na rubieży.

Po pierwsze, lepiej poznałem Jeda. Aż do zmierzchu siedzieliśmy na skalnym występie w najwyższym punkcie wyspy i oprócz wypatrywania mogliśmy tylko gadać. Mówiliśmy głównie o „Planie B”, który mieliśmy zastosować, gdy obcy w końcu do nas dotrą. Sęk w tym, że „Plan B”, jak większość „Planów B”, po prostu nie istniał. Rozważaliśmy kilka możliwości, ale nie mogliśmy uzgodnić, którą wybrać. Ja skłaniałem się ku następującej: Jed miałby

przechwycić ich na morzu albo na plaży i oznajmić, że nie są wśród nas mile widziani. Ale nie chciał tego zrobić. Twierdził, że dałby radę zmusić ich do powrotu, ale był również pewien, że popłynęliby prosto na Ko Pha-Ngan i o wszystkim rozpowiedzieli. Nie, wołał polegać na naturalnych barierach otaczających naszą kryjówkę. Najpierw musieliby tu przyplłynąć, potem obejść pole marihuany, znaleźć lagunę, wreszcie drogę do niej. Był przekonany, że ten tor przeszkód ich odstraszy, najwyraźniej zapominając, że nie odstraszył ani nas, Françoise, Etienne'a i mnie, ani Szwedów, ani jego samego.

To właśnie podczas jednej z tych niekończących się dyskusji o „Planie B” odkryłem, że kiedyś obserwował nas tak samo, jak teraz my obserwowaliśmy Zepha i Sammy'ego. Widział, jak przyplłynęliśmy łodzią przewoźnika z Ko Pha-Ngan, a kiedy szczęśliwie ukończyliśmy nasz pływacki maraton, zawiadomił Sal - dlatego ona, Bugs i Cassie tak spokojnie powitali nas w obozowisku. Właśnie to należało do jego głównych zadań jako strażnika kolonii; podkradanie trawki było zajęciem ubocznym. Powiedział mi też, że od jego przyjazdu na wyspę do laguny próbowały dotrzeć trzy grupki ryzykantów. Dwie zrezygnowały, zrażone przeszkodami. Trzecią byli Szwedzi.

Stało się jasne, że ludzie trafiali na wyspę i bez mapy, i ta świadomość sprawiła, że moje poczucie winy odrobinę zmalało. Jed, tak samo jak Zeph, też słyszał plotki o Edenie. O lagunie dowiedział się od jakiegoś faceta w Wientianie i „z braku czegoś lepszego do roboty” postanowił sprawdzić, ile w tym prawdy. Musiał zbadać sześć innych wysp w narodowym parku morskim, nim znalazł tę właściwą. Szwedzi dysponowali konkretniejszymi informacjami: podsłuchali rozmowę Sal i Jeana, którzy pojechali na Wyprawę po Ryż do Chaweng.

Wiadomość, że moim głównym zadaniem będzie wypatrywanie ewentualnych intruzów, bardzo mnie zaskoczyła. Nie mogłem zrozumieć, po co ta cała tajemnica, Jed z kolei był trochę zaskoczony, że jakaś tajemnica w ogóle istniała. Przyznał, że owszem, Sal prosiła go o dyskrecję, ponieważ uważała, że tak będzie lepiej ze względu

na atmosferę w obozowisku, ale nie mówił o tym przede wszystkim dlatego, że nikt go o nic nie pytał.

To z kolei doprowadziło do najbardziej interesującego odkrycia na temat Jeda, a właściwie reakcji Daffy'ego na jego niespodziewane przybycie na plażę. Pamiętałem, że Keaty opowiadała mi, jak to wszyscy koloniści stali przed barakiem, podczas gdy Daffy wrzeszczał, a Sal próbowała go uspokoić. O tym już wiedziałem. Nie wiedziałem natomiast, że od tamtego dnia Daffy się do Jeda nie odzywał. Przez trzynaście miesięcy, a więc do chwili, kiedy opuścił wyspę, nie zamienili z sobą ani słowa. Właśnie to było powodem, dla którego przydzielono Jedowi funkcję zwiadowcy: Sal i Bugs chcieli odseparować go od reszty kolonistów na większą część dnia.

Bardzo mu współczułem, gdy mi o tym opowiedział. Wyjaśniało to, dlaczego zachowywał w stosunku do nas tak wielką rezerwę. Jego pozorna wyniosłość brała się z przekonania, że nie powinien wchodzić nam w drogę nawet teraz, półtora roku po tamtych wydarzeniach. Tłumaczyło też, dlaczego tak chętnie brał udział w niepopularnych przedsięwzięciach, jak na przykład w Wyprawach po Ryż.

Ale Jed się nad sobą nie użalał. Kiedy stwierdziłem, że tak zimna reakcja musiała go zabołeć, wzruszył ramionami i odparł, że potrafi to zrozumieć.

* * *

Odłożyłem lornetkę.

- Coś nie daje mi spokoju. Zmarszczył brwi.
- Jedziemy tym samym wozem.
- Boję się, że znajdą mój plecak.
- Plecak?
- Schowałem tam swój plecak, Etienne i Françoise też. Nie mogliśmy z nimi płynąć, więc... Jeśli znajdą plecaki, odkryją, że są na dobrym tropie.
- Dobrze je schowaliście?
- Chyba tak. Rzecz w tym, że gdy teraz o tym myślę... Wiesz, mogłem źle skopiować tę mapę. Rysowałem ją w pośpiechu, musiałem naszkicować mnóstwo wysp. Poza tym pamiętam, że między przewodnikiem Etienne'a i mapą Daffy'ego było sporo różnic.

Mogłem pominąć jakąś wysepkę leżącą za Ko Phelong.

Jed kiwnął głową.

- To możliwe.

- Jeśli myślą, że dotarli na właściwą wyspę, tłumaczyłoby to, dlaczego siedzą tam już od dziewięciu dni. Sprawdzają, szukają plaży, której oczywiście nie znajdują, mogą za to znaleźć plecaki.

- Tak, to możliwe - powtórzył Jed. - Ale równie dobrze mogli spędzić dziewięć dni, dumając, jak wrócić na Ko Pha-Ngan.

- I zastanawiając się, jak mogli być na tyle głupi, żeby uwierzyć mapie, którą ktoś wsunął im pod drzwi.

- Jeśli tak, byliby takimi samymi głupkami jak ty.

- Fakt.

Jed zmarszczył czoło i przetarł ręką twarz.

- Ciekawe, skąd biorą żarcie i wodę.

- Jedzą zupy w proszku i czekoladę. Tak samo jak my.

- A woda? Żeby tak długo wytrzymać, musieliby zabrać z sobą całą beczkę.

- Może znaleźli jakieś źródło. Wyspa jest spora.

- Może... Ale coś ci powiem: mylisz się co do tej mapy. Spójrz na nich. Sterczą w tym miejscu cały, kurwa, dzień. Dokładnie naprzeciwko nas, tak? A więc wiedzą, że to jest ta wyspa. Siedzą tam i główkują, jak się tu dostać.

Westchnąłem.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić?

- Nie.

- Popłynąć do nich łodzią, zabrać ich na pokład, wziąć kurs na otwarte morze i wyrzucić wszystkich za burtę. Problem rozwiązany.

Jed zadarł głowę i popatrzył w niebo.

- Dobra. Zróbmy to.

- Dobra.

- Dobra.

- Dobra.

Wymieniliśmy krótkie spojrzenia i znowu zaczęliśmy wy-patrywać przez lornetkę.

Niewinne kłamstwa

Zwykle zostawialiśmy tam, dopóki dolna krawędź słońca nie dotknęła horyzontu, a potem wracaliśmy do obozowiska. W ciemności nie było sensu niczego wypatrywać, a Jed powiedział, że po zapadnięciu zmroku w terenie robi się niebezpiecznie, że łatwo można na coś wpaść - na coś albo na kogoś. W obozowisku składał meldunek Sal, tymczasem ja brałem jedzenie i z miską resztek w rękę szedłem poszukać przyjaciół rybaków. Zwykle znajdowałem ich w pobliżu kuchni, gdzie palili przed pójściem spać.

Sal i Bugsowi łąłem bez trudu, lecz nie znośm kłamać kumpom, a zwłaszcza Keaty'emu. Ale nie miałem żadnego wyboru. Dopóki nie wiedzieliśmy na pewno, czy Zeph i Sammy dotrą na naszą wyspę, wzniecanie niepokoju nie miało najmniejszego sensu. Mogłem co najwyżej zaspokoić ciekawość Keaty'ego, ale kiedy opowiedziałem mu o pracy Jeda, był mniej zaskoczony, niż się spodziewałem.

- Dobry pomysł - rzekł beznamiętnie. - Od przyjazdu Szwedów ludzie martwią się, kto będzie następny.

- A od mojego?

- Daffy ci powiedział, to co innego.

- Wściekali się na Szwedów?

- Głównie Daffy.

- Jed mówi, że jego też nie lubił.

Keaty potarł gameboyem o szorty.

- Życia im nie ułatwiał, ale kiedy już tu trafili, co mógł zrobić?

- Dlatego wyjechał?

Pytanie zawisło w powietrzu. Keaty uważnie oglądał małeńki ekran.

Spytałem ponownie.

- Właściwie to tak - odrzekł w końcu. - Tak, chyba tak. - Wepchnął kasetkę do otworu i pstryknął przełącznikiem. - Zaliczyłeś to?

- Z dwadzieścia razy.

- A ja się zastanawiałem, dlaczego baterie tak szybko zdychają...

- Patrzył na ekran, ale nie grał. - No i co zrobicie, kiedy ktoś tu przypłynie? - rzucił obojętnie.

- Chyba będziemy go obserwować.

Uśmiechnął się krzywo.

- A potem go zdejmiecie, tak? Ze względu na ekstremalne zagrożenie bezpieczeństwa kolonii.

- Powiem ci, kiedy do tego dojdzie - odrzekłem, śmiejąc się nie-swojo. Dalsze pytania powstrzymało nadejście Jessego, który szukał bibulek.

* * *

Po tej krótkiej wymianie zdań skutecznie udawało mi się unikać rozmów na temat mojego nowego zajęcia. Nie było to trudne. Keaty'ego całkowicie pochłonęło rybołówstwo i wystarczyła byle wzmianka, żeby natychmiast zaczął o tym mówić. Ku swojej uldze stwierdziłem, że to samo odnosi się do reszty rybaków, tak więc zawsze mogłem skierować rozmowę na wygodniejszy temat. Przy-puszczam, że powracając do wspólnych doświadczeń, pragnęli podkreślić moją przynależność do grupy, natomiast ja z radością wita-łem wszystko, co dawało mi poczucie względnej normalności.

Przez kilka pierwszych dni, kiedy to ciągle panikowałem, zachowanie pozornego spokoju przychodziło mi z dużym trudem i wymagało nieustannej koncentracji. Ilekroć opuszczałem gardę, natychmiast ulegałem ponurym myślom bez względu na to, czy ktoś do mnie mówił, czy nie. Owszem, tłumaczyłem się zmęczeniem albo tym, że za bardzo przyćpałem, lecz nie mogłem robić tego za często.

Jednakże konieczność ciągłego skupienia miała też swoje plusy: brakowało mi czasu, by zazdrościć Keaty'emu, że tak gładko mnie zastąpił, czy też smucić się tym, że moja tajemnica wzniesie niespodziewane bariery między mną i moimi przyjaciółmi. Niespodziewane dlatego, że nowe zajęcie mogło mnie od nich oddalić, lecz wkrótce zrozumiałem, że jest odwrotnie: że praca z Jedem oddala mnie od nich. Wciąż wiedziałem, co robią i jak żyją. Wiedziałem, kiedy upolowali wielką rybę. Wiedziałem, że Jean próbuje zwabić Keaty'ego z powrotem do ogrodu, że Cassie chce uciec z zespołu cieśli, by pracować razem z Jessem, i że Bugs nie chce o tym słyszeć.

Już nie musiałem walczyć o utrzymanie pozornie spokojnego oblicza. Powiniennem - przynajmniej teoretycznie - odczuwać zazdrość o Keaty'ego i smutek z powodu kłamstw, lecz nic takiego nie odczuwałem. Ciekawa rzecz, bo czerpałem z tego pocieszenie.

Uświadomiłem sobie, że jeden problem mam z głowy, ponieważ skoro to ja tworzyłem dzielący nas dystans, równie dobrze mogłem ten dystans zlikwidować. A jeśli tamci nie dotrą na wyspę, bez żadnego trudu znowu się do nich zbliżę. Wystarczy, że przestanę kłamać, co nie nastarczy mi żadnych trudności, ponieważ nie będę miał już żadnego powodu, żeby to robić. Oczywiście pocieszyłoby mnie to jedynie wówczas, gdyby Zeph i Sammy nie zdołali do nas dotrzeć, bo gdyby im się udało, Sal dowiedziałyby się o mapie i miałbym do tyłu tak czy inaczej.

W takim to właśnie stanie umysłu - czujny, lecz w miarę spokojny - zacząłem dostrzegać inne aspekty pracy na rubieży. Myślę, że dotarło to do mnie piątego dnia, kiedy obudziwszy się pół godziny przed Jedem, niecierpliwie liczyłem minuty dzielące nas od wyjścia. A może szóstego, kiedy to odkryliśmy, że Zeph i Sammy zniknęli z plaży, i kiedy to bez słowa lustrowaliśmy morze, chłodno i profesjonalnie, dopóki trzy godziny później nie pojawili się znowu. Dokładniej mówiąc, pierwszy spostrzegł to Jed, chociaż wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Głowę daję, że w duchu nie możesz się już doczekać, żeby połączyć sobie po wyspie, co? - zażartował, gdy powiedziałem mu o przeniesieniu. Niestety, byłem w zbyt parszywym nastroju, żeby przyznać mu rację.

Nie było w tym nic dziwnego. Wypełnialiśmy tajną misję. Mieliśmy lornetkę, maszerowaliśmy przez dżunglę, wypatrywaliśmy wroga, niebezpieczeństwa, ukrytych kałazy i skośnych oczu. Brakowało tylko ścieżki dźwiękowej Doorsów.

Zbyt to znajome, żeby dziwić, zbyt podniecające, by przerażać. Niebawem nie można się było temu oprzeć.

Ol'Blue

Pod koniec dziesiątego dnia jak zwykle się spieszyliśmy, żeby zdążyć do domu przed zapadnięciem zmroku. Słońce zniknęło już za zachodnimi klifami i pomarańczowa poświata wczesnego wieczoru powoli błękitniała. Podczas marszu nigdy nie rozmawialiśmy, porozumiewając się wyłącznie gestami rąk. Zaciśnięta pięść

oznaczała „stój”, otwarta dłoń ułożona równolegle do ziemi mówiła „przywaruj”, powolny ruch złączonymi palcami w tym czy innym kierunku nakazywał „ostrożnie naprzód”. Znaczenia tych gestów nigdy z sobą nie uzgadnialiśmy, tak samo jak nigdy nie sporządzaliśmy listy określonych zwrotów, których zaczęliśmy używać. Zamiast mówić: „Pójdę pierwszy”, mówiliśmy: „Obstawię szpicę”, a odległość przeliczaliśmy na kliknięcia. Nie pamiętam, jak ani kiedy to wszystko sobie przyswoiliśmy. Myślę, że było to po prostu najodpowiedniejsze słownictwo w danej sytuacji.

Tego wieczoru szpicę obstawiał Jed, jak zawsze gdy światło było kiepskie; ostatecznie znalazł wyspę o wiele lepiej niż ja. Z trudem za nim nadążałem, nie potrafiąc równie łatwo jak on godzić szybkości z bezszelestnością, dlatego nie zauważyłem zaciśniętej pięści i wpadłem prosto na niego. Ponieważ ani się nie skrzywił, ani nie zaklął, zdałem sobie sprawę, że to coś poważnego. Powoli oderwałem się od jego pleców i znieruchomiałem.

Rzadka i wystrzępiona dżungla przed nami przechodziła w szerokie pasmo traw i krzewów, tak że początkowo myślałem, że Jed zauważył kogoś na polanie. Ale nie, patrzył w dół, pod nogi. Przez chwilę trwaliśmy w absolutnym bezruchu. Nie wiedziałem, w czym problem, ponieważ Jed zasłaniał mi widok. Po długiej chwili milczenia ostrożnie klepnąłem go w ramię. Nie zareagował i nagle przyszło mi do głowy, że tuż przed nim może leżeć jadowny wąż. Rozejrzałem się za jakimś kijem, lecz żadnego nie zauważyłem, a potem centymetr po centymetrze wychyliłem się zza Jeda.

Pewnie byłbym sapnął z wrażenia, gdyby nie sparaliżowało mi szczęk i piersi. Niecały metr od jego stóp leżał Taj. Spał na plecach z pistoletem maszynowym w zagłębieniu ramienia. Jed powoli odwrócił ku mnie głowę, jakby się bał, że gwałtowniejszy ruch powietrza może tamtego obudzić.

- Co teraz? - spytał samymi wargami.

Wskazałem ręką w kierunku, z którego przyszliśmy, ale pokręcił głową. Kiedy ja głową pokiwałem, on znowu energicznie pokręcił swoją, a potem lypnął na mnie wkurzony i dźgnął palcem w dół. Stał na lufie automatu. Nacisk stopy uniósł kolbę kilka centymetrów nad nagie ramię Taja. Gdyby tylko zabrał nogę, natychmiast by opadła.

- Cholera jasna! - powiedziałem bezgłośnie, a on rozpaczliwie przewrócił oczami.

Myślałem chwilę. Potem zacząłem się powolutku wycofywać. Jed patrzył na mnie, jakby chciał spytać: „Dokąd ty, kurwa, idziesz?” - ale uniosłem rękę, żeby go uspokoić. Wiedziałem, co robić, ponieważ oglądałem *Tour of Duty*.

* * *

Nie pamiętam nazwisk bohaterów. Po części pewnie dlatego, że serial jest koszmarny, ale i dlatego, że występujące w nim postacie wyszły z tej samej szkoły co bohaterowie *Nowojorskich gliniarzy* (czarny porucznik, nieszablonowi, ale skuteczni policjanci). Tak więc w *Tour of Duty* mamy twardego sierżanta, który zna wszystkie sztuczki; zielonego porucznika, który się tych sztuczek uczy; prostytutka z południa Stanów, który chce się zaprzyjaźnić z impertynenckim Murzynem; Latynosa, na którym można polegać pod ostrzałem, oraz inteligencika ze wschodniego wybrzeża, który nosi okulary i pewnie czyta książki. Imiona i nazwiska są nieważne.

Ważne są odgrywane przez nich sceny: opiekują się sierotą poranianą odłamkami szrapnela, powstrzymują konkurencyjny pluton od ataku na bezbronną wieś, skaczą ze śmigłowca w krąg trawy spłaszczonej podmuchem wirnika, charcząc i umierając, obejmują swych towarzyszy, fachowo rozbijają miny.

Pluton idzie przez dżunglę, wtem rozlega się ledwo słyszalne kliknięcie. Wszyscy momentalnie zalegają - wszyscy oprócz jednego żołnierza, biednego kota, który zeszywniał ze strachu.

- Nie chcę umierać, panie sierżancie - bełkocze kot i zaczyna odmawiać pacierz.

Sierżant podpełza do niego i mruczy:

- Trzymaj się, synu. - Już wie, co robić. Zaliczył to w Korei, w pięćdziesiątym trzecim.

I ni z tego, ni z owego zaczyna mu opowiadać pozornie niezwiązaną historyjkę o tym, co przydarzyło mu się, kiedy jako dziecko pracował na farmie swego ojca. Miał wówczas myśliwskiego psa, którego bardzo kochał - wybieg jest sprytny i żołnierz uważnie słucha, tymczasem sierżant wsuwa pod jego stopę ostrze noża. Strużka potu żłobi rowek w warstwie brudu na jego czole.

Otóż Ol'Blue, bo tak miał na imię pies, wpadł w królicze sidła, które zaciskały się tym mocniej, im mocniej się psisko szarpało. Żołnierz kiwa głową, wciąż nie rozumiejąc związku.

- I co się z nim stało? - pyta. - Uwolniliście go?

- Oczywiście, żołnierzu - odpowiada sierżant i każe mu unieść stopę, powoli i ostrożnie. Kot jest skonsternowany i przerażony, ale ufa dowódcy. Unosi stopę, a sierżant zsuwa po ostrzu noża kamień, który przytrzymuje zapadkę miny.

- Synu - chce stary wiarus - Ol'Blue musiał się tylko wyluzować.

* * *

Nie zamierzałem opowiadać Jedowi o psie. Kiedy delikatnie kładłem kamień na lufę pistoletu, nawet cichutki metaliczny zgrzyt, który temu towarzyszył, zabrzmiał jak uderzenie kija w pustą beczkę po benzynie. Ułożywszy kamień, spojrzałem na Jeda. Spokojnie wzruszył ramionami i gestem kazał mi wstać. Pewnie chciał, żebym był gotowy do ucieczki na wypadek, gdyby kolba opadła.

Milimetr po milimetrze dźwignął stopę. Kolba opadła i znieruchomiała centymetr nad ramieniem Taja. Jed głośno wciągnął powietrze. Wymieniliśmy spojrzenia, powolutku przeszliśmy nad nogami śpiącemu i wchłonęła nas dżungla. Koniec dramatu.

Do wodospadu szliśmy czterdzieści pięć minut i calutką drogę się uśmiechałem. Uśmiechałem się tak intensywnie, że rozbolały mnie szczęki i gdyby nie konieczność zachowania ciszy, śmiałbym się w głos.

Zasługa

Tego dnia skoczyłem z wodospadu, czym zadziwiłem i Jeda, i samego siebie. Zupełnie tego nie planowałem. Staliśmy na krawędzi skały, oglądając zachód słońca, bezchmurny, bardzo piękny i zasługujący na chwilę refleksji. W bezchmurne wieczory światło potrafiło platać dziwne figle. Zamiast promienistej jasności od horyzontu były promienie ciemności, innymi słowy: powstawał wówczas spolarzowany obraz tradycyjnego zachodu słońca. Początkowo patrzyło

się na to z niejasnym wrażeniem, że coś jest nie tak. Potem, tak samo jak z nieskończonymi schodami Eschera, nagle dochodziło się do wniosku, że nie ma w tym żadnego sensu. Efekt ten intrygował mnie, ilekroć go widziałem, i przyjemnie zbity z tropu, mogłem wówczas spędzić dwadzieścia minut na spokojnej kontemplacji.

Jed też nie potrafił tego wyjaśnić, choć zawsze próbował.

- To cienie chmur ukrytych za horyzontem - orzekł tam tego wieczoru.

Poklepałem go po ramieniu.

- Popatrz - powiedziałem i... skoczyłem.

W następnej chwili śmignęła mi przed oczyma skalna ściana i zaniepokojony, nagle stwierdziłem, że mam zgięte nogi. Ich przesunięty w bok ciężar obracał mną w powietrzu, tak że groziło mi lądowanie na plecach. Spróbowałem je wyprostować i sekundę później wpadłem do basenu. Siła uderzenia pozbawiła mnie tchu. Wykonałem kilka gwałtownych obrotów pod wodą i wypłynąłem.

Jed obserwował mnie ze skały, wzięwszy się pod boki. Nic nie powiedział, ale wiedziałem, że tego nie pochwała. Kilka minut później warknął na mnie, gdy szliśmy w kierunku obozowiska, ale być może miało to coś wspólnego z piosenką, którą śpiewałem.

Piosenka szła tak: „Widziałem mysz. Gdzie? Na karafki dnie. Na karafki dnie? Ach, gdzie? Tam! Małą mysz w drewniakach, która, dając słowo, stuku-puku, maszerowała po karafki dnie!”

- Chryste! - mruknął, gdy zacząłem powtarzać piosenkę po raz trzeci. - Co cię napadło?

- Śpiewam - odrzekłem beztrasko.

- Słyszę. Przestań.

- Nie znasz tej piosenki?

- Nie.

- Niemożliwe. Każdy ją zna.

- To najgłupsza piosenka, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Wzruszyłem ramionami. Trudno zaprzeczyć, że jest głupia. Szliśmy kilka minut, ja - nucąc cichutko pod nosem, on - milcząc.

- Wiesz co? - powiedział wreszcie. - Powinieneś na siebie uważać.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, więc nie odpowiedziałem.

- Jesteś na haju - dodał.

- Na haju?

- Jak po trawce.

- Od wczoraj nie paliłem.

- No, właśnie - odparł z naciskiem.

- Chcesz powiedzieć, że powinienem mniej ćpać?

- Chcę powiedzieć, że ćpanie nie ma z tym nic wspólnego. - Drogę zagroziła gałąź, więc odchylił ją i przytrzymał, dopóki nie przeszedłem. - Dlatego powinienem na siebie uważać.

Prychnąłem z pogardą. Sposób, w jaki mówił, przypominał mi Wyprawę po Ryż i jego niejasne wzmianki na temat poczucia winy. Czasami celowo bywał tajemniczy i doszedłem do wniosku - a byłem wtedy niezbyt życzliwie nastawiony - że przyczyniło się to do jego wyalienowania w tym samym stopniu co niezręczne okoliczności towarzyszące jego przybyciu na wyspę. To z kolei sprowokowało myśl o mojej narastającej alienacji.

- Jed - spytałem - sądzisz, że mógłbym opowiedzieć im o naszej przygodzie ze strażnikiem? Zepha i Sammy'ego to nie dotyczy, więc...

- Hmm...

- Ciągłe pytają mnie, co tu robimy, a ja wije się jak piskorz. Miałbym okazję...

- Dobra, opowiedz im. Nie zaszkodzi. W sumie to nawet dobry pomysł.

- Tak?

- Nie powinni myśleć, że coś przed nimi ukrywamy.

- Świetnie - odrzekłem i zanim zdążyłem się powstrzymać, znowu zacząłem podśpiewywać o myszy w drewniakach.

* * *

W obozowisku panowała niemal kompletna ciemność. Resztki gasnącej na niebie jasności pochłaniał wiszący nad polaną baldachim. Słabe światło biło tylko od świec płonących w baraku i z żarzących się tu i ówdzie papierosowych ogników.

Chociaż chciałem jak najszybciej opowiedzieć rybakom o naszej

przygodzie z tajskim strażnikiem, najpierw pomyślałem o jedzeniu, dlatego poszedłem prosto do kuchni. Unhygienix zostawiał nam codziennie dwie porcje ryżu zawiniętego w liście bananowca, pamiętając o tym, żeby okrasić je najlepszymi kawałkami ryby. Kiedy wracaliśmy, ryż był już zimny, ale zwykle skręcał mnie zbyt wielki głód, żeby robiło to jakkolwiek różnicę. Tego wieczoru zauważyłem, że Unhygienix dodał do ryżu trochę papai, co mnie lekko zirytowało, gdyż zrozumiałem, że Bugs znalazł mój sad.

Wziąłem ryż i zacząłem krążyć między grupkami palaczy, szukając przyjaciół rybaków. Dziwne, ale nigdzie ich nie było i nikt nie wiedział, gdzie przepadli. Skonsternowany, zajrzałem do namiotu Keaty'ego, a potem do baraku, gdzie zastałem Unhygieniksa, Cassie i Ellę grających w blackjacka. Nieco dalej siedział Jesse nad swoim pamiętnikiem.

- Aaaa! - wykrzyknął Unhygienix, wskazując mój ryż. – I co o tym myślisz?

- O ryżu?

- Zauważyłeś owoce? Dobry smak?

- Znakomity. Słodki, pikantny i aromatyczny. Bardzo tajski.

Unhygienix się rozpromienił.

- Wiesz, co zrobiłem? Wycisnąłem sok z papai i udusiłem w nim rybę, ale owoce dodałem na dwie minuty przed końcem gotowania, boby się rozpadły.

- Aha.

- I wiesz, będziemy mogli to powtórzyć. Jean posadzi nasiona i założy papajowy ogród. Jestem bardzo zadowolony z tego dania.

- Słusznie. Jest pyszne. Dobra robota.

Unhygienix skromnie pokręcił głową.

- Podziękuj Bugsowi.

- Niby dlaczego? - spytałem podejrzliwie.

- Znalazł w dżungli papajowy sad.

Zadławiłem się ością.

- Co zrobił?

- Znalazł w dżungli wielki sad, gdzie rosną same papaje i gdzie jest mnóstwo małp.

- Akurat!

- Tak, wczoraj...

- To ja znalazłem ten pieprzony sad! Dwa tygodnie temu!
- Ty?
- Bugs powiedział, że to on?
- No...
- A jakże - przerwała mu z uśmiechem Cassie. - Tak powiedział.
- A to kutas! - Zdenerwowany, za mocno ścisnąłem liść i część ryżu chlapnęła na podłogę.

- Uważaj - rzuciła Ella.

Zmarszczyłem czoło i nagle uświadomiłem sobie, że niepotrzebnie robię scenę.

- Tak czy inaczej, Bugs kłamie.

- Spokojnie, Richard. - Cassie zachichotała, wykładając sekwens od trójki do jokera. - Ani przez chwilę w to nie wątpiliśmy.

- To dobrze.

Zajęli się grą, tymczasem ja podszedłem do Jessego.

- Słyszałem - mruknął oschle. - Znalazłeś sad. Moje gratulacje.

- To nic wielkiego, tylko...

- Trochę cię to wkurzyło - dokończył za mnie i odłożył dziennik.

- Jasne. Rozumiem. Szukasz Keaty'ego?

- Tak. - Posępnie kiwnąłem głową. Papaje zepsuły mi humor. - I reszty. Nie mogę ich znaleźć. Pewnie gdzieś poszli.

- Tak. Keaty zostawił ci wiadomość.

- Wiadomość? - Poweselałem. - Jaka?

- Coś napisał. Kartka leży na łóżku.

Podziękowałem mu i przebiegłem przez barak, chcąc jak najszybciej sprawdzić, co się dzieje.

Na poduszce leżała złożona kartka, a obok kartki skręt. „Szybko wypal! Fosforescencja! Keaty!”

Zmarszczyłem brwi.

- Jesse! - zawołałem. - Co to znaczy?

Przerwał pisanie i podniósł wzrok.

- Nie wiem. Nie czytałem. Co tam naskrobał?

- Fosforescencja. I zostawił mi skręta.

- Aaaa... - Pokiwał do mnie ołówkiem. - Fosforescencja!

- Co to jest?

- Nie wiesz?

- Nie.

- Idź na plażę - odrzekł z uśmiechem. - Sam zobaczysz, tylko wypal po drodze skręta.

Fosforescencja

Szedłem ścieżką tak szybko, jak mogłem, czyli w sumie dość wolno, gdyż nie chciałem wpaść na jakieś drzewo ani potknąć się o sterczący korzeń. Jednocześnie paliłem. Chociaż byłem sam, ssałem skręta jak smok, ponieważ miałem ochotę przyćpać i ponieważ Keaty kazał mi wypalić go szybko.

Wciąż kipiałem złością o te papaje i wkrótce, ostro nawalony, zacząłem fantazjować, jak to obijam Bugsowi mordę. Początkowo wyobrażałem sobie tylko nas dwóch, jego i mnie, ale potem dodałem publiczność, żeby bardziej go poniżyć. Najpierw doszła Françoise, potem Jed i Keaty, Etienne i Greg, w końcu świadkami walki zostali wszyscy koloniści.

* * *

Była niedziela. Musiała być niedziela, bo tylko w niedzielę wszyscy są na plaży. Większość kopała piłkę, kilkoro pływało, inni rzucaли latającym talerzem. Stałem z Françoise. Paliliśmy skręta, kiedy zza drzew wyszli Bugs i Sal. Bugs niósł trzy olbrzymie papaje.

- Przyniosłem więcej papai! - zawołał. - Wystarczy dla wszystkich.

- Przepraszam - szepnąłem do Françoise. - Zaraz wracam.

Zauważył mnie, gdy ruszyłem w jego stronę, i lekko drgnął, widząc moje posępnie zaciśnięte usta. Zaniepokoił się, ale natychmiast przybrał arogancką minę. Domyśliłem się, że będzie blefował.

- Tak - powiedział głośno, podnosząc owoce, żeby wszyscy je widzieli, i obserwując mnie kątem oka. - Oto papaje, które znalazłem.

Przystanąłem metr przed nim.

- Które ty znalazłeś, Bugs?

- A kto?

- Aha. W takim razie przejdźmy się do tego sadu. Teraz.

Uniósł brwi.

- Teraz?

- Tak, teraz. Pokażę ci peta, którego zostawiłem tam dwa tygodnie temu!

Wszystkich zatchnęło, Sal też. Koloniści otoczyli nas kręgiem, a Françoise podbiegła, by stanąć u mego boku.

- To prawda? - spytała gniewnie.

Bugs pogardliwie odął usta.

- A skąd! On łże! To ja znalazłem ten sad!

- Przejdziemy się?

- Nie muszę ci nic udowadniać!

- Chyba jednak musisz.

- Pocałuj mnie w dupę, koleś. To ja znalazłem ten sad, i kropka.

- Wiesz co, Bugs? - rzuciłem z uśmiechem. Nie licząc cichego szumu fal, na plaży zapadła martwa cisza. - Wkurzasz mnie jak ten głupi królik z kreskówki.

Koloniści wybuchnęli śmiechem, a Bugs wściekle wykrzywił twarz.

- Tak? - mruknął szyderczo. - No, to masz! - Cisnął we mnie papają, ale uchyliłem się i owoc poszybował w tłum.

- Hej! Uważaj! - krzyknął ktoś za mną.

Bugs zaklął i już przymierzał się do następnego rzutu, lecz, szybki jak błyskawica, zerknąłem na stojącą obok mnie Cassie, wyrwałem z jej rąk latający talerz i rzuciłem nim ze snajperską celnością. Papaja eksplodowała mu w rękach. Resztki owocu pacnęły na piasek.

- A żeż ty... - wycharczał, ale już go dopadłem. Zrobiłem zwód w lewo i poczęstowałem go prawym hakiem. Runął na ziemię jak wór kartofli.

I wpadł w przerażenie.

- Psepraszam - wyseplenił, zbierając w dłoń ściekającą z rozciętych warg krew. - Kłamałem! To nie ja znalazłem sad! To Richard!

Powoli schyliłem się po latający talerz i otarłem go z rozartego na pulpę miąższu.

- Za późno, Bugs - odrzekłem cicho i niemal łagodnie. - Za późno...

Przeraźliwie wrzasnął, lecz ani drgnął, sparaliżowany strachem niczym królik w blasku reflektorów. Latający talerz świsnął w powietrzu i trafił go w nasadę nosa, miażdżąc kość. Bugs przetoczył się na bok i niezdarne próbował odpełznąć.

Kopnąłem go w tył głowy i zaaplikowałem mu cztery silne ciosy w nerki.

- Proszę - zaskowyczał. - Psestań...

Zły dobór słów. Coraz bardziej wkurzony, rozejrzałem się wokoło i mój wzrok padł na oścień.

* * *

- Wróć, poprawka - powiedziałem na głos, biorąc ostatniego sztacha. - Tego nie zrobię.

Żar parzył palce, więc upuściłem niedopałek i przewinałem taśmę do pierwszego ciosu.

* * *

Zrobiłem zwód w lewo i poczęstowałem go prawym hakiem. Runął na ziemię jak worek kartofli.

- Pseprasam - wyseplenił. - Kłamałem! To nie ja znalazłem sad! To Richard!

- Powtórz to! - krzyknąłem, górując nad nim z gotowym do rzutu talerzem.

- To nie ja znalazłem papaje! To Richard! Pseprasam!

- Głośniej!

- To ty znalazłeś papaje!

Krótko skinąłem głową i spojrzałem na Françoise.

- Chciałem to tylko uściślić. Popatrzyła na wijące się Bugsa.

- Oczywiście - odrzekła.

- Popłyniesz ze mną do koralowców?

- Chętnie - tchnęła, biorąc mnie pod rękę. - Z przyjemnością.

* * *

Mógłbym fantazjować na temat tego, co było potem, lecz stwierdziłem, że uschłe liście i ziemia pod stopami ustąpiły miejsca piaskowi. Dotarłem do plaży.

Upłynęły wieki, zanim znalazłem Keaty'ego i resztę. Nie widziałem nikogo nawet w blasku księżyca, a ich śmiech dochodził ze wszystkich stron naraz, odbijając się echem i od powierzchni wody, i od skał. Nawalony, szwendałem się po plaży dobre dwadzieścia minut, ale w końcu zlokalizowałem ich przy grupie małych głazów sto metrów od brzegu.

Ponieważ ani ja nie widziałem ich, ani oni nie widzieli mnie, doszedłem do wniosku, że nie ma sensu krzyczeć. Ściągnąłem podkoszulek i popłynąłem w tamtą stronę. Stopniowo rozpoznawałem w ciemności ich postacie. Wszyscy stali pochyleni i patrzyli w wodę. Musieli mnie chyba zobaczyć, bo nagle przestali się śmiać, a kiedy podpłynąłem jeszcze bliżej, zobaczyłem, że wszyscy zwrócili głowy w moją stronę.

- Hej ! - zawołałem. Ich milczenie i to, że mnie obserwowali, było tak dziwne, że przeszedł mnie lekki dreszcz. – Co się dzieje?

Nie odpowiedzieli. Powtórzyłem pytanie, myśląc - gdzie tu logika? - że nie usłyszeli. Kiedy nie odpowiedzieli i tym razem, zatrzymałem się w wodzie trzy metry przed głazem.

- Dlaczego nie odpowiadacie? - spytałem zaskoczony.

Znowu milczenie.

- Spójrz w dół - odrzekł po chwili Keaty.

Spojrzałem. Woda była czarna jak atrament. Na drobnych falach igrały jedynie promienie księżyca.

- Patrzę. No i co?

- Jest za blisko - powiedział Etienne.

- Nie - odparł Keaty. - Richard, poruszaj rękami tuż pod powierzchnią.

- Dobra. - Poruszałem. Françoise westchnęła, natomiast ja wciąż widziałem tylko aksamitną czerń. - Nie chwytam. O co tu chodzi?

- Za blisko - powtórzył Etienne.

Sylwetka Keaty'ego podrapała się w głowę.

- Tak, masz rację. Wejdz na głaz, Richard. Zanurkuje.

Zaraz zobaczysz...

* * *

Zanurkował. Początkowo widziałem tylko zbełtaną wodę i odblask księżyca. Potem, kiedy woda się uspokoiła, pod powierzchnią dostrzegłem jakieś światło. Początkowo było to coś w rodzaju mlecznej poświaty, która rozdzieliła się na tysiące drobnutkich gwiazdeczek, by przybrać kształt ogona sunącego za ich najjaśniejszą grupką. Grupka zawróciła raz i drugi, kreśląc pod wodą świetlistą ósemkę. Potem zatoniła i na kilka sekund zniknęła mi z oczu.

- Co to? - Byłem tak zdumiony i zbity z tropu, że nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

Françoise położyła mi rękę na ramieniu.

- Zaczekaj - szepnęła. - Spójrz!

Świetlista poświata wróciła z głębin, ale teraz szybko rozdzielila się na siedem czy osiem grupek znacznie jaśniejszych niż przedtem. Gwiazdki migotały, śmigaly tam i z powrotem, rozmywały się, roniąc światło, lecz, miast przygasać, błyszczaly coraz intensywniej. Widząc, że się wznoszą, że coraz szybciej pędzą w moją stronę, odruchowo zrobiłem krok do tyłu. W następnej sekundzie woda wściekle zakipiała i na powierzchnię wypłynął Keaty.

- No i co? - wychrypiął, sapiąc jak lokomotywa. - Widziałeś kiedyś coś takiego?

- Nie - wyszeptalem, wciąż głupio oszołomiony. - Nigdy.

- Fosforescencja. Maleńkie żyjątka albo jakieś glony. Świecą, kiedy się poruszysz. - Wgramolił się na głaz. - O kurczę, ledwo żyję. Ćwiczmy to od kilku godzin, żeby uzyskać jak najlepszy efekt.

- Obłąd... Ale skąd one się biorą?

- Daffy twierdził, że z koralowców - odrzekł Gregorio. - Pojawiają się tylko niekiedy. Rzadko. Ale jak się już pojawia, świecą kilka dni. Trzy, czasem nawet cztery.

Pokręciłem głową.

- Zdumiewające. Po prostu zdumiewające...

- Aha. - Etienne klepnął mnie w plecy i wepchnął mi do rąk maskę Grega. - Ale najlepszego jeszcze nie widziałeś.

- Pod wodą?

- Tak. Nałóż to i pływaj za mną. Pokażę ci coś niesamowitego.

- Czysty odlot - zgodził się z nim Keaty. - Nie do opisanja.

Strefa zdemilitaryzowana

Zwróciłem mu lornetkę i położyłem się na plecach. W głowie wciąż buzowało mi od wypalanej wieczorem trawki i chociaż miałem za sobą orzeźwiający spacer przez pół wyspy, nie mogłem

skupić wzroku na maleńkich figurkach krążących po odległej plaży.

- Jakbyś był w kosmosie - powiedziałem, splatając dłonie pod głową. - Jakbyś pływał wśród komet i gwiazd. A najbardziej niesamowicie było wtedy, gdy spłoszyłem stado ryb...

Jed wyregulował rozstaw lornetki.

- Też to widziałem.

- Pod wodą?

- Nie. Ale fakt, niezłe to brzmi.

- Tak. Było naprawdę ekstra... - Westchnąłem. - Mówiłem ci o Bugsie i papajach?

- Nie.

- Dwa tygodnie temu znalazłem w dżungli papajowy sad, a Bugs twierdzi teraz, że to on go znalazł. Zgoda, pewnie bym tam nie trafił, ale to ja go znalazłem, nie on. - Usiadłem, żeby zobaczyć, jak zareaguje, ale Jed nie zareagował wcale. - Chyba nie ma o co kruszyć kopii. Jak myślisz?

- Hmm... - odparł rozkojarzony.

- „Hmm” - tak czy „hmm” - nie?

- Prawdopodobnie...

Zrezygnowałem. Na tym właśnie polegał problem z Bugsem. Ludziom, którzy nie poznali subtelnosci jego charakteru, trudno było pojąć, jak bardzo facet może irytować. Położyłem się znowu i sfrustrowany popatrzyłem na chmury.

Czułem się sfrustrowany już od jakiegoś czasu. Konkretnie mówiąc, od chwili, kiedy to dwie godziny przedtem przyszliśmy na punkt obserwacyjny, by po raz kolejny stwierdzić, że Zeph i Sammy są na tym samym skrawku plaży. Zdawałem sobie sprawę, że powinno mi z tego powodu ulżyć, a ponieważ zamiast ulgi ogarnęło mnie zdenerwowanie, dokładnie ten paradoks przeanalizowałem. Początkowo myślałem, że denerwuje mnie niepewność sytuacji. Że zmęczyło mnie czekanie, że chcę, by coś się wreszcie stało. Byłoby lepiej nawet wówczas, gdyby doszło do najgorszego i wyruszyli w naszą stronę, bo sytuacja by się ostatecznie wyklarowała i moglibyśmy na nią wpłynąć.

Jednakże szybko odkryłem, że jestem w błędzie, że analizując najgorszy z możliwych scenariuszy, cały czas analizowałem najlepszy. Otóż wyobraziłem sobie, że Zeph i Sammy znikają, wracają na Ko Pha-Ngan albo na Phelong, że już nigdy ich nie ujrzymy.

I właśnie wtedy uświadomiłem sobie swój błąd, gdyż rozważając ten optymistyczny wariant, odczuwałem jedynie rozczarowanie. To dziwne, ale tak naprawdę wcale nie chciałem, żeby wrócili na Ko Pha-Ngan. Ani też - co leżało u podstaw mojej frustracji - żeby zostali na tamtej wyspie. Pozostawała tylko jedna możliwość. Scenariusz najgorszy był scenariuszem najlepszym: pragnąłem, żeby do nas przyплыnęli.

- Nudno - wymamrotałem beztrzesko. Jed parsknął śmiechem.
- To dobrze - odparł. - Nuda to bezpieczeństwo.

Jak dotąd nie wspominałem mu o swoich przemyśleniach, przypuszczając, że niezbyt dobrze się do nich ustosunkuje. Ale nie byłem tego pewien. Możliwe, że podzielał moje pragnienia. Wiedziałem, że lubi podchody z tajskimi strażnikami, co oznaczało, że lubi też niebezpieczeństwo, poza tym pamiętałem, co mówił o nim Ke-aty. Postanowiłem ostrożnie zbadać grunt.

- Jed - zacząłem, ziewając, żeby podkreślić obojętny charakter pytania. - Tak sobie myślę... Pamiętasz wojnę w Zatoce?

- No, jasne.

- A pamiętasz te wszystkie przygotowania? Kiedy krzyczeliśmy: wara od Kuwejtu, bo was rozniesiemy, a Saddam mówił... to, co mówił?

- Mówił „nie”.

- Właśnie. - Podparłem się łokciem. - Jak się wtedy czuleś?

- Jak się czułem?

- Co myślałeś? O ewentualnej wojnie.

Odłożył lornetkę i potarł brodę.

- Jeśli dobrze pamiętam, myślałem, że to kurewska hipokryzja.

- Nie. Co myślałeś o możliwości wybuchu wojny. Martwiłeś się?

- Hmm... Niezbyt.

- Chciałeś, żeby wybuchła?

- Czy chciałem?

- Tak. Bo ja... - Wziąłem głęboki oddech. - Ja miałem cichą nadzieję, że Saddam się nie ugnie. No wiesz, chciałem zobaczyć, co z tego wyniknie.

Zmrużył oczy.

- Zabij, ale nie wiem, dlaczego nagle z tym wyskakujesz. Czuję, że mam czerwone policzki.

- Ja też nie. Po prostu przyszło mi to do głowy.

- Aha. Bo ja wiem, może i chciałem, żeby wybuchła. Sytuacja była dramatyczna, podniecająca, i pewnie tak samo jak ty chciałem zobaczyć, co z tego wyniknie. Ale kiedy zobaczyłem zdjęcia drogi do Basry i tego rozwalonego schronu dla cywilów, poczułem się podle. Dotarło do mnie, że źle to wszystko rozumiałem. Wystarczy?

- Jasne - odrzekłem szybko. - Absolutnie.

- To dobrze. - Zachichotał. - A więc nudzisz się, Richard...

- Nie, to chyba nie nuda.

- Nosi cię.

- Może.

- Wszystko jedno. Chciałbyś, żeby działo się coś podniecającego. Świetnie. W takim razie podbierzmy Tajom trochę trawki.

- My? - wyjąkałem, ożywiony i zaskoczony. Odkąd pracowaliśmy razem, poszedł po trawkę tylko raz, zostawiając mnie na punkcie obserwacyjnym. - Ty i ja?

- Oczywiście. Wrócimy tu później, mamy mnóstwo czasu. Zaryzykujemy: może tamci się nie ruszą, kiedy nas nie będzie. Poza tym zauważyłem, że zapasy się kończą.

- Znakomity pomysł.

- Dobra. - Wstał. - No, to chodźmy.

* * *

Z przełęczy między dwoma szczytami można było dokładnie zlokalizować położenie pól marihuany, chociaż same pola ginęły za gęstwiną drzew. Widziało się tylko nagle załamania zielonego baldachimu w miejscach, gdzie jeden taras przechodził w drugi. Patrząc z wysoka, miało się wrażenie, że tworzą jedno zbocze z naturalnie ukształtowanymi uskokami w stropie zieleni. Pewnie dlatego nie zauważono ich z powietrza.

Gdy dotarliśmy do przełęczy, Jed wykonał powolny ruch złączonymi palcami i wkroczyliśmy do strefy zdemilitaryzowanej - tak ten obszar nazwaliśmy. Idąc, obserwowałem jego stopy. Zauważyłem,

że chociaż obaj szliśmy po uschłych liściach i gałązkach, Jed robił znacznie mniej hałasu niż ja, i postanowiłem zbadać, dlaczego. Po pierwsze, płasko stawiał stopy, natomiast ja, próbując iść jak najciszej, odruchowo szedłem na palcach. Szybko zrozumiałem, że to nie ma sensu. Rozkładając ciężar ciała na całą stopę, wywierałem mniejszy nacisk na gałązki i zamiast jednego rozpląszałem kilka liści naraz. Zacząłem stosować tę metodę i natychmiast zauważyłem zmianę na lepsze. Po drugie, Jed wysoko podnosił nogi, tak że nie zahaczał o nic stopami.

Żeby to sobie przećwiczyć, idąc przez strefę, grałem w pewną grę. Łamiąc gałązkę, uruchamiałem zapalnik miny. Szelest liścia - zbyt głośny, by uchodzić za naturalny odgłos dżungli - oznaczał, że trafił mnie snajper. Przecinające ścieżkę pajęczyny były linkami „Majek-podfruwajek” i jeśli tylko nie zerwał ich idący przodem Jed, musiałem je ostrożnie przekraczać. Żeby było jak w grach wideo, przydzieliłem sobie trzy życia, a gdy dostrzegłem jakieś zwierzę większe od żuka, zanim ono dostrzegło mnie, zyskiwałem życie dodatkowe. Jedyną wadą gry było to, że nie istniała kara za utratę wszystkich żyć, a straciłem je kilkakrotnie. Jednakże wystarczył mi sam wstyd porażki i w sumie zabawa okazała się znakomita.

Grało mi się tak dobrze, że kiedy dotarliśmy na skraj pola, byłem trochę wkurzony. Przykucnęliśmy i kilka minut w milczeniu lustrowaliśmy okolicę. Wreszcie Jed spojrział na mnie i bezgłośnie rozkazał:

- Dobra. Idź.

Zdumiony, dotknąłem się piersi. Potwierdził skinieniem głowy. Uśmiechnąłem się, pokazałem mu uniesiony kciuk i prawie na czworakach potruchtałem przed siebie.

Między linią drzew i polem biegł co najmniej trzymetrowej szerokości trakt wydeptany przez strażników. Wyszedłszy zza drzew, popatrzyłem w lewo, potem w prawo i szybko przebiegłem na drugą stronę. Wiedziałem, że w każdej chwili mogą nadejść Tajowie, dlatego nie tracąc czasu, spróbowałem ułamać kilka większych gałęzi. I natychmiast napotkałem trudności. Gałęzie marihuany były niezwykle twarde. Wykręcałem je, szarpałem nimi na wszystkie strony, najciszej jak mogłem, ale w żaden sposób nie udało mi się oderwać ich od łodygi. Co gorsza, miałem koszmarnie spoczone, wściekle

śliszkie dłonie i nie byłem w stanie nic porządnie uchwycić. Spojrzałem na Jeda, który z rozpaczyny klepał się w czoło.

- Co robić? - spytałem samymi wargami.

Z sarkazmem pomachał do mnie nożem. Zdałem sobie sprawę, że wyskoczyłem z ukrycia, zanim zdążył mi go dać. Zakląłem w duchu i złożyłem ręce, dając mu do zrozumienia, żeby mi go rzucił. Nóż zatoczył w powietrzu łuk i w końcu mogłem naciąć tych przeklętych gałęzi. Żeby zrekompensować wpadkę, siedziałem na polu trochę dłużej, niż musiałem, i wróciłem do Jeda z imponującym naręczem marychy.

* * *

- Co się stało? - spytał, gdy dotarliśmy bezpiecznie do naszego punktu obserwacyjnego. - Myślałem, że po tylu wrażeniach będziesz szczęśliwy. - Poklepał mnie czule po plecach. - Że będziesz śpiewał tę koszmarną pioszeczkę o myszy.

Pokręciłem głową i rzuciłem naręcz na ziemię.

- Nie, nic mi nie jest.

- Gryziesz się tym nożem? To moja wina, nie twoja. Kazałem ci iść i zupełnie zapomniałem, że...

- Nie, nie. Nie zdążyłem się nawet zdenerwować. No, może trochę... Zresztą to nie twoja wina. Powinienem był pomyśleć. Nie, wszystko w porządku.

Chyba go nie przekonałem.

- Wiem, o co chodzi. Chciałeś zobaczyć strażnika, tak?

Wzruszyłem ramionami.

- Byłoby ciekawie.

- Doprawdy, Richard. Rozczarowują cię nie te rzeczy, co trzeba. Wierz mi: to dobrze, że się na nich nie natknęliśmy.

- Jasne. - Myślałem chwilę, skubiąc pączki marihuany. - Tak z ciekawości: jak sądzisz, co by zrobili, gdyby nas dopadli?

- Hmm... Nie wiem. I wolę nie wiedzieć.

- Myślisz, że by nas zabili?

- Możliwe. Chociaż wątpię, bo to bez sensu. Wiedzą, że tu jesteśmy, a ponieważ ani oni, ani my nie chcemy, by ktoś odkrył nasze małe tajemnice...

- Słyszałem, że Daffy z nimi gadał.

Jed zrobił zaskoczona minę.

- Kto ci to powiedział?

- Chyba Greg.
- Coś mu się pomyliło. Gdyby Daffy nawiązał z nimi kontakt, Sal by mi o tym powiedziała.
- A gdyby złapali Sammy'ego i Zepha? To chyba co innego, bo oni nie są stąd.
- Tak. Ich mogliby zabić.
- Co rozwiązałoby nasz problem - zasugerowałem ostrożnie. Myślałem, że mnie zrugą, ale nie zrugali.
- Tak - odparł bez osłonek. - To rozwiązałoby nasz problem.

Zombi - pożeracze śniętych ryb

Było już ciemno, gdy wreszcie dotarliśmy do obozowiska. Musieliśmy skakać w czarną otchłań wodospadu, gdyż nie widzieliśmy nawet brzegów basenu ani piany w miejscu, gdzie spadała woda. Potem przedzieraliśmy się przez mroczny las i gdyby nie Jed, na pewno bym zablądził.

Zamierzałem zjeść szybką kolację i spędzić resztę wieczoru na obserwacji świetlistych żyłatek w lagunie. Chciałem też opowiedzieć przyjacielom o przygodzie ze strażnikiem, o której w natłoku wrażeń zupełnie zapomniałem. Ale kiedy wszedłem do kuchni, stwierdziłem, że nie ma tam naszych porcji, które Unhygienix zawsze zawijał w liście bananowca. Znalazłem tylko wielką gulę zimnego ryżu. Zajrzałem do garnka, myśląc, że o nas zapomniał, ale garnek był pusty. Uznałem, że to dziwne, ponieważ kucharze zwykle zostawiali trochę ryby i warzyw na śniadanie. W zadumie poklepałem się po pustym brzuchu i rozejrzałem po obozowisku. I wtedy zauważyłem coś jeszcze dziwniejszego. Oprócz Jeda, który siedział kilka metrów dalej, na polanie nie było zupełnie nikogo. Nie widziałem ani żarzących się w ciemności papierosów, ani światła latarek w namiotach.

Podszedłem do Jeda.

- Zauważyłeś tu coś dziwnego? - spytałem. Wzruszył ramionami.
- Tylko to, że nasze zarcie wyparowało.

- No, właśnie. Nie ma żarcia. Ani ludzi.
- Ludzi? - Poświecił wokoło latarką.
- Fakt. - Wstał. - Dziwne...

Milczeliśmy chwilę, śledząc żółty promień. I nagle dobiegł nas jęk, cichy i - nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości - bolesny.

- Jezu! - szepnął Jed i wyłączył latarkę. - Słyszałeś?
- No, pewnie.
- Kto to?
- Skąd mam wiedzieć?

Zastygliśmy w bezruchu. Gdy znowu usłyszeliśmy jęk, poczułem, że stają mi dęba włosy na karku.

- Chryste, Jed! Włącz latarkę. Zaczynam się denerwować.
- To czemu się uśmiechasz?
- Skąd wiesz?
- Słyszę.
- Włącz tę cholerną latarkę!
- Jeszcze nie. Nie wiemy, co jest grane.

Znowu nadśluchiwalismy. Przypomniało mi się, jak pierwszego dnia po chorobie wyszedłem z baraku na pustą polanę. Wtedy też przeszły mnie ciarki, choć był jasny dzień. W opustoszałym miejscu, gdzie powinni kłębić się ludzie, jest coś niepokojącego. W ciemności wrażenie było dziesięć razy gorsze.

- Jak na filmie o zombi - mruknąłem ponuro i zachichotałem.
Zombi - zjadacze trupów.

Jed nie odpowiedział.

Znowu usłyszeliśmy jęk i tym razem zdołaliśmy ustalić, że dochodził z lewej strony, gdzie stała większość namiotów.

- Dobra - szepnął Jed. - Sprawdzimy. Obstaw szpicę.
- Ja? Ty masz latarkę!
- A ty wolne ręce.
- Po co mi wolne ręce?
- Do walki z zombi.

Pstryknął włącznikiem i oświetlił namiot Unhygieniksa. Zakląłem pod nosem i powoli ruszyłem w tamtą stronę.

Zdażyłem przejść tylko kilka kroków, gdy płachta namiotu się rozsunała i ujrzeliśmy głowę Elli.

- Jed? - spytała, mrużąc oczy w blasku latarki.
- Nie, Richard.

- I Jed. Co się dzieje?
- Ella ciężko westchnęła.
- Właźcie do środka. Katastrofa.

* * *

- Wszystko przez Keaty'ego - powiedziała, ocierając Unhygieniksowi czoło. To on tak jęczał. Jęczał i teraz, kiedy rozmawialiśmy. Miał zamknięte oczy i obiema rękami ścisnął swój olbrzymi brzuch. Chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności. - Przez tego idiotę Keaty'ego.

Uniosłem brwi.

- Dlaczego? Co on takiego zrobił?

- Wrzucił ośmiornicę do kubła. Pokroiliśmy ją i ugotowaliśmy razem z innymi rybami.

- No i?

- Ta ośmiornica była już martwa.

Jed gwałtownie wciągnął powietrze.

- Prawie wszyscy chorują. Kibel jest zatkany wymiocinami, a na przełęcz lepiej nie chodzić.

- A ty? - spytałem. - Ty jesteś chyba zdrowa.

- Pięcioro czy sześcioro z nas jakoś się uchowało. Trochę mnie ścisnęło, ale wygląda na to, że miałam fart.

- Dlaczego Keaty to zrobił?

Ella zmrużyła oczy.

- Sama chciałabym go o to zapytać. Wszyscy by chcieli.

- Tak... Gdzie on jest? W swoim namiocie?

- Może.

- Dobra. Pójdę z nim pogadać.

Wybrałem dobry moment na wyjście, ponieważ gdy tylko się wycofałem, Unhygienix nagle usiadł i zarzygał cały namiot. Zniknąłem w ciemności, słysząc wściekły wrzask Elli.

* * *

Szukałem go wieki. W namiocie go nie było, nie odpowiadał, gdy wołałem na polanie. W końcu postanowiłem zajrzeć na plażę i wypatrzyłem go w blasku księżyca.

Siedział na piasku, a kiedy ruszyłem w jego stronę, zrobił ruch, jakby chciał uciec. Po chwili trochę się uspokoił i pochylił ramiona.

- Cześć - rzucił cicho.

Kiwnąłem głową i usiadłem obok niego.

- Już mnie chyba nie lubią, co?

- Ani ciebie, ani ośmiornic.

Nawet się nie uśmiechnął.

- Co się stało?

- Nie wiesz? Wytrułem cały obóz.

- Tak, ale...

- Nurkowałem w masce Grega i zobaczyłem ośmiornicę. Jedliśmy ośmiornicę sto razy, więc nabiłem ją na oścień i wrzuciłem do kubła. Skąd mogłem wiedzieć, że już nie żyje?

- Bo się nie ruszała.

Łypnął na mnie spode łba.

- Teraz już wiem. Ale wtedy myślałem, że... Myślałem, że ośmiornice są jak meduzy, że po prostu unoszą się w wodzie i... A ona jakby poruszała ramionami.

- A więc to tylko pomyłka. Nie chciałeś zrobić nic złego. To nie twoja wina.

- Tak, Richard, masz rację. To wina Jeana. - Grzmotnął pięścią w piasek między nogami. - Kurwa mać, oczywiście, że to moja wina! Chryste!

- Dobra, twoja, ale nie powinienes...

- Rich, proszę.

Wzruszyłem ramionami i odwróciłem głowę. Blask księżyca oświetlał klif po drugiej stronie laguny i wystrzępioną szczelinę uchodzącą do koralowego ogrodu.

- Trrrach - mruknąłem.

Keaty pochylił się do przodu.

- Co?

- Trrrach.

- Co trrrach?

- Taki odgłos wydaje błyskawica. - Wskazałem szczelinę. - Widzisz?

Wieża Babel

Zostałem z nim krótko, ponieważ musiałem sprawdzić, co z Etienne'em i Françoise. Nie chciał ze mną iść, bo nie był jeszcze w stanie spojrzeć ludziom w oczy, biedaczysko. Tak długo walczyć o

miejsce wśród rybaków i tak spieprzyć sprawę - musiało być mu ciężko. Miał tym większe wyrzuty sumienia, że należał do garstki tych, których zatrucie ominęło. Tłumaczyłem mu, że to kretynizm, bo nie można mieć do siebie pretensji o sprawne funkcjonowanie systemu odpornościowego, ale nie zdołałem go pocieszyć.

Kiedy zobaczyłem, co się dzieje w baraku, ulżyło mi, że został na plaży. Gdyby przyszedł ze mną, powiesiłby się z rozpacz. Nie miałem pojęcia, że skutki zatrucia są tak poważne, i wątpiłem, czy wie o tym Keaty, bo gdyby wiedział, na pewno zostałaby, żeby pomóc.

Środkiem przejścia biegł rząd świec, które ustawiono tam, żeby nie przewrócili ich wijący się na łózkach chorzy. Powietrze było przesycone zapachem stearyny i kwaśnym odorem wymiocin. Wszyscy jęczeli - zapewne nie ciągle, ale było ich tam tylu, że gdy jeden przestawał, drugi zaczynał - i wszyscy majaczyli w swym ojczystym języku. Wychwytywałem tylko pojedyncze słowa, reszta była niezrozumiałym bełkotem, co jeszcze bardziej pogłębiało surrealizm tego, co się tam działo. Ludzie błagali o wodę, prosili, żebym otarł ich z wymiocin. Kiedy mijałem Jessego, chwycił mnie za łądkę i zażądał, żebym zaniósł go do ubikacji.

- Mam obsrane nogi! - wykrzyknął z niedowierzaniem w głosie.
- Spójrz! Cały się obsrałem!

Zauważyłem Cassie i Moshego. Bezradnie biegali między łózkami, próbując spełniać prośby chorych. Cassie spostrzegła mnie i, zrozpaczona, rozłożyła ręce.

- Czy oni umierają? Pokręciłem głową.

- Skąd wiesz?

- Nie umierają.

- Ale skąd wiesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Jesse cię prosi.

Pobiegła do swego chłopaka, a ja ruszyłem dalej, żeby poszukać Françoise i Etienne'a.

* * *

Z Françoise było gorzej niż z Etienne'em. Etienne spał, a więc był nieprzytomny, poza tym oddychał równo i czoło miał w miarę

chłodne. Natomiast Françoise nie spała i skręcała się z bólu. Skurcze nadchodziły regularnymi falami, mniej więcej co sześćdziesiąt sekund. Nie krzyczała jak inni, tylko zagryzała dolną wargę, a na całym brzuchu miała ślady w miejscach, gdzie wbijała paznokcie.

- Przestań - powiedziałem stanowczo, gdy ugryzła się prawie do krwi.

Spojrzała na mnie szklistym wzrokiem.

- Richard?

- Tak. Odgryziesz sobie wargę. Przestań.

- Boli.

- Widzę, ale... Zaczekaj. - Wyjąłem z kieszeni papierosa, odebrałem pokrywkę pudełka i mocno ją sprasowałem. - Masz. Gryź to.

- Ciągłe boli.

Odgarnąłem jej z czoła wilgotne włosy.

- Wiem, ale przynajmniej będziesz miała usta.

- Słusznie. - Zdołała przybrać coś na kształt rozbawionej miny. Gdyby nie następna fala skurczów, może by się nawet uśmiechnęła.

- Co się dzieje, Richard? - spytała, gdy skurcz minął.

- Zatruliście się jedzeniem.

- Wiem, ale jak oni to znoszą?

Spojrzałem w stronę drzwi. Nie byłem pewien, co odpowiedzieć, żeby jej nie przestraszyć.

- Wszyscy wymiotują... Jest tu Moshe i Cassie...

- Myślisz, że to coś poważnego?

- Nie, nie - odrzekłem ze śmiechem, żeby dodać jej otuchy. - Jutro dojdziecie do siebie. Nic wam nie będzie.

- Richard...

- Tak?

- Kiedy byliśmy z Étienne'em na Sumatrze, ktoś umarł po zjedzeniu zepsutej ryby.

Powoli kiwnąłem głową.

- Tak, ale pewnie zjadł całą, a wy zjedliście tylko po kawałeczku, więc wyzdrowiecie.

- Naprawdę?

- Jasne.

Westchnęła.

- To dobrze... Richard, chce mi się pić. Przyniesiesz mi wody?
- Oczywiście. Zaraz wracam.

Gdy wstałem, znowu wróciły skurcze. Patrzyłem na nią, nie wiedząc, czy iść, czy zaczekać, aż miną, ale po chwili pobiegłem w stronę drzwi, nie zważając na błagania, które słyszałem po drodze.

Demon

Niespodziewanie znalazłem Jeda siedzącego przed kuchnią: jadł ryż w świetle latarki ustawionej na sztorc niczym świeca. Kiedy podszedłem bliżej, wyciągnął ku mnie miskę.

- Trzeba jeść - wymlaskał, bryzgając wokół białymi ziarenkami.

- Nie jestem głodny. Byłeś w baraku?

Przełknął.

- Zajrzałem, zobaczyłem, szybko wybyłem. Miałem dość roboty tutaj.

- Co się dzieje w namiotach?

- To samo, co w baraku. Szwedzi się uchowali, ale resztę skręca.

- Martwisz się?

- A ty?

- Nie wiem. Françoise mówi, że można od tego umrzeć.

- Ano, można. - Wepchnął garść ryżu do ust i zaczął go starannie przeżuwać. - Musimy ich często poić. Nie mogą się odwodnić. Ale przede wszystkim musimy jeść, inaczej nikt im nie pomoże. Dlatego powinienesz wrzucić coś na ruszt. Od rana nie miałeś nic w ustach.

- Później - odrzekłem, myśląc o Françoise. Zacerpnałem kubkiem wody z beczki. - A jeśli Szwedzi są na chodzie, niech tu przyjdą i pomogą.

Miał w ustach za dużo ryżu, żeby odpowiedzieć, więc tylko kiwnął głową i ruszył na drugą stronę polany.

* * *

Bugs miał sraczkę, dosłownie i w przenośni. Kucal pośrodku przejścia z wybałuszonymi oczami, a wokół jego stóp wzbierała

kałuża płynnego kału. Kilka kroków przed nim dławił się smrodem Moshe. Gdy tylko mnie zauważył, szybko odszedł, jakby to, że zobaczyłem Bugsa, zwolniło go z dotychczasowych obowiązków.

Bugs jęknął. Z ust pociekła mu ślina. Jej strużka zwiśla mu z brody, kołysząc się szaleńczo.

- Richard - wycharczał - wyprowadź mnie stąd.

Popatrzyłem w lewo, potem w prawo. Cassie stała kilka łóżek dalej, Moshe pochylał się nad Jugosłowiankami.

- Spieszę się - odparłem, wpychając nos w zgięcie łokcia.

- Co?

- Spieszę się. Niosę wodę dla Françoise.

- Muszę wyjść! Françoise może zaczekać!

Pokręciłem głową i zmarszczyłem czoło. Smród był tak straszny, że zbierało mi się na wymioty.

- Już się naczekała.

Wykrzywił twarz, jakby chciał na mnie wrzasnąć. Patrzyłem na niego obojętnie. Gapił się, przeszywał mnie wzrokiem, lecz po chwili ohydnie zabulgotało mu w brzuchu i na podłogę trysnęła struga kału.

- Nie! - jęknął. Załamały się pod nim nogi i znowu musiał przykucnąć.

Cofnąłem się o krok, żeby nie wdepnąć w czarną kałużę.

- Chryste, Bugs. Nie możesz wytrzymać?

Zaskomlał, zwinął się w kłębek, chciał wstać, ale znowu zgiął się wpół.

Obserwowałem go, zatykając nos, lecz smród wciskał się w każdą szparę. Oszołomiony fetorem, poczułem, że ogarnia mnie fala irytacji. Krew pulsowała coraz szybciej, przed oczyma wykwitły czerwone kręgi i nagle pomyślałem, że w jego poniżeniu jest coś z wygodnictwa. Jak to możliwe, że nie miał siły dowiec się do drzwi? Zatrzymał mnie, choć musiałem zanieść wodę Françoise, poza tym koszmarnie napaskudził i bynajmniej nie zamierzał tego sprzątać. Przypomniałem sobie, z jakim stoicyzmem zniósł ból, gdy na nogę runęły mu drzwi, i omal nie wybuchnąłem śmiechem.

- Muszę zanieść wodę Françoise - powiedziałem chłodno, lecz nie drgnąłem z miejsca. - Obiecałem, że zaraz wrócę. Za długo czeka.

Otworzył usta może po to, żeby odpowiedzieć, i na jego wargach

wezbrał bąbel lepkiej śliny. Tym razem się roześmiałem.

- Spójrz tylko, jak naświwiłeś. - Czy to mój własny głos? - Kto to, kurwa, posprząta?

Ktoś chwycił mnie za ramię.

- Boże, Richard! Co się z tobą dzieje? Dlaczego mu nie pomożesz?

Odwrociłem się. Cassie. Była bardzo rozgniewana, ale kiedy spo-tkaliśmy się wzrokiem, gniew szybko ustąpił miejsca czemuś in-ne-mu. Zatraskaniu - pomyślałem apatycznie. Albo niepokojowi.

- Richard?

- Tak?

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze.

- Wyglądasz... - Urwała. - Chodź. Trzeba go stąd wyprowadzić.

- Muszę zanieść wodę...

- Musisz wyprowadzić stąd Bugsa.

Potarłem oczy; wciąż mnie bolały.

- I to natychmiast, słyszysz?!

- Tak... Dobra. - Postawiłem kubek z dala od śmierdzącej kałuży i pomogłem jej dźwignąć Bugsa.

Był szeroki w barach i ciężki, poza tym nie starał się wcale iść, tak że musieliśmy wlec go po podłodze. Na szczęście, gdy byliśmy w połowie baraku, nadszedł Sten, jeden ze Szwedów. We troje wytasz-czyliśmy Bugsa na dwór i wrzuciliśmy go do strumienia, żeby ob-mył go prąd wody.

Sten zgodził się z nim zostać - pewnie zrobił to z ulgą, bo wi-dział, co się dzieje w baraku - a my ruszyliśmy z powrotem. Chcia-łem kawałek podbiec, ale Cassie zatrzymała mnie i przytknęła mi dłoń do czoła.

- Co jest? - warknąłem rozdrażniony.

- Myślałam, że masz gorączkę.

- No i co? Mam?

- Jesteś trochę rozpalony, ale... nie. Dzięki Bogu, chyba nie. Nikt więcej nie może zachorować. - Ścisnęła mnie za rękę. - Musi-my być silni.

- Uhm.

- Trzeba zachować spokój.

- Jasne, wiem.
- To dobrze.
- Muszę zanieść wodę Françoise.
- Tak. - Chyba zmarszczyła czoło, ale w ciemności prawie nic nie widziałem. - Oczywiście.

* * *

Kiedy mnie nie było, jej stan się pogorszył. Wciąż mogła mówić, lecz miała mocno rozpalone policzki i majaczyła ni to we śnie, ni to w gorączce. Żeby się nie zadławiła, musiałem wesprzeć jej głowę na kolanach, ale i tak większość wody spłynęła jej na piersi.

- Przepraszam, że tak długo to trwało - powiedziałem, wycierając ją podkoszulkiem. - Miałem przeprowadzić z Bugsem.

- Richard - wyszeptła i dodała po francusku coś, czego nie rozumiałem.

- W porządku - odrzekłem, zakładając, że pyta, jak się czuję. - Na szczęście tego nie jadłem.

- Etienne...

- Leży koło ciebie. Śpi.

Odwróciła głowę.

- Kocham cię... - wymruczała sennie.

Szybko zamrugalem, myśląc, że mówi do mnie. I natychmiast otrzeźwiałem, widząc, że patrzy na Etienne'a. Ale w sumie nie miało to żadnego znaczenia. Po prostu miło było usłyszeć, jak to mówi. Uśmiechnąłem się i pogładziłem ją po włosach, a palce jej ręki zaciśnęły się słabo na moich.

Przez pięć minut siedziałem bez ruchu, a ona pólężała na moich skrzyżowanych nogach. Potem, kiedy zaczęła oddychać wolniej i ciężiej, cofnąłem się i ostrożnie ułożyłem ją na łóżku. Prześcieradło było mokre od wody, ale nic nie mogłem na to poradzić.

* * *

Nie jest to coś, z czego musiałbym się tłumaczyć, ale niech tam! Przypomniał mi się dzień, kiedy miałem gorączkę. Françoise mnie pocałowała, więc teraz ja pocałowałem ją, równie delikatnie i czule. Nie nazwałbym tego pocałunkiem wieloznacznym. Nie, był to zwykły pocałunek w policzek, nie w usta. Pocałunek absolutnie czysty.

Owszem, z technicznego punktu widzenia trwał może o kilka sekund za długo. Pamiętam, że miała miękką i gładką skórę. Nie spodziewałem się, że podczas tej piekielnej nocy wypełnionej jękami, odgłosami wymiotowania i migotliwym blaskiem świec znajdę tę maleńką oazę słodczy. Bardzo mnie to zaskoczyło. Opuściłem gardę, zamknąłem oczy i odpłynąłem z nadzieją, że choć na chwilę zapomnę o tym, co mnie otacza.

Ale kiedy uniosłem głowę i zobaczyłem, że patrzy na mnie Etienne, domyśliłem się, że odebrał to zupełnie inaczej.

Jak można sobie wyobrazić, zapadła krótka cisza, po czym spytał:

- Co ty robisz?

- Nic.

- Całowałaś Françoise.

Wzruszyłem ramionami.

- No i co z tego?

- Jak to „no i co z tego”?

- Tak to. - Jeśli w moim głosie zabrzmiała nutka irytacji, wzięła się z wyczerpania, a może z kaca po przeprawie z Bugsem. - Pocałowałem ją w policzek. Widziałeś, jak całowałem ją przedtem, i widziałeś, jak ona całowała mnie.

- Ale nie tak.

- Nie w policzek?

- Nie tak długo!

Usiadł.

- I co ja mam o tym myśleć?

Westchnąłem. Przed oczyma znowu wykwitły mi czerwone kręgi, w skroniach boleśnie pulsowała krew.

- Etienne, jestem bardzo zmęczony. A ty bardzo chory. To choroba tak na ciebie działa.

- Co mam o tym myśleć? - powtórzył.

- Nie wiem. Pocałowałem ją, bo się o nią martwię, bo zależy mi na niej tak samo jak na tobie.

Nie odpowiedział. Spróbowałem zażartować.

- Ulży ci, jeśli ciebie też pocałuję?

Milczał chwilę, w końcu skinął głową.

- Przepraszam - powiedział beznamiętnie i nieszczerze. - Masz

rację. Jestem chory i nie mogę trzeźwo myśleć. Ale teraz sam się nią zajmę. Inni też potrzebują twojej pomocy.

- Jasne, na pewno. - Wstałem. - Jeśli będziesz czegoś chciał, krzycz.

- Dobrze.

Zerknąłem na Françoise, która na szczęście głęboko spała. Po-tem ruszyłem do drzwi, trzymając się lewej strony przejścia, żeby nikt nie kazał mi pomagać Moshemu, który zgarniał szpadlem głównie Bugsa.

Dzień dobry

Spałem na polanie. Spałbym tam nawet wówczas, gdybym znalazł inny sposób na unikanie Etienne'a. Straciłem węch i słyszałem tylko te jęki, które chciałem słyszeć, ale nie mogłem znieść świec. Biło od nich tak intensywnie gorąco, że na suficie baraku skraplała się para. Wielkie krople spadały z góry niczym deszcz w oparach stearyny, tak że już o północy na podłodze nie było ani skrawka suchego miejsca. Poza tym w moim łóżku spał Gregorio. Przeniosłem go tam, żeby mógł uciec od Jessego, którego dręczył ten sam problem co Bugsa.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem przed zaśnięciem, było wołanie Sal. Wyzdrowiała na tyle, że mogła już chodzić, i szukała Keaty'ego. Mógłbym jej powiedzieć, że jest na plaży, ale postanowiłem milczeć. Miała złowieszczo opanowany głos. W taki sam sposób matka woła dziecko, żeby wywabić je z kryjówki i dać mu burę. Potem zaświeciła mi latarką w oczy i spytała, czy wiem, gdzie jest Keaty. Nie poruszyłem się i w końcu odeszła.

Potem przeszkodził mi tylko czyjś szloch. Chciałem wstać i sprawdzić, kto płacze, ale byłem zbyt zmęczony, żeby mnie to obe- szło.

* * *

Jed zbudził mnie o wpół do siódmej z miseczką ryżu i landrynką z zakupów na Ko Pha-Ngan.

- Dzień dobry - powiedział, mocno potrząsając mnie za ramię. - Już jadłeś?

- Nie - wymamrotałem.

- Co ci wczoraj mówiłem?

- Że trzeba jeść.

- Właśnie. - Dźwignął mnie, posadził i postawił miskę na moich kolanach. Pojedyncza landrynka, kawałek upiornie zielonego, chemicznie przyprawionego cukru, wyglądała idiotycznie na kopce lepkiego ryżu. - Jedz.

- Jeszcze śpię.

- Jedz.

Ugniotłem palcami kulkę ryżu i posłusznie zacząłem żuć, ale nie mogłem nic przelknąć, bo zaschło mi w ustach.

- Wody - wychrypiałem.

Przyniósł mi trochę wody, którą wlałem do miski. W sumie nie smakowało tak źle, pewnie dlatego, że w ogóle nie miało smaku.

Ja żułem, on gadał. Patrzyłem na biały jak kość ryż i myślałem o martwym ćpunie z Ko Pha-Ngan. Mrówki musiały już go objeść. Szybkie z nich stworzonka. Pewnie nie zdążył się nawet rozłożyć. Wyobraziłem sobie, jak leży na plecach: dokładnie oczyszczony szkielet szczerzący zęby poprzez liście, tu i ówdzie oświetlony promieniami słońca. Tak naprawdę ułożyłem go na brzuchu, z głową na ramionach, ale ponieważ nie było sensu wyobrazać sobie jego potylicy, w myśli odwróciłem go na plecy, żeby obraz był bardziej estetyczny. Promienie słońca też wymyśliłem. Dobrze pamiętałem jego osłonięty krzakami grób i wiedziałem, że tam nie dochodziły. Ale w słońcu wyglądał ładniej.

- Pięknie - mruknąłem, wkładając landrynkę do ust. - A między jego żebrami łożą małpy.

Jed spojrzął na mnie i szybko zamrugał.

- Co?

- Nie, małpy są zbyt... kiczowate.

- Kiczowate?

- Zdecydowanie.

- Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

- Nie. - Possałem landrynkę i język ścierpl mi od smaku cytryny.

- Przypomniał mi się ten ćpun z Ko Pha-Ngan.

- Ten, którego ukryłeś?

- Tak. Myślisz, że już go znaleźli?
- Bo ja wiem... - zaczął zbity z tropu. - Może i tak, chyba że ta dziewczyna... - Nagle klepnął się w czoło. - Jezu! O czym ja, kurwa, gadam? Co mnie obchodzi martwy ćpun? Powinieneś być zostawić go na miejscu, poza tym mamy na głowie ważniejsze sprawy!
- Po prostu mnie to zaciekawiło. Kiedyś na pewno go znajdą...
- Zamknij się i posłuchaj. Jeden z nas musi pójść na punkt, żeby sprawdzić, co z Zephem i Sammym.
- Dobra. Ale dlaczego nie możemy iść razem?
- Jed zakwilił jak małe dziecko.
- A jak myślisz, ty rozespany głupku? Ktoś musi tu zostać, żeby zająć się chorymi, a prawie połowa rybaków jest wyłączona z obiegu. Zdrowi są tylko Szwedzi i Keaty, a Keaty'ego wciąż nie ma.
- Rozumiem. Mam zostać.
- Nie ty, tylko ja. Znam się trochę na udzielaniu pierwszej pomocy, dlatego pójdziesz sam. Dasz radę?
- No, jasne! - odrzekłem z ożywieniem. - Żaden problem!
- Dobra. Teraz idź poszukać Keaty'ego. Piętnaścioro z nas może jeść, więc ktoś musi upolować dla nich kilka ryb. Ja nie będę miał na to czasu, więc niech idzie on.
- Dobra. A jeśli Zeph i Sammy już tu płyną?
- Nie płyną.
- Ale jeśli?
- Milczał chwilę.
- Wolę o tym nie myśleć, ale jeżeli wypatrzysz ich na morzu, natychmiast wracaj i melduj.
- A jak nie starczy czasu?
- Plan B.
- Który?
- Czekasz i obserwujesz. Jestem pewien, że zawrócą na polu marychy, ale gdyby poszli dalej, śledź ich aż do wodospadu. Jeśli skoczą, przechwyć sukinsynów i zrób wszystko, żeby nie zaczęli gadać o mapie.
- Z baraku wyszedł Jesse. Ruszył chwiejnie do łazienki, ale nim zdążył pokonać jedną czwartą drogi, puścił pawia.

- Dobra. - Nagle poweselałem. Po tej koszmarnej nocy nie spodziwiałem się tak dobrego poranka. - No, to idę poszukać Keaty'ego.

* * *

Był tylko jeden zgrzyt. Kiedy szedłem na plażę, zawołała mnie Sal, która siedziała na stopniach baraku. Okazało się, że Bugs - siedział koło niej i łypał na mnie spode łba - opowiedział jej o naszym nocnym spotkaniu. Sal zażądała wyjaśnień.

Byłem obrzydliwie układny. Leciałem z nóg, właśnie odpoczywałem, ale przecież zaraz potem pomogłem mu wyjść z baraku i jeśli Bugs zapamiętał to inaczej - pewnie przez tę chorobę - to bardzo mi przykro. Na zakończenie zaproponowałem, żebyśmy uścisnęli sobie ręce - Sal była zachwycona. Miała na głowie tyle spraw, że przynajmniej z tą chciała się jak najszybciej uporać.

Bugs w zachwyty nie wpadł. Kiedy tylko odszedłem, pokuśtykał za mną i wyzwał mnie od sukinsynów. Zły jak wszyscy diabli, dźgał mnie palcem w pierś, mówiąc, co by mi zrobił, gdyby tylko lepiej się czuł. Zaczekałem, aż skończy, i kazałem mu się odpierdolić. Nie chciałem, żeby zepsuł mi dobry nastrój.

Epitafium

Keaty spał w tym samym miejscu, w którym zostawiłem go wieczorem. Był przyływ i stwierdziłem, że fale wkrótce omyją mu stopy, dlatego, miast go obudzić, postanowiłem zapalić papierosa. Miał ciężką noc i zasłużył sobie na dodatkowy kwadrans snu. Żar dochodził już do filtra, gdy zza drzew wyszli Szwedzi. Przytknąłem palec do ust, wskazałem Keaty'ego i odeszliśmy nieco dalej.

* * *

Karl, Sten i Christo. Dwóch z nich umarło, a trzeci zwariował, dlatego czuję się podle, że ich imiona tak niewiele dla mnie znaczą.

Tak samo jak Jed Szwedzi przybyli na wyspę nieproszeni i chociaż

zaakceptowano ich szybciej - dotarli tu po nim - wyjaśniało to po trosze, dlaczego woleli łowić sami, na otwartym morzu. Choć nie unikali towarzystwa, zawsze trzymali się razem, spali w jednym namiocie i często jadali z dala od pozostałych. Socjalizowali się tylko w niedzielę. Dobrze grali w piłkę i wszyscy chcieli mieć ich w swojej drużynie.

Trudno im było się zintegrować między innymi dlatego, że tylko jeden z nich, Sten, mówił względnie płynną angielszczyzną. Christo coś tam jeszcze belkotał, ale Karl był zupełnie beznadziejny. Jego słownictwo ograniczało się do słów takich jak „ryba” i „oścień” oraz do kilku potocznych, acz zabawnych zwrotów. Witiał mnie niepewnym „Cześć, Richard” i mówił mi dzień dobry nawet wtedy, gdy szedł spać.

- Mało was dzisiaj.

Sten kiwnął głową.

- Ale łowimy tylko dla połowy obozu, tak? Wystarczy piętnaście ryb. Nic trudnego... Chciałbyś popłynąć z nami?

- Nie, zostanę.

- Na pewno? W łodzi jest miejsce dla czterech, nie będziesz sam.

- Dzięki, ale Keaty zaraz się obudzi.

- Prawda, Keaty. On też jest chory?

- Nie, tylko trochę przybity.

- To dobrze. No, musimy się już pożegnać. Do zobaczenia, Richard.

- Do zobaczenia.

Powiedział coś po szwedzku. Weszli do wody i popłynęli w kierunku jaskiń.

* * *

Rozmowa krótka i nijaka. Chciałbym, żeby kojarzyła mi się z inną, ciekawszą. Próbowałem ją nawet nieco ubarwić, odkryć w niej coś wzruszającego, jakieś zawołowane epitafium, ale dostrzegłem jedynie okrutną ironię zawartą w jego ostatnich słowach. „Musimy się już pożegnać. Do zobaczenia, Richard”. Pożegnaliśmy się na dobre. I tak widziałem go potem, ale nie w taki sposób, w jaki chciałem go zobaczyć. Widziałem go martwego.

Poza tym, że przybyli na wyspę tak samo jak Jed i że dobrze grali w piłkę, nie wiedziałem o nich nic więcej, dlatego szukałem

dotatkowych informacji, które przybliżyłyby mi ich charaktery, lecz nasza znajomość ograniczała się wyłącznie do anemicznej rywalizacji o wielkość upolowanych ryb. Prawie ich nie znałem. Gdyby dwóch z nich nie zmarło, pewnie wcale bym o nich nie pomyślał.

Dlatego, szczerze mówiąc, moje epitafium na ich cześć brzmiałoby mniej więcej tak: Gdybyś usiadł ze starym szkolnym kumplem, by przypomnieć sobie imiona wszystkich dzieciaków z klasy, o Szwedach wspomnielibyście na samym końcu.

Wiem tylko, że wyglądali na porządnych facetów i że nie powinni być umrzeć taką śmiercią. Zwłaszcza Sten.

* * *

Czekanie, aż morze dotrze do stóp Keaty'ego, w końcu mnie znudziło, więc nabrałem w ręce trochę wody i polełem mu głowę.

- Cześć - powiedziałem, gdy otrząsnął się z szoku. - Dobrze spałeś?

Pokręcił głową.

- Ja też nie. - Ukucnąłem przy nim. - Urwałem tylko cztery godziny.

- Jak w obozowisku? Kiepsko?

- Wczoraj było kiepsko. Teraz jest trochę lepiej, ale ludzie wciąż bardzo chorują.

Usiadł i otrzepał z piasku ręce i nogi.

- Powiniennem wrócić. Muszę im pomóc.

- W takim razie nie wracaj. Odesłaliby cię z powrotem. Chcą, żebyś upolował kilka ryb.

- Ja?

- Tak mówi Jed. Oprócz Szwedów i Moshego wszyscy rybacy chorują, a Moshe dogląda ludzi w baraku. Zostałeś tylko ty.

- I ty.

- Tak, ale... - Myślałem chwilę. - Muszę się trochę przekimnąć. Widzisz, spałem nie cztery, lecz tylko trzy godziny. A właściwie to dwie i pół. Jeśli nie utnę sobie drzemki, padnę na pysk. - Keaty wciąż miał niepewną minę, więc dodałem: - Poza tym, jeżeli przyjdiesz z zarciem, Sal się trochę uspokoi. Jest cholernie wkurzona, że nam nie pomogłeś.

- Tak, słyszałem, jak mnie wczoraj wołała. Dlatego spałem tutaj.
- Ciężko wzruszył ramionami. - Ale kiedyś muszę wrócić... Nie wiem, czy to taki dobry pomysł, żebym polował na ryby. Przecież od tego się wszystko zaczęło.

- Nie rozmawiałem z nikim, kto patrzyłby na to w ten sposób.

- Mógłbym pomóc w obozowisku.

- Ludzie muszą jeść.

- Naprawdę myślisz, że powinienem zapolować?

- Uhm. Kazali mi cię odszukać i przekazać tę wiadomość.

Zmarszczył czoło i owinał kosmyk włosów wokół palca.

Nie golił głowy tak długo, że porosła kędzierzawymi loczkami przypominającymi dredy.

- No, dobra. Skoro tak uważasz...

- Świetnie. - Poklepałem go po ramieniu. - Przekimam się pod palmą.

- Przyjść po ciebie, kiedy będę wracał?

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na klify po drugiej stronie laguny i zastanawiałem się, jak tam dopłynąć, żeby mnie nie zauważył.

Powtórzył pytanie.

- Co? Nie. Nie, nie.

Gdyby polował z głównego głazu, mógłbym zrobić podwodną sztafetę między tymi mniejszymi, ukrywając się za nimi dla zacierpięcia powietrza.

- A jak zaśpiesz? Sal wkurzy się i na ciebie.

- Nie zaśpię. Wystarczą mi dwie godziny.

- Dobra. Ile ryb mam upolować?

- Z dziesięć. Szwedzi też łowią, a większość z nas nie je. Ruszyłem w stronę drzew. - Do zobaczenia na polanie.

- Na polanie, jasne.

Czułem na plecach jego wzrok, więc pochyliłem ramiona i ciężko zaszurałem nogami, żeby pokazać mu, jaki jestem zmęczony.

- Richard! - zawołał, gdy doszedłem do trawy. - Przepraszam, że się nie wyspałeś. To moja...

Machnąłem ręką.

- Nie ma sprawy! - odrzyknąłem, wślizgując się między krzaki.

* * *

Ukrywać się przed nim było łatwo, ale przeprawa przez lagunę trwała przez to wściekle długo. Do grotty płynąłem trzydzieści pięć minut, choć zwykle zajmowało mi to niewiele ponad kwadrans. Przez tę powolność paskudnie się czułem. Ilekroć chciałem głębiej odetchnąć, nigdy nie udawało mi się porządnie napełnić płuc, bez względu na to, jak potężny haust powietrza wciągałem. Przeszło mi dopiero wówczas, gdy pokonawszy skalny komin, szczytem klifu ruszyłem w głąb wyspy.

Wietkong, strefa i ja

Na przełęczy przystanąłem, żeby popatrzeć na strefę. Nie musiałem schodzić na tarasy, jednocześnie wiedziałem, że tam zejść. Mógł to być mój pierwszy i ostatni samotny wypad i nie chciałem zaprzepaścić takiej okazji. Ale musiałem też sprawdzić, co z Zephem i Sammym, dlatego ruszyłem dalej w kierunku punktu obserwacyjnego.

* * *

- Delta jeden-dziewięć - wymamrotałem, zlokalizowawszy ich na plaży. Jeden stał tam, gdzie zwykle, drugi tuż nad wodą, jakieś trzydzieści metrów na prawo od tego pierwszego. Pozostali trzej musieli być w głębi wyspy, w każdym razie za drzewami. - Tu patrol Alfa. Nieprzyjaciel zlokalizowany. Powtarzam, nieprzyjaciel zlokalizowany. Czekam na dalsze rozkazy. - Trzaski w eterze. - Zrozumiałem. Kontynuować obserwację.

Opuściłem lornetkę i westchnąłem, czując, że wzbiera we mnie znajoma frustracja. Ich pozorna bezczynność przestała już mnie interesować i zacząłem ją odbierać jako wyrefinowaną obrazę. Chciałem wrzasnąć, żeby się wreszcie ruszyli, i gdybym tylko wiedział, że to poskutkuje, pewnie bym wrzasnął.

W takim stanie ducha minuty upływały bardzo powoli. Czułem się w obowiązku spędzić tam co najmniej dwie godziny, choć wiedziałem,

że nic się przez ten czas nie wydarzy. Tak więc co dziesięć minut sprawdzałem, czy knują coś nowego, i przekonawszy się, że nie - bywało, że zza drzew wychodził ktoś trzeci, a dwóch tamtych znikają - wracałem do marzeń o tym, co będę robił w strefie.

Ponieważ trawki mieliśmy pod dostatkiem, wytknąłem sobie tylko jeden cel: chciałem zobaczyć któregoś ze strażników. Ale nie strażnika śpiącego na ścieżce. Pragnąłem zobaczyć, jak uzbrojony po zęby patroluje okolicę, ot co. Tylko to by mnie usatysfakcjonowało. Uczciwe starcie, walka równego z równym: on wypatrywał intruzów, ja nim byłem.

Im dłużej o tym myślałem, tym szybciej chciałem zejść z postępu. Przez ostatnie pół godziny dwugodzinnej obserwacji liczyłem upływające minuty niczym dziecko czekające na bożonarodzeniowy poranek. Kiedy w końcu nadeszła pora - dwunasta siedemnaście - spojrzałem przez lornetkę po raz ostatni. Jak na złość po raz pierwszy tego dnia na plaży nie było nikogo, ale wahałem się tylko chwilę. Szybko zlustrowałem morze, żeby sprawdzić, czy nie płyną, powiedziałem na głos: „Chuj z nimi” - i ruszyłem do strefy.

* * *

Moje marzenie spełniło się niedaleko miejsca, gdzie kradliśmy z Jedem trawkę. Poszedłem tam, uznawszy, że strażnika pola marihuany najszybciej znajdę na polu marihuany, poza tym była to trasa, którą jako tako znałem, chociaż szedłem nią tylko raz.

Do pierwszego kontaktu doszło trzysta metrów nad tarasem. Właśnie miałem obejść gęstą kępę bambusa, gdy między liśćmi mignęło mi coś brązowego, zbyt złotawego, by mógłbym mieć jakiegokolwiek wątpliwości: była to skóra południowo-wschodniego Azjaty. Oczywiście natychmiast zamarłem w pół kroku i trwałem w tej niewygodnej pozycji kilkanaście sekund. Złotawa plama wreszcie zniknęła i usłyszałem szelest oddalających się kroków.

Szybko przeanalizowałem wszystkie dostępne opcje. Śledzenie strażnika wiązało się z poważnym ryzykiem, jednakże chodziło mi o coś więcej niż o powierzchowny kontakt wzrokowy, a im dłużej zwlekałem, tym mniejszą miałem szansę na ponowne spotkanie.

Wiedziałem też, że jeśli natychmiast za nim nie pójdę, prawdopodobnie przegram starcie i będę musiał zawrócić. I pewnie to zdecydowało. Nie czekając, aż szelest kroków umilknie, cichutko obszedłem kępę i ruszyłem w pościg.

Następnych dziesięciu minut prawie nie pamiętam. Nadśluchiwałem tak intensywnie, tak bardzo wyteżałem wzrok, że, podobnie jak przed skokiem z wodospadu, byłem w stanie zarejestrować tylko to, co działo się w danym momencie. Ale doskonale pamiętam wszystko od chwili, gdy tamten przystanął. Przystanąłem i ja i dostrzegłem go niecałe cztery i pół metra dalej. Odpoczywał między dwoma wysokimi drzewami.

Powolutku przykucnąłem i ostrożnie wystawiłem głowę zza gałęzi, żeby lepiej go widzieć. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, był wielki tatuaż: czarno-niebieski smok, który wpełzał na jego mocno umięśnione plecy, wbijając się pazurami w jedną łopatkę i zionąc ogniem na drugą. Wtedy go rozpoznałem: był to ten sam strażnik, którego widzieliśmy z Françoise i Etienne'em, Taj o posturze kick boksera. Długo nie mogłem zapanować nad oddechem, gdyż najpierw we krwi buzowała mi adrenalina, potem ogarnął mnie taki sam strach, jaki odczuwałem podczas naszego pierwszego spotkania, wreszcie coś w rodzaju podziwu i grozy.

Stał do mnie ni to bokiem, ni tyłem, jedną rękę wspierając na kolbie automatu, drugą na biodrze. Smoka na plecach przecinała blada, głęboka blizna biegnąca od szyi aż do żeber. Inna blizna biała wśród krótko ostrzyżonych włosów na głowie. Spod brudnej niebieskiej chusty, którą przewiązał sobie ramię, sterczała zmięta paczka tajskich papierosów. Trzymał kałasza niedbale, jak zaklinacz węży trzyma kobrę. Był po prostu doskonały.

Wiedziałem, że za chwilę odejdzie, i gorączkowo próbowałem zapamiętać wszystkie szczegóły jego wyglądu. Żałowałem, że nie mogę podpełznąć bliżej. Gdybym mógł faceta zamrozić, obszedłbym go powoli niczym rzeźbę w muzeum, analizując każdy detal, sporządzając listę przedmiotów, które miał przy sobie, zaglądając mu w oczy, żeby sprawdzić, co się w nich kryje.

Zanim odszedł, odwrócił się w moją stronę. Może wyczuł, że ktoś go obserwuje. Odwracając się, otworzył usta i zobaczyłem, że nie ma dwóch górnych jedynek. Było to jak ostatnie muśnięcie

pędzła, jak groźny dodatek do uciętej kolby automatu i naderwanych kieszeni jego zielonych polowych spodni. Gdybym spróbował wtedy podpełznąć bliżej, musiałby mnie zauważyć. Po jego minie poznałem, że lustruje teren bardzo pobieżnie, ale na pewno by mnie dostrzegł. Dlatego zamarłem. Byłem jak zahipnotyzowany. Gdyby odkrył moją obecność, wątpię, czy próbowałbym uciec.

Gdy w końcu zniknął w dżungli, długo trwałem w bezruchu. Zdawałem sobie sprawę, że odchodząc natychmiast, popełniłbym błąd, i to nie dlatego, że Taj wciąż był tuż-tuż, ale dlatego, że najpierw musiałem ochłonąć. Nie wiedzieć czemu, pomyślałem o wypadkach drogowych i o kierowcach, którzy rozbijali się zaraz potem, gdy cudem uniknęli zderzenia.

* * *

Kilka godzin później, już w drodze do domu, znowu przystanąłem na przełęczy. Tym razem na widok tarasów i parnej wieczornej dżungli odruchowo zacisnąłem pięści. Zalała mnie potężna fala zazdrości. Jed bywał w strefie od roku, od roku miał ją tylko dla siebie. Nie wyobrażałem sobie, jak bym się czuł, mając nieograniczony dostęp do tego prywatnego, sekretnego zakątka, a krótkie spotkanie z Tajem tylko tę zazdrość spotęgowało. Zajrzałem do raję, a to, co tam ujrzałem, skazało mnie na wieczną tęsknotę.

Podział

Na polanie była tylko Ella, która patroszyła ryby przed kuchnią, i Jed, który z nią gawędził. Gdy podszedłem bliżej, wstał i spojrzał na mnie pytająco, aja lekko skinąłem głową. Odpowiedział tym samym, przeprosił Ellę i odszedł w stronę namiotów.

- Nic nie przyniosłeś? - spytała Ella. - Miałam nadzieję, że coś upolujesz.

W kubie było mniej niż dziesięć małych mieczników.

- Nie, niestety. Przepraszam. Jest tylko tyle?

- Tak. To żałosne. Jak mam tym nakarmić połowę obozu? Nie mogliście upolować więcej?

- To moja wina. Leciałem z nóg, musiałem odespać wczorajszą noc i Keaty polował sam. A Szwedzi? Nic nie przynieśli?

- Nie - burknęła poirytowana, wyrywając z brzucha ryby garść wnętrzności i ciskając je na ziemię. - Nic, cholera. Absolutnie nic. Tylko Keaty coś przyniósł. Która to godzina?

- Wpół do siódmej.

- Wpół do siódmej! Czekałem tu na nich od ponad dwóch godzin. Ludzie czują się lepiej niż wczoraj, są głodni, muszę w końcu podać kolację.

- Fakt... Ciekawe, dlaczego tak długo nie wracają.

- Nie mam zielonego pojęcia. Co za durnie! To nie do wiary, że ze wszystkich możliwych dni spóźniają się akurat dzisiaj. W głowie się nie mieści.

Zmarszczyłem czoło.

- Daj spokój, to śmieszne. Na pewno nie spóźniają się celowo. Wiedzą, co się tu dzieje... Może silnik nawalił, może zabrakło im benzyny.

Zacmokała językiem i wbiła nóż w brzuch ostatniej ryby.

- Może - mruknęła, wprawnie pracując nadgarstkiem. - Może masz rację... Ale jeśli dobrze się zastanowić, mogliby już wrócić.

* * *

Mogliby już wrócić... Myślałem o tym, idąc do baraku. Miała rację. Dwie godziny to aż za dużo. Przez ten czas Szwedzi przyплыnęli by z powrotem nawet wówczas, gdyby musieli holować łódź. Z poprzednich rozmów wiedziałem, że nigdy nie odpływali dalej niż dwieście metrów od klifu na wypadek, gdyby zauważyli obcą łódź i musieli szybko wracać do groty.

Już wtedy zdawałem sobie sprawę, że stało się coś niedobrego. Było to jedyne logiczne wytłumaczenie. Jednakże świadomość ta nie wpłynęła na mnie z tego samego powodu, z jakiego nie wpłynęła na pozostałych. Mieliliśmy na głowie zbyt wiele problemów, żeby martwić się nowymi. Jednych rozpraszało wołanie o wodę, innych potrzeba snu, jeszcze innych kałuża nieczystości, które trzeba było uprzątnąć. Mnie dobijała perspektywa spotkania z Étienne'em. Zaczynałem mieć wątpliwości co do tego pocałunku. Nie to, żebym

czuł się winny, ale doskonale go rozumiałem i wiedziałem, że nasza rozmowa będzie niezręczna. Dlatego otwierając drzwi do baraku, upchnąłem myśli o Szwedach w najgłębszych zakamarkach umysłu z mglistym postanowieniem, że wrócę do nich później.

Wszedłem i natychmiast odniosłem wrażenie, że podczas mojej nieobecności w baraku doszło do jakiegoś podziału. Powitała mnie pełna napięcia cisza, a zaraz potem szmer przyciszonych rozmów. Przy drzwiach siedzieli moi rybacy, Jessie, Cassie oraz Leah, dziewczyna od Jeana. W głębi, w pobliżu mojego łóżka, zobaczyłem Sal i Bugsa wraz z pozostałymi ogrodnikami i cieślami. Między tymi dwiema grupami siedzieli Moshe i Jugosłowianki, najwyraźniej zachowując neutralność.

Oceeniłem sytuację. I wzruszyłem ramionami. Skoro podział już się dokonał, wybór stron nie przedstawiał problemu. Zamknąłem drzwi i przysiadłem się do rybaków.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, co mnie trochę przeraziło, gdyż automatycznie założyłem, że do rozłamu doszło przeze mnie. W głowie szybko ułożyłem sobie ciąg wydarzeń: Etienne powiedział o pocałunku Françoise, Françoise się wściekła i powiedziała reszcie, a panujące w baraku napięcie nie miało nic wspólnego z wymagowanym podziałem i było tylko reakcją na mój powrót. Na szczęście gruntownie się myliłem, gdyż Françoise wzięła mnie za rękę i szepnęła:

- Mamy kłopot.

- Kłopot? - Niezdarnie zabrałem rękę, zerkając na Etienne'a, który obserwował mnie z nieprzeniknioną twarzą. - Jaki?

Keaty odkaslnął i wskazał swoje lewe oko. Było paskudnie zapuchnięte.

- Bugs mnie uderzył - rzucił beznamiętnie.

- Bugs cię uderzył?

- Uhm.

Byłem zbyt wstrząśnięty, żeby odpowiedzieć.

- O czwartej wróciłem z rybami i gadałem z Jedem przed namiotami. Pół godziny temu przyszedłem tutaj, a Bugs od razu dał mi w mordę.

- No i? - spytałem w końcu.

- Jean nas rozdzielił i wybuchła koszmarna kłótnia. - Wskazał

grupę w głębi baraku. - Między nimi i nami. Ja się nie wtrącałem. Krwawił mi nos.

- Uderzył cię za tę ośmiornicę?

- Za to, że wczoraj im nie pomogłem.

- Nieprawda! - Gniewnie pokręciłem głową. - Wiem, dlaczego cię uderzył. Wcale nie dlatego, że cię wczoraj nie było. Przyłożył ci, bo się w nocy zesrał.

Keaty uśmiechnął się smutno.

- Tak, to wszystko tłumaczy, Rich.

Z trudem panowałem nad głosem. Język mi spuchł i nagle ogarnęła mnie taka furia, że ujrzałem czarne kręgi przed oczyma.

- Żebyś wiedział - odparłem przez zaciśnięte zęby. - Znam go. Wytarzał się w swoim własnym gównie i to go poniżyło. Dlatego cię uderzył.

Wstałem. Gregorio chwycił mnie za rękę.

- Richard, co ty robisz?

- Idę dać mu w mordę.

- Nareszcie - powiedział Jesse, wstając. - Moje słowa. Pomogę ci.

- Nie!

Obejrzałem się. Françoise też wstała.

- To głupota! Siadajcie! Obaj!

W tym samym momencie z głębi baraku dobiegł nas szyderczy śmiech.

- Niech no zgadnę! - wykrzyknął Bugs. - Kawaleria nadciąga!

- Przebiję ci szyję ościeniem, ty chuju zasrany! - wrzasnąłem.

- Już się boję!

- To lepiej się bój! - zawył Jesse. - Lepiej się, kurwa, bój!

- O, kutas kiwi się ożywił!

- Kiwi jeszcze ci przypierdoli!

Nagle wstała Sal.

- Dość! - krzyknęła. - Wystarczy! Zamknijcie się! Wszyscy! Zapadła cisza.

Patrzyliśmy na siebie dobre trzydzieści sekund. Potem Françoise dźgnęła palcem podłogę.

- Siadajcie! - syknęła.

No to usiedliśmy.

Dziesięć minut później chodziłem po ścianach. Chciało mi się palić tak bardzo, że pierś mi się zapadała, ale ponieważ papierosy trzymałem na drugim końcu baraku, nie było mowy, żeby do nich dotrzeć. Cassie zwinęła mi skręta - wszystko na nic. Organizm potrzebował nikotyny. Trawka tylko to pragnienie spotęgowała.

Wkrótce potem Ella przyniosła jedzenie, ale przypaliła ryż, poza tym bez magicznej różdżki Unhygieniksa rybny gulasz smakował jak morska woda. W dodatku weszła w najgorszym z możliwych momentów i zbita z tropu, myślała, że panująca w baraku atmosfera jest reakcją na jej gotowanie. Ponieważ nikt nie zawracał sobie głowy wyjaśnieniami, wybiegła na dwór ze łzami w oczach.

Kwadrans po ósmej zza drzwi wystawił głowę Jed, ale rozejrzał się tylko i zniknął.

I tak mijał czas, a pełne napięcia epizody odwracały naszą uwagę od faktu, że Szwedzi wciąż nie wracali z morza.

* * *

Za kwadrans dziewiąta z trzaskiem otworzyły się drzwi.

- Nareszcie... - zaczął Keaty, ale głos uwiązł mu w gardle.

W progu stał zgięty wpół Karl, ledwo widoczny w blasku świec. Po jego minie od razu poznaliśmy, że coś jest nie tak, ale to wygląd jego rąk sparaliżował Keaty'ego. Były absurdalnie wykręcone i sterczały mu jakby z szyi. Poza tym w prawej dłoni ziała długa, głęboka szrama. Zaczynała się między kciukiem i palcem wskazującym i biegła aż do łokcia, rozcinając rękę na dwie połowy przypominające szczypce kraba.

- Jezus Maria! - powiedział głośno Jesse.

W baraku zaszurało, zaszurgało. Wszyscy wstali, żeby lepiej widzieć.

Karl zrobił ciężki krok w naszą stronę i wszedł w krąg światła. Dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że okaleczone ręce należą do człowieka, którego dźwigał - do Stena. Nagle ugięły się pod nim kolana i runął na twarz, nie próbując nawet zamortyzować upadku. Sten ześlizgnął się z niego, balansował chwilę, wreszcie spoczął na plecach. W jego boku ziała dziura wielkości piłki nożnej, a to, co

pozostało z brzucha, było sprasowane do grubości najwyżej dziesięciu centymetrów.

Etienne ruszył się pierwszy. Przemknął obok, omal nie zwalając mnie z nóg. Kiedy poderwałem wzrok, klęczał już przy Stenie, próbując robić mu oddychanie usta-usta.

- Co się stało?! - zawołała gdzieś z tyłu Sal.

W tym samym momencie Karl zaczął przeraźliwie krzyczeć. Krzyczał nieustannie przez kilkanaście sekund, wypełniając barak wysokim, przenikliwym dźwiękiem, który zmuszał ludzi do zatykania sobie uszu albo do równie głośnego i zupełnie bezsensownego wrzasku, którym chcieli zagłuszyć wrzask Karla. Dopiero kiedy Keaty potrząsnął nim i kazał mu się zamknąć, Szwed zdołał wychrypieć jedno zrozumiałe słowo: rekin.

Ten trzeci

Pełna oszołomienia cisza trwała tylko ułamek sekundy. Potem wszyscy zaczęli mówić naraz, równie nagle jak zamilkli. Wokół Karla i Stena szybko powstał zwarty krąg, taki sam, jaki powstaje podczas bójki na szkolnym boisku, kiedy to uczniowie przepychają się jak najbliższej walczących, jednocześnie zachowując bezpieczną odległość. Posypały się rady i wskazówki - ostatecznie mieliśmy sytuację kryzysową. Każda sytuacja kryzysowa wywołuje przede wszystkim zamęt i prowokuje niepotrzebną gadaninę, bo każdy chce wtrącić swoje trzy grosze. Etienne próbował ratować Stena, Keaty Karla, a zewsząd padały sugestie: „Dajcie mu wody!” „Ułóż go w innej pozycji!” „Ściśnij mu nos!”

Ta ostatnia była skierowana do Etienne'a - wykrzyczała ją jedna z Jugosłowianek - ponieważ robiąc oddychanie metodą usta-usta, nieprzytomnemu trzeba zatkać nos, żeby powietrze nie uciekało. Uznałem, że rada jest głupia. W dziurze w boku Stena widać było bąbelki, co oznaczało, że ma rozerwane płuca, poza tym nie wyobrażałem sobie, żeby ktoś mógł wyglądać na człowieka bardziej martwego. Oczywiście miał wywrócone i świecił białkami, lał się przez ręce jak szmaciana kukła, a z ran nie ciekła mu krew. Właściwie to

wszystkie rady mogli sobie odpuścić. Rzucającego się i wrzeszczącego Karla trudno było ułożyć w jakiegokolwiek pozycji i nie miałem pojęcia, po cholere mu woda. Morfina tak, woda nie. Ale w sytuacjach dramatycznych ludzie często proszą o wodę, przypuszczam więc, że propozycja padła właśnie dlatego. Sensownie reagowała tylko Sal, która krzyczała, żeby wszyscy się cofnęli i przestali gadać. Ale nikt jej nie słuchał. Chwilowo straciła rolę przywódczyni, dlatego jej dobre rady były równie przydatne jak złe.

Całe to zamieszanie zdenerwowało mnie i poruszyło. Mówiłem sobie: „Bądź czujny, ale spokojny” - i czekałem, aż przyjdzie mi do głowy jakaś pożyteczna sugestia. Coś, co przebiłoby się przez ten chaos z surową stanowczością, odpowiednią do powagi sytuacji. Konkretnie mówiąc, bardzo chciałem zareagować, jak zareagował Etienne na polu marihuany. Ot, choćby przebiec się do Stena i powiedzieć: „Zostaw go, Etienne. On nie żyje”. Jednakże uznałem, że zabrzmiałoby to jak kwestia z kiepskiego filmu, tymczasem ja poszukiwałem kwestii z filmu dobrego. Dlatego, zamiast cokolwiek mówić, wycofałem się poza tłum gapiów, co było łatwe, gdyż niemal wszyscy chcieli podejść bliżej Szwedów.

Znalazłszy się poza kręgiem kolonistów, zacząłem myśleć obiektywniej. Natychmiast uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, miałem teraz szansę na odzyskanie papierosów. Po drugie - Christo. Nikt nie wspominał o trzecim Szwedzie, który mógł być ranny i leżeć na plaży, oczekując pomocy. Ranny albo martwy, jak Sten.

Wahałem się chwilę niczym bohater kreskówki, najpierw patrząc w lewo, potem w prawo. Wreszcie podjąłem decyzję i ruszyłem biegiem do swego łóżka, mijając po drodze kilkoro leżących, zbyt chorych, by podejść bliżej i zobaczyć, co się dzieje. Biegając z powrotem, potarłem o draskę dwiema zapalkami naraz i zapaliłem. Krzyknąłem: „Christo!” - i wypadłem z baraku, nie sprawdzwszy, czy ktoś mnie słyszał.

* * *

W dżungli przeklinałem siebie za to, że nie zabrałem latarki. Praktycznie rzecz biorąc, widziałem tylko czerwony ognik papierosa, który rozżarzał się z rzadka, przepalając napotkaną pajęczynę. Ale ponieważ niedawno szedłem tamtędy po ciemku, żeby obejrzeć

światliste żyjątka w lagunie, nie przysparzało mi to zbyt wielkich kłopotów. Zboczyłem z trasy tylko raz, wpadając na kępę bambusa, z której rybacy musieli ostatnio wycinać pędy na ościenie. Podeszwy stóp miałem twarde i nawet ich nie zadrasnałem, za to poharatałem sobie łydki i golenie, co mnie trochę wkurzyło, gdyż za chwilę miałem wejść do słonej wody i wiedziałem, że rany będą piekły.

Na plaży, w świetle księżyca, było znacznie jaśniej. Pasma piasku przecinały głębokie bruzdy - tędy Karl włókł Stena. Wyglądało na to, że wyszedł z wody około dwudziestu metrów od dróżki wiodącej do obozowiska, że minął ją, po czym zawrócił. Pstrykając niedopałkiem, stwierdziłem, że Christo nie mógł dotrzeć aż na plażę. W księżycowej poświacie piasek lśnił niczym sproszkowane srebro. Leżące na nim skorupy orzechów kokosowych i gałęzie palm odcinały się od tła wyraźnymi czarnymi plamami. Gdyby gdzieś tam był, na pewno bym go zauważył.

Głęboko odetchnąłem i przysiadłem kilkanaście centymetrów od wody, gorączkowo analizując przeróżne możliwości i pomysły. Na plaży go nie było, nie spotkałem go również po drodze - chyba że go jakimś cudem minąłem - tak więc musiał być albo w lagunie, albo na otwartym morzu, albo w jaskini po drugiej stronie klifu. Jeśli był na morzu, najprawdopodobniej już nie żył. Jeśli w lagunie, mógł leżeć na którymś z głazów albo unosić się na falach z twarzą w wodzie. Jeśli został w jaskini, zbyt osłabiony, żeby pokonać podwodny korytarz i przepłynąć lagunę, musiał być albo przy ujściu szczeliny od strony brzegu, albo w miniporcie, gdzie cumowała łódź.

Tyle o Christo. A rekin? Z rekinem sprawa była o wiele prostsza. Mógł być wszędzie, jeden albo kilka. Dowodem jego ewentualnej obecności byłaby jedynie sylwetka płetwy grzbietowej sunąca przez lagunę. Ponieważ niczego więcej wykoncypować nie zdołałem, doszedłem do wniosku, że kwestię rekina najlepiej będzie całkowicie zignorować.

- Założę się, że jest w jaskini - powiedziałem na głos, przypalając papierosa z nadzieją, że nikotyna pomoże mi myśleć.

Nagle za plecami usłyszałem cichy szmer, coś jakby odgłos kroków na piasku.

- Christo?! - zawołałem i usłyszałem siebie w stereo, gdyż dokładnie w tym samym momencie ktoś inny też go zawołał.

- Nie - odpowiedzieliśmy jednocześnie.

Zapadła cisza.

Odczekałem kilka sekund, rozglądając się na wszystkie strony, ale nikogo nie wypatrzyłem.

- W takim razie kto? Milczenie.

- Kto? - warknąłem, wstając. - To ty, Kaczor? Znowu cisza.

Stopy zalała mi fala. Zrobiłem szybki krok naprzód, żeby utrzymać równowagę. Następną falą była równie silna i musiałem zrobić jeszcze jeden krok. Zanim się spostrzegłem, stałem już po kolana w wodzie, krzywiąc się z bólu - rany na nogach piekły jak wszyscy diabli. Opuściłem rękę. Zapomniany papieros zasyczał i zgasł.

* * *

Wybrałem trasę, którą najprawdopodobniej wybrałby Christo, często wdrapując się na głązy i lustrując powierzchnię wody. Kiedy pokonałem trzy czwarte drogi, na plaży dostrzegłem błyski latarek. Tamci też go szukali, ale się nie odezwałem. Nie wiedziałem, czy ich obecność, choć tak odległa, dodaje otuchy, czy odstręcza.

Cień

Wołali go. Przez lagunę niesły się różne głosy, niskie i wysokie, głosy chłopców i dziewcząt. Nie podobało mi się ich brzmienie. Odpoczywałem na głazie u wejścia do skalnej szczeliny i każdy okrzyk wywoływał echo. Ten upiorny pogłos przyprawiał mnie o dreszcze, dlatego szybko wpłynąłem do jaskini. A kiedy już zacząłem płynąć, płynąłem i płynąłem, dopóki nie wpadłem na skałę w

miejscu, gdzie zaczynał się podwodny korytarz. Wtedy nabrałem powietrza i zanurkowałem.

To było ekscytujące przeżycie. Wiecznie zimne, bo nieznające słońca ściany chłodziły wodę i pozbawiały ją życia. Czuję się tak, jakbym wkroczył do zakazanej strefy, do strefy, która napawała mnie strachem, gdy nurkowałem na Ko Samui z Etienne'em i Françoise. Zmęźniałeś - pomyślałem sennie, rozluźniając mięśnie nóg i spowalniając ruchy rąk. Nie spieszyłem się. Prawie zapomniałem o Christo i rekinie. Właściwie to się dobrze bawiłem. Wiedziałem, że płuca mam niezłe wyćwiczone i że bez większego wysiłku wytrzymam pod wodą półtorej minuty.

Co kilka metrów zawisałem w otchłani, macając wokoło, żeby sprawdzić, czy przypadkowo nie skręciłem w korytarz prowadzący do tej nieszczęsnej poduszki powietrznej. Szybko odkryłem, że korytarz główny jest o wiele szerszy, niż poprzednio myślałem. Rozłożywszy ramiona, nie sięgałem ścian i mogłem dotknąć tylko pokrytego skorupiakami dna i stropu. Z pełnym wyrzutem grymasem na twarzy zdałem sobie sprawę, że aby trafić do poduszki, musiałem bardzo zboczyć z trasy.

Wykrzywiłem twarz jeszcze bardziej, gdy lekko oszołomiony mrocznym podwodnym światem wypłynąłem w jaskini po drugiej stronie klifu. Silna nocna fala bezpardonowo przywróciła mnie rzeczywistości: cisnęła mną o ściany, tak że musiałem szybko wyjść z wody, ślizgając się niezdarnie po wodorostach i jeszcze bardziej kalecząc sobie nogi. Gdy wreszcie stanąłem na skalnej półce, zacząłem wołać Christa, jednakże robiłem to bez wielkiej nadziei, ponieważ w jasnej księżycowej poświacie widziałem, że go tam nie ma. Była za to łódź. Niezacumowana, pływała w małej zatoczce, która służyła jej za port i kryjówkę. Podeszedłem bliżej, wyłowilem z wody sznur, zarzuciłem go na pobliski głaz i zawiązałem na nim tyle węzłów, ile się tylko dało; węzły były co prawda babskie, ale innych wiązać nie umiałem. Potem przysiadłem na półce, zastanawiając się, co robić dalej.

Sęk w tym, że łatwo mogłem Christa nie zauważyć, i to na kilku etapach moich poszukiwań, zwłaszcza między głazami w lagunie. Całkiem możliwe, że tamci już go odnaleźli i sprowadzili do obozowiska. Jednocześnie nie opuszczało mnie silne przekonanie, że to

niemożliwe. Nieumocowana łódź świadczyła o tym, że Szwedzi dotarli do ukrytego portu. Gdyby Christo nie był ranny, przepłynąłby podwodnym korytarzem razem z Karlem. W przeciwnym razie Karl zostawiłby go w miejscu, gdzie siedziałem, i ściągnąłby pomoc.

- Chyba że... - Strzeliłem palcami, drżąc na chłodnym wietrze.

Chyba że zginął od razu. Tam, na morzu. W tym przypadku nie odnajdzie go już nikt.

- Albo...

Albo był lekko ranny. Zdołał zanurkować i wpłynąć do korytarza razem z Karlem, pomagając mu przy Stenie, ale coś się po drodze stało. Płynęli obok siebie, zajmowali całą szerokość korytarza. Karl, Sten i ranny Christo. Ranny, przerażony i zdezorientowany...

- To jest to - powiedziałem stanowczo.

Christo został, a Karl zdał sobie z tego sprawę dopiero po drugiej stronie klifu. Holował Stena - niewykluczone, że wtedy jeszcze żywego - dlatego nie mógł zawrócić. Może odczekał tyle, ile zdołał wytrzymać bez oddychania. Kilka rozpaczliwych chwil, żeby się ostatecznie upewnić. A potem zrezygnował.

- Tak. Christo jest w poduszce.

Wstałem, nabrałem powietrza i zanurkowałem. Do właściwej odnogi korytarza trafiłem za trzecią próbą.

* * *

Wynurzyłem się i - nie mogłem uwierzyć własnym oczom - zobaczyłem gwiazdy. Początkowo myślałem, że znowu źle skręciłem, że wypłynąłem na otwartym morzu albo w lagunie. Ale gwiazdy były i nade mną, i wokół mnie. Były dosłownie wszędzie, świeciły jedna przy drugiej, i w niezmierzonej oddali, i zupełnie bliźniutko.

To z braku tlenu - pomyślałem, ostrożnie biorąc oddech. Powietrze smakowało lepiej niż wtedy - może odświeżył je wyjątkowo niski przypływ - ale gwiazdy nie zniknęły. Wziąłem jeszcze jeden oddech, zacisnąłem powieki, odczekałem chwilę i otworzyłem oczy. Gwiazdy wciąż tam były, mrugały do mnie jeszcze jaśniej niż poprzednio.

- To niemożliwe - wyszeptalem. - To nie ma...

Przerwał mi jakiś pomruk dochodzący z gęstej konstelacji na-
przeciwko. Wyteżyłem słuch, powoli przebiegając kończynami.

- Tutaj... - Cichutki głos.

Wyciągnąłem przed siebie ręce, natrafiłem na skałę, potem do-
tknąłem jego skóry.

- Christo! Dzięki Bogu! Wszędzie...

- Richard?

- Tak.

- Pomóż mi.

- Po to przypląnąłem.

Sunąłem dłonią po jego skórze, próbując się domyślić, jakiej
części ciała dotykam. Dziwne, ale przychodziło mi to z dużym tru-
dem. To, co najpierw wziąłem za rękę, okazało się nogą, a to, co za
usta - otwartą raną.

Christo głucho jęknął.

Pokręciłem głową.

- Przepraszam. Jesteś ranny. Bardzo?

- Trochę... trochę mnie boli.

- Dobra. Dasz radę popłynąć?

- Nie wiem.

- Musimy zanurkować. Musimy się stąd wydostać.

- Stąd?

- Z tej poduszki.

- Z poduszki? - powtórzył niepewnie.

- Z tej... z tej małej grotki. Musimy wydostać się z tej grotki.

- Ale przecież... tam jest niebo - wymamrotał. - I gwiazdy.

Zmarszczyłem czoło, zdziwiony, że on też je widzi.

- Nie, to nie gwiazdy. To są... - Zawahałem się. Wyciągnąłem
rękę i zanurzyłem ją w zimne sploty zwisających wodorostów. - To
nie gwiazdy - powtórzyłem ze śmiechem, zrywając ze stropu lśniący
warkocz.

- Nie? - spytał zdenerwowany.

- Nie. To te świetliste żyjątka.

Na półce było trochę miejsca, więc wygramoliłem się z wody i
przycupnąłem obok niego.

- Posłuchaj, Christo. Boję się, że będziemy musieli zanurkować.

Nie mamy wyboru.

Nie odpowiedział.

- Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Zrobimy tak. Popłynę przodem, używając tylko rąk. Ty chwycisz się moich nóg i spróbujesz popracować swoimi. Nogi masz całe?

- Tak. Jestem ranny w... w... Tutaj. - Wymacał moją rękę i przytknął ją sobie do brzucha.

- Dobra, a więc możesz nimi poruszać. Damy radę. Kaszka z mleczkiem.

- Tak.

Miał coraz słabszy głos, dlatego mówiłem głośno i wyraźnie, żeby nie zasnął.

- Jedynym problemem będzie znalezienie właściwej odnogi. Jeśli dobrze pamiętam, odchodzą stąd cztery korytarze i nie możemy zabłądzić. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Świetnie. No, to już. Nie ma na co czekać. - Pochyliłem się do przodu, żeby wejść do wody, i natychmiast zamarłem.

- Richard? - szepnęła, wyczuwając, że coś jest nie tak.

Nie odpowiedziałem. Zahipnotyzował mnie piękny, zarazem mrozący krew w żyłach widok: opływowa kometa szybująca poprzez czarną otchłań pod moimi nogami.

- Co się stało?

- Nic, tylko... Tam na dole coś jest.

- Rekin? - wychlipał Christo piskliwym, przerażonym głosem. - To ten rekin?

- Nie, na pewno nie rekin. Spokojnie!

Uważnie obserwowałem kometę. Szczerze mówiąc, ja też początkowo myślałem, że to rekin, dlatego zwlekałem z odpowiedzią. Ale teraz wiedziałem już, że to niemożliwe. Poruszał się zupełnie inaczej. Płynął zrywami. Bardziej przypominał człowieka niż zwierzę.

- To chyba ja - dodałem z pijackim uśmiechem.

- Ty?

- Mój ślad. - Zachichotałem. - Mój cień.

- Jak to? Nie...

Delikatnie poklepałem go po nodze.

- To pewnie tylko ławica ryb.

Kometa sunęła niespiesznie przed siebie i raptem zaczęła się skracać. Dopiero po chwili zrozumiałem, że wpłynęła do jednej z odnóg wychodzących z poduszki.

- Dobra, Christo - powiedziałem, ostrożnie macając się po głowie. Nagle poczułem się tak, jakby ktoś otworzył mi czaszkę i jakby cała jej zawartość uciekła w przestrzeń niczym puchnący obłok pary. Stwierdziwszy, że czerep jest na miejscu, mokry, twardy i porośnięty zmierzwionymi włosami, zsunąłem się do wody. - Chyba już wiem, którądy płynąć.

* * *

Już po kilku ruchach rąk odkryłem, że nie jest to korytarz prowadzący bezpośrednio do jaskini od strony brzegu. Niemal natychmiast skręcał w prawo, podczas gdy tamten biegł prawie idealnie prosto. Niemniej byłem pewien swego i nie zawróciłem. Dzieśięć metrów dalej znaleźliśmy inną poduszkę, potem jeszcze jedną, wreszcie wynurzyliśmy się na świeże powietrze. Przed nami ziała otulona ciemnością szczelina wychodząca na lagunę. Widziałem przez nią prawdziwe gwiazdy i prawdziwe niebo jasne na tyle, że dostrzegalem nawet zamazane sylwetki palm na brzegu. Pazury na patykowatych ramionach porastające łukowaty klif.

Ułożyłem wyczerpanego Christa na płaskiej półce u wejścia do szczeliny i stanąłem na jej brzegu, żeby spojrzeć na koralowy ogród.

- Kaczor? - rzuciłem cicho. - To byłeś ty, prawda? Jesteś tu.

- Tak. - Jego głos dochodził z tak niewielkiej odległości, że aż drgnąłem. - Jestem.

NAJAZD

Polityka

- Niech to szlag - mruknąłem, widząc Cassie. Rozmawiały przed kuchnią, ona i Ella. Musiałem przejść koło nich, nie miałem wyboru. Owszem, mogłem przeciąć polanę albo przekraść się opłotkami i wyjść za barakiem, ale to pociągało za sobą nieuchronne spotkanie z Bugsem albo z Sal. Woląłem już Cassie.

Westchnąłem. Pod względem nawiązywania kontaktu wzrokowego przejście przez polanę stało się ostatnio istnym torem przeszkód. Owszem, atak rekina odciągnął uwagę kolonistów od awantury w baraku, lecz chociaż doszło do niepisanego zawieszenia broni, napięcie nie zniknęło. Jeśli chodzi o taktykę, muszę przyznać, że Bugs pogrął po mistrzowsku. Jego grupa - głównie cieśle oraz ogrodnicy Jeana minus Cassie i Jesse - zajęła środkową część polany. Począwszy od następnego dnia po ataku rekina, wracając z punktu obserwacyjnego, zawsze ich tam zastawałem: siedzieli luźnym kręgiem, palili trawkę, cicho gawędzili. Tak więc nie dość, że mieli nad nami przewagę jako zwolennicy przywódczyni kolonii, to jeszcze oddziaływali na wszystkich psychicznie. Oni reprezentowali establishment, my zaś byliśmy odszczepieńcami.

Naszą rolę jako odszczepieńców dodatkowo podkreślał fakt, że w przeciwieństwie do frakcji Bugsa nie wykazywaliśmy chęci do zjednoczenia i trzymaliśmy się w grupkach. Była zatem moja stara grupa z Étienne'em, Françoise i Keatym, do której się podłączyłem, choć silne więzy łączyły mnie również z Jedem. Była też grupa Moshego, który chyba nie bardzo wiedział, z kim trzymać, oraz kucharze. Do tych ostatnich należeli przyjaźniący się z Ellą Jesse i

Cassie, ale ponieważ przyjaźnili się również z Keatym, często zasiadali w grupie rybaków.

Byli też Sal i Karl. Karl stanowił prawo dla samego siebie, krążąc myślami nie wiadomo gdzie, natomiast Sal usilnie próbowała zachować neutralność, choć doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby przyszło co do czego, wsparłaby grupę Bugsa.

Jeśli brzmi to zawile, to tylko dlatego, że naprawdę było zawile.

Każde przejście przez polanę wymagało umiejętności polityka i wszyscy musieliśmy ćwiczyć je z taką samą intensywnością. Wszyscy oprócz mnie, ponieważ ja dźwigałem na barkach dodatkowy ciężar w postaci Cassie. Odkąd Bugs się obsrał, mówiła do mnie powoli, uważnie dobierała słowa i starannie modulowała głos, jakby się bała, że donośniejszy hałas mnie przerazi. Słowem, traktowała mnie jak osobnika niezrównoważonego psychicznie, co działało mi na nerwy. Z drugiej strony, żeby uniknąć Bugsa, musiałbym przeciskać się między raketowcami, a Sal kazałaby mi składać meldunek o tych z sąsiedniej wyspy i z trojga złego wolałem już przejść obok Cassie. Zagryzłem wargi, wbiłem wzrok w ziemię, wyszedłem zza krzaków i ruszyłem w jej stronę. Kątem oka widziałem, że jest zagrożona w rozmowie z Ellą. Uda mi się - pomyślałem, lecz mój optymizm okazał się przedwczesny.

- Richard! - zawołała, gdy już je mijalem.

Podniosłem wzrok z obojętnym - i doskonale wyćwiczonym - wyrazem twarzy.

- Jak się masz?

- Dobrze - odrzekłem szybko. - Idę odwiedzić naszego pacjenta. Posłała mi lekki uśmiech.

- Nie, Richard. Pytałam, jak ty się czujesz.

- Ja? Dobrze - powtórzyłem.

- Przeżyłeś to bardziej niż pozostali.

- Nie, chyba nie.

- Znalazłeś Christa...

- Nie było aż tak źle.

- ...a teraz musisz chodzić na wyspę sam, bez żadnego wsparcia.

Bezradnie wzruszyłem ramionami. Gdybym odpowiedział, że trzy dni, które minęły od śmierci Stena, były dla mnie dniami wspaniałymi, za Chiny by tego nie pojęła. Jed znał się na udzielaniu pierwszej pomocy i cały ten czas doglądał Christa, co oznaczało, że strefę zdemilitaryzowaną miałem tylko dla siebie.

Nie licząc Tajów, rzecz jasna.

- Samotność bywa potrzebna, Cassie. Ma się wtedy czas na refleksję, na pogodzenie się z tym, co zaszło. - Z innych spotkań wiedziałem, że ten tekst zawsze działa.

Wytrzeszczyła oczy, jakby przedtem na to nie wpadła, ale teraz, gdy jej o tym powiedziałem, doszła do wniosku, że tak, że to dobry pomysł, i była pod wrażeniem.

- Oto pozytywne podejście do sprawy - pochwaliła mnie ciepło. - Oby tak dalej, Richard. Oby tak dalej.

Uznałem, że teraz w moim odejściu nie będzie nic niegrzecznego, i czym prędzej ruszyłem przed siebie.

* * *

Zmierzalem do lazaretu. To znaczy do namiotu Szwedów, ale ponieważ Sten nie żył, a Karl mieszkał na plaży, zacząłem namiot nazywać lazaretem. Ku memu rozczarowaniu nikt inny tak go nie nazywał. Celowo powtarzałem to słowo przy każdej okazji, ale koloniści nie chcieli go podchwycić.

- Wcześniej wróciłeś - zauważył Jed. - Jeszcze jasno. - Mówił zmęczonym głosem i pocił się jak prosię. Lazaret był otwarty, mimo to w środku panował straszliwy upał.

- Zgłodniałem i chciało mi się palić. Zresztą nic się tam nie dzieje.

- Spokój? Spojrzałem na Christa.

- W porządku, zasnął.

- Tak, spokój - zełgałem. Owszem, zdarzyło się coś bardzo szczególnego, ale nie chciałem mu o tym mówić. - To samo, co zwykle.

- A więc znowu mieliśmy szczęście. Ciekawe, jak długo jeszcze.

- Hmm... Tak przy okazji: przyniosłem trochę trawki.

- Znowu? Richard... - Pokręcił głową. - Marycha uszami nam wychodzi, przynosisz ją codziennie.

- Ludzie dużo palą, przynajmniej ostatnio.
- Twoich zapasów nie wykończyliby wszyscy hippisi z Goa, poza tym, jeśli będziesz tyle podprowadzał, zauważą to strażnicy.

Też o tym pomyślałem, tyle tylko, że w innym kontekście. Miałem nadzieję, że moje regularne wyprawy do strefy wzmogą czujność Tajów. Byli tak żałośnie nieporadni, że wykiwałoby ich każde dziecko, i często zastanawiałem się, po jaką cholere w ogóle tam siedzą.

- Co z Christem? - spytałem, zmieniając temat. - Lepiej mu?

Jed potarł oczy.

- Gorzej.

- Majaczy?

- Nie, ale bardzo go boli. Kiedy się budzi. Większość czasu jest nieprzytomny i ma wysoką gorączkę. Bez termometru trudno powiedzieć, ale dzisiaj chyba wyższą niż wczoraj. Szczerze mówiąc... - zniżył głos - ...zaczynam się o niego poważnie martwić.

Zmarszczyłem brwi. Christo wyglądał całkiem nieźle. Kiedy zobaczyłem go następnego ranka po wyratowaniu, byłem lekko rozczarowany, że jego rany nie są tak dramatyczne, jak sądziłem. Nie licząc lekkiego rozcięcia na ramieniu - które w poduszce omyłkowo wzięłem za usta - jedynym obrażeniem, jakie odniósł, był wielki siniak na brzuchu, w miejscu gdzie staranował go rekin. Obrażenia okazały się tak powierzchowne, że pierwszego dnia wstał, by poszukać Karla. Zasłabł dopiero nazajutrz na skutek - jak uważaliśmy - nawrotu skutków zatrucia.

- Siniak powinien się zmniejszać, prawda? - rzucił Jed.

- Ty tu jesteś lekarzem.

- Rzecz w tym, że nie jestem żadnym, kurwa, lekarzem.

Nachyliłem się, żeby lepiej widzieć.

- Jest jakby ciemniejszy. Stracił ten czerwony odcień. Chyba się goi.

- Wiesz na pewno czy zgadujesz?

- Wiedzieć nie wiem. - Milczałem chwilę. - Ale jestem pewien, że nie może dojść do siebie przez to zatrucie. Jessego ściska do dzisiaj.

- Uhm.

- Bugsa też. Niestety - dodałem ze złośliwym uśmieszkiem i puściłem do niego oko. Albo tego nie zauważył, albo mnie zignorował.
- No, dobra. Idę coś przegryźć i pogadać z Françoise i resztą.

- Jasne. Zostaw mi papierosa, co? I przyjdź później. Oprócz ciebie i Unhygieniksa nikt tu nie zagląda. Pewnie unikają Christa. Udają, że nic się nie wydarzyło.

- Jak oni to robią? - odparłem, rzucając mu papierosy. - Sten leży w śpiworze za barakiem. Śpię po drugiej stronie, ale czuję go przez ściany.

Podniósł wzrok, jakby chciał coś powiedzieć, więc zachęcająco skinąłem głową, ale on tylko westchnął.

- Jutro rano - wyszeptał ze smutkiem. - Sal próbowała namówić Karla, żeby przyszedł na pogrzeb, ale nic z tego nie wyszło. Pocho-wamy go przy wodospadzie. Jutro rano.

Rozłam

Kiedy szedłem do lazaretu, Sal siedziała na swoim zwykłym miejscu przed wejściem do baraku, którego idąc na plażę, nie dało się ominąć bez wyczerpującego obejścia przełęczą Khyber Pass. Gdy wypelzłem z namiotu, ku swej wielkiej uldze stwierdziłem, że już jej tam nie ma. Założyłem, że przysiadła się do grupy Bugsa na środku polany; mogłem to łatwo sprawdzić, wystarczyło zerknąć, ale ponieważ nie chciałem patrzeć w stronę wroga, przyjąłem to na wiarę. Błąd. Powinienem był sprawdzić. Podobnie jak Cassie, zaskoczyła mnie, gdyż już opuszczałem strefę zagrożenia, to znaczy mijałem barak, by wejść na ścieżkę prowadzącą w kierunku plaży.

- Richard! - zawołała silnym, stanowczym głosem.

Stała po piersi w gęstych krzakach. Nie ulegało wątpliwości, że schowała się tam tylko po to, aby zastawić na mnie pułapkę.

- Ukrywałaś się - wybelkotałem, zbyt zaskoczony, żeby wymyślić cokolwiek innego.

- Tak, Richard, żebyś wiedział! - Ostrożnie rozchyliła krzaki pulchną ręką i wyszła na ścieżkę. - Nie chciałam zmuszać cię do

jednego z tych śmiesznych i łatwych do przewidzenia uników, jakie ostatnio stosujesz.

- Uników? Sal, ja cię wcale nie...
- Owszem, unikasz.
- Ależ skąd!
- Daruj sobie, Richard.

Po raz trzeci wypowiedziała moje imię, dlatego wiedziałem, że chodzi o coś poważnego. Zrezygnowałem z udawania i wykrzywiłem usta w niepewnym uśmiechu.

- I przestań się uśmiechać - warknęła. - Masz pojęcie, ile przysparzasz mi kłopotów?

- Przepraszam.
- Przeprosiny nie wystarczą. Zaczynasz załazić mi za skórę. Powiedz: czy moje polecenia były wystarczająco proste i zrozumiałe?

- Tak. Były bardzo proste.
- Bardzo proste. Mimo to już ich nie pamiętasz.
- Pamiętam, tylko...
- W takim razie słucham, powtórz je.
- Polecenia?
- Tak, polecenia.

Z trudem wyrugowałem z głosu uczniowską wyniosłość i butę.

- Ponieważ Jed dogląda Christa, miałem meldować ci na bieżąco o tym, co robią... - Zająknąłem się, czując, że na karku i szyi wykwitają mi zimne czerwone plamy. Niewiele brakowało i powiedziałbym: Zeph i Sammy.

- Kto? - rzuciła.
- Nasi potencjalni goście.
- Właśnie. A teraz może zechcesz mi powiedzieć, dlaczego sprawia ci to aż tyle trudności.

- Dzisiaj nie miałem o czym meldować. Nic się nie dzieje, jak zwykle...

- I na tym właśnie polega twój błąd, Richard. - Pogroziła mi palcem. Wąłki tłuszczu na jej przedramieniu zakołysały się gniewnie. - Błąd, błąd i jeszcze raz błąd. Jeśli nie masz o czym meldować, chcę to usłyszeć. W przeciwnym razie zaczynam się denerwować, a ponieważ i bez tego mam na głowie mnóstwo spraw, nie musisz przysparzać mi zmartwień. Dotarło?

- Tak.
 - To dobrze. - Opuściła rękę i głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić. - Nie chcę się na tobie wyżywać, ale w tej chwili nie dam sobie rady z dodatkowymi problemami. Morale... nasze morale coraz bardziej upada.
 - Wyjdziemy z tego.
 - Wiem - warknęła. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale chcę, żebyś przekazał swoim przyjaciołom pewną wiadomość.
 - Oczywiście.
 - Powiedz im, że od trzech dni ze zrozumiałych względów toleruję ten absurdalny rozłam.
- Spróbowałem przybrać niewinną minę - co za głupota!

- Rozłam?

- Tak, rozłam! Podział na dwa nierozmawiające z sobą obozy, w których znaleźli się ludzie mający ochotę przebić komuś szyję ościeniem!

Spiekłem raka.

- Może o tym nie wiesz, ale jutro rano będzie pogrzeb Stena. Chcę, żeby uroczystość ta położyła kres wszelkim napięciom, żeby ta potworna tragedia była początkiem czegoś dobrego. Tę samą wiadomość przekazę Bugsowi. Inaczej ludzie pomyślą, że traktuję go ulgowo, bo jest moim chłopakiem. Jasne?

- Jasne.

Przytknęła dłoń do czoła i trzymała ją tak przez długą chwilę.

Biedna Sal - pomyślałem. Nie wykazywałem dla niej należytego zrozumienia, nie zdawałem sobie sprawy, że żyje w tak wielkim stresie, i postanowiłem się poprawić. W sumie nie byłem nawet pewien, dlaczego jej unikałem. Przecież to Bugs mnie wkurzał, nie ona. Niechęć, jaką do niego czułem, niesprawiedliwie przelałem na nią.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Dokąd szedłeś, gdy cię zaskoczyłam?

- Na plażę. Poszukać Françoise i sprawdzić, co z Karlem.

- Karl... - Wymamrotała coś pod nosem i zadarła głowę. Kiedy znowu przeniosła wzrok na mnie, była chyba zaskoczona, że jeszcze tam jestem. - No, to idź - rzuciła, lekko mnie popychając. - Na co czekasz? Spadaj.

* * *

Gdy dotarłem na plażę, dochodziła szósta wieczorem i było na tyle chłodno, że mogłem iść po suchym piasku, nie parząc stóp. Mogłem, ale nie chciałem. Grałem w jedną ze swoich gier i wymagało to chodzenia po wilgotnym piasku tuż nad wodą.

Celem gry było zostawienie idealnego odcisku stopy, co jest zadaniem o wiele trudniejszym i bardziej pracochłonnym, niż początkowo myślałem. Jeśli pod warstwą mokrego piasku jest warstwa piasku suchego, odcisk się rozpada, jeśli natomiast piasek jest zbyt nasączony, ślad szybko wypełnia się wodą. Dochodzi do tego konieczność umiejętnego operowania siłą nacisku stopy. Gdy idzie się normalnie, palce zapadają się zbyt głęboko, co psuje doskonałość produktu finalnego. Natomiast równomierne rozkładanie nacisku na całą podeszwę - co pociąga za sobą stawianie nienaturalnych kroków - wygląda co prawda niezbyt estetycznie, tworzy za to niezły odcisk. I właśnie z tym kompromisem próbowałem się zmagać.

Szedłem dziwaczными skokami, co chwila przystając, jęcząc i zacierając niedobre ślady. Sfrustrowany, cały czas wbijałem wzrok w ziemię, dlatego swoich przyjaciół dostrzegłem dopiero wówczas, gdy stanąłem dwa metry przed nimi.

- Tobie też odwaliło, Richard? - spytał Keaty. - Jeśli tak, koniecznie nam o tym powiedz, bo może będziesz miał więcej szczęścia i dogadasz się z Karlem jak wariat z wariatem.

- Próbuję odcisnąć ślad doskonały - odparłem, nie podnosząc głowy. - To naprawdę trudne.

Po jego śmiechu poznałem, że jest nawalony.

- Ślad doskonały! Tak, od tego już tylko niewielki krok do obłądu. Ale to znacznie oryginalniejsze niż rysowanie idealnych okręgów.

- Okręgów?

- Robią to wszyscy psychole.

- Aha. - Zatarłem ostatni ślad i podszedłem bliżej, rozczarowany, że nie ma z nimi Françoise. - Karl też?

- Nie. Jest na to zbyt szalony.

- To nie tak - wtrącił Etienne, nie zgadzając się z żartobliwą diagnozą Keaty'ego. - Karl nie zwariował. On jest *en éiat de choc*.

Keaty uniósł brwi.

- Aha. Tak myślałem. A teraz powiedz nam, co to znaczy.

- Nie wiem, jak to jest po angielsku. Dlatego użyłem określenia francuskiego.

- Bardzo nam pomogłeś.

- Gdybyś naprawdę chciał pomóc, zawiózłbyś Karla na Ko Pha-Ngan - odparł sztywno Etienne i wstał. - Ale nie zamierzam z tobą polemizować. Wybacz, Richard, wracam na polaną. Powiesz Françoise, kiedy tu przyjdzie?

- Jasne - odrzekłem, czując się trochę nieswojo. Najwyraźniej zaskoczyłem ich w trakcie jakiejś sprzeczki i myśl, że moi przyjaciele się kłócą, wcale nie przypadła mi do gustu. Musieliśmy trzymać się razem, nawet jeśli Sal zamierzała wezwać nas do zawieszenia broni.

Etienne odszedł. Kilka sekund później Keaty spojrzął na Gregoria i syknął:

- Dlaczego mnie nie poparłeś?

Zamyślony Gregorio patrzył posepnie na swoje ręce.

- Nie wiem. Może on ma rację...

- On nie ma racji. Co cię napadło?

- Chwileczkę - wtrąciłem, spojrzawszy przez ramię, żeby sprawdzić, czy Etienne nas nie słyszy. - Czy on mówił poważnie o Ko Pha-Ngan?

Keaty kiwnął głową. Dredy miał jeszcze króciutkie i stały na sztorc, co tylko podkreślało jego pełną niedowierzania minę.

- A jak! Gada o tym cały dzień. Mówi, że pójdzie z tą sprawą do Sal.

- Przecież musi wiedzieć, że nie możemy tego zrobić. Co byśmy im powiedzieli? „Przywieźliśmy wam przyjaciela, który doznał wstrząsu po ataku rekina na naszej tajemnej plaży. No, to na razie. Do zobaczenia”.

- On uważa, że moglibyśmy zostawić go gdzieś przy Hat Rin.

- Odbiło mu czy co? Nawet jeśli Karl nic nie wygada, skąd pewność, że ktoś się nim zajmie? Tam się roi od szajbusów. Ludzie zobaczą, jak leży na piasku, i od razu go oleją. - Pokręciłem głową. - Odpada. Powinien zostać tutaj, tak będzie dla niego najlepiej.

- Powtarzam to Etienne'owi cały dzień. Ale zaczekaj, to jeszcze nie wszystko. On chce zawieźć tam i Stena.

- Stena?!

- Żebyś wiedział!

- Przecież Sten nie żyje! Jaki sens...

- Rodzina, brachu, rodzina. Etienne uważa, że mają prawo wiedzieć”, jak skończył ich syn. Widzisz, on rozumuje tak: jeśli zostawimy ich razem, na pewno go zauważą, a wtedy władze skontaktują się z bliskimi Stena.

Uśmiechnąłem się z niedowierzaniem.

- Tak, i zaraz się tu zwałą. Bylibyśmy skończeni. To najgorszy pomysł, jaki kiedykolwiek słyszałem.

- Mnie to mówisz? - odparł, wskazując Gregoria. - Lepiej powiedz to jemu.

Gregorio legł na plecach, żeby uniknąć naszych oskarżycielskich spojrzeń.

- Uważam tylko, że powinniśmy to sobie przemyśleć - mruknął.

- Jeśli Karl przestał odzywać się do nas, może będzie milczał i na Ko Pha-Ngan.

- Nie - oparł Keaty. - Kiedyś zaczniesz mówić. A kiedy zaczniesz, wolę już, żeby byli przy nim nasi, a nie jacyś pieprzeni Tajowie czy szwedzkie świrołapy.

Tak jest. Nie ująłbym tego lepiej.

Szuuu, bum, łup

Dyskusja o Karlu była tak zagorzała, że zaraz potem postanowiłem zajrzeć do niego osobiście. A przynajmniej tak powiedziałem Keaty'emu i Gregoriowi. Szczerze mówiąc, bardziej interesowało mnie spotkanie z Françoise, której od kilku dni prawie nie widywałem. Pracowała z rybakami, wszyscy przeżywaliśmy ostatnio prawdziwe piekło, poza tym niezbyt usilnie jej szukałem. Po tym opacznie zrozumianym pocałunku nie chciałem dawać Etienne'owi następnych powodów do podejrzeń.

Siedziałam przy jamie Karla, jakieś czterysta metrów od miejsca, gdzie rozmawiałem z Keatym i Gregoriem. Karl wykopał tę jamę, kiedy uciekł z obozowiska, by zamieszkać na plaży. Nie była głęboka.

Gdy stał, jej brzeg sięgał mu ud, a gdy siedział, nad piaskiem ster-
czała mu głowa i piersi. Większe wrażenie robił daszek, który skle-
cili dla niego Keaty i Etienne. Ponieważ Karl tkwił w dziurze calutki
dzień, martwili się, że dostanie udaru. Znaleźli trzy długie palmowe
gałęzie i związali je razem niczym płachty indiańskiego wigwamu.
Przed deszczem nie chroniły, ale przynajmniej dawały cień.

Myślałem, że zastanę Françoise w podłym nastroju (ostatnio
dość powszechnym wśród kolonistów), dlatego prawie oniemiałem
ze szczęścia, gdy wybiegła mi na spotkanie i mocno mnie uścisnęła.

- Richard! Dziękuję! Jeszcze ci nie dziękowałam! Dlatego dzie-
kuję!

Zamurowało mnie.

- Za co?

- Za to, że pomagałaś mi, kiedy chorowałam. Byłeś taki dobry.
Chciałam ci to powiedzieć wcześniej, ale nie miałam okazji. Jest
tyle pracy. Musimy łowić więcej ryb, trzeba zajmować się Karlem, a
ty wracasz na polanę bardzo późno.

- Daj spokój. Nie ma za co dziękować. Poza tym kiedyś ty opie-
kowałaś się mną.

- Tak, kiedy miałaś gorączkę. - Uśmiechnęła się ciepło, spojrzała
mi prosto w oczy i nagle nieśmiało zachichotała. - Pocałowałaś
mnie!

Uciekłem wzrokiem w bok.

- Myślałem, że spałaś.

- Bo spałam. Etienne mi powiedział.

- Aha. - Co za cholerny gaduła! - pomyślałem, obrzucając go w
myśli stekiem wyzwisk. - Mam nadzieję, że... że nie masz nic prze-
ciwko temu. To trochę skomplikowane, dlatego...

- Oczywiście, że nie! Kiedy gorączkowałeś, ja też cię pocałowa-
łam.

- Myślałem, że tylko mi się śniło.

- Nie, to nie był sen. Pamiętasz tamten ranek? Tak bardzo się
wtedy martwiłeś.

Kiwnąłem głową. Doskonale pamiętałem swoje niezdarne teksty
i jej wstrząsająco bezpośrednie pytania.

- No, widzisz? A teraz mów. Dlaczego to takie skomplikowane?

- To chyba niezbyt dobre słowo. Ten pocałunek... Pocałowałem cię, ale nie chciałem, żebyś... - Urwałem i zacząłem od początku. - Nie wiem, co ci powiedział Etienne, ale opacznie to zrozumiał. Całowałem cię, ponieważ byłaś bardzo chora, ponieważ wszędzie było tyle nieszczęścia i bólu, a kiedy już zacząłem, trudno mi było przestać.

- A Etienne? Jak on to odebrał? Szuuu, bum, łup - na pewno tak.

- Myślał, że... No, wiesz.

- Że to zmysłowy pocałunek.

- Uhm.

Roześmiała się i delikatnie cmoknęła mnie w policzek.

- Czy to był zmysłowy pocałunek?

- Nie - odrzekłem; drobne kłamstwo nie zaszkodzi. - Oczywiście, że nie.

- W takim razie problem z głowy. Nie ma w tym nic skomplikowanego.

- Cieszę się, że to rozumiesz.

- Zawsze - odparła. - Ja zawsze wszystko rozumiem.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Niezbyt długo, choć nawet tych kilka sekund wystarczyło, by coś między nami zaiskrzyło. Przypomniały mi się inne chwile, te sprzed kilku miesięcy: znaczące spojrzenia na Ko Samui, nasza nocna rozmowa o światach równoległych na Mlecznej Drodze. I nagle czar prysł, gdyż Françoise odwróciła się w stronę Karla.

- Przestał zrywać daszek.

- Tak, zauważyłem. Może to dobry znak. Może mu się polepszyło.

Westchnęła.

- Nie. To nic nie znaczy. Odkryliśmy, że zrywał go, ponieważ liście zasłaniały mu widok na jaskinie. Lubi na nie patrzeć. Zrobiliśmy w nich szparę i od razu się uspokoił.

- Ach, tak...

- Ale kto wie, może rzeczywiście mu lepiej. Nareszcie zaczął jeść.

- Tak, to chyba poprawa. Niestety, niewielka. Kiwnęła głową.

- Niestety. Biedny Karl...

* * *

Tamtego dnia Sal przyparła mnie do muru po raz ostatni. Zostałem z Françoise aż do późnego wieczoru i dałem się zaskoczyć przed wejściem do baraku, gdy szedłem spać.

- Przekazałeś moją wiadomość? - spytała.

Klepnąłem się w czoło.

- Cholera jasna, zapomniałem. Strasznie cię przepraszam. Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Wszyscy mówili tylko o Karlu, a potem...

Przerwała mi ruchem ręki.

- Tak, tak, tak. Wiem, co się dzieje, rozmawiałam z Etienne'em. Wygląda na to, że po pogrzebie trzeba będzie poruszyć mnóstwo spraw, dlatego... Tylko nie mów mi, że zapomniałeś o pogrzebie.

- Jak możesz, Sal! - odparłem z przesadnym oburzeniem. - Oczywiście, że nie!

- Z tobą nigdy nic nie wiadomo. Tak czy inaczej, po rozmowie z Etienne'em postanowiłam dokonać kilku drobnych zmian w swoim wystąpieniu. Będzie bardziej bezpośrednie, niż zamierzałam. Rozpaczliwa sytuacja, desperackie środki, i tak dalej... Coś w tym stylu. - Zawahała się. - Pogrzeby jednoczą ludzi, nie uważasz?

- Chyba tak - odrzekłem niepewnie.

- Chyba tak... Dlatego nie przejmuj się, że nie przekazałeś wiadomości. Mam nadzieję, że nie spędzisz przez to bezsennej nocy.

Pokręciłem głową.

- Nie.

- To dobrze. W takim razie dobranoc. Do jutra.

- Do jutra.

* * *

Moshe położył się ostatni, dlatego to on zgasił ostatnią świecę. Naturalnie, nasza dobranockowa zabawa nie wchodziła w rachubę, choć przeszło mi przez myśl, żeby ją zainicjować. Ciekawiło mnie, co by się stało. Pewnie byśmy przez nią przebrnęli, wywołując imiona naszych przyjaciół, dopóki jakiś biedak nie musiałby przekazać pałeczki grupie Bugsa. Najprawdopodobniej zrobiłby to za pośrednictwem Jugosłowianek, a może Sal.

Znowu myślałem o Françoise, a ilekroć zaczynałem o niej myśleć, mogło ciągnąć się to w nieskończoność. Tamtej nocy nieskończoność trwała co najmniej godzinę, gdyż po godzinie zdałem sobie sprawę, że pozostali też nie śpią. Odkrycie to mnie rozdrażniło. Ponieważ w baraku nie było światła, wszystkich otulał bezpieczny kokon ciemności. To paradoksalne, lecz w normalnych okolicznościach wzmacniało go chrapanie oraz inne odgłosy wydawane przez śpiących, przez ludzi odciętych od świata murem nieświadomości.

Gdy zabrakło chrapania i głębokich oddechów, iluzja kokonu natychmiast prysła. Gorzej, bo jej miejsce zajęła nie-dająca spokoju zagadka. Ja nie spałem, ponieważ myślałem o Françoise, ale dlaczego nie spali inni? Pół godziny zajęło mi wydedukowanie, że pewnie denerwują się pogrzebem Stena.

Zagadka przestała mnie dręczyć i pięć minut później zasnąłem.

Z prochu powstałeś

Mimo odoru rozkładającego się Stena (ze śpiwora wychynęły jego stopy i w tym samym momencie wszystkich zalala fala gorącego smrodu) pogrzeb nie był pozbawiony godności. Stanęliśmy kręgiem nad grobem, który Jean wykopał poprzedniego dnia na tyle blisko wodospadu, żeby roztaczał się stamtąd piękny widok, i na tyle daleko, żeby trupi jad nie zatrzał nam wody. Potem Sal powiedziała kilka słów o pełnym poświęcenia zaangażowaniu Stena w sprawy kolonii i o tym, że bardzo będzie go nam brakowało. Po Sal wystąpił Unhygienix, szef kucharzy. Mówił, że Sten zawsze łowił wielkie ryby, może niekoniecznie smaczniejsze niż te małe z laguny, lecz to właśnie dzięki nim koloniści mogli chodzić z pełnymi brzuchami. Podkreślił też, że chociaż Sten nie należał do animatorów życia towarzyskiego na polanie, chętnie uczestniczył w niedzielnych rozgrywkach piłkarskich i nigdy nie faulował. Tę ostatnią uwagę tłum przyjął cichym pomrukiem aprobaty.

Nikt nie robił wrażenia zdenerwowanego do chwili, gdy zaczęli się zasypywać grób. Wówczas kilka dziewcząt się rozplakało.

Najgłośniejszochwała Ella, gdyż, jak wszyscy kucharze, miała ze Stenem o wiele częstszy kontakt. Tak czy inaczej, nie dziwiłem się, że płaczą, gdyż widok śpiwora powoli ginącego pod warstwą ziemi chwycił za serce. Zrozumiałem wtedy, jak ostateczna jest nieobecność Stena na tym świecie.

Potem Bugs ustawił na mogile drewniany nagrobek. Trzeba oddać mu sprawiedliwość i przyznać, że naprawdę się postarał: nagrobek był pięknie rzeźbiony, a wokół imienia Stena widniały ozdobne zawijasy. Gdybym chciał się do czegoś przyczepić, zauważyłbym pewnie, że brakuje tam nazwiska i daty urodzenia. Sęk w tym, że Christo nie był w stanie nam tego powiedzieć, a Karl nie chciał, dlatego nie mogliśmy nic na to poradzić. Ale może tak było lepiej. Nazwiska symbolizowały łączność ze światem zewnętrznym, więc z domem i rodziną, dlatego nigdy ich nie używaliśmy ani o nie nie pytaliśmy. To zabawne, bo gdybym z jakichś niewytłumaczalnych powodów chciał dzisiaj prześledzić losy ludzi, których poznałem na plaży, za wskazówkę mogłaby mi posłużyć jedynie ich narodowość i coraz bardziej zamazany obraz twarzy.

* * *

W trakcie pogrzebu zastanawiałem się, w którym momencie Sal wygłosi swoją mowę na temat napięć w kolonii. Myślałem, że zrobi to nad grobem i pewnie miała taki zamiar, lecz zmieniła go, czując trupi odór. Tak, smród przeszkadzał. Chociaż słuchaliśmy uważnie i jej, i Unhygieniksa, to kiedy ziemia zasypała dziurawy śpiwór, wszyscy cicho odetchnęli z ulgą.

Sal przystąpiła do ataku, gdy uroczystość dobiegła końca. Jed ruszył w kierunku polany - spieszył się, bo chciał jak najszybciej wrócić do Christa - lecz ona natychmiast go zatrzymała.

- Zaczekaj, Jed! - zawołała ponad naszymi głowami, stając na palcach. - Nie rozchodźcie się. Chcę wam powiedzieć coś ważnego i wszyscy muszą tego wysłuchać.

Jed zmarszczył brwi, mimo to przystanął. Nie tylko on był zaskoczony, inni też. Zauważyłem również pełne wyczekiwania miny na twarzach członków grupy Bugsa i ku swej konsternacji stwierdziłem, że jest w nich coś niepokojąco butnego. Ale bardziej

zaniepokoił mnie fakt, że u boku Sal stanął Bugs. W normalnych okolicznościach nie byłoby w tym nic dziwnego, lecz próbując zatrzymać Jeda, Sal zrobiła kilka kroków do przodu, a wówczas Bugs ruszył za nią, odpychając na bok Cassie. Zwymyślałem sobie w duchu za to, że zapomniałem przekazać wiadomość przyjaciółom.

- W porę ostrzeżony, w porę uzbrojony - mruknąłem, nie zważając na Keaty'ego, który posłał mi pytające spojrzenie.

Sal klasnęła w dłonie.

- Posłuchajcie. Najpierw usiądźcie, żebyście mnie widzieli... i żebyśmy mogła utwierdzić się w przekonaniu, że wspólnymi siłami potrafimy organizować nie tylko pogrzeby.

Wymieniwszy spłoszone spojrzenia, usiedliśmy na trawie. Co było do przewidzenia, Bugs stał dłużej niż pozostali. Sal odczekała, aż się usadzimy, i kiwnęła głową.

- Gdyby ktoś nic nie wiedział albo o niczym nie słyszał - zaczęła - wyjaśniam, że będę mówiła o atmosferze w obozowisku. Będę o tym mówiła, gdyż nie mam wyboru. Ponieważ wy rozmawiacie o tym tylko w małych, boleśnie rzucających się w oczy grupkach.

Tu spojrzała na Bugsa, jednakże moje zdumienie było niczym w porównaniu ze zdumieniem, jakie ogarnęło jego. Spiekł raka, a na moich ustach wykwitł szeroki uśmiech. Dotrzymała słowa: miało być bez protekcji, jest bez protekcji - pomyślałem z aprobatą i nagle przyszło mi do głowy, że w ich układzie mogą istnieć ukryte animozje. Z rozkoszą wyobraziłem sobie, jak Sal go odtrąca i jak zdegradowany Bugs spada z piedestału na leb na szyję. Jednakże szybko przestałem się uśmiechać, gdyż następna uwaga była skierowana bezpośrednio do mnie.

- Dodam, że przyczynili się do tego ci z was, którzy nie tylko nie kiwnęli palcem, żeby tę atmosferę polepszyć, ale i celowo ją pogarszali. Tak, Richard, mówię o tobie, nawet nie próbuj temu zaprzeczyć. Nie chcę przytaczać słów, jakie padły w baraku przed kilkoma dniami, ale jeśli usłyszę je raz jeszcze, to ja będę ciskać ościeniami! Jasne?

Nie czekała na odpowiedź.

- Nie to, żeby Richard był jedyny. Z bardzo, ale to bardzo nielicznymi wyjątkami wszyscy zachowywali się jak banda ostatnich kretyńców i wszyscy ponoszą winę za ten koszmarny burdel. Doszło

do podziału i ponieważ nikt nie próbował go zlikwidować, uważam, że zachowanie Richarda nie odbiegało od zachowania tych, którzy przesiadują tu i tam posępnymi grupkami.

Przestaliśmy na siebie zerkać. Wszyscy uważnie studiowali budowę leżących na ziemi liści lub wyrywali zwisające z szortów nitki. Na Sal nie patrzył nikt.

- Podsumujmy. W zeszłym tygodniu doszło do podwójnej kłęski. Najpierw zatruliśmy się jedzeniem, potem przeżyliśmy niewypowiedzianą tragedię, która nas tu zgromadziła. Z tych powodów doszło do wyraźnego pogorszenia atmosfery w obozowisku. To zrozumiałe. Gdybyśmy nie doznali szoku i nie przestali nad sobą panować, nie bylibyśmy ludźmi. Ale... - uderzyła pięścią w otwartą dłoń - ...na tym koniec! Dość nieporozumień i niesnasek. Ustaną tu i teraz, na pogrzebie przyjaciela. Niechaj jego bezsensowna śmierć będzie początkiem czegoś dobrego. Czas nie odgrywa na plaży większej roli, ale ja mam kalendarz. Może zainteresuje was to, że jest dzisiaj jedenastego września.

Mnie zainteresowało, nawet bardzo, gdyż oznaczało to, że wyjechałem z Anglii mniej więcej przed pięcioma miesiącami. Zaskoczyła mnie jednak reakcja pozostałych: ktoś zagwizdał, a wokół przetoczyła się fala podekscytowanych okrzyków.

- Ze względu na nowo przybyłych wyjaśniam, że za trzy dni obchodzimy Tet. Święto Tet, nazwane tak przez naszego nieobecnego przyjaciela Daffy'ego, to urodziny wszystkich kolonistów. Upamiętnia rocznicę naszej pierwszej nocy na plaży, dlatego bardzo tę datę czcimy.

Ogień płonący w jej oczach wygasł, Sal posmutniała.

- Szczerze mówiąc, perspektywa tegorocznego Tet niezbyt mnie cieszyła. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że bez Daffy'ego będzie to dziwne święto. Ale uważam, że po tym wszystkim, cośmy przeszli, a zwłaszcza po śmierci Stena, właśnie tego najbardziej potrzebujemy. Tet przypomni nam, kim jesteśmy i po co tu przybyliśmy. Będą to nie tylko nasze urodziny, ale i nowy początek.

Zamilkła, pogrążona w zadumie, ale już po chwili twarz jej zhardtowała i Sal szybko przeszła do konkretów.

- Święto pociąga za sobą konieczność wyprawy na Ko Pha-Ngan po zapasy. W normalnych okolicznościach spytałabym, czy są ochotnicy, ale tym razem nie spytam. Bugs i Keaty: ponieważ to przez was doszło do podziału, chcę, żebyście popłynęli razem.

Zerknąłem na Keaty'ego, żeby sprawdzić, jak to przyjął - był przerażony. Twarzy Bugsa nie widziałem, gdyż pochylił ramiona, lecz nie ulegało wątpliwości, że musiał znać decyzję Sal, zanim ją nam przekazała. Na pewno był przybity, ale nie tak bardzo zaszokowany jak Keaty.

- Jeśli chcecie, możecie uznać to za gest symboliczny. Dla mnie jest to tylko praktyczne rozwiązanie. Etienne - dodała po chwili zamyślenia - myślałam o twojej sugestii, żeby zabrać Karla na Ko Pha-Ngan, ale z powodów, o których już rozmawialiśmy, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. To po prostu niemożliwe.

Ktoś dźgnął mnie palcem w bok. Odwróciłem się i zobaczyłem Jeda.

- Nie wiedziałem, że Etienne chciał zabrać Karla na Ko Pha-Ngan - wyszeptał.

- Tak. Wczoraj rozmawiał o tym z Sal. Bo co?

Uciekł wzrokiem w bok.

- Potem - mruknął.

Wzruszyłem ramionami i odwróciłem głowę, ale Sal musiała tymczasem zakończyć zebranie. Zrobiło się gwarno, koloniści zaczęli wstawać.

- Dobrze - powiedziała. - To by było na tyle. Mam nadzieję, że uważnie słuchaliście. Dzisiaj jak zwykle pracujemy. Jutro Keaty i Bugs popłyną na Ko Pha-Ngan.

* * *

Opuściwszy polankę przy wodospadzie, próbowałem dopędzić Jeda, ale pobiegł przodem, żeby jak najszybciej wrócić do Christa. Dlatego szedłem z Keatym i Gregoriem.

Rozmowa, jaką odbyliśmy w drodze przez dżunglę, była komicznie surrealistyczna. Ślepy by dostrzegł, że wszyscy umieraliśmy z niecierpliwości, aby wymienić opinie na temat przemówienia Sal, tymczasem musieliśmy ograniczać się do pogawędki o niczym w obawie, że ktoś nas podsłucha. Tak więc przede mną szła Ella, dyskutując z Jeanem o tym, czy pomidory są już gotowe do zerwania,

a za mną Cassie, która powtarzała, że musi naostrzyć swoją maczetę.

Pomijając tę sztuczną gadatliwość, było oczywiście, że wystąpienie Sal wywarło pożądany efekt. Nastroje się poprawiły, nabraliśmy animuszu. Pogrzeb należał już do przeszłości i gdyby nie Jed, który pobiegł doglądać Christa, pewnie zapomnielibym, że to Szwedzi byli powodem zgromadzenia przy wodospadzie.

Nastrój nie zmienił się nawet wówczas, gdy wkroczyliśmy na polanę. Podświadomie oczekiwałem, że rozbici na frakcje, zasiądziemy w grupkach, żeby przeanalizować poranne wydarzenia, lecz nie minęło pięć minut, jak wszyscy rozeszli się do swoich zajęć i na polanie nie pozostał nikt. Oprócz mnie i Sal.

- Czy byłam sprawiedliwa? - spytała, podchodząc bliżej.

- Sprawiedliwa... - Podrapałem się w głowę, upuściłem papierosa i palcem nogi wgniotłem go w piasek. - Tak. Myślę, że tak. Moim zdaniem wszystko poszło jak trzeba. Byłem nawet zdziwiony, że tak łagodnie mnie potraktowałaś. Ostatecznie Bugs jest twoim chłopakiem, i w ogóle.

- Nie lubię nikogo faworyzować. Miałam nadzieję, że zdążyłeś się już o tym przekonać. Tak czy inaczej, myślę, że zmyłaś swoją winę, ratując Christa. Postąpiłeś bardzo odważnie. I głupio.

- Dzięki - odrzekłem z uśmiechem.

- Cóż, nie powinieneś już iść? Nasi sąsiedzi mogą coś knuć. Wieczorem oczekuję meldunku.

- Jasne.

Ruszyłem przez polanę w kierunku ścieżki na plażę. Nagle przystanąłem i pod wpływem impulsu spojrzałem za siebie. Sal wciąż mnie obserwowała.

- Lubisz mnie, prawda? - spytałem.

Byłem wystarczająco blisko, by dostrzec, że uniosła brwi.

- Słucham?

- Lubisz mnie. To znaczy... jeśli zrobię coś nie tak, dajesz mi bukę, ale długo się na mnie nie gniewasz.

- Nie jestem pamiętliwa.

- Zaufałaś mi. Zgodziłaś się, żebym wziął udział w Wyprawie po Ryż i pracował z Jedem. Łatwo mogłaś mu odmówić, zwłaszcza że jestem tu najmłodszy stażem. Kazałaś mi przekazać wiadomość o

spotkaniu po pogrzebie, chociaż wiesz, że nie można na mnie polegać.

- Boże drogi, Richard. Mówisz bardzo dziwne rzeczy.
- Ale mam rację, prawda?
Wzruszyła ramionami.
- Chyba tak. Co wcale nie znaczy, że...
- Wiem. Nie lubisz nikogo faworyzować. - Milczałem chwilę. - Powiedzieć ci, dlaczego mnie lubisz?
- Skoro musisz.
- Ponieważ przypominam ci Daffy'ego. Zgadłem?
- Tak. Ale jakim cudem... - Pokręciła głową. - Tak, przypominasz mi Daffy'ego. I to bardzo.
- Tak myślałem. - Odwróciłem się i poszedłem dalej.

Szajba

Pan Kaczor czekał na mnie na punkcie obserwacyjnym. Przyłaził tam co rano od dnia ataku rekina.

Gdy zastałem go tam pierwszy raz, przeżyłem niełichy szok i prawie natychmiast doszło między nami do kłótni. Owszem, to, że pojawił się w jaskini, kiedy z Christem usiłowałem przepłynąć podwodnym korytarzem, miało sens. Ze świetlistymi żyłkami czy bez nich jaskinie były miejscem dość koszmarnym, czyli takim, w którym mógłby się spokojnie pokazać. Ale widok Kaczora siedzącego w promieniach jaskrawego słońca z niezapalonym skrętem sterczącym mu z ust niczym kowbojska cygaretką był nie do zniesienia.

Kompletnie ogłupiały, długo stałem bez słowa, podczas gdy on szczyrzył do mnie zęby i przekrzywił głowę to w lewo, to w prawo.

- Jest jasny dzień! - wykrztusiłem po chwili; powiedziałem to gniewnie, dziwnie urażony jego bezczelnością.
- Jasny dzień - powtórzył beznamiętnie. - Tak jest, jasny dzień.
Zapadła cisza.
- To nie sen - rzuciłem.
- Fakt, to nie sen.
- W takim razie zaczynam wariować.

- Szczerze?
- Szczerze. Wzruszył ramionami.
- Moim zdaniem użyłeś niewłaściwego czasu, ale ponieważ nie jestem specjalistą, lepiej pójdź z tym do kogoś innego.

Wyrzuciłem do góry ręce, opuściłem je, ciężko usiadłem na ziemi i dotknąłem jego przedramienia. Było suche, ciepłe i twarde jak moje.

Zadrzałem, a on nachmurzył czoło.

- Coś cię gryzie?
- Tak. Zwariowałem.
- No i co z tego? Narzekasz?
- Czy narzekam?
- Tak, czy narzekasz. Narzekasz?
- Ja...

Nie pozwolił mi dokończyć.

- Bo jeśli tak, od razu cię uprzedzam, że nie zamierzam tego wysłuchiwać.

- Ja tylko...
- Ja tylko, ja tylko - przedrzeźniał. - Ty tylko co?
- Jak to co? Jestem kurewsko wstrząśnięty, ot co! Tym, że cię widzę, tym, że... że mi odjębało!

Pan Kaczor skrzywił się z niesmakiem.

- Wstrząśnięty? Co cię tak szokuje?
- Wszystko! - wrzasnąłem rozwścieczony. - Nie chcę oszaleć!
- Nie chcesz oszaleć? Proszę, proszę... Mógłbym cię o coś spytać?

Lekko drżącymi rękami wyjąłem z paczki papierosa i od razu włożyłem go z powrotem, przypomniawszy sobie, że na rubieży nie wolno palić.

- Nie. Spadaj. Idź precz.
- Twardziel, he? Tylko jedno pytanie. Gdzie teraz jesteś?
- Daj mi spokój!
- Gdzie teraz jesteś?

Ukryłem twarz w dłoniach.

- W Tajlandii.
- Gdzie?
- W Taj...
- Gdzie!

Zerknąłem przez palce na strefę zdemilitaryzowaną. Zrozumiałem, o co mu chodzi, i opadły mi ramiona.

- W Wietnamie.

Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- W Wietnamie! Sam to powiedziałeś! Sam tego chciałeś! A oto i rozwiązanie zagadki, brachu: w Wietnamie szaleństwo to normalka! - Wesoło zakrzyknął i klepnął się po udach. - Kurwa mać, powinieneś cieszyć się na mój widok! Jestem dowodem na to, że ci się udało! Jestem twoim szaleństwem, twoją szajbą! Twoim Wietnamem!

* * *

Nim upłynął dzień, zdążyłem do niego przywyknąć, a wieczorem dnia następnego zdałem sobie sprawę, że jego obecność mnie cieszy. Był dobrym towarzyszem - na swój sposób, rzecz jasna - i umiał mnie rozbawić. Spędzaliśmy razem długie godziny i często gadaliśmy o zwykłych sprawach, jak na przykład o miejscach, które kiedyś odwiedzaliśmy, czy o filmach. Trudno być zaszokowanym i rozmawiać z kimś o *Wojnach gwiazdnych*, prawda?

* * *

Po pogrzebie chciałem jak najszybciej dotrzeć do punktu obserwacyjnego. Miałem do Kaczora mnóstwo pytań i chciałem mu zrelacjonować wystąpienie Sal, dlatego niemal całą drogę do przełęczy pokonałem biegiem.

Lustrował teren przez lornetkę Jeda.

- Mam ci dużo do powiedzenia - wysapałem zdyszany, siadając obok niego. - Pochowaliśmy Stena, a Sal wygłosiła długie przemówienie. Wspomniała o święcie Tet. Nic mi o tym nie mówiłeś. O tobie też mówiła.

Zrobił dziwną minę.

- O mnie? Co?

- Że Tet bez ciebie to już nie to samo.

- To wszystko?

- O tobie tak. Ale mówiła też o święcie i o naszym morale.

Kiwnął głową.

- To dobrze - mruknął obojętnie.

- Nie chcesz, żebym ci opowiedział? Zrobiła na mnie duże wrażenie. Moim zdaniem wywarła również...

- Nie. Nie chcę.
- Nie chcesz?
- Nie.
- Dlaczego?
- Dlatego, Rich, dlatego... - Chyba się zamyślił, bo opuścił lornetkę, potem przytknął ją do oczu, po czym znowu opuścił. - Wiesz, dlaczego? Bo wolę porozmawiać o airfiksach.

Tym, którzy czekają

- Aha, o airfiksach.
- Albo o matchboksach. Wszystko jedno.
- Z jakiegoś konkretnego powodu?
- Z ciekawości.
- Posłuchaj. Dzisiaj pochowaliśmy Stena. Sal wygłosiła niesamowite przemówienie. Za trzy dni mamy święto Tet, o którym nigdy dotąd nie wspominałeś, a ty...
 - Spitfire'y - spytał cierpliwie, odwracając się do mnie twarzą. - Messerschmitty. Robiłeś je?
 - Robiłem.
 - Hurricane'y?
 - Też.
 - A lancastery? Lysandery? Moskity?
 - Lysandera chyba kiedyś kleiłem.
 - Hmm... A odrzutowce?
 Uległem i dałem się wciągnąć w nieprawdopodobny temat.
 - Nie. Odrzutowców nie lubiłem.
 - Ja też nie. Co ty na to? Obaj nie lubiliśmy odrzutowców. Ani czółgów, ani ciężarówek, ani okrętów.
 - Ani śmigłowców. Były potwornie trudne, a szkoda, bo pięknie wyglądały.
 - Racja.
 - Wszystko przez te wirniki.
 - Tak jest, przez te cholerne wirniki. Zawsze odpadały, zanim klej chwycił.
 Zamilkłem. Delikatne łaskotanie powiedziało mi, że na brzuchu mam mrówkę. Po chwili znalazłem ją w gęstwinie włosów

odchodzących od pępka. Pośliniłem palec i od razu do niego przywarła.

- Fakt, prawie zawsze - odrzekłem, zdmuchując mrówkę na ziemię.

Złośliwie błysnął oczami.

- A więc nie byłeś w tym dobry.

- W sklejananiu modeli? Tego nie powiedziałem.

- No to jak? Byłeś czy nie?

Zawahałem się.

- Byłem chyba niezły.

- I nic ci się przy nich nie paskudziło? Nie dawałeś za dużo kleju? Starannie dopasowywałeś części? Nie robiły ci się te ohydne szczeliny na styku skrzydeł z kadłubem albo między połówkami podwozia? Tylko szczerze.

- No... tak. Cały czas.

- U mnie też. Dostawałem szau. Zaczynałem model z najlepszymi intencjami, dawałem z siebie wszystko, żeby wyglądał idealnie, ale rzadko coś z tego wychodziło. - Zachichotał. - A kiedy już skończyłem, zawsze miałem ten sam problem.

- No?

- Co zrobić z zepsutym modelem. Znałem faceta, który kleił wszystkie idealnie, a potem wieszał je pod sufitem na nitkach. Ja swoich nie wieszałem. Z tymi obrzydliwymi odciskami paluchów na kadłubie i skrzydłach? Tylko bym się wstydu najadł.

- Dobrze to znam.

- Tak myślałem.

Zadowolony z siebie, położył się na trawie z rękami pod głową. Przeleciał nad nim motyl. Wielki, z długimi pasami i jasnoblękitnym okiem na skrzydłach przypominających maleńkie pawie pióra. Podniósł palec z nadzieją, że motyl na nim wyląduje, lecz owad go zignorował i pofrunął w dół z boczka do strefy zdemilitaryzowanej.

- W takim razie powiedz mi - rzucił leniwie pan Kaczor - co robiłeś z zepsutymi modelami.

Parsknąłem śmiechem.

- Miałem z nimi ekstrazabawę.

- Tak? Nie doprowadzały cię do szału?

- Jasne, że tak. Najpierw kopałem krzesła i kłamię, ale potem

szedłem do sklepu po benzynę do zapalniczek, oblewałem je i zrzucałem z okna. Robiłem też dziury w kadłubie i wtykałem w nie fajerwerki, żeby ładnie wybuchaly.

- Dobra zabawa.
- Świetna.
- Palenie zepsutych modeli...
- Ty też to robiłeś?
- Mniej więcej. - Pan Kaczor zamknął oczy w gorącym słońcu. - Dobrze też paliłem.

* * *

Minęło chyba południe, zanim sprawdziłem, co z Zephem i Sammym. Przez naszą rozmowę zapomniałem o swoich obowiązkach i pewnie o to Daffy'emu chodziło. Dwie godziny drzemałem i opalałem się, wspominając topiące się kadłuby plastikowych fockewolfów i swoje poparzone ręce. Byłbym zupełnie zapomniał o naszych gościach, gdyby nie pan Kaczor i jego wyczucie chwili.

- Sal się nie ucieszy - mruknął. Usiadłem.
- Co?
- Mówię, że Sal się z tego nie ucieszy. Ba! Ostro się wkurzy. Tak śmiesznie zmarszczy brwi, a potem... Zauważyłeś, jak śmiesznie marszczy brwi?
- Nie. Ale z czego się nie ucieszy?
- Nie? Nie do wiary. Dla mnie zawsze była piękna, kiedy się wnerwiała. Czy jej jaśniały i... Myślisz, że ona jest piękna?
- No...
- Ja myślę, że tak.
- Patrzyłem na niego kilka sekund i wybuchnąłem śmiechem.
- Proszę, proszę! Czuleś do niej miętę, co?
- Miętę? - Zrobił się czerwony jak burak. - Tak bym tego nie ujął. Byliśmy sobie bardzo bliscy, to wszystko.
- Dała ci kosza, tak?
- Już ci mówiłem, byliśmy sobie bardzo bliscy.
- Roześmiałem się jeszcze głośniejsze.
- I do niczego nie doszło?
- Poirytowany, przeszył mnie wzrokiem.
- Do niczego fizycznego. Ale w niektórych związkach, bardzo

bliskich związkach, nie jest to konieczne. Więź duchowa wystarczy aż nadto.

- Nieodwzajemniona miłość! - jęknąłem, ocierając łzy. - Teraz już rozumiem, dlaczego tak długo wytrzymałeś z Bugsem.

- Ty jesteś lepszym ekspertem od nieodwzajemnionych miłości.

- Że co proszę?

- Françoise. Mówi ci to coś?

Przestałem się śmiać.

- Gdzieś dzwoni, co? Bim-bam! Ładnie zadzwoniłem?

- Daj se siana, Daffy. To zupełnie co innego. Po pierwsze, ja się jej podobam. Po drugie, Bugs to ostatni kutas, a Etienne fajny chłopak. I tylko dlatego nic się między nami nie dzieje. Nie chcemy zranić Etienne'a.

- Hmm...

Łypnąłem na niego spode łba.

- Wszystko jedno. Możemy wrócić do rzeczy?

- Do jakiej rzeczy?

- Powiedziałaś, że Sal się wkurzy.

- Sal? Ach, tak... - Rzucił mi lornetkę. - Przez tę tratwę.

- Przez tratwę? - Błyskawicznie podpełzłem na skraj skały, przytknąłem lornetkę do oczu i szybko zlustrowałem plażę na sąsiedniej wyspie. Była pusta. - Nic nie widzę. O czym ty gadasz?

- Gdzie patrzysz? - rzucił sennie.

- Na plażę!

- Znajdź tę rozdwojoną palmę.

- Mam.

- Dobra. Teraz spójrz na godzinę szóstą. Na szóstą albo siódmą.

Przesunąłem lornetkę w dół. Piasek został na górze i zobaczyłem błękitną wodę.

- Masz?

- Co mam mieć? Nic nie... - Głośno przełknąłem ślinę. - O kurwa...

- Imponująca, co? Długo to trwało, ale wykorzystali ten czas jak należy. - On westchnął, ja sapałem jak lokomotywa. - Powiedz, Rich, ale szczerze. Jak uważasz, czy Sal jeszcze o mnie myśli?

Świetnie, dziękuję

Odkrycie, że Zeph i Sammy są już w drodze, zaniepokoiło mnie o wiele bardziej, niż się spodziewałem, i podekscytowało o wiele mniej, niż oczekiwałem. Byłem tym skonsternowany i kiedy dotarłem do obozowiska, wciąż próbowałem zrozumieć, dlaczego reaguję tak, a nie inaczej. W obozowisku ogarnęła mnie jeszcze większa konsternacja.

Na polanie nie dostrzegłem nic, co wskazywałoby, że rano pochowaliśmy Stena. Miast pogrzebowej panowała tam wprost niedzielna atmosfera. Przed barakiem kilku kolonistów kopało piłkę, Jesse i Cassie gwizdali, wywieszając pranie, Unhygienix grał w gameboya, a Keaty spoglądał mu przez ramię. Najbardziej zdziwił mnie widok Françoise. Siedziała z Étienne'em i Gregoriem w miejscu, które jeszcze poprzedniego dnia zajmowała frakcja Bugsa. Myślałem, że do zachodu słońca będzie pilnowała Karla, gdyż robiła to codziennie od ataku rekina. Szybko się rozejrzałem: nikogo nie brakowało, tak więc Karl musiał zostać sam.

Pocieszało mnie jedynie to, że niezależnie od stanu mojego umysłu byłem zdrowy psychicznie na tyle, by uznać, że jest to zachowanie nienormalne. Żeby się co do tego ostatecznie upewnić, mijając Cassie, spytałem ją, jak się czuje. Dlaczego akurat Cassie? Po trosze dlatego, że musiałem koło niej przejść, a po trosze dlatego, że torturowała mnie tym pytaniem od dnia, gdy koloniści zatruli się zdechlą ośmiornicą.

- Bo ja wiem? - Wciąż wywieszała pranie. - Bywało gorzej.
 - Nie jesteś smutna?
 - W związku ze Stenem? Oczywiście, że tak. Ale myślę, że pogrzeb nam pomógł. Patrząc na to perspektywicznie, przeszłość narazie jest już tylko przeszłością, nie uważasz?
 - Jasne.
 - Tak trudno było odnaleźć w sobie otuchę, kiedy leżał za barakiem... - Roześmiała się zaskoczona. - Co ja gadam, to straszne.
 - Ale prawdziwie.
 - Tak. Pogrzeb przyniósł nam ulgę. Bardzo jej potrzebowaliśmy. Popatrz. Wszyscy są tacy odprężeni... Szorty, Jesse.
- Podał jej szorty.

- Przemowa Sal też nam bardzo pomogła. Gdyby nie ona, nigdy byśmy się nie zjednoczyli. Dużo o jej wystąpieniu rozmawialiśmy. Naszym zdaniem było znakomite, prawda, Jesse?

Twarz Jessego ginęła za stertą mokrych podkoszulków, które trzymał w ramionach, ale widziałem, że skinął głową.

- Tak - mówiła Cassie, kontynuując swój mętny, acz wesoły monolog. - Ona jest w tym dobra. Ma charyzmę, i w ogóle... A ty, Richard? Jak ty się czujesz?

- Świetnie.

- Hmm... - rzuciła z roztargnieniem w głosie. - Oczywiście. Ty zawsze czujesz się świetnie, prawda?

* * *

Pożegnałem się z nimi kilka minut później. W sumie rozmawialiśmy o niczym, ale to nie rozmowa o niczym była kolejnym powodem mojego dziwnego samopoczucia. Zdenerwowałem Cassie tylko raz, pytając ją o Karla i Christa. Upuściła mokry podkoszulek - ot, zwykła błahostka, po prostu wyślizgnął jej się z rąk, nie było w tym nic dramatycznego. Ale jej odpowiedź trudno nazwać błahą.

- Chuj z nimi! - warknęła, co było niezwykle samo w sobie, gdyż Cassie rzadko kiedy przeklinała. Z gniewnie pociemniałą twarzą podniosła podkoszulek, łypnęła na grudkę piasku, która przywarła do wilgotnego materiału, i cisnęła podkoszulek na ziemię. - Chuj z nimi! - Nid śliny łącząca jej wargi pękła pod wpływem siły, z jaką wypowiedziała te słowa. Górna część nici wystrzeliła do góry i przywarła Cassie do policzka.

Nie powtórzyłem pytania, bo i po co?

Gorączka

Idąc przez polanę, zastanawiałem się chwilę, komu powiedzieć najpierw: Jedowi czy Sal. Regulaminowo powinienem zacząć od Sal, ale ponieważ nie mieliśmy tam żadnych regulaminów, poszedłem za głosem instynktu i najpierw powiedziałem Jedowi.

Poczułem smród, gdy tylko wpełzłem do lazaretu. Odór był gorzkosłodki. Gorzki od wymiocin, słodki od czegoś, czego nie potrafiłem bliżej określić.

- Można do tego przywyknąć - powiedział szybko Jed.

Nawet się nie odwrócił, więc nie widział, że się skrzywiłem. Pewnie usłyszał, że nagle wstrzymałem oddech. - Za dwie minuty nie będziesz nic czuł. Nie odchodź.

Podciągnąłem podkoszulek, żeby zasłonić sobie usta i nos.

- Nie zamierzałem.

- Przez calutki dzień nikt tu nie zajrzał. Dasz wiarę? Nikt, absolutnie nikt. - Odwrócił się i zmarszczyłem czoło, zaniepokojony widokiem jego twarzy. Prawie nie wychodził z lazaretu i dużo go to kosztowało. Choć wciąż był mocno opalony - żeby zblednąć, musiałby tam siedzieć dłużej niż pięć dni - lekko poszarzał, jakby jego krew straciła kolor. - Słyszę ich od drugiej - wymamrotał. - Wrócili o drugiej. Nawet cieśle. Grają w piłkę.

- Tak, widziałem.

- W piłkę! Żaden z nich nie pomyślał, żeby odwiedzić Christa!

- Po przemówieniu Sal próbują...

- Przedtem też nie przychodzili. Ale gdyby leżała tu Sal albo ktoś inny... Nie licząc mnie. - Zawahał się, spojrzał na Christa i wybuchnął śmiechem. - Nie wiem, może popadam w paranoję. Ale to... to niesamowite. Słyszę, jak grają, zastanawiam się, kiedy tu zajrzą, a oni...

Kiwnąłem głową, choć słuchałem go tylko jednym uchem. Izolacja w lazarecie zaczynała go dobijać i wyraźnie chciał o tym porozmawiać, tymczasem ja musiałem powiedzieć mu o tratwie. Wiedziałem, że Sammy i Zeph dotrą na wyspę dopiero wieczorem - tak wynikało z ostrożnych wyliczeń, które przeprowadziłem z panem Kaczorem, dzieląc na pół czas, w jakim pokonałiśmy tę odległość, płynąc. Oznaczało to, że w głąb wyspy wyruszą najwcześniej naza-jutrz rano i że do plaży mogą dotrzeć po południu.

Naszą uwagę zaprzętną Quisto. Drgnął, otworzył oczy, błędnym wzrokiem spojrzał na sufit i z jego ust wypłynęła strużka czarnej brei. Pierś mu się uniosła i chyba znowu stracił przytomność.

Jed otarł mu wargi prześcieradłem.

- Układam go na boku, ale ciągle przewraca się na plecy. Ciągle. Nie wiem, co robić.

- Długo to potrwa?

- Góra dwa dni... Może zbiec się z Tet.

- Świetnie. Zrobi nam wspaniały prezent urodzinowy. I pomoże Karlowi...

Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

- Karlowi?

- No, jasne. Moim zdaniem połowa problemu tkwi w tym, że nikt z nas nie zna szwedzkiego. Gdyby Christo z nim pogadał...

Jed pokręcił głową.

- Nie, nie - odrzekł cicho. - Nie rozumiesz, Richard. Jemu się nie polepsza.

- Powiedziałeś, że za dwa dni...

- Za dwa dni Christo umrze.

Oślupiałem.

- On umiera?

- Tak.

- Ale... skąd wiesz?

Wziął mnie za rękę. Zbity z tropu, myślałem, że chce mnie pocieszyć albo coś takiego. Wkurzyło mnie to i się wyszarpnąłem.

- Skąd wiesz?

- Mów ciszej. Sal nie chce, żeby ktoś się dowiedział. Jeszcze nie teraz. - Znowu wziął mnie za rękę. Tym razem mocno ją przytrzymał i naprowadził na brzuch Christa.

- Co ty, kurwa, robisz?! - wykrzyknąłem.

- Ciii... Chcę ci coś pokazać.

Odrzucił prześcieradło. Cały brzuch Christa był czarny, niemal tak czarny jak brzuch Keaty'ego.

- Dotknij.

Wbiłem wzrok w skórę chorego.

- Po co?

- Po prostu dotknij.

- Nie chcę - zaprotestowałem i w tym samym momencie rozluźniłem mięśnie. Przed lazaretem upadła piłka. Odbijała się od ziemi regularnym łup-łup-łup, najpierw głośno, potem coraz ciszej. Brzmiało to jak łopot helikopterowego wirnika. Ktoś krzyknął wesoło, a może gniewnie, ktoś inny zachichotał. Przytłumione płótnem

namiotu rozmowy brzmiały dziwnie i obco.

Jed delikatnie położył moją rękę na brzuchu Christa.

- Co czujesz? - spytał.

- Jest twardy - wymamrotałem. - Jak kamień.

- Wykrwawia się do środka. I to bardzo. Pewności nabrałem dopiero wczoraj wieczorem. A może wiedziałem już wcześniej... Tak, chyba wiedziałem, ale...

- To krwotok wewnętrzny?

- Uhm.

Z respektem skinąłem głową. Nigdy dotąd nie widziałem objawów krwotoku wewnętrznego.

- Wie o tym ktoś jeszcze?

- Tylko ty i Sal. No i pewnie Bugs. Rozmawiałem z nią. Dzisiaj. Powiedziała, że nikt nie może się dowiedzieć. Nie teraz, kiedy wszystko zaczyna wracać do normy. Myślę, że chodzi jej głównie o Étienne'a.

- Bo chciał zabrać Karla na Hat Rin.

- Tak. Sal słusznie się martwi. Zawiózłby go tam na próżno.

- Skąd wiesz?

- Gdybyśmy zabrali go na Ko Pha-Ngan dzień, dwa dni po ataku, może by z tego wyszedł. Ja bym zaryzykował, nawet jeśli oznaczałoby to utratę plaży. Sal chyba też... Ale teraz... Po co?

- Fakt.

Jed westchnął, pogłaskał Christa po ramieniu i zakrył go prześcieradłem.

- To bez sensu.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, obserwując chorego Szweda. Oddychał płytko i nieregularnie. To dziwne, ale teraz, kiedy Jed mnie oświecił, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Christo umiera. Odór, który uderzył mnie, gdy zajrzałem do lazaretu, był odorem nadchodzącej śmierci, a woskowata skóra Jeda wzięła się stąd, że od kilku dni przebywał w jej pobliżu.

Myśl ta wróciła mnie rzeczywistości.

- Zeph i Sammy budowali tratwę - powiedziałem obojętnie. - Dlatego tak często znikali za drzewami. Już tu płyną.

Jed nawet nie mrugnął.

- Jeśli dotrą na plażę - odrzekł - zobaczą umierającego Christa. A wtedy wszystko się rozpadnie. Potem już się nie odezwał.

Tajemnice

Minąłem wejście do baraku, gdzie siedziała Sal pogrążona w rozmowie z Bugsem i Jeanem, i ruszyłem w kierunku ścieżki prowadzącej na plażę. Za pierwszym zakrętem przystanąłem, oparłem się o statecznik raketowca i zapaliłem. Nadeszła mniej więcej w połowie papierosa.

- Coś się dzieje - rzuciła bez wstępów. - Mów.

Uniosłem brwi.

- Skąd wiem? A jak myślisz? Widziałam, jak szedłeś, widziałam twoje oczy. Mów, Richard. Powiedz, co się stało.

Już otwierałem usta, ale znowu mnie uprzedziła.

- Płyną tu, tak?

- Tak.

- Niech to szlag! - Kilka sekund patrzyła w dal, potem przeszła na tryb pełnej koncentracji wzrokowej. - Przybliżony czas przybycia?

- Jutro po południu. Jeśli nie odstraszą ich Tajowie.

- Albo wodospad.

- Albo wodospad.

- Nie do wiary - mruknęła. - Nie mogli wybrać lepszego momentu. Nie do wiary...

- Okazuje się, że budowali tratwę.

- Budowali tratwę. No, jasne. Musieli coś robić. - Przytknęła rękę do czoła. - Christo. Rozumiem, że już o nim wiesz.

Myślałem chwilę i kiwnąłem głową. Nie chciałem wpędzać Jeda w kłopoty, ale kiedy Sal wpadała w taki nastrój, niebezpiecznie było kłamać.

- Masz coś przeciwko temu? - spytałem nerwowo.

- Nie. Tajemnica pozostaje tajemnicą tylko wtedy, gdy zdradzisz ją co najmniej jednej osobie. Zbyt wielki stres, nie da się wytrzymać. Dlatego wiedziałam, że Jed komuś o tym powie, i byłam niemal całkowicie pewna, że tym kimś będziesz ty. - Wzruszyła

ramionami. - Macie swoje własne sekrety, więc pomyślałam, że tym sposobem żaden się nie wyda.

- Aha.

- Tak. Sprytne, prawda? Chyba że... Czekalem.

- Chyba że osobą, której powiedziałeś o naszych gościach, nie był Jed. Ostatecznie Jed już o tym wiedział, dla niego to żadna tajemnica...

- I żadna ulga dla mnie.

- Właśnie - odrzekła obojętnie, choć cały czas uważnie mnie obserwowwała. - Powiedziałeś o tym komuś oprócz Jeda? Może Keaty'emu? Albo Françoise? Mam nadzieję, że nie Françoise, Richard. Bardzo bym się zdenerwowała.

Pokręciłem głową.

- Nie powiedziałem o tym żywej duszy - odparłem stanowczo, wykluczając tym samym pana Kaczora.

- To dobrze. - Usatysfakcjonowana, odwróciła wzrok. - Szczerze mówiąc, bałam się, że jej powiesz. Wypaplałaby wszystko Etienne'owi... A o Christo? O nim też jej nie powiedziałeś?

- Wiem o tym dopiero od dwudziestu minut.

- Jeśli Etienne się dowie...

- Spokojnie. Nikomu nie powiem.

- Świetnie. - Znowu popatrzyła w dal. - Dobrze, Richard. Wygląda na to, że mamy mały problem z tymi tratwiarzami. A więc uważasz, że mogą dotrzeć tu dopiero jutro po południu, tak?

- Tak.

- Na pewno?

- Na pewno.

- W takim razie prześpię się z tym. Muszę to sobie przemyśleć. Rano przekażę ci swoją decyzję.

- Dobra.

Stałem tam, nie wiedząc, czy już mnie odprawiła, czy jeszcze nie. Ponieważ długą chwilę później wciąż patrzyła w dal, zostawiłem ją samą.

Garb

Uznałem, że ja też powinienem to przeanalizować, więc zamiast wrócić do obozowiska ruszyłem na plażę. W głowie kłębiło mi się mnóstwo skomplikowanych myśli na temat wydarzeń dnia i chciałem je uporządkować.

Doszedłem do wniosku, że Sal i Jed coś przeoczyli. Otóż niezależnie od tego, czy tratwiarze dotrą na plażę, czy nie, należało odpowiedzieć sobie na pytanie, co zrobić z Karlem.

Ujmę to inaczej. Sal i Jed byli zwolennikami najczarniejszego scenariusza wydarzeń. Myśleli wyłącznie o tym, co się stanie, jeśli tratwiarze znajdą plażę. Załóżmy, że ją znajdą i wkroczą na polanę w trakcie obchodów święta Tet. Wszyscy popadliby w amok, wszyscy krzyczeliby, że nasza tajemna plaża przestała być tajemną plażą, i gdybym nie zdążył uprzedzić Zepha i Sammy'ego, ja też miałbym poważne kłopoty. Morale, które po przemówieniu Sal wyraźnie wzrosło, upadłoby jeszcze niżej niż przedtem, a może w ogóle przestałoby istnieć. Mało tego, bo jak wyjaśnilibyśmy przybyszom, że mamy w obozowisku obłąkanego Karla i umierającego Christa? Doszłoby do prawdziwej katastrofy.

Ale ja założyłem, że tratwiarze do nas nie dotrą. Gdzieś w zakamarkach umysłu tliło się przekonanie, że jedynym powodem, dla którego tak bardzo wyczekiwałem przybycia Sammy'ego i Zepha, było wyzwanie, pragnienie, żeby ich powstrzymać. I wyraźnie czułem, że wyzwaniu temu sprostamy. Sęk w tym, że musieliśmy mu sprostać. Konsekwencje porażki były zbyt poważne. Nie wiedziałem, jak to zrobimy, lecz instynkt mówił mi, że skoro pałeczkę przejęła Sal, na pewno wygramy.

Dlatego rozważyć należało nie scenariusz najczarniejszy, tylko pośredni.

Tratwiarze nie docierają do plaży. Koloniści nie wiedzą nawet, że próbowali. Obchody święta Tet dodają nam sił i zapewniają dobry start w nowy rok, a ze śmiercią Christa radzimy sobie tak samo jak z odejściem Stena. Dobrze, ale co z Karlem? Karl nie umierał. Mógł siedzieć w swojej jamie w nieskończoność i, niczym kula u nogi, ciągle przypominać nam o minionych kłopotach.

Bardzo mnie to martwiło.

* * *

Nachyliłem się, by spojrzeć przez palmowe liście na jego żółtawą twarz. Był straszliwie wychudzony. Chociaż ostatnio zaczął trochę jeść, w ciągu tygodnia zmienił się nie do poznania. Obojczyk sterczał mu z ciała niczym uchwyt walizki i jakby tylko czekał, żeby zań chwycić. Karl musiał być tak lekki, że gdybym spróbował, z łatwością bym go podniósł.

Tuż przy szczelinie, przez którą patrzył na jaskinie po drugiej stronie laguny, leżała skorupa orzecha kokosowego do połowy wypełniona wodą i resztką ryżu na liściu bananowca. Ryż zdążył już zbrązowieć. Domyśliłem się, że Françoise przyniosła go poprzedniego dnia, co z kolei oznaczało, że dzisiaj jeszcze go nie odwiedziła. Zastanawiałem się, czy nie jest to przypadkiem jakaś nowa terapia, czy nie ignorują go celowo, żeby zaczął wykazywać chęć powrotu do normalnego życia, lecz bardzo w to wątpiłem. O wiele prawdopodobniejsze było inne wytłumaczenie: w obozowisku zapanowało nowe szaleństwo i ogarnięta nim Françoise po prostu o Karlu zapomniała. Przypomniała mi się rozmowa, jaką odbyliśmy poprzedniego dnia. Bardzo się wtedy o niego martwiła. To ciekawe, że po grzeb Stena tak szybko wyrzucił wszystko do góry nogami.

- Karl?

Może mnie usłyszał, a może to tylko lekka bryza, która poruszyła palmowymi liśćmi, i słońce, które wpadło pod daszek, rzucając na jego głowę wąskie cienie, ale zdawało mi się, że drgnął. Uznałem, że mnie słyszy.

- Karl, ty cholerna zawalidrogo.

Nie rozumiał mnie, ale się tym nie przejmowałem. Tak było chyba lepiej.

- Ty garbie pieprzony.

Tym razem drgnął. Na sto procent. Niezdarnie pochylił się do przodu, jakby zeszywniał od długiego siedzenia w bezruchu, i sięgnął po skorupę z wodą.

- Hej - powiedziałem. - Pijesz. To dobrze. - Poglądziłem się po brzuchu. - Mmmm...

Upił maleńki łyk - właściwie to tylko zamoczył usta - i położył skorupę na miejsce. Zajrzałem do niej. Na dnie zostało trochę wody.

- Nie dopijesz? - Znowu pogładziłem się po brzuchu. - Mmm... Jest pyszna. Nie chcesz więcej?

Nie zareagował. Patrzyłem na niego chwilę, potem pokręciłem głową.

- Nie, chyba nie. I o to mi właśnie chodzi. Będziesz tu siedział całymi dniami. Schudniesz i osłabniesz do tego stopnia, że nie zdołasz napić się wody, nawet jeśli zechcesz. Potem będziemy musieli karmić cię na siłę i cała ta sprawa z rekinem nie da nam spokoju przez wiele tygodni... Może nawet dłużej!

Westchnąłem i po namyśle zburzyłem jego daszek.

- Lepiej wracaj do zdrowia, Karl. I to szybko, bo Christo wkrótce umrze.

Ciii...

Moje obawy się potwierdziły: gdy wróciłem na polanę, garb już tam rozrabiał. Moi przyjaciele siedzieli kręgiem na ziemi, a Etienne i Keaty znowu kłócili się o to samo.

- W czym problem? - mówił Keaty, grając w gameboya. - Przecież pije. To chyba dobrze, no nie?

- Dobrze? - szydził Etienne. - Co w tym dobrego? Nic! On jest w strasznym stanie, w ogóle nie powinien tu być. To dla mnie oczywiste i nie mogę uwierzyć, że nikt tego nie dostrzega.

- Etienne, daj se, kurwa, siana, co? Rozmawialiśmy o tym sto razy... Ups! - Zamilkł skoncentrowany, zmarszczył brwi, potem oklapł i rzucił gameboya na kolana. - Sto pięćdziesiąt trzy linijki. Tak dobrze mi żarło. Musiałeś mnie zagadywać?

Etienne splunął na ziemię.

- Bardzo przepraszam. Jak mogłem zepsuć ci grę z powodu przyjaciela w potrzebie?

- On nie jest moim przyjacielem. Prawie z sobą nie rozmawialiśmy.

- Czy to znaczy, że nie obchodzą cię jego problemy?

- Jasne, że obchodzą. Ale bardziej obchodzi mnie plaża. Ciebie też powinna. Dobra. Tym razem chcę pobić rekord, więc przestań wreszcie pieprzyć.

Etienne wstał.

- Co by cię od tego oderwało, Keaty? Proszę, powiedz mi. Będę się modlił, żeby nigdy tego nie ujrzeć.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Siadaj, Etienne - wtrąciłem, żeby rozładować atmosferę. - Pamiętasz, co Sal mówiła po pogrzebie? Musimy pokonać wszystkie trudności, które nas dotąd trapiły.

- Trudności - powtórzył chłodno.

- Wszyscy wkładają w to dużo wysiłku.

- Naprawdę? Twierdzisz, że wkładają w to dużo wysiłku? Dziwne.

- O co ci chodzi?

- O to, że cię nie poznaję, Richard. Tak, rozpoznaję twoją twarz, kiedy do mnie podchodzisz, ale kiedy jesteś blisko, nic nie widzę w twoich oczach.

Nic nie widzę w twoich oczach - pewnie przetłumaczył to z francuskiego.

- Daj spokój. To głupie. Pamiętasz, jak Sal...

- Sal może sobie naskoczyć. - Wstał i pomaszerował w kierunku ścieżki do wodospadu.

- Wątpię, czy nawet ona by sobie z tym poradziła - wymamrotał w zadumie Keaty, nie odrywając oczu od game-boya.

Kilka minut później Françoise też nas opuściła. Robiła wrażenie rozdrażnionej, więc chyba nie podzielała zdania Etienne'a.

* * *

Kiedy Keaty pobił swój rekord, miałem w końcu okazję, żeby spytać go, co myśli o Wyprawie po Ryż z Bugsem. Odrzekł, że podchodzi do tego bardzo spokojnie. Początkowo był wstrząśnięty, ale skoro miało to przynieść pożytek kolonii, uznał, że trzeba do tej myśli przywyknąć. Pojednawczy gest pojednawczym gestem, ale zamierzał też kupić coś dobrego na święto Tet.

Chciałem, żeby opowiedział mi coś więcej o planowanych obchodach, ale ponieważ zgodnie z rozkazami Sal mieli obrócić w jeden dzień, musiał wcześniej pójść spać. Siedziałem sam jakieś

dwadzieścia minut, paląc skręta na dobranoc, wreszcie też postanowiłem się zdrzemnąć. Zeph i Sammy byli już na wyspie - nie tylko Keaty'ego czekał ciężki dzień.

Po drodze zajrzałem do lazaretu, myśląc, że Jed doceni moje zainteresowanie, ale natychmiast tego pożałowałem.

Jed spał. W przeciwieństwie do Christa, który nawet mnie rozpoznał.

- Richard - wyszeptał. Potem wymamrotał coś po szwedzku i zagulgotało mu w gardle.

Wahałem się chwilę, nie wiedząc, czy powinienem z nim rozmawiać.

- Richard?

- Tak - szepnąłem. - Jak się czujesz?

- Bardzo źle. Czuję się bardzo źle.

- Wiem, ale wydobrzejesz.

- Gwiazdy...

- Widzisz gwiazdy?

- Fos... fos...

- Fosforescencja, świetliste żyjątko. Widzisz je?

- Czuję się bardzo źle.

- Spij. Potrzebujesz snu.

- Sten...

- Zobaczycie się rano.

- Mój brzuch...

- Zamknij oczy.

- Boli...

- Wiem. Zamknij oczy.

- Bardzo źle.

- Ciii...

Jed poruszył się przez sen i Christo leciutko odwrócił głowę.

- Karl?

- Jest tu, obok ciebie. Leż spokojnie, bo go obudzisz.

W końcu zamknął oczy.

- Spij dobrze. - Powiedziałem to za cicho i chyba mnie nie usłyszał.

Wychodząc, zostawiłem namiot otwarty. Nie chciałem, żeby Jed nawdychał się martwego powietrza.

PK, PPC

Tak jest!

Bugs i Keaty wyszli z obozowiska o wpół do szóstej. Kwadrans później Sal wydała mi rozkazy.

Lubię być na nogach, gdy wszyscy jeszcze śpią. Odkąd zacząłem pracować z Jedem, prawie zawsze wstawałem wcześniej niż inni, mimo to zwykle dostrzegałem pierwsze oznaki budzącego się dnia: ruch w którymś z namiotów albo samotnego kolonistę idącego przez polanę na Khyber Pass. Ale tego ranka obozowisko było ciche i spokojne jak nigdy. Czuję się przez to jeszcze bardziej podekscytowany. Kiedy staliśmy we troje przed lazaretem, ja Sal i Jed, energia rozpierała mnie do tego stopnia, że cały czas przeskakiwałem z nogi na nogę. Widziałem, że wkurzam tym Sal, ale nie mogłem się powstrzymać. Gdybym się w ten sposób nie rozładował, zacząłbym pewnie wrzeszczeć i biegać w kółko.

Sal i Jed wiedli zażartą dyskusję. Oboje byli zgodni co do tego, że muszę iść do strefy i śledzić przybyszów przez całą wyspę, ale gdy zaczęli uzgadniać, gdzie powinienem ich przechwycić, doszło do sprzeczki. Wierząc, że tratwiarze nie pokonają wszystkich przeszkód, Sal uważała, że dopiero przy wodospadzie, natomiast Jed - że wcześniej, najwcześniej jak to możliwe, choć nie wyjaśnił nam, dlaczego. Osobiście, podzielałem zdanie Sal, ale się nie wtrącałem.

Nie różniła ich także koncepcja sposobu przechwycenia. Kazali mi powiedzieć tratwiarzom, że nie są tu mile widziani i że powinni natychmiast zawrócić. Gdyby nie posłuchali, miałem uniemożliwić im zejście z wodospadu. Wszelkimi środkami, jak ujęła to Sal. W razie konieczności miałem zostać z nimi całą noc, nie zjawiając się na obchodach święta Tet. Moją nieobecność można by było wytłumaczyć później.

Najważniejsze, żeby przybysze nie dotarli do obozowiska przed śmiercią Christa. Decyzja, czy wpuścić ich na plażę, czy nie, zapadnie, gdy Szwed umrze - tak mi oznajmiono.

Po tym, jak Sal mówiła, poznałem, że ma w zanadrzu plan awaryjny. Wiedziałem, jaka jest - z pewnością nie należała do zwolenniczek powiedzenia: „Poczekamy, zobaczymy”. Zwłaszcza gdy chodziło o coś tak ważnego. Nie bardzo rozumiałem jedno: po co mieliśmy skłaniać tratwarzy do powrotu? Gdybym już musiał ich przechwycić, byłoby to równie problematyczne jak wypuszczenie ich na plażę. Dawałem głowę, że wróciwszy na Ko Pha-Ngan, natychmiast by wszystko wygadali i tajemnica przestałaby być tajemnicą.

Gdybym rozmawiał z kimś innym, pewnie bym mu to wytknął, lecz uznałem, że z Sal nie warto zwracać tym sobie głowy. Wiedziałem, że skoro ja o tym pomyślałem, ona pomyślała o tym przede mną. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek pytała mnie o zdanie, chyba że swymi pytaniami chciała naprowadzić mnie na jakiś pomysł, niby mój i niby spontaniczny. Właściwie to nie pytała o zdanie nikogo. Nawet Bugsa.

Nie muszę dodawać, że z dyskusji na temat miejsca przechwycenia zwycięsko wyszła Sal. Cóż za niespodzianka! Naprawdę nie wiem, po cholere! Jed się z nią spierał.

* * *

Pan Kaczor czekał na mnie na przełęczy. Był w polowym mundurze, na ramieniu dźwiگاł M16, a twarz miał pomalowaną w czarno-zielone pasy.

- Po co ci giwera? - spytałem.
- A widziałeś kiedyś żołnierza bez giwery? - odparł beznamiętnie.
- Sprawna?
- Mnie jeszcze nie zawiodła.
- Znaczą, że sprawna. - Minąłem go i spojrzałem na strefę. - No i jak się czujesz? Zdenerwowany?
- Nie. Jestem gotowy.
- Do zwiadu? Uśmiechnął się lekko.
- Tak w ogóle.

- Tak w ogóle - mruknąłem. - Jego krzywy uśmiech zawsze budził we mnie podejrzenia. - Daffy, jeśli dzieje się tu coś, o czym nie wiem, lepiej mi o tym powiedz.

- Uhm.
- Uhm co?
- Uhm ruszajmy.
- Mówię poważnie. Nie wygłupiaj się. Nie dzisiaj.
- Czas ucieka, Rich. Mamy spotkanie. Zawahałem się i skinąłem głową.

- Dobra. Jeśli jesteś gotowy...
- Gotowy.
- No, to chodźmy.
- Tak jest!

Ich wielki błąd

Wyruszając tak wczesnym rankiem, miałem nadzieję zastać Sama i Zepha przy tratwie. Gdyby weszli już do dżungli, znaleźć ich byłoby znacznie trudniej. Przypuszczałem też, że wylądowali na tej samej plaży co my, Etienne, Françoise i ja. Byłem tego niemal pewny, ale nigdy nie wiadomo. Mogli opłynąć wyspę, nie zdając sobie sprawy, że minęli jedyny odcinek dostępnego wybrzeża. Tak czy inaczej, im więcej miałem czasu, tym lepiej.

Przynajmniej strażnicy nie stwarzali żadnego problemu, to już coś. Zawsze byli niemrawi, a o siódmej rano na pewno wciąż odsypiali kaca po trawce. W sumie moim największym problemem był nie kto inny jak sam pan Kaczor. Wyraźnie stracił formę, dyszał niczym stary górnik z pylicą płuc, często odpoczywał, opierając się o drzewo. Wmawiałem sobie, że jako duch nie może być słyszalny, niemniej ilekroć rzucał mięsem, serce skakało mi do gardła. Odwracałem się wtedy, piorunowałem go wzrokiem, a on pojednawczo unosił ręce.

- Przepraszam - burczał, przeklinając ostre jak brzytwa liście. - Wojaczka w dżungli mnie dobija. Myślałem, że jestem w tym lepszy.

Kilka minut później potknął się i upadł na swoją giwerę. Giwera wypaliła w krzaki. Ten idiota ją odbezpieczył i cały czas szedł z palcem na spuście. Po tym incydencie uznaliśmy, że broń przysparza

nam więcej kłopotu niż pożytku - zwłaszcza że nie można z niej było nikogo zastrzelić - i postanowiliśmy ukryć ją w leśnym poszyciu.

Mniej więcej trzydzieści metrów od linii drzew rosnących wzdłuż plaży kazałem mu zostać i czekać. Chociaż wiedziałem, że nikt nie mógł go widzieć ani słyszeć, jego obecność mnie dekoncentrowała. Miałem podejść jak najbliżej tratwarzy i nie chciałem, żeby mnie zdekonspirował.

Był urażony, lecz - co do niego niepodobne - przyjął to bardzo dzielnie.

- Rozumiem, Richie - odrzekł potulnie. – Nienawidzisz mnie.

Westchnąłem.

- Nie bredź. Ale jak już mówiłem, sprawa jest poważna.

- Jasne, jasne. Idź. Zresztą... - Zmrużył oczy i uciekł wzrokiem w bok. - Wiem z doświadczenia, że tego rodzaju zadania najlepiej wykonywać w pojedynkę.

- Właśnie.

Kiedy odchodziłem, siedział pod palmą i czyścił bagnetem pa-znokcie.

* * *

Wczesna pobudka się opłaciła. Tratwarze wciąż byli na plaży.

Chociaż obserwowałem ich od wielu tygodni, doznałem szoku, widząc tych ludzi z tak małej odległości. Okazało się, że miałem rację: to byli Zeph i Sammy. Nasze przypuszczenia się potwierdziły, a winę za ich najazd ponosiłem tylko ja. To ciekawe, bo chociaż tak długo oczekiwałem ich przybycia, teraz, gdy wreszcie tu dotarli, ogarnął mnie chłodny spokój. Spodziewałem się czegoś bardziej dramatycznego niż widoku sponiewieranych flisaków siedzących wokół tratwy. Czegoś bardziej złowieszczego, zwłaszcza że jako obcy zagrażali i obozowisku, i mnie. Wciąż nie wiedziałem, jak wytłumaczyć się Sal z tej nieszczęsnej mapy. Nie miałem odwagi sprzeciwić się jej rozkazom, dlatego musiałem wierzyć, że powstrzyma ich nasz tor przeszkód: Tajowie i wodospad. Gdyby go pokonali, pozostawiała mi tylko nadzieja, że zdołam z nimi pogadać i wyjaśnić sytuację.

Leżałem płasko pod paprociami jakieś dwadzieścia metrów od brzegu i widziałem stamtąd jedynie czworo z nich: dwoje Niemców, chłopaka i dziewczynę, Sammy'ego i Zepha. Piątego zasłaniała trawka. Z niejaką satysfakcją stwierdziłem, że dziewczyna jest ładna, ale nie tak ładna jak Françoise. Françoise nie miała sobie równych i nie chciałem, żeby jakaś obca strąciła ją z piedestału. Niemka byłaby znacznie ładniejsza, gdyby nie jej maleńki, zadarty nos, który sprawiał, że wyglądała jak opalona trupia główka. Natomiast Niemiec... Niemiec to zupełnie inna para kaloszy. Choć wyraźnie wyczerpany - z trudem zdjął z tratwy swój jasnoróżowy plecak - był tej samej postury co Bugs i bardzo go przypominał. Mogli uchodzić za braci nawet w takich szczegółach jak długie, opadające na oczy włosy, które facet ciągle odgarniał. Od razu go zniechęciłem.

W końcu zza tratwy wyszedł piąty członek załogi: jeszcze jedna dziewczyna. Ku swemu rozdrażnieniu nie mogłem doszukać się w niej żadnych wad. Niska i kształtna, śmiała się cichym, przyjemnym śmiechem, który docierał aż do miejsca, gdzie leżałem. Miała też bardzo długie, brązowe włosy, którymi, z niezgłębionych powodów, w pewnej chwili owinęła szyję niczym szalikiem. Widok był tak surrealistyczny, że się uśmiechnąłem, choć powinienem był gniewnie marszczyć czoło.

* * *

Nie popełnili tego samego błędu co my, to znaczy nie poszli brzegiem w lewo ani w prawo, by poniewczasie stwierdzić, że w głąb wyspy można dotrzeć tylko dżunglą. Trochę mniej to zirykowało, lecz przemyślność tę zrekompensował mi błąd, jaki popełnili wkrótce potem. Błąd bardzo, ale to bardzo poważny.

Właściwie to wiedziałem, że go popełnią, gdyż, po pierwsze, nie ukryli tratwy - wyciągnęli ją tylko na brzeg poza linię przyływu - i po drugie, idąc, głośno rozmawiali. Po niemiecku, co zauważyłem z niechętnym szacunkiem (niechętnym szacunkiem dla Zepha i Sammy'ego oczywiście, gdyż Niemcy znali ten język od urodzenia). Wynikało z tego niezbicie, że nie zdawali sobie sprawy, iż na wyspie trzeba zachować wielką ostrożność. Pan Kaczor, który dołączył do mnie, gdy tratwiarze weszli do dżungli, też to zauważył.

- Nie są zbyt spostrzegawczy - powiedział mniej więcej godzinę później.

Kiwnąłem głową i przytknąłem palec do ust. Nie chciałem rozmawiać, ponieważ tamci byli bardzo blisko. Nie na tyle blisko, byśmy dostrzegli ich przez gęste krzewy, ale słyszeć ich słyszeliśmy.

- Jeśli nie przestaną gadać, zaraz wpadną - kontynuował, nie zważając na mój palec.

Nie odpowiedziałem.

- Może powinienes coś zrobić, co?

- Nie - szepnąłem. - A teraz się zamknij.

To, że tak bardzo się o nich niepokoił, zaskoczyło mnie i zdumiało. Ale tylko trochę. Kiedy znowu otworzył usta, przytknąłem palec do jego warg i wreszcie zrozumiał, o co chodzi.

No i tak. Brak spostrzegawczości był ich największym błędem. Kiedy dotarli na pierwszy taras, żadne z nich nie zorientowało się, że są na plantacji.

Nikomui nie powiemy

Sammy radośnie zakrzyknął, dokładnie jak wtedy, pół roku temu, gdy biegł przez deszcz na Ko Samui.

- Ja pierdołę! - wrzasnął. - Nie wierzę! Nie wierzę! Kurwa mać, w życiu nie widziałem tyle ziela! Czysty obłęd!

Zaczął garściami zrywać liście i ciskać je w powietrze. Pozostali przyłączyli się do niego i też zaczęli zrywać liście, i też ciskali je do góry. Wyglądali jak bankowi rabusie, którzy zgarnąwszy milionowy łup, rozrzucali wokoło banknoty. Zupełnie nad sobą nie panowali. Byli tam jak na patelni, byli skazani. Dochodziła dziesiąta. Strażnicy patrolowali okolicę co najmniej od dwóch godzin i jeśli nie słyszeli hałasu, jakiego tratwarze narobili, przedzierając się przez dzungłę, teraz usłyszeli ich na pewno.

Pokrętnym rządzeniem losu - bynajmniej nie celowo - przycupnąłem z Kaczorem w tych samych krzakach, w których ukryliśmy się z Françoise i Étienne'em. Sytuacja była przez to jeszcze bardziej ekscytująca. Obserwowałem Sammy'ego i Zepha, a widziałem

siebie - oraz to, co mogło się z nami stać, gdyby nie opanowanie Etienne'a - i nagle, w przeblysku wyjątkowo silnej empatii, zidentyfikowałem się z Ebenezerem Scrooge'em. Pamiętam, że gdy brzuch stęzał mi na wspomnienie strachu, jakiego wtedy doznałem, przyszło mi do głowy, że może pan Kaczor jest dobrym duchem z *Opowieści wigilijnej*. Ale jednocześnie ogarnęła mnie euforia. Wyglądało na to, że problem z nieproszonymi gośćmi zaraz przestanie istnieć i że dowiem się wreszcie, co Tajowie robią ze swoimi jeńcami. Ba! Że zobaczą to na własne oczy.

Nie to, że im nie współczułem. Fakt, nie chciałem, żeby Sammy i Zeph przyплыли na wyspę, i wiedziałem, że lepiej by było, gdyby zniknęli, ale nie musieli zniknąć w taki sposób. Idealny scenariusz wyglądał mniej więcej tak: lądują tam, gdzie wylądowali, kilka dni śledzę ich poczynania na wyspie, dochodzą do wodospadu, rezygnują i wracają do domu. Miałbym kupę radochy, obeszłoby się bez płaczu i rozlewu krwi.

A Zeph krwawił jak zarzynane prosię. Gdy nadeszli Tajowie, ruszył im na spotkanie, jakby zobaczył starych znajomych. Nie mogłem tego zrozumieć, ale tak właśnie zrobił. Wciąż nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje, chociaż strażnicy zdjęli giwery z ramion i nawijali po tajsku. Może myślał, że należą do społeczności Edenu, a może, zaszokowany ich widokiem, po prostu nie zaskoczył, nie wyczuł niebezpieczeństwa. Tak czy inaczej, gdy tylko podszedł bliżej, jeden z Tajów grzmotnął go w twarz kolbą automatu. Co mnie nie zdziwiło. Facet robił wrażenie bardzo zdenerwowanego, a zachowanie Zepha zdumiało go tak samo jak mnie.

Potem kilka sekund w milczeniu omiatali wzrokiem plantację, natomiast Zeph cofał się małymi kroczkami, zbierając w dłonie ściekającą z nosa krew. Wydawało się, że Tajowie osłupieli w takim samym stopniu jak przybysze. Obraz wyspy, jaki ukształtowali sobie Zeph, Sammy i Niemcy, w jednej chwili uległ drastycznej zmianie: z Edenu trafili do Hadesu. Natomiast strażnikami wstrząsnęło to, że ktoś może być na tyle głupi, żeby wejść na ich plantację i zacząć ją bezmyślnie niszczyć.

W trakcie tego króciutkiego interludium zauważyłem, że większość Tajów bardziej przypomina zwykłych wieśniaków niż zawodowych najemników, że te wszystkie blizny i szramy nie są pamiątkami

po nożach, tylko po ostrych koralowcach. Przypominali trochę tych z Wietkongu. Jednakże jestem absolutnie przekonany, że spostrzeżenia te miały niewielkie znaczenie dla Zepha i Sammy'ego. Co więcej, strażnicy byli przez to bardziej niebezpieczni niż prawdziwi zawodowcy. Prawdziwy zawodowiec nie wpadłby w panikę i nie zmiażdżyłby nosa Zephowi. Od przeciwnika z rewolwerem groźniejszy jest tylko zdenerwowany przeciwnik z rewolwerem. Jest takie powiedzenie? Jeśli nie, powinno być. Po tej krótkiej przerwie Tajom odbiło. Odczytałem to jako paniczną reakcję na zaistniałą sytuację. Po prostu ruszyli przed siebie, bezlitośnie tłukąc tych, którzy byli teraz nie moimi, lecz ich nieproszonymi gośćmi.

Przypuszczam, że zakatowaliby wszystkich na śmierć już wtedy, lecz w chwili, gdy doszedłem do wniosku, że widok jest zbyt nieprzyjemny, by go oglądać, nadciągnęła druga grupa Tajów - z dowódcą na czele. Nigdy dotąd go nie widziałem. Był starszy od swoich podkomendnych i zamiast przewieszzonego przez ramię automatu miał w kaburze pistolet. Pistolet jest tradycyjną oznaką władzy wśród pospolitych zabijaków. Jedno słowo i przestali się nad nimi pastwić.

Pan Kaczor chwycił mnie za ramię.

- Rich, oni ich zabiją.

Zmarszczyłem czoło.

- Cicho!

- Nie, posłuchaj, nie chcę, żeby ich zabili.

Tym razem uciszyłem go nie jednym palcem, lecz całą ręką. Przywódca strażników zaczął mówić.

* * *

Mówił po angielsku. Bynajmniej nie płynnie. Nie miał startu do komendanta hitlerowskiego obozu jenieckiego, który kocha angielską poezję i powiada do swych więźniów tak: „Bo cóż nas różni, chłopy? Nic”. Mimo to można go było zrozumieć.

- Kim jesteście? - zaczął głośno i wyraźnie.

Pytanie zwodnicze i podstępne. Bo niby co można odpowiedzieć? Przedstawić się? Powiedzieć: „Nikim”? Błagać o życie? Moim zdaniem Sammy poradził sobie bardzo dobrze, zważywszy, że właśnie wybito mu przedni ząb.

- Jesteśmy podróżnikami z Ko Pha-Ngan - wystękał, gwałtownie wciągając powietrze i trochę się śliniąc. - Szukamy kolegów. Popelniliśmy błąd. Nie wiedzieliśmy, że to wasza wyspa.

Przywódca uprzejmie kiwnął głową.

- Bardzo duży błąd - przyznał.

- Proszę, bardzo nam... - wciągnął haust powietrza - ...przykro.

- Jesteście sami? Są tu wasi koledzy?

- Jesteśmy sami. Szukamy przyjaciela. Myśleliśmy, że tu jest, ale wiemy już, że nie, dlatego...

- Dlaczego szukacie go tutaj?

- Dał nam mapę.

Przywódca przekrzywił głowę.

- Jaką mapę?

- Mogę ją pokazać...

- Pokażesz później.

- Proszę, bardzo nam przykro...

- Tak. Wiem, że wam przykro.

- Chcielibyśmy odejść. Odpłyniemy z waszej wyspy i nikomu nic nie powiemy.

- Tak. Nikomu nie powiecie. Wiem.

Sammy spróbował się uśmiechnąć. Jego ocalałe zęby były jaskrawoczerwone.

- A więc możemy iść? Prosimy...

Taj też się uśmiechnął.

- Tak, możecie iść.

- Możemy?

- Tak.

- Dziękuję. - Sammy z trudem podniósł się na kolana. - Dziękujemy panu. Obiecuję, że nikomu nie powiemy...

- Możecie iść z nami.

- Z wami?

- Pójdziecie z nami.

- Nie - zaprotestował Sammy. - Błagam, zaczekajcie, popelniliśmy błąd! Bardzo was przepraszamy! Nikomu nie powiemy!

Jeden z Niemców wstał z rękami do góry.

- Nie będziemy nic mówić! - wybełkotał. - Nie będziemy nic mówić!

Przywódca spojrział na niego obojętnie, po czym zagadał do strażników. Trzech z nich chwyciło Zepha pod pachy i spróbowało go dźwignąć. Zeph zaczął się szarpać. Podszedł do niego trzeci strażnik i grzmotnął go kolbą w brzuch.

- Richard? - Daffy uwolnił się spod mojej ręki. - Posłuchaj. Oni ich zabiją.

Nawet na niego nie spojrziałem.

- Zrób coś!

Gdy i tym razem nie odpowiedziałem, mocno dźgnął mnie palcem w żebra. Na szczęście mój stłumiony krzyk utonął we wrzasku tratwiarzy.

- Kurwa mać! - szepnąłem z niedowierzaniem. - O co ci chodzi?

- Pomóż im!

- Ale jak?

- No... - Podczas gdy on się zastanawiał, strażnicy przygwoździli do ziemi jedną z Niemek. Próbowwała uciec, lecz dopędzili ją już po kilku chwiejnych krokach. - Nie wiem.

- Ja też nie, więc zamknij mordę, bo mnie też zabiją!

- Ale...

Miałem ochotę na niego wrzasnąć, ale chwyciłem go tylko za kłapy, przytknąłem usta do jego ucha i syknąłem:

- Powtarzam ostatni raz: zamknij pysk!

Pan Kaczor zasłonił się rękami, a Tajowie powlekli przerażonych jeńców do dżungli.

Cios poniżej pasa

Krzyki i wycia powoli tonęły w odgłosach lasu. W odgłosach do-brze znanych, których w normalnych okolicznościach nigdy bym nie zarejestrował, a które teraz zdawały się nienaturalne. Co gorsza, krotochwilne. Świergot ptaków brzmiał jak kiepski żart, grał na nerwach i doprowadzał do szału. Wstałem i bez słowa ruszyłem w kierunku przełęczy. Wędrówka była niełatwa. W głowie łupało mi od resztek adrenaliny, nogi miałem miękkie w kolanach i prawie zapominałem o ostrożności. Dwa razy się potknąłem, znacznie więcej

razy wszedłem w gęszcz, nie sprawdzwszy, czy nikogo tam nie ma.

Patrząc wstecz, było oczywiste, że widok katowanych mną wstrząsnął, że chciałem jak najszybciej opuścić okolicę, nad którą wciąż unosił się ich krzyk. Ale wtedy patrzyłem na to inaczej. Myślałem jedynie o tym, żeby wrócić na polanę i zameldować o wszystkim Sal. Byłem też wściekły na pana Kaczora. Od chwili gdy zaczęliśmy śledzić tratwiarzy, wyraźnie padło mu na mózg. Nie dość, że prosił mnie, bym przechwycił ich przed tarasem, to jeszcze bez przerwy gadał, czym naraził mnie na niebezpieczeństwo. Uważałem, że to poważne przestępstwo. Jeśli wsparcie zawodzi, strefa zdemilitaryzowana jest miejscem bardzo groźnym.

Chyba wyczuł mój gniew, ponieważ - co do niego niepodobne - nie próbował nawiązać ze mną rozmowy. Dopóki nie doszliśmy do przełęczy, gdzie zatrzymał mnie silnym pchnięciem ręki.

- Musimy pogadać - mruknął.

- Pierdol się - odparłem i też go pchnąłem. - Mogli mnie przez ciebie zabić!

- A tamtych właśnie zabijają!

- Nie wiadomo. Nie chciałem, żeby ich skatowali tak samo jak ty, więc przestań, kurwa, moralizować. Wiedzieliśmy, że ich złapią. Wiedzieliśmy o tym od chwili, gdy podjęliśmy decyzję, że kontakt nawiążemy dopiero wtedy, gdy dojdą do wodospadu, więc czego ode mnie chcesz?

- Decyzję? Ja nie podejmowałem żadnej decyzji! Chciałem im pomóc!

- Niby jak? Wpadając między Tajów jak Rambo i wymachując giwerą, która nawet nie istnieje?

- Mogłeś coś zrobić!

- Na przykład co? Ty chyba nie jesteś stąd! Nic nie mogłem zrobić, nic!

- Mogłeś ich ostrzec, zanim weszli na taras!

- Miałem wyraźne rozkazy, żeby ich nie ostrzegać!

- Mogłeś odmówić ich wykonania!

- Ale, kurwa, nie chciałem!

- Nie chciałeś?

- Ani przez sekundę!

Zmarszczył czoło i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz najwyraźniej zmienił zamiar.

- Co? - warknąłem.

Pokręcił głową, twarz mu złagodniała. Kiedy się odezwał, wiedziałem, że kręci.

- To był cios poniżej pasa, Richard - odrzekł spokojnie. - To, że nie jestem stąd.

- O mało przez ciebie nie zginąłem, ale zraniłem twoje uczucia. Boże, przebac mi. Co za potwór ze mnie!

- Jestem stąd, żyję w twoim świecie.

- Wielka mi pociecha, zwłaszcza że to ty zauważyłeś, że mi...

Urwałem. Ze strefy zdemilitaryzowanej dobiegł mnie suchy trzask.

- Słyszałeś?

Daffy zawahał się, zmrużył oczy i nagle zrobił bardzo zaniepokojoną minę.

- Tak, coś słyszałem.

- Na pewno?

- Na sto procent.

Czekaliśmy.

Minęło pięć, sześć sekund i raptem ciszę rozdarł huk wystrzałów. Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że jest to huk wystrzałów, który niczym silna bryza zdołał przedrzeć się przez gęstwinę drzew i dotrzeć do nas ze wstrząsającą głośnieścią. Pojedyncza seria, za to długa. Długa na tyle, żebym zdążył mrugnąć, pochylić ramiona i zdać sobie sprawę, iż tamci wciąż strzelają.

Kiedy w końcu przestali, usłyszałem, że pan Kaczor bierze głęboki oddech i powoli wypuszcza powietrze.

- Jezus Maria... - wymamrotałem. - Jezu Chryste, oni naprawdę ich...

- Zastrzelili - dokończył apatycznie Daffy.

Ku swemu zdziwieniu omal nie zwymiotowałem. Żołądek skurczył się nagle, a gardło stężało. Przed oczyma stanął mi obraz trawiarzy, ich rozrzuconych i zakrwawionych koszul, ich powykręcanych członków. Z trudem przełknąwszy ślinę, spojrzałem w kierunku strefy. Myślę, że szukałem jakiegoś znaku, potwierdzenia tego, co się stało, choćby smużki błękitnego dymu w oddali. Ale niczego nie dostrzegłem.

- Zastrzelili... - powtórzył Daffy. I cicho dodał: - Niech to szlag! Odwróciłem się chwilę później. Już go nie było.

Mama-san

Albo wszystko poszło dobrze, albo źle. Nie mogłem się zdecydować.

Z jednej strony, kiedy przyszło co do czego, straciłem zimną krew, tak samo jak podczas naszego pierwszego spotkania z Tajami na tarasie. Nie byłem czujny, lecz spokojny: byłem czujny, ale chciało mi się rzygać. Z drugiej strony może to normalne. Może miałem prawo spanikować i dostać mdłości, kiedy usłyszałem wystrzały. Czytałem o tym po wielokroć, oglądałem to w niezliczonych filmach: pierwszego dnia pierwszej tury bojowej wszyscy dostają sraczki, nawiązując kontakt z wrogiem. Później nabywają doświadczenia, popadają w rutynę, mimo to pewnego dnia doznają wstrząsu, zdając sobie sprawę, że śmierć wciąż może napawać ich odrazą. Z tym żyją, o tym myślą, dzięki temu zdobywają siłę.

Idąc do wodospadu, bez końca analizowałem tę drugą interpretację. Próbowałem też doszukać się jaśniejszych stron ostatnich wydarzeń. Tłumaczyłem sobie, że problem tratwarzy nareszcie przestał istnieć, że mój udział w ewentualnym zdekonspirowaniu plaży już nigdy nie wyjdzie na jaw. Mimo to myśli te ani trochę nie wpłynęły na moje samopoczucie. Wciąż walczyłem ze skurczami żołądka, wciąż miałem trudności ze skupieniem się na obserwacji terenu, w gardle wciąż narastał mi krzyk. Tak, miałem wielką ochotę krzyczeć. Nie jak człowiek próbujący wypędzić z siebie szatana. Inaczej: jak człowiek, który biegnąc ulicą za uciekającym autobusem, wpada prosto na betonowy pachołek i uderza się w kolano. Albo jak ktoś, kto robi to celowo, ze wszystkich sił. I krzyczy, lecz nie jest to krzyk zrodzony z bólu, ponieważ nic go wtedy nie boli. Jest to krzyk przeładowanego umysłu, który nie chce pogodzić się z tym, co zaszło, który nie chce nawet spróbować.

* * *

Przy basenie czekała Sal.

- Co się, do diabła, stało? - spytała, bardziej rozsierdzona niż zaniepokojona, nim zdążyłem dopłynąć do brzegu. - Co to za strzały?

Wyszedłem na płyciznę i ruszyłem w jej stronę.

- Tratwarze - wydyszałem. Ilekroć skakałem z wodospadu, siła uderzenia w wodę pozbawiała mnie tchu, a tym razem było jeszcze gorzej niż zwykle.

- Zabili ich?

- Tak. Najpierw ich złapali, a potem słyszałem...

- Widziałeś, jak strzelali?

- Nie.

- Zatrzymali ich i co?

- Najpierw ich zbili.

- Mocno?

- Bardzo.

- Może chcieli ich tylko nastraszyć, dać im nauczkę?

- Nie.

- A potem?

- Gdzieś ich zabrali. Powlekli.

- Powlekli... Nie poszedłeś za nimi.

- Nie.

- A potem?

- Kiedy dotarłem do przełęczy... zaczęli strzelać.

- Rozumiem. - Świdrowała mnie wzrokiem. - A więc powiadasz, że ich zbili...

- Skatowali.

- I czujesz się odpowiedzialny za ich śmierć.

Myślałem chwilę, nie chcąc poniewczasie zdradzić się z tym, że znałem Zepha i Sammy'ego.

- Przyplłynęli tu z własnej woli - odparłem w końcu, przestępując z nogi na nogę. Wciąż stałem po kolana w wodzie i stopy zapadały mi się w muł. - Hałasowali w dżungli. To ich вина.

Kiwnęła głową.

- Ktoś z naszych mógł słyszeć wystrzały. Co im powiesz?

- Nic.

- Etienne chyba już wie o Chrście. Znowu rozrabia, dlatego...

- Nic mu nie powiem. Ani jemu, ani Françoise, ani Keaty'emu. Tylko Jedowi. Wiesz, że Jedowi powiem.

- Oczywiście - odrzekła oschle. - Mimo to miło, że pytasz o pozwolenie.

Odwróciła się i odeszła. Nie poczekała nawet, aż wyjdę z basenu, więc nie słyszała, gdy szepnąłem:

- Nie prosiłem cię, kurwa, o pozwolenie.

Reanimator

Nie poszedłem za nią na polanę, bo nie chciałem jeszcze nikogo widzieć. Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty na nic. Może tylko na to, żeby położyć się gdzieś i zasnąć. Zapomnieć - ta myśl kusila, ale nie dlatego, że byłem zmęczony. Chciałem uciec od swego umysłu, który wciąż kazał mi krzyczeć. Sęk w tym, że sen, pod wieloma względami bardzo korzystny, nie daje zapomnienia. Gdybym zasnął, na pewno bym śnił, wiedziałem nawet, o czym.

Skończyło się na tym, że zacząłem do siebie mówić. Chodząc wokół basenu i traktując umysł jako zupełnie niezależny, acz rozsądny byt, prosiłem go, żeby choć na chwilę dał mi spokój. Albo chociaż przestał tak głośno gadać.

Wiem, jak to brzmi, ale nie, nie byłem obłąkaną karykaturą człowieka łypiącego spode łba i dziko wymachującego rękami. Walczyłem po prostu o spokój, lecz walkę przegrałem. Rozsądne prośby i tłumaczenia odbijały się od umysłu niczym kule od twardej i wypiętej piersi Supermana. Zniechęcony, próbowałem stosować inne taktyki, jak choćby wzbudzić w sobie zainteresowanie pięknym kwiatkiem albo wzorem na korze raketowca z wyrzeźbionymi imionami Sal, Bugsa i Daffy'ego. Niestety, wszystkie zawiodły. Jedynym ich skutkiem było to, że świadomość porażki jeszcze bardziej pogłębiła frustrację i jeszcze bardziej mnie zdołowała.

Ostatnią próbą był skok do basenu. Pod wodą zawsze znajdowałem schronienie. Nurkowanie koilo mnie, oślepiało, ogłuszało, stanowiło doskonałą ucieczkę od świata. Teraz też podziało, teraz też zatonąłem w anonimowym chłodzie, lecz - co było nieuniknione -

tylko chwilowo. Ponieważ natura nie obdarzyła mnie skrzelami, musiałem się co jakiś czas wynurzać, a gdy tylko się wynurzyłem, umysł podejmował wiodącą donikąd dyskusję.

Nie ma od tego ucieczki - zrezygnowany i bez tchu, w końcu zdałem sobie z tego sprawę. Wyszedłem z basenu i ruszyłem do dzungli. Ale nie skręciłem w trakt prowadzący do ogrodu. Wolałem płątaninę ścieżek wydeptanych przez cieśli, którymi mogłem dotrzeć na plażę, omijając polanę.

* * *

Będę się streszczał. Opowiem tylko to, co pamiętam, nic nie zmyślając. Nie to, żebym przedtem coś zmyślał, po prostu tak się złożyło, że w wydarzeniach, jakie miały miejsce w ciągu następnych kilku minut, jest sporo luk. Nie ulega wątpliwości, że na skutek traumatycznego poranka i wyżej opisanego stanu umysłu.

* * *

- Tratarze nie żyją - powiedziałem. - Christo umrze najdalej za dwa dni. Koniec kłopotów, został tylko jeden: musisz wyzdrowieć.

Przeszył mnie złośliwym wzrokiem. Nie wiem, albo patrzył na mnie, albo na nic. Wszystko jedno. Guzik mnie to obchodziło. Zrobiłem krok do przodu, a wtedy uderzył mnie w nogę. Może chciał zemścić się za to, że zburzyłem jego daszek. Zabolalo, więc mu oddałem.

* * *

Usiadłem okrakiem na jego piersi, próbując wepchnąć mu do ust garść ryżu. Skórę miał taką samą jak martwy ćpun z Ko Phan-Ngan, też sflaczała i ślizgającą się po mięśniach. Niezbyt przyjemną w dotyku. Zwłaszcza gdy zaczął się pode mną wić.

* * *

Bełkotał, chyba coś mówił.

- Zuch, chłopak! - wrzasnąłem. - Kuracja skutkuje!

Chwycił mnie za gardło. Odepchnąłem jego ręce. W trakcie szamotaniny chyba upuściłem ryż. A może nie był to ryż, tylko piasek?

* * *

Chyba zamknąłem oczy, bo pamiętam, że zamiast wybałuszonych oczu Karla miałem przed sobą obraz czerwono-brązowego pledu. Pustkę, nicość, dlatego pewnie je zamknąłem, to jedyne logiczne wyjaśnienie. Tłumaczyłoby również inny obraz z kolekcji moich slajdowatych wspomnień: pled błękitny, który widziałem przez ułamek sekundy, gdy padając na plecy, rozwarłem powieki i spojrzałem w bezchmurne niebo. A potem znowu ujrzałem ten sam co przedtem, czyli czerwono-brązowy.

* * *

Usiadłem. Karl był jakieś dwadzieścia metrów dalej i jak szalony biegł plażą. Zdumiony, że mimo tylu dni głodówki wciąż ma siłę biec, zerwałem się na równe nogi i popędziłem za nim.

Dobrodziejstwo wątpliwości

Plażą, między drzewami, ścieżką na polanę. Prawie go dopadłem. Już miałem chwycić go za włosy. W tym samym momencie potknąłem się o linkę jednego z namiotów i upadłem szczupakiem na trawę. Karl pognał w kierunku Khyber Pass.

Zerwałem się na nogi. Na jego drodze stało kilkoro kolonistów.

- Łapcie go! - krzyknąłem. - Kurwa mać! Jesse, Greg, łapcie go! Powalcie! - Nic z tego. Byli zbyt zaszokowani, żeby zareagować, i Karl śmignął tuż obok nich. - Idioci! On ucieka!

Kilka sekund później skręcił w ścieżkę na przełęcz. W pełnej zaskoczenia ciszy słyszeliśmy, jak przedziera się przez krzaki. Potem trzaski umilkły.

- Niech to szlag! - Opadłem na kolana i zacząłem walić pięściami w ziemię.

Ktoś leciutko dotknął mego ramienia. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Françoise, a za nią półkrąg gapiów.

- Richard? - spytała niespokojnie.

Ktoś inny chwycił mnie pod pachę i pomógł mi wstać. Jesse.

- Wszystko w porządku, stary?

- Tak... - Urwałem, próbując przypomnieć sobie, co się stało. - Karl wylażł z jamy.

- Widziałem. Co to było?

- Rzucił się na mnie - odrzekłem niepewnie i wszystkich zatchnęło.

- Jesteś ranny? - spytała Françoise, uważnie przyglądając się mojej twarzy.

- Nie, jakoś się obroniłem. Nic mi nie jest.

- Dlaczego to zrobił?

- Nie wiem. - Zrozpaczony, pokręciłem głową. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, nie czułem się na siłach. - Może... może myślał, że jestem rybą. Dużo łowił, potem zwariował i...

Od plecienia dalszych bzdur wybawiła mnie Sal. Tłum się rozstał i podeszła prosto do mnie.

- Rzucił się na ciebie?

- Przed chwilą. Na plaży.

Gdy ponownie potwierdziłem ten fakt, koloniści znowu głośno sapnęli i wszyscy zaczęli mówić naraz.

- Powinienem być go złapać! - rzucił gniewnie Unhygienix. - Przebiegł tuż koło mnie!

- Widziałam, jak patrzył! - dodała Cassie. - Patrzył prosto na mnie! Coś okropnego!

- I ta piana na ustach! - wtrącił ktoś inny. - Jakby miał wściekliwość! Trzeba go złapać i związać!

Padł tylko jeden głos przeciwny: głos Etienne'a.

- To niemożliwe! - wrzasnął, przekrzykując pozostałych. - Nie wierzę, że Karl rzucił się na Richarda! Nie wierzę! Byłem u niego dziś rano!

Wrzawa przycichła.

- Siedziałem z nim godzinę! Całą godzinę i jadł ze mną ryż! Polepszyło mu się! Nikogo by nie zaatakował!

Wziąłem się w garść na tyle, żeby z niedowierzaniem zmarszczyć brwi.

- Twierdzisz, że kłamię? - spytałem.

Zawahał się i znowu spojrzął na tłum.

- Byłem z nim godzinę! - powtórzył. – Wypowiedział moje imię! On mówił, po raz pierwszy od tygodnia mówił! Wiem na pewno, że już mu lepiej!

Szybko się wycofałem. Sprzeczką przestała mnie obchodzić, chciałem tylko stamtąd uciec.

- Tak. Etienne ma rację. To pewnie moja wina. Mogłem go wystraszyć i...

- Nie - przerwała mi Sal. - Boję się, że Karl jest niebezpieczny. Dziś rano poszłam go odwiedzić i też się na mnie rzucił.

Choć zaskoczony, nie miałem zamiaru jej zaprzeczać, ale uważnie przyjrzałem się jej twarzy, żałując, że nie potrafię zwięźzić kłamstwa tak szybko jak ona. Na pierwszy rzut oka mówiła prawdę, lecz wiedziałem, że znaczy to tylko tyle co: dajcie mu, kurwa, spokój.

- Na szczęście Bugs go odciągnął. Był ze mną, zanim odplynęli z Keatym. Powinnam była was ostrzec, ale próbowałam wypracować najlepsze rozwiązanie i... - Ciężko westchnęła z zupełnie do niej nie pasującym żalem. - Byłam głupia. Niedługo mamy święto i nie chciałam was zasmucać złymi nowinami. Postąpiłam nieodpowiedzialnie, ale wszystko tak dobrze się układało... Nie chciałam, żeby morale znowu upadło.

Jesse też westchnął.

- Wszystko dobrze, Sal, ale nie możemy pozwolić, żeby laził tu ktoś tak niebezpieczny.

Wszyscy pokiwali głowami i z jakiegoś dziwnego powodu uznalem, że kiwiają do mnie.

- Musimy coś zrobić.

- Wiem, Jesse. Masz rację. Przepraszam cię, Richard. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Nie powinnam była cię na to narażać.

- Nie trzeba, Sal - odparłem natychmiast. Chociaż łgała, a wiedziałem już, że łże, czułem się niezręcznie, że mnie przeprosza. - Rozumiem.

- A ja nie! - wrzasnął zdesperowany Etienne. - Proszę! Proszę, posłuchajcie mnie! Karl nie jest niebezpieczny! On potrzebuje pomocy! Gdybyśmy zawieźli go na Ko Pha....

Tym razem przerwała mu Françoise, która po prostu odeszła. Etienne zamilkł. Jakby odebrało mu mowę. Patrzył, jak Françoise idzie przez polanę, a potem ruszył za nią z rękami wyciągniętymi w błagalnym geście.

Na sztorc

Zaraz potem wszyscy rozeszli się po polanie. Dyskusja o Karlu ustała. Moim zdaniem wszyscy zdawali sobie sprawę, że spokój, jaki zapanował w obozowisku po pogrzebie Stena, jest poważnie zagrożony, i szykowali się do intensywnych ćwiczeń z praktyki kategorycznego negocjowania. Doszło do natychmiastowego porozumienia, całkowicie intuicyjnego i nieformalnego, które zabraniało poruszać nawet najmniej sporne tematy. Tym lepiej dla mnie. Przynajmniej nikt nie pytał mnie o Karla ani o te wystrzały. Jedynym minusem było to, że musiałem przebrnąć przez kilka wymuszonych rozmów, co uznałem za przystępną cenę.

Najdziwniejszą z nich odbyłem z Jeanem, i to nie tylko dlatego, że jak dotąd prawie nigdy się do siebie nie odzywaliśmy. Podszedł do mnie z nieśmiałym uśmiechem i zagadnął:

- Pracujesz, Richard? - Musiał czuć się cholernie nieswojo, bo pytanie było beznadziejnie głupie.

Akurat paliłem przed kuchnią papierosa, próbując uspokoić nadszarpnięte nerwy.

- Nie, Jean - odrzekłem względnie opanowanym głosem. - W tej chwili palę.

- Aha.

- Poczęstować cię?

- Och, nie! - odrzekł szybko, wyraźnie zaniepokojony. - Nie chcę.

- Śmiało. Keaty przywiezie mi nowy zapas z Hat Rin.

- Nie, nie. Mogę palić trawkę.

- Twoja wola. - Uśmiechnąłem się do niego, z całego serca pragnąc, żeby się wreszcie odwalił.

Ale nic z tego. Podrapał się po głowie i zaszurał nogami. Gdyby był w czapce, pewnie by ją zdjął.

- Wiesz, tak sobie myślę...

- Hmm?
- Może zechciałbyś obejrzeć nasz ogród? Kiedyś przychodziłeś do Keaty'ego, ale już nie przychodzisz. Odkąd Keaty został rybakiem, ogród się powiększył. Ma teraz siedem arów.
- Aż siedem? - mruknąłem spięty. - Bomba.
- A więc przyjdiesz?
- Dobra, jesteśmy umówieni.
- Umówieni! Jak na randkę! Tak! - Wybuchnął śmiechem tak teatralnym, że przez chwilę myślałem, iż robi ze mnie jaja. - Na randkę! A potem pójdziemy do kina!
Kiwnąłem głową.
- Na randkę - powtórzył. - Do zobaczenia na randce!
- Do zobaczenia.
Zlitował się nade mną i odszedł.

* * *

Jeda odwiedziłem dopiero po zmroku. Nie chciałem, żeby ktoś zobaczył, jak wchodzę do lazaretu. Milcząco przyznałbym tym samym, że Christo istnieje, a zgodnie z naszą niepisaną umową jego istnienie należało chyba do najważniejszych rzeczy, o których się nie wspominało.

Nie wiem, jak to możliwe, ale warunki w lazarecie były jeszcze gorsze niż poprzednio. Smród panował taki sam, lecz upał koszmarnie stęzał i wszędzie widziałem czarne kałuże wyschłej lub wysychającej brei. Krew z brzucha umierającego Szweda wsiąkała w prześcieradło i zbierała się w fałdach podłogi. Pierś i ramiona Jeda były nią umazane.

- Jezus Maria - powiedziałem, czując, że na karku występuje mi pot. - Co się tu dzieje?

Jed usiadł przodem do mnie. Oświetlała go od spodu ustawiona na sztorc latarka i w jej blasku rzadka broda świeciła mu niczym dziesiątki małych żarników, a oczy tonęły w kompletnej ciemności.

- Masz dla mnie dobre nowiny? - wymamrotał. - Złe już mnie męczą. Czekam tylko na dobre.

Wbiłem wzrok w jego oczodoły, próbując dostrzec w nich jakiś konkretny kształt. Emanowała z niego nieokreślona groźba, a przez tę demoniczną poświatę myślałem, że mam halucynacje. Wrażenie było tak silne, że musiałem natychmiast potwierdzić jego namacalność albo stamtąd uciec.

Chwyciłem latarkę i poświeciłem mu w twarz. Zasłonił się ręką, ale zdążyłem dostrzec wystarczająco dużo skóry i ciała, żeby się uspokoić.

Ustawiłem latarkę na podłodze.

- Tak, mam nowiny. Zeph i Sammy nie żyją.

- Nie żyją - powtórzył beznamiętnie.

- Strażnicy ich zastrzelili.

- Na twoich oczach?

- Nie.

Przekrzywił głowę.

- Rozczarowany?

- Nie. Widziałem, jak ich biją i...

- To ci wystarczyło.

- Omal się nie porzygałem. Nie myślałem, że tak to na mnie podziała, ale podziałało.

- Aha... - Musiał zrobić jakąś minę, bo zadrgały mu żarniki na brodzie.

- Nie cieszysz się? Nie, wróć, z czego tu się cieszyć. Nie ulżyło ci?

- Ani trochę.

- Nie?

- Nie.

- Przecież ocaliliśmy plażę. Tet, nasze morale, tajemnica...

- Plaża już mnie nie obchodzi, Richard.

- Plaża... plaża już cię nie obchodzi?

- Chcesz usłyszeć moje nowiny?

Poczułem się nieswojo i zaszurałem nogami, żeby to ukryć.

- Wal.

- Nowiny są takie, że ich nie ma.

- Nikt tu nie zajrzał.

- Otóż to. Nikt tu nie zajrzał. Znowu. - Odchrząknął. - Przez cały dzień nie widziałem żywego ducha, nie licząc jego, no i chyba swego. Nie mogę przestać myśleć, dlaczego tak jest. Jak sądzisz? Christo i ja czekamy tu cały dzień i nikt nas nie odwiedza.

- Jed, już to przerabialiśmy.

- Spieszysz się?

- Nie.

- W takim razie przeróbmy to jeszcze raz.

- Dobra. Sam mówiłeś, że ludzie próbują wrócić do normalnego

życia. Nie chcą, żeby ktoś przypominał im o przeszłości.

- I byliby tak samo, gdyby leżała tu Sal.

- Nie wiem, może inaczej. Ona jest szefową. Ale nie przypuszczam, żeby...

- A gdybyś ty tu leżał?

- Ja?

- Tak. Gdybyś umierał.

- Ktoś pewnie by przyszedł. Françoise, Etienne, Keaty...

- A ja?

- Tak, ty chyba też. - Roześmiałem się niepewnie. - Mam nadzieję.

Śmiech zawisł w powietrzu jak obcy, nieprzyjemny dźwięk.

- Nie, Richard. Pytałem, co by było, gdybym to ja tu leżał.

- Ty?

- Ja.

- Ktoś by na pewno przyszedł.

- Myślisz?

- Oczywiście.

- Naprawdę?

- Tak.

- Ale przecież ja tu leżę, Richard. - Nachylił się ku mnie, zasłaniając latarkę, tak że górna połowa jego ciała zniknęła w mroku. Odsunąłem się, nie wiedząc, czy jest blisko, czy daleko.

- Leżę, siedzę, jestem tu cały, kurwa, dzień i całą noc - zasyczał mi do ucha z odległości nie większej niż dwanaście, trzynaście centymetrów. - I nikt mnie nie odwiedza.

- A ja?

- Nikt oprócz ciebie.

- Przykro mi.

- Mnie też.

- Ale...

- Tak, jasne.

Usiadł na swoim miejscu i popatrzyliśmy na siebie nad brudnym prześcieradłem Christa. Potem spuścił głowę i zaczął zeszkrobywać z ramion płatki zaschniętej krwi.

- Jed - powiedziałem cicho. - Zrób coś dla mnie.

- Uhm.

- Wyjdź z namiotu. Zostanę z nim, a ty...
 - Zbył mnie machnięciem ręki.
 - Nie zrozumiałeś, Richard.
 - Naprawdę powinieneś...
 - Nie chcę oglądać tych chujów.
 - Nie musisz. Mógłbyś pójść na plażę.
 - Po co? - Jego głos zabrzmiał nagle trzeźwo i rzeczowo. - Żeby pozbierać myśli? Żeby nie zwariować?
 - Choćby po to.
 - I nie odstawać od innych, tak? Bo oni nie zwariowali.
 - Nabralbyś dystansu.
 - Nic by mi nie pomogło. Wszystko jedno, gdzie jestem, bo wciąż jestem tu, w tym namiocie. Siedzę tu od tego samego dnia co Christo. Co Sten i Karl. Namiot, otwarte morze, strefa. Nie widzę tego i nie...
- Na ułamek sekundy pogrubiał mu głos. Wstrzymałem oddech, dziwnie spanikowany, że może się rozplakać, ale nie, szybko nad sobą zapanował.
- Kiedy przyплыnęli Szwedzi i Daffy'emu odbiło... kiedy zniknął... myślałem, że to się zmieni. Że bez niego będzie inaczej. Ale on jest cwany, on wrócił... Jest taki chytry... - Mówił coraz ciszej, coraz niewyraźniej. Nagle pochylił się do przodu i przytknął palce do skroni.
 - Jed - powiedziałem - co znaczy wrócił?
 - Pochlastał się. I wrócił.
- Zmarszczyłem czoło, uwalniając strumień potu, który spłynął mi po twarzy i zapiekł w kącikach ust.
- Widziałeś go?
 - Tak, widziałem.
 - Kiedy?
 - Pierwszy raz na Ko Pha-Ngan... Powiniennem dostrzec go przedtem...
 - Widziałeś Daffy'ego na Ko Pha-Ngan?
 - Z twoimi kumplami. Z twoimi martwymi kumplami.
 - Z Zephem i Sammym?
 - Dał im mapę.
- Zawahałem się.
- Jed, on dał ją mnie.
 - Nie.
 - Mówię ci, to ja im dałem mapę. Dobrze to pamiętam.

- Nie, Richard. To Daffy im ją dał.
- Chcesz powiedzieć, że... że mieli mapę, zanim im ją dałem?
- Dał im mapę, dając ją tobie. - Znowu usiadł prosto. Podłoga namiotu się napięła, przewracając ustawioną na sztorc latarkę. Na chwilę mnie oślepiła, ale przetoczywszy się, znieruchomiała w ciemności jako pojedynczy jaskrawy snop. - Dał ją Étienne'owi. - Podniósł latarkę i starannie ją ustawił. - I Françoise, i Zephowi, i Sammy'emu, i Niemcom, i wszystkim innym.
- Innym?
- Tym, których jeszcze nie widzieliśmy. Tym, którzy przyplyną tu za miesiąc albo za tydzień, i tym, którzy przyplyną po nich.
Westchnąłem.
- A więc widzisz Daffy'ego, kiedy widzisz mnie.
- Przedtem rzadko, ale teraz... Teraz tak. - Ze smutkiem pokiwał głową. - Teraz zawsze. Ilekroć cię widzę...

Taka sama, ale inna

Gdy się położyłem, tej nocy pierwszy w baraku, usłyszałem Bugsa i Keaty'ego wracających z zapasami na święto Tet. Najpierw wybuchła głośna wrzawa, gdy podekscytowani koloniści zobaczyli przywiezione produkty, a potem Keaty zaczął mnie wołać. Wkrótce dołączyła do niego Françoise. Nie odpowiedziałem ani jemu, ani jej. Leżałem na plecach z podkoszulkiem na głowie, czekając, aż nadejdzie sen. Dziwne, ale nie musiałem długo czekać.

* * *

Polana zawsze była polaną. Odkąd obozowisko zaczęło się rozrastać, powiększyła się niemal dwukrotnie, lecz musiała tam istnieć już wtedy, gdy raketowce były jeszcze młodziutkimi drzewami. Przed dwustu laty? Może nawet dawniej. Żeby określić wiek drzewa, trzeba je ściąć - innego sposobu nie znam - lecz łatwo było się domyślić, że raketowce przeżyły tam kilka stuleci.

- Zadanie godne Herkulesa - rzucił w zadumie pan Kaczor. Po pas w paprociach, stał w miejscu, gdzie wznosił się teraz barak. - Odwrócić bieg strumienia... Spróbowaliśmy to zrobić dopiero drugiego roku, gdy było nas czternaścioro. Oczywiście bez Jeana nic by z tego nie wyszło. Nie tylko miał doświadczenie, ale i harował jak wół, zagrzewał nas do pracy... Szkoda, że cię z nami nie było, Rich. Szkoda, że nie było cię tu od samego początku. Ja, Sal i Bugs... Ten nastrój. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Ostrożnie przedzierałem się przez krzewy, odmierzając odległość od drzwi baraku do miejsca, gdzie, jak wyliczyłem, musiało stać moje łóżko. Ciekawe wrażenie: iść i wiedzieć, że jednocześnie się śpi.

- Dlaczego? - Nadepnąłem na swoją głowę, co mnie trochę zbiło z tropu, dlatego szybko ją obszedłem. - Nastrój? Nastrój mogę sobie wyobrazić.

Pogroził mi palcem.

- Gdybym cię nie znał, tobym się obraził. W żaden sposób nie możesz sobie wyobrazić, jak się wtedy czuliśmy. Poza wszystkim innym jesteś za młody. Nie licząc krótkich przerw, podróżowałem z Sal i Bugsem jedenaście lat. Jedenaście lat, Rich! Jedenaście lat życia z rakiem. Wiesz, jak to jest? Nie wiesz. Nie możesz wiedzieć.

- Z rakiem?

- Z rakiem, z AIDS. Nazwij to, jak chcesz.

- Ale co?

- Życie w cieniu śmierci. Świadomość, że wszystko, co cię bawi, ma swój kres. Siedzisz na pięknej plaży i czekasz, aż minie twój czas. Słońce wygląda wtedy zupełnie inaczej, piasek też, ryż zmienia smak. Przenosisz się w inne miejsce i znowu czekasz, aż wszystko powtórzy się od początku. I tak przez jedenaście lat! - Zadrżał. - I nagle rak się cofa. Nagle znajdujesz lekarstwo. Wiesz, jakie to uczucie? Nie wiesz, bo i skąd?

* * *

Za to wodospad i basen wyglądały dokładnie tak samo. Może rosło tam trochę więcej krzewów, drzewa musiały stracić kilka gałęzi, lecz w żaden sposób nie wpływało to na znajomy obraz całości.

Owszem, dostrzegłem jedną różnicę, choć dopiero po dłuższej chwili. Kora na stabilizatorze raketowca była nienaruszona i gdy tylko tam podeszliśmy, pan Kaczor wyjął nóż i zaczął wycinać w niej imiona Sal, Bugsa i swoje.

Obserwowałem go, zaciekawiony skupieniem na jego zwykle rozdzganej twarzy.

- Dlaczego akurat ja? - spytałem, gdy wyciął pierwsze zero.

Wykrzywił usta w uśmiechu.

- Spodobała mi się twoja odpowiedź, kiedy rzuciłem ci skręta. Byłeś taki zły, taki śmieszny... Ale wybrałem cię przede wszystkim dlatego, że jesteś podróżnikiem. Każdy podróżnik by się do tego nadawał. Rozgłaszanie wiadomości mamy we krwi.

- My?

- Nie jestem lepszy od ciebie. Jestem dokładnie taki sam.

- Może nawet gorszy...

Obrotem nadgarstka wyciął ostatnie zero i na jego kolana spadł owalny kawałek kory.

- Wiesz? - rzucił rozanielony. - Zapomniałem, że to ja wyrzeźbiłem te napisy. Niesamowite.

- Może nawet gorszy - powtórzyłem. - Jeśli przyłożyłem rękę do zniszczenia plaży, zrobiłem to niechcący, a ty celowo.

- Kto mówi, że ją zniszczyłem? To nie ja, stary. Nie z miejsca, gdzie teraz siedzę. - Zerknął na swoje nogi. - Stoję.

- W takim razie kto?

Wzruszył ramionami.

- Nikt. Przestań doszukiwać się w tym wielkiej zbrodni. Musisz zrozumieć, że tych zakątków, tych wszystkich zakątków nie da się ochronić. Myśleliśmy, że to możliwe, ale się myliliśmy. Uświadomiłem to sobie, kiedy przyплыł Jed. Wiadomość się jakoś rozniosła, reszta była tylko kwestią czasu. Nie to, żeby od razu próbował temu zaradzić. Czekałem, bo miałem nadzieję, że Jed jest wyjątkiem, że trafił tu przypadkiem. Ale potem przyплыли Szwedzi i wiedziałem już na pewno. Całą terapię szlag trafił. Rak wrócił, złośliwy jak kurwa mać. - Otrząpał spodnie i wrzucił zero do basenu. - Nieuleczalny.

Ze wszystkich sił grzmotnąłem go w brzuch, prosto w spłot słoneczny. Kiedy zgiął się wpół, pchnąłem go na ziemię i kopnąłem w twarz.

Nie próbował walczyć. Thukłem go i kopałem, aż poharatałem sobie kłykcie i skręciłem nogę w kostce. Gdy wreszcie zabrakło mi tchu i opadłem na trawę, wyprostował się, usiadł i wybuchnął śmiechem.

- Zamknij mordę! - wysapałem. - Zamknij mordę, do kurwy nędzy!

- Jejku jej! - zachichotał, wypluwając złamany ząb. - Co cię napadło?

- Oszukałeś mnie!

- Ja? Czy kiedykolwiek coś ci obiecywałem? Czy kiedykolwiek mówiłem, że coś ci dam?

- Mówiłeś...

- Obiecywałem ci tylko Wietnam, i to jedynie dlatego, że sam tego chciałeś. Tak się przypadkiem złożyło, że chciałeś też plaży, ale gdybyś mógł zachować i to, i to, nie byłoby tu Wietnamu.

- Nie wiedziałem! Nigdy mi o tym nie mówiłeś!

Cały się rozpromienił.

- Właśnie. W tym całe piękno. Twoja nieświadomość to też Wietnam. To, że nie zdawałeś sobie sprawy, co się dzieje, że nie wiedziałeś, kiedy zrezygnować, że prowadziłeś z góry przegraną wojnę. To naprawdę niezwykle. Wszystko pasuje. Wszystko się zgadza.

- Ale ja nie chciałem takiego Wietnamu! Chciał... - Nagle urwałem. - Wszystko? Chwila, powiedziałaś, że wszystko pasuje?

- Wszyscyutko. I będzie pasowało do końca, do gorzkiego końca. - Zatarł ręce. - Wiesz, Rich, zawsze uważałem, że eutanazja jest dobrodziejstwem. Ale w życiu nie przypuszczałem, że może być również świetną zabawą.

KUREWSKA SPRAWA, I TO BEAUCOUP

Obieranie warzyw

Obserwowałem Sal z za drzwi baraku. Wszyscy otaczali ją wielkim kręgiem, a ona, cała rozpromieniona, chodziła wokoło i rzucała rozkaz za rozkazem, jakby rozdawała urodzinowe prezenty. Grupa Grega i Moshego ma upolować tyle a tyle ryb. Bugs i jego cieśle mają zbudować zadaszenie, Unhygienix i ogrodnicy - przygotować ucztę. Elli kazała oskubać siedem kurczaków.

- Mięso! - wykrzyknęła jedna z Jugosłowianek. - Nie jadłam mięsa od... od...

Wszyscy się zgodzili, że od ubiegłorocznego święta. Przed dziewięcioma, dziesięcioma miesiącami kilkoro z nich jadło małą, którą zabił Jean. Jesse mówił, że w smaku bardziej przypominała baraninę niż kurczaka. Zainteresowałoby to pewnie Sammy'ego, który twierdził, że całe to egzotyczne barachło, czyli psy, koty i małpy, smakuje jak kurczak.

Podziwiając jej zdolności organizacyjne, zastanawiałem się, jak by zareagowała, gdybym wyjaśnił jej, że sprawa z tratwiarzami została tylko chwilowo odroczone, że wysiłek, jaki wkładamy w ochronę plaży, na nic się nie zda. Ciekawe, czy wiadomość ta przeżyłaby ją równie mocno jak mnie.

* * *

Przedtem, kiedy wszyscy wstali i w baraku zapanował poranny gwar, udałem, że śpię. Było to dość trudne, ponieważ próbowała mnie obudzić Françoise, lecz wkrótce odwołała ją Sal.

- Niech śpi - powiedziała, doskonale wiedząc, że nie śpię. - Miał wczoraj ciężki dzień. Podbierał trawkę na dzisiejszy wieczór.

Na szczęście prawie zaraz potem barak opustoszał, tak że mogłem ściągnąć z głowy prześcieradło, zapalić świecę i papierosa. Obudziłem się dwie godziny przed nimi i cały ten czas skręcało mnie z braku nikotyny. Powinienem był wyślizgnąć się stamtąd, kiedy miałem okazję, przynajmniej nie utknąłbym w potrzasku. Lecz o piątej nad ranem na dworze wciąż panowała ciemność i czułem, że nie jestem jeszcze gotów stawić jej czoła. Nie wiedziałem, co może kryć. Dlatego dwie godziny puszczałem wodze wyobraźni, próbując przechytryć pana Kaczora.

Wiedziałem tylko tyle, że skoro Wietnam zmierza do gorzkiego końca, zmierzam tam i ja. Reszta pozostawała w sferze domysłów. Lista możliwości i kierunków, z których gorzki koniec mógł nadejść, była nieskończona. Wystarczyło, że jako żołnierz przyjąłbym nieprzemysłany rozkaz od dowódcy. Rozkaz, który wykonałbym wbrew instyktowi, igrając ze szczęściem w strefie zdemilitaryzowanej. Mogłem też mieć po prostu pecha. Ten sam pech, który sprawia, że w najgorętszym momencie bitwy żołnierzowi zacina się zamek karabinu, mógł podstawić mi nogę, gdy będę skakał z wodospadu.

Ale nie. Dobrze znałem pana Kaczora i nie te groźby przerażały mnie najbardziej. Owszem, były całkiem realne, lecz nie nosiły jego koszmarnego piętna. Kiedy mówił o gorzkim końcu, w głębi duszy czułem, że chodziło mu o coś innego. O Wietkong. O upadek Sajgonu.

Miałem szczęście, że próbując mnie obudzić, Françoise nie zająrzała pod prześcieradło, bo odkryłaby, że jestem złany zimnym potem.

* * *

Dochodziła ósma. Koloniści otrzymali już rozkazy i z zapalem krzątali się po polanie. Nie chciałem, żeby ktoś mnie zobaczył i poprosił o pomoc, więc znowu usiadłem na łóżku. Wiedziałem, że tracę czas, że prędzej czy później ktoś mnie tu znajdzie, ale chciałem odsunąć ten moment jak najdalej.

O wpół do dziewiątej w drzwiach baraku ukazała się pulchna sylwetka Sal.

- Pytają o ciebie. - Ruszyła przez półmrok i przystanąła w blasku świecy. - Greg ma nadzieję, że będziesz z nimi dzisiaj łowił, a Keaty chce wymienić się uwagami o Ko Pha-Ngan. I jeszcze coś - dodała z uśmiechem - na pewno cię to ucieszy: w imieniu Françoise mam dopilnować, żebyś wstał i się do niej przyłączył.

- A Jed? - spytałem szybko.

- Jed? - Zmarszczyła brwi i usiadła przy łóżku w pozycji kwiatu lotosu. - Jeszcze go nie widziałam. Ale jestem pewna, że on też chce się z tobą zobaczyć.

- Zajrzę do niego potem.

- Naturalnie. Wiesz, to tylko luźna myśl, ale może byś odczekał troszkę dłużej. Kręci się tam sporo ludzi, a mam wrażenie, że sytuacja w namiocie jest coraz delikatniejsza. Jed wolałby pewnie, żeby mu nie przeszkadzano, i powinniśmy to uszanować.

- Ale może chciałby, żebym...

- Jeśli się niepokoisz, za jakiś czas zajrzę tam osobiście. Zresztą... - Przez ułamek sekundy widziałem w jej twarzy lęk. Lęk tak lekki, że gdybym odwrócił wzrok, na pewno nic bym nie zauważył. - Miałam nadzieję, że zrobisz dla mnie coś innego.

Próbowałem zachować kamienną twarz, tak samo jak ona.

- Widzisz, wiem, że teraz, gdy tratwiarzy już nie ma, można by uznać, że wszystkie problemy zniknęły. Ale obawiam się, że tak nie jest. Wciąż mamy kłopot ze Szwedami, a ponieważ zaszliśmy już tak daleko, nie chciałabym, żeby znowu coś się stało. Nie możemy ryzykować. - Założyła za ucho niesforny kosmyk włosów. - A więc tak. Jeśli Christo umrze w trakcie obchodów Tet, nikt nie musi o tym wiedzieć. Ludzie i tak nie palą się do nowin, więc przekażę im tę wiadomość w odpowiedniej chwili. Nie, według mnie prawdziwym problemem jest...

- Karl.

- Karl. Właśnie. I obawiam się, że odpowiedzialność za niego spoczywa na tobie.

Nieświadomie zacisnąłem palce na prześcieradle.

- Na mnie?

- Tak, tak, słusznie robisz taką minę. To twoja wina.

- Moja wina?

- Gdybyś go nie zdenerwował, zostałyby w swojej dziurze cały dzień, całą noc, pewnie cały tydzień. Oczywiście, kiedyś musiałabym się nim zająć, ale zamierzałam to zrobić dopiero po Tet. Przez ciebie nie mam już tego luksusu. - Machnęła ręką w stronę drzwi. - Wyrzuj. Zobacz, jakie to dla nich ważne. Obecnie nie ma kwestii żywniejszej niż to, żeby obchody przebiegły bez najmniejszych zakłóceń. Podkreślam, to sprawa absolutnie nadrzędna...

Wstrząśnięty, nagle zdałem sobie sprawę, do czego zmierza. Krążyła, nie chciała powiedzieć tego prosto z mostu, lecz wiedziałem już, co się pod tym mostem kryje.

- Dlatego pozwól, że otwarcie wyłuszczę problem. - Choć doskonale nad sobą panowała, w jej głosie zabrzmiało wyraźne napięcie. - Karl biega po wyspie niczym kurczak z odciętą głową, więc skąd pewność, że nie odwiedzi nas w trakcie...

- Nie zrobię tego, Sal.

Zapadła krótka cisza.

Chociaż twarz miała nieprzeniknioną, czułem, że jej umysł dokonuje błyskawicznych kalkulacji. Patrzyła na mnie obojętnym wzrokiem szachistki, analizując listę odpowiedzi na ruch przeciwnika, kontrataków na taki czy inny atak i reakcji na ten kontratak. Myślała na pięć ruchów naprzód, choć z każdym ruchem możliwości przybywało.

W końcu skrzyżowała ramiona.

- Nie zrobisz czego?

- Nie, Sal, tylko nie to.

- Tylko nie co?

- Nie żądaj tego ode mnie, proszę...

- Mam nie żądać, żebyś...

Uważnie przyjrzałem się jej twarzy z nadzieją, że opacznie ją zrozumiałem, ale kiedy popatrzyłem jej w oczy, ona swoje spuściła i już wiedziałem, że się nie mylę.

Sal też to spostrzegła. Natychmiast przestała udawać i lekko wzruszyła ramionami.

- Boję się, że muszę, Richard.

- Sal, proszę...

- Teraz wyjdę. Gdy za pół godziny wrócę, ciebie już tu nie będzie,

a do wieczora wszystkie kłopoty znikną. Dopełni się ostatni miesiąc. I już nigdy nie będziemy musieli o tym myśleć.

Wstała, biorąc głęboki oddech.

- Ta plaża jest moim życiem, Richard, ale także i twoim. Pamiętaj o tym. Nie możesz mnie zawieść.

Przygnębiony, kiwnąłem głową.

- Świetnie. - Odwróciła się i wyszła.

* * *

Na polanie krzatali się wszyscy oprócz rybaków. Większość siedziała przed kuchnią, pomagając obierać warzywa z kopca co najmniej czterokrotnie przewyższającego naszą dzienną normę. Unhygienix wetknął we włosy kilka piór kurczaka. Ciesle wytyczali miejsce pod zadaszenie. Bugs i Cassie układali na ziemi dywan z palmowych liści.

Wszyscy byli pochłonięci pracą, wszyscy się śmiali. Bez trudu czmychnąłem za ścianę baraku od strony dżungli. Nikt mnie nie zauważył.

Czy to bezpieczne?

Sprawdziwszy Khyber Pass i okolicę wodospadu, pomyślałem o jaskiniach. Gdybym miał trzeźwiejszy umysł, zacząłbym właśnie od nich. Ale niczego by to nie zmieniło. Łodzi nie było już pewnie od świtu.

Dzisiaj pociesza mnie myśl, że choć to nieprawdopodobne, ale mój obłąkany atak chyba Karla wyleczył. Często go wspominam, próbując wyobrazić sobie, co teraz porabia. Wszystkie obrazy, jakie odmalowuję, przedstawiają Karla wiodącego normalne życie, choć nie bardzo wiem, jak takie życie wygląda w Szwecji. Tak więc wyobrażam sobie, że jeździ na nartach, pracuje w biurze, że pije z kumplami w barze; z niewiadomego powodu bar ma wykładane boazerią ściany, na których wiszą lby łosi i inne myśliwskie trofea. Im obraz bardziej powszedni, tym lepszy. Ale wtedy moja reakcja nie była tak prosta. Z jednej strony ulżyło mi, że już nie mogę go zabić. Mimo stanowczych rozkazów Sal wątpię, czybym to zrobił,

ale cieszę się, że nie dane mi było tego sprawdzić. Z drugiej strony sparaliżował mnie potworny szok. Kiedy zobaczyłem, że jaskinia jest pusta, przez kilka minut nie chciałem wyjść z wody. Fale ciskały mną o skalną ścianę, a ja, nie zważając na ból, mogłem tylko się jej przytrzymywać. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak zareaguje na to Sal. Obecność Karla na obchodach święta Tet była betką w porównaniu z utratą łodzi i konsekwencjami jego powrotu na Ko Pha-Ngan.

* * *

W końcu jedna z większych fal wyrzuciła mnie na półkę, gdzie zwykle przywiązywaliśmy bańkę z benzyną. Gdy już się tam znalazłem, wpłynęłem trochę głębiej, znieruchomiałem i nie drgnąłem, dopóki w pobliżu głównego korytarza nie wynurzyła się czyjaś czarna głowa.

W pierwszej chwili go nie rozpoznałem i odruchowo przyłgnąłem do skały. Natychmiast ułożyłem sobie paranoiczny scenariusz: ponieważ za dużo wiedziałem, Sal napuściła na mnie Bugsa, tak samo jak napuściła mnie na Karla. Może właśnie to miała na myśli, mówiąc, że nie mogę jej zawieść.

- Richard?! - zawołała głowa ponad falami. To był Etienne.

Rozglądał się wokoło, gdyż pewnie nie dostrzegł ani mnie, ani łodzi. - Jesteś tu?

Ze wszystkich kolonistów, których mógłbym się bać, Etienne'a bałem się najmniej. Zachowując czujność, wstałem i pomachałem do niego.

Było mi zimno, ale zauważyłem to dopiero wówczas, gdy podpłynął do półki i gdy pomogłem mu wyjść z wody - głośno szczął zębami. Słońce stało jeszcze zbyt nisko, by zajrzeć do jaskiń, a od morza wiał chłodny wiatr.

- Płynąłem za tobą - powiedział, rozcierając pokryte gęsią skórą ramiona. - Chciałem porozmawiać.

Milczałem, zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie zauważył, że łódź zniknęła. I nagle dotarło do mnie, że pewnie jest tu pierwszy raz. Co znaczyło, że nigdy też nie płynął podwodnym korytarzem. Odważny jest - pomyślałem. Albo zwariował, jak cała reszta.

- Wiem, że doszło między nami do nieporozumień - mówił. - Do kilku nieporozumień, tak?

Wzruszyłem ramionami.

- Proszę cię, Richard, byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyśmy mogli o tym porozmawiać. Nie powinno tak między nami być. Nie w takiej chwili.

- A cóż to za chwila?

- Tet... - Z trudem przełknął ślinę. - Święto. Sal chce, żeby przed Tet wszystkie nieporozumienia poszły w niepamięć. To nowy start, początek nowego roku. Wszyscy już się z sobą pogodzili. Nawet Keaty z Bugsem. Dlatego pomyślałem, że musimy porozmawiać i odnowić naszą przyjaźń. Że musimy pomówić o tym, jak pocałowaleś Françoise...

To zabawne. Mój świat rozpadał się na kawałki, wszędzie czyhało zagrożenie, nerwy miałem w strzępach, ale kiedy usłyszałem, że Etienne wciąż martwi się o ten pocałunek, miałem ochotę wybuchnąć śmiechem.

- O to chodzi, *non*? O moją reakcję. O moją głupią reakcję. To moja wina, Richard. Bardzo cię przepraszam...

- Etienne, o czym ty, do diabła, gadasz?

- O tym pocałunku.

- O pocałunku. - Spojrzałem w niebo. - Sram na ten pocałunek. Sram na Tet i na Sal. Tet! Gównu ci na tym zależy.

- Ależ tak, zależy! - wykrzyknął z przestraczem. - Oczywiście, że zależy! Ciężko pracuję, żeby...

- Bzdura.

Wstał, jakby chciał wskoczyć do wody.

- Muszę wracać do rybaków. Chciałem cię tylko przeprosić, żebyśmy mogli znowu być przyjaciółmi i...

Chwyciłem go za łokieć i pociągnąłem na skałę.

- Chryste! Co ci jest?

- Nic! Richard, chciałem cię tylko przeprosić! Ale muszę już wracać, więc...

- Przestań, dobra? Kurwa mać, zachowujesz się tak, jakbym był gestapowcem!

Zamilkł.

- No co?! - wrzasnąłem. - O co chodzi?

Wciąż nie odpowiadał, ale twarz miał bardzo załęknioną.

- Powiedz coś!

Po dobrych kilkunastu sekundach odchrząknął.

- Richard, chciałyby z tobą porozmawiać, ale... ale nie wiem...

- Czego?
- Wziął głęboki oddech.
- Czy to... bezpieczne.
- Bezpieczne?
- Sal nie jest ze mnie zadowolona, więc...
- Ukryłem twarz w dłoniach.
- O Chryste - wymamrotałem. - Ty naprawdę bierzesz mnie za gestapowca.
- Robisz różne... rzeczy. Dla niej, dla Sal. Wszyscy o tym wiedzą.
- Wszyscy?
- Dzisiaj szukałeś Karla.
- Co wszyscy wiedzą?
- Gdzie on jest, Richard? Złapałeś go?
- Zamknąłem oczy, bo naszła mnie fala mdłości.
- Czy on nie żyje?

* * *

Wszyscy wiedzieli, że robię coś dla Sal. Wszyscy o tym mówili. Wszędzie, tylko nie przy mnie.

Etienne chyba też coś mówił, a może pytał mnie, co zrobiłem z Karlem, ale nie mam pewności, bo go nie słuchałem. Powoli przejrzałem na oczy. Przypomniało mi się, jak patrzyła na mnie Cassie, kiedy pozwoliłem, żeby Bugs ugrzązł w swoim gównie. Przypomniało mi się, jak szybko zapadła ta powszechna zmowa milczenia. Przypomniał mi się Jean, który zapraszał mnie na randkę do ogrodu, przypominały mi się strzały, o których nikt ani razu nie wspominał. I niezauważony Christo leżący w namiocie śmierci, zapomniany w pół dnia pogrzeb Stana, Karl w jamie na plaży.

Tyle że teraz wiedziałem już, że nikt o nim nie zapomni. Że unikano go celowo, by dyskretnie dać mi szansę. Umożliwić mi to, co robiłem dla Sal.

Jeden Bóg wie, co musiał przeżywać Etienne od dnia nieszczęsnego zatrucia, jeden Bóg wie, jak interpretował to, co się wokół niego działo. Nie potrafiłem wczuć się w jego sytuację, chociaż bardzo próbowałem. Myślę, że tam, w tej pustej skalnej zatoczce, zdołałem dotrzeć do niego najbliżej. Później nie było już okazji.

W końcu jedynym namacalnym dowodem na to, co musiał przeżywać, było zajęcie po moim pościgu za Karlem. Chwila, kiedy odeszła od niego Françoise, nie chcąc, by naraził ją na niebezpieczeństwo, ignorując jego błagalnie wyciągnięte ramiona. Dużo bym dał, żeby wiedzieć, co mu potem powiedziała. Ale na pewno wystarczyło to, by zrozumiał, że kiedy Karl zniknie, może przyjść kolej na niego.

* * *

- Etienne. - Mój głos dobiegał hen, z oddali. – Chciałbyś wrócić do domu?

Długo nie odpowiadał.

- To znaczy do... obozowiska?

- Nie, do domu.

- Nie do obozowiska?

- Nie.

- Nie do...

- Do domu, Etienne. Ty i Françoise do Francji, ja do Anglii.

Spojrzałem na niego i momentalnie ogarnęła mnie kolejna fala mdłości. Podzielał tak na mnie widok jego twarzy, nieśmiała nadzieja, której nie potrafił ukryć.

- Wszystko w porządku - wymamrotałem. Wyciągnąłem rękę, żeby dla dodania otuchy poklepać go po ramieniu, ale się cofnął. - Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Dzisiaj stąd odpłyniemy.

Na ostrzu

Byłem głupi. Oszukiwałem się. Wraz z pomysłem ucieczki w mojej głowie załąkł się inny pomysł. Że może właśnie tak to wszystko się skończy. Nie atakiem tajskich strażników i paniczną ewakuacją, ale zwykłą demobilizacją sił. Ostatecznie dla wielu amerykańskich żołnierzy tak skończył się Wietnam. A przynajmniej dla większości. Statystyka stała po mojej stronie i uznałem, że jeśli tylko zagram zgodnie z regułami ustalonymi przez pana Kaczora, wyjdę z tego cało.

Nie mogłem się bardziej mylić, ale wtedy tak myślałem.

Miałem mnóstwo naprędce opracowanych planów i koncepcji, tryskałem wypaczonym, zrodzonym z desperacji optymizmem.

* * *

Nie przejmowałem się techniczną stroną ucieczki. Byłoby łatwiej, gdyby Karl nie zabrał łodzi, ale wciąż mieliśmy tratwę. Gdyby i tratwa przepadła, zawsze mogliśmy dotrzeć na sąsiednią wyspę wpław. Byliśmy w znacznie lepszej formie niż poprzednio i nie ulegało wątpliwości, że damy radę to powtórzyć. Skoro środek transportu mieliśmy z głowy, pozostała nam tylko jedna komplikacja: jedzenie i woda. Betka. Wodę mogliśmy zabrać w manierkach, a w polowaniu na ryby nie mieliśmy sobie równych. Tak więc w sumie nad stroną techniczną przedsięwzięcia nie warto było się nawet zastanawiać. Trapił mnie problem znacznie poważniejszy: kogo z sobą zabrać.

Zacząłem od Françoise. Stała dwa głązy dalej, z jedną ręką na udzie, z palcami drugiej na ustach. Etienne przemawiał do niej gwałtownie, ale zbyt cicho, bym mógł cokolwiek usłyszeć.

Ogarnęła mnie trwoga, ponieważ ich rozmowa stawała się coraz bardziej ożywiona. Ożywiona na tyle, że mógł to zauważyć Gregorio. Był w wodzie, nurkował z Keatym przy moim głązie. Już się zastanawiałem, jak odwrócić jego uwagę, gdy wtem rozmowa ustała. Françoise popatrzyła na mnie rozszerzonymi oczami. Etienne zerknął w moją stronę, krótko skinął głową i na tym się skończyło. Wiedziałem, że się zgodziła.

Odczułem wielką ulgę. Nie byłem w stanie przewidzieć, jak zareaguje. Ani ja, ani - co niepokojące - Etienne. Powiedział, że wszystko będzie zależało od tego, czy przedkłada plażę nad miłość do niego. Sądząc po ostatnich wydarzeniach, niewiele brakowało i wybrałaby plażę, z czego obaj zdawaliśmy sobie sprawę.

Jednakże bez względu na to, jak zaciętą walkę stoczyła z sobą Françoise, znacznie większym znakiem zapytania byli dwaj pozostali kandydaci na naszej liście: Jed i Keaty. A raczej na mojej, ponieważ Etienne nie chciał zabrać ani jednego, ani drugiego. Wiedziałem, dlaczego: gdybyśmy uciekali tylko z Françoise, moglibyśmy

wyruszyć natychmiast. Nie minęłyby godzina i byłibyśmy na klifie, w drodze do tratwy. Ale nie. Przez te kilka miesięcy życia na plaży zrobiłem wystarczająco dużo, by mieć koszmary przez następne dwadzieścia lat. Nie chciałem podwyższać wyroku. Jed i Keaty byli moimi najlepszymi przyjaciółmi i choć wiedziałem, że to ryzykowne - zwłaszcza w przypadku Keaty'ego - nie potrafiłem zwać, nie dając im szansy.

Nie mogłem też uniknąć innego koszmaru: decyzji, co zrobić z Gregoriem, Ellą, Unhygieniksem, Jessem i Cassie. Nawet gdyby zgodzili się z nami pójść - choć to nieprawdopodobne - i nawet gdybyśmy zdołali zachować to w tajemnicy przed Sal - co byłoby niemożliwe - nie zmieścilibyśmy się na tratwie. Dlatego musiałem ich zostawić. Pogodziłem się z tym bez wewnętrznych dyskusji. To, jak się czułem, było nieistotne.

* * *

Zaraz po rozmowie z Étienne'em podpłynęła do mnie i przytrzymała się głazu, wychynęła z wody. Czekałem, aż coś powie, ale milczała. Nawet na mnie nie patrzyła.

- Jakiś problem? - szepnąłem, zerkając ponad jej ramieniem. W pobliżu wciąż nurkowali Gregorio i Keaty. - Rozumiesz, dlaczego musimy uciekać?

- Może - odrzekła po namyśle. - Rozumiem, że Etienne boi się Sal.

- I słusznie.

- Tak?

- Tak.

- Ale ty nie dlatego uciekasz. Tobie chodzi o coś innego...

- Jak to?

- Nie uciekłbyś tylko dla Etienne'a.

- Uciekłbym. Uciekam.

Pokręciła głową.

- Nie. Powiesz mi, dlaczego?

- Jest tak, jak mówił ci Etienne...

- Richard, proszę cię. Powiedz.

- Nie mam nic do powiedzenia. Po prostu uważam, że gdybyśmy zostali, Étienne'owi groziłoby niebezpieczeństwo.

- Nie myślisz, że po Tet będzie lepiej? Wszyscy mówią, że będzie.

Może powinniśmy zostać? Oczekalibyśmy kilka dni, a potem, gdybyś nadal się bał...

- Tet niczego nie zmieni, Françoise. Będzie jeszcze gorzej.
- Gorzej... Gorzej niż dotychczas.
- Tak.
- Ale nie powiesz mi, dlaczego.
- Nie wiem, co mógłbym powiedzieć.
- Ale jesteś pewien.
- Tak, jestem pewien.

Puściła się głazu.

- Już nigdy nie będziemy mogli tu wrócić - powiedziała z westchnieniem, zanim jej głowa zniknęła pod powierzchnią wody. - To takie smutne...

- Fakt - odrzekłem, patrząc na bąbelki powietrza, które za sobą zostawiła. - Gdyby było do czego wracać.

* * *

Dziesięć minut później Gregorio wyszarpnął z wody oścień. Na ostrzu trzepotał się miecznik, który próbując odzyskać wolność, zsuwał się powoli po drzewcu - ostatnia ryba niezbędna do wypełnienia zwiększonej tego dnia normy.

Françoise, Etienne i Gregorio ruszyli do brzegu, skacząc z głazu na głaz lub płynąc, gdy było to konieczne. Keaty i ja zostaliśmy w tyle.

- Zaczekaj - powiedziałem, gdy tamci się oddalili. - Chcę ci coś pokazać.

Zmarszczył czoło.

- Musimy odnieść ryby.
- Zdążymy. Wystarczy dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. To ważne.

Wzruszył ramionami.

- Skoro tak...

Nic nie mów, tylko pokaż

Myślałem, że z nich trojga Keaty'ego będzie najtrudniej przekonać. Mieszkał tam najdłużej z nas, nie łączyło go z nami nic, co można by porównać z przywiązaniem Françoise do Etienne'a, nie

trawiła go też czarna rozpacz, jak Jeda. Tymczasem poszło z nim najłatwiej. Wystarczyło, że pokazałem mu pustą zatoczkę w jaskini, i sam wpadł na ten pomysł.

- Jak to zniknęła? - powiedział, nachylając się i rozgarniając wodę w poszukiwaniu zatopionej łodzi. - To niemożliwe. Niemożliwe.

- Nie?

- Nie!

- Przecież sam widzisz.

- Nie mów mi, co widzę!

- Nie wiem, co powie na to Sal.

- Ale ja wiem! Dostanie szału! Wpadnie w amok! Ona... - Gwałtownie ukląkł i chwycił się za głowę. - O mój Boże, Rich...

Zmarszczyłem brwi z nadzieją, że uzna to za wyraz niewinnego zatroskania.

- Co?

- To ja ją przywiązałem. To ja... Jezus Maria...

- Co? Mów!

- Już po mnie! - Niemal wrzasnął. - Już, kurwa, po mnie!

- Jak to? Dlaczego?

- Najpierw ich otrułem, a teraz znowu przesrałem sprawę. Niech to szlag! Kurwa mać! Strata łodzi to... to... Nie rozumiesz? Ona mnie wykończy! Wykończy mnie tak samo, jak wykończyła... Nie! - Zerwał się na równe nogi i zaczął się szybko cofać. - To dlatego mnie tu zwabiłeś, co? Ona już wie! Ona już, kurwa, wie!

Ja też wstałem.

- Nie podchodź do mnie! Ani kroku!

- Keaty...

Uniósł pięść.

- Ani kroku!

- Przysięgam, że jeśli się ruszysz...

Nagle ogarnęła mnie złość na samego siebie.

- Keaty! - krzyknąłem. - Zamknij się wreszcie! Chryste, nie zamierzam cię atakować!

- Cofnij się!

- Dobra, już dobra. - Zrobiłem kilka kroków do tyłu. - Wystarczy?

- Dalej! Aż do ściany!
Stałem pod ścianą.
- Zadowolony?
Zamarł z uniesioną pięścią.
- Jeśli się ruszysz...
- Tak, tak. Zrobisz ze mnie miazgę.
- Żebyś wiedział! Ja to nie to samo co Karl! Nie zdążysz nawet
zmówić paciorka!
- Wiem, rozgnieciesz mnie jak robaka. Ale musisz mi uwierzyć,
że nie zamierzałem cię zabić. Jak mogłeś tak pomyśleć? Jesteś jed-
nym z moich najlepszych przyjaciół!
Pięść opadła, ale tylko o centymetr.
- Czy Sal wie o łodzi?
- Nie.
- Przysięgasz?
- Na swoje życie. Przyprowadziłem cię tu tylko dlatego, żebyś
dowiedział się przed nią. Pomyśl chwilę. Skąd może o tym wie-
dzieć? Wróciliście wieczorem, więc niby kiedy miała to odkryć?
Myślał chwilę, potem opuścił ręce.
- Fakt - mruknął apatycznie. - To prawda. Nie mogła...
- Właśnie.
- Ale odkryje... Na pewno odkryje...
- I to wkrótce.
- Jezu! - wybełkotał, spanikowany jeszcze bardziej niż poprzed-
nio. - A potem? Co zrobi potem? W nocy nie będę mógł spać! Nie
będę mógł pójść nigdzie sam! Muszę...
- Uciekać?
- Muszę uciekać! Tak! Chryste! Muszę zaraz uciekać! Wezmę... -
Okręcił się na pięcie, żeby spojrzeć na zatoczkę. -Boże - wyszeptał -
nie ma łodzi. Utknąłem, utknąłem tu jak w potrzasku...
- Nie - odrzekłem, masując skronie, jakby w tej samej chwili
przyszedł mi do głowy błyskotliwy pomysł. - Jest chyba inne wyj-
ście.

Przyprawa

Byłem na fali. Całkowicie panowałem nad sytuacją. Nawróciwszy dwóch najtwardszych nawróceńców, musiałem tylko zajrzeć do Jeda, zapoznać go z planem, a potem czekać na odpowiedni moment. Czuję się tak dobrze, że gdy wchodziliśmy na polane, zacząłem podśpiewywać piosenkę o myszy w drewniakach. Sęk w tym, że dołączył do mnie Keaty. Z maniakalną werwą, fałszując tak straszliwie, że zwracaliśmy uwagę kolonistów.

- Co ty robisz? - syknąłem. - Brzęczysz jak rój pszczół.
- Nic na to nie poradzę - odszepnął półgębkiem z uśmiechem brzuchomowcy na ustach. - Dostaję sraczkę. Wszyscy na nas patrzą.
- Zachowuj się naturalnie.
- Chyba nie potrafię.
- Gameboy. Idź pograć w gameboya. A jeśli Sal poprosi cię o pomoc, spróbuj zachować spokój,
- Dobra. - Poszedł w stronę namiotu, sztywno wymachując rękami.

* * *

Françoise i Etienne radzili sobie znacznie lepiej, gdyż mogli się wzajemnie wspierać. Siedzieli przed kuchnią i pogrążeni w pozornie niewinnej rozmowie, pomagali patroszyć olbrzymi stos ryb.

Tymczasem Sal zniknęła. Chciałem namierzyć ją przed wyprawą do lazaretu - zabroniła mi tam zaglądać - dlatego wyszedłem na środek polany, myśląc, że jest z Bugsem wśród cieśli.

Podczas mojej nieobecności prace przy budowie zadaszania bardzo się posunęły. Na bambusowych kijach zawieszono prześcieradła i kilka śpiworów z baraku, które utworzyły coś w rodzaju markizy o średnicy siedmiu i pół metra. Cassie siedziała Bugsovi na barana i chichocząc, układała palmowe liście na prześcieradłach. Nad wyspą mógł przelecieć jakiś samolot, dlatego markiza musiała być dość gruba, żeby nie przebijał przez nią blask świateł i żar z ogniska, gdzie mieliśmy piec kurczaki.

Lecz tam też jej nie było. Co oznaczało, że najprawdopodobniej jest w lazarecie z Jedem.

- Niech to szlag - mruknąłem.

- Nie podoba ci się? - spytał oschły głos tuż za mną. Zwlekałem, próbując wziąć się w garść i błyskawicznie coś wymyślić, tak że odwróciłem się dopiero po chwili.

- Co? - spytałem.

- Nasza markiza.

- Markiza? Bardzo. Bardzo mi się podoba. Jest niesamowita. Nie, nie, myślałem o czymś innym.

- Hmm?

- O papierosach. Zostawiłem je na plaży.

- Ach, tak...

- Nie ma sprawy. O ile pamiętam, leżą na linii przyływu, a woda przybiera. Dureń ze mnie.

- To chyba nic poważnego.

- Nie, nie. - Pokręciłem głową. - Drobnostka.

- To dobrze. Cieszę się, że humor ci się poprawił.

- Tak, czuję się o wiele lepiej.

- Wnoszę z tego, że nie grożą nam dzisiaj nieoczekiwane problemy.

- Absolutnie. Nie będzie żadnych problemów. Możesz o nim zapomnieć.

- Zapomnieć? - rzuciła obojętnie. - O kim?

- O Karlu.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- O kim?

- O Karlu.

- Kto to jest Karl?

- Karl... - Wreszcie do mnie dotarło. - Nikt.

- Myślałam, że mówisz o którymś z nas.

- Nie.

- Świetnie. - Leciutko skinęła głową. - Muszę wracać do pracy. Mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia.

- Jasne.

- Gdybyś chciał się czymś zająć, daj mi znać. Coś dla ciebie znajdziemy.

- Dobra.

- Pysznie.

Chwilę później stała już pod markizą, wskazując Bugsowi szpary

w poszyciu, ale on nie zwracał na nią uwagi. Na jego szerokich ramionach wciąż siedziała Cassie. Biegał tam i z powrotem, a ona przeraźliwie piszczała.

* * *

Było dobrze po czwartej, gdy wreszcie wypatrzyłem okazję, żeby zajrzeć do lazaretu i zrobić coś jeszcze. Nie ma to jak oportunizm i przypływ natchnienia, a przynajmniej tak wtedy myślałem.

O czwartej przygotowania do wieczornych obchodów dobiegły końca. Uszczelniono markizę, w garach bulgotał gulasz, kurczaki były gotowe do pieczenia, obierki, pierze i wnętrzności wyrzucono na Khyber Pass. Wyczuwając zastój, Sal zaproponowała wielki mecz na plaży.

- Nabierzmy apetytu! - zawołała. - Porządne apetytu!

To była wspaniała nowina. Ponieważ Keaty i ja nigdy z nimi nie graliśmy, mieliśmy wymówkę, by zostać w obozowisku, a żeby pozbyć się Unhygieniksa, zaproponowaliśmy, że popilnujemy garów. Dziesięć po czwartej polana opustoszała.

- Zauważy - powiedział nerwowo Keaty, patrząc, jak przypiram gulasz garściami marychy. - Będzie dziwnie smakowało.

- Jeśli zauważy, powiem, że to ja. Dla poprawienia atmosfery.

- On nie znosi, kiedy ktoś wpieprza mu się do garów.

- Jeśli nic nie zrobimy, będą tu siedzieli całą noc. - Wziąłem mniej więcej pół uncji trawki i wrzuciłem ją do największego sagan. Po namyśle dodałem jeszcze pół. - Zresztą on też się nawali i po godzinie będzie miał to gdzieś.

- Fakt. Wszyscy odpłyną.

- Otóż to. Tylko pamiętaj, żebyś tego nie jadł. Jedz kurczaka i ryż. Przekaż to Françoise i Étienne'owi.

- Nie jeść gulaszu? Ciężko będzie.

- Jakoś sobie poradzimy. - Otrzeptałem ręce i przyjrzałem się swemu dziełu. Zamieszałem kilka razy kijem i po nowym składniku nie pozostał najmniejszy ślad. - Dodać jeszcze czarodziejskich grzybków albo czegoś?

- Nie.

- Dobra. Jak myślisz, ile tam tego wrzuciłem?

- Do kupy? Do wszystkich garnków?

- Do kupy.
 - Od cholery. O wiele za dużo. Zupełnie ci odwaliło.
- Wybuchnąłem śmiechem.
- Prawdziwa sensacja! Na pierwszą stronę!

Na myśli

W lazarecie panowała dziwna atmosfera, bo kiedy odkaszniałem albo zrobiłem gwałtowniejszy ruch, od razu czułem się nieswojo. Pełne odosobnienie i zaduma, jak w kościele. Wrażenie było tym silniejsze, że się modliłem.

„Umrzyj - szeptałem w duchu. - Niechaj ten oddech będzie ostatni”.

Ale Christo nie przestawał oddychać. Na przekór wszystkiemu, mimo boleśnie długich przerw, pierś unosiła mu się nagle, po czym opadała. Wciąż żył, a ja znowu czekałem.

Głównie przypatrywałem się Jedowi. Wyglądał dziwnie, ponieważ włosy i brodę miał zupełnie gładkie, zlepione potem i krwią. I chyba zupełnie inną głowę. Bardziej kwadratową, niż myślałem. Kwadratową i mniejszą, z szokująco białym czerepem w miejscach, gdzie między mokrymi włosami prześwitywała skóra.

Kiedy wpełzłem do namiotu, nie spojrzał na mnie ani w żaden inny sposób nie dał po sobie poznać, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Patrzył na spokojną twarz Christa i wiedziałem, że odwróci wzrok dopiero wtedy, gdy będzie gotowy. Twarz Christa była najczystsza plamą w namiocie. Pod brodą widniały czarne smugi w miejscach, gdzie Jed go ocierał, ale już poniżej szyi był zarośnięty brudem.

Zauważyłem również, że zniknęła mała torba, która jeszcze poprzedniego dnia stała po prawej stronie Jeda. Torba Karla. Wiedziałem, że należała do niego, ponieważ wystawały z niej kąpielówki firmy „Nike”, które czasami nosił. Chociaż fakt ten pozostawał i pozostaje moim jedynym dowodem, czułem, że Karl odwiedził Christa przed ucieczką. Spodobała mi się ta myśl. Odwiedził przyjaciela, wziął torbę, podprowadził łódź. Całkowicie wyleczony.

Czas mijał szybciej, niż myślałem. Spojrzałem na zegarek, pewny,

że wskazuje góra czwartą trzydzieści, tymczasem okazało się, że jest dziesięć po piątej. Siedziałem w lazarecie bitą godzinę. Zgubić gdzieś aż czterdzieści minut? Koszmar. Lecz obserwowanie Christa było naprawdę absorbujące. Zmuszało do myślenia o takich rzeczach jak życie po śmierci, ponieważ w jego umieraniu było coś, co wiarę w to życie podważało. „Coś”, trudno wyjaśnić, co. Może to, że miał lekko otwarte oczy, choć nie ulegało wątpliwości, że jest nieprzytomny? Te dwie błyszczące szparki nadawały mu wygląd zepsutej maszyny. Maszyny, której mechanizm powoli zamiera.

* * *

Zdałem sobie sprawę, że muszę iść. Zaraz mogli wrócić piłkarze. Nie miałem wyboru i postanowiłem zburzyć tę kościelną atmosferę.

- Jed - powiedziałem kojącym głosem księdza. - Musimy pogadać.

- Dajesz nogę - rzucił apatycznie.

- Tak.

- Kiedy?

- Wieczorem. Po Tet, kiedy wszyscy będą nawaleni. Idziesz ze mną?

- Jeśli Christo umrze.

- A jeśli nie umrze?

- Zostanę.

Zagryzłem skórę po wewnętrznej stronie dolnej wargi.

- Wiesz, że jeżeli zostaniesz, nie będziesz mógł później uciec.

- Uhm.

- Utkniesz tu na amen, a jeden Bóg wie, co się jeszcze zdarzy. I to nie kolejni tratwiarze będą problemem. Karl zabrał łódź. Jeśli skontaktuje się ze swoją rodziną albo z rodziną Stena czy Christa...

- To nie tajaska policja tu przyplynie.

- A kiedy Sal odkryje, że nas nie ma, zrobi się tu...

- Piekło jest tu od dawna.

- Jed, nie mogę zwlekać.

- Wcale tego nie oczekuję.

- Chcę, żebyś ze mną popłynął.

- Wiem.
- A wiesz, że jemu jest wszystko jedno, czy go zostawisz, czy nie? Wiesz? Zasysa tak niewielką ilość tlenu, że pewnie obumarł mu mózg.
- Christo umrze dopiero wtedy, kiedy przestanie oddychać.
- Dobra. - Myślałem kilka sekund. - W takim razie może mu to ułatwimy. Wystarczy zatkać mu usta. Tylko na kilka minut.
- Nie.
- Nie musisz tego robić. Zrobię to za ciebie. Ty potrzywasz go za rękę. To dobra śmierć. Spokojna i...
- Przestań, do kurwy nędzy! - warknął, szybko odwracając głowę i patrząc na mnie pierwszy raz, odkąd wszedłem do lazaretu. Ale twarz natychmiast mu złagodniała.

Znowu zagryzłem wargę. Nie podobało mi się, że na mnie krzyczy.

- Posłuchaj - mruknął. - Do wieczora powinien umrzeć i będę mógł z tobą pójść.
- Ale...
- Teraz już spadaj, bo jeszcze Sal cię zobaczy.
- Nie, ale...
- Zajrzyj do mnie, zanim pryśniesz.

Westchnąłem. Jed znowu patrzył na Christa. Zostałem jeszcze chwilę, potem wyszedłem.

* * *

Keaty pędził na Khyber Pass z naręczem czegoś mokrego i nierozpoznawalnego. Kiedy wrócił, spytałem go, co mu odbiło.

- Wyłowiłem marychę z garów - odparł, wycierając lepkie ręce w podkoszulek. Pachniał cytrynową trawą i drżały mu dłonie.
 - Po co?
 - Musiałem. Ciągle wypływała. Unhygienix od razu by ją zobaczył. Ale gotowała się prawie godzinę, więc...
 - Szorty - powiedziałem.
 - Szorty?
 - Zapaćkałeś je gulaszem. Idź się przebrać.
- Spojrzał w dół.
- Cholera jasna!

- Po prostu je zmień. Żaden problem.

- Po prostu je... Tak. Już.

Zanim wrócił, na polanę zaczęli schodzić się koloniści. Szli ramię w ramię, rozśpiewani i roześmiani. Rozpoczęły się obchody święta Tet.

Potchentong

Trzeba wypatrzeć na palmie zielony orzech kokosowy, ostrożnie naciąć go u podstawy, pod nacięciem zawiesić puszkę, do której będzie skapywało mleczko, odejść i wrócić po kilku godzinach. Do tego czasu mleczko zdąży sfermentować i jeśli się je wypije, idzie do głowy jak mocny browar. Sprytna sztuczka. Trunek smakuje niezłe. Może jest trochę za słodki, ale ujdzie. Zdumiało mnie, że nigdy dotąd nie widziałem, jak się go robi.

Dzięki ogrodnikom wszyscy mieliśmy pełne skorupy.

- Jednym haustem! - krzyczał Bugs. - Do dna!

Musujący płyn ściekał kolonistom po policzkach i po piersi.

Françoise zerkała ukradkiem na Keaty'ego, Etienne na mnie, skutkiem czego byliśmy bardziej mokrzy od pozostałych.

Bugs wypił i kopnął skorupę w chaszcze niczym piłkę. Musiało go cholernie zboleć, bo to tak jak kopnąć twarde polano. Mimo to pomysł chwycił. Wszyscy poszli w jego ślady i wkrótce po polanie skakał tabun ludzi trzymających się za stopę i dziko chichoczących.

- Jak Królik od Alicji - powiedziałem. - Jak stado Królików.

Ale Keaty nie zrozumiał żartu.

- Sal ciągle na mnie patrzy - szepnęła. - Ona coś wie. Może ja też powinienem kopnąć, co? Ale jeśli trzaśnie mi stopa? Zostawicie mnie... - Urwał, rzucił skorupę na ziemię i kopnął. Skrzywił się z bólu i wrzasnął głośniejszy niż pozostali. - Udało się - wysapał. - Ciągłe na mnie patrzy?

Pokręciłem głową. Przedtem też nie patrzyła.

Kiedy Jean zaczął nalewać drugą kolejkę, wyslizgnałem się poza krąg siedzących i podszedłem do Françoise i Etienne'a. Zrobiłem to po trosze po to, żeby uciec od Keaty'ego, który denerwował się przy

mnie bardziej niż zwykle. Pewnie przypominałem mu o tym, co miało nastąpić.

Françoise grała jak najlepsza aktorka. Jeśli była spięta, niczym nie dawała tego po sobie poznać. Stuprocentowo wczuła się w atmosferę imprezy, przynajmniej pozornie. Kiedy podszedłem, wy-lewnie zarzuciła mi ręce na szyję, ucałowała w oba policzki i głośno powiedziała:

- Wszystko jest takie cudowne!

Pogratulowałem jej w duchu. Żeby uwiarygodnić przedstawienie, bełkotliwie przeciągała sylaby, lecz robiła to umiejętnie, ani trochę nie przesadzając. Była po prostu doskonała.

- Czy ja też mogę dostać całusa? - spytał Jesse, trącając łokciem jednego z cieśli.

- Nie - odrzekła Françoise z pijackim uśmiechem. - Jesteś za brzydki.

Jesse przyłożył jedną rękę do serca, drugą do czoła.

- Ja za brzydki! Za brzydki na całusa!

- Zgadza się - wtrąciła Cassie, oddając mu swoje piwo. - Masz. Utop smutki.

- Masz rację! - Odchylając głowę, wypił wszystko duszkiem i cisnął za siebie pustą skorupę. - Ale i tak mnie kochasz, co, Caz?

- Nie wtedy, kiedy nazywałeś mnie Caz, Jez.

- Caz! - zawył Jesse. - Caz! Jez! Caz! - Wziął ją na ręce i zataczając się, ruszył w stronę baraku.

* * *

Kilka minut później poproszono Etienne'a o pomoc przy roznoszeniu jedzenia i Françoise została sama. Coś do mnie powiedziała, ale jej nie usłyszałem, ponieważ uważnie obserwowałem Unhygieniksa, który stał przed kuchnią i ze zdziwioną miną próbował gulaszu z garnka.

- Nie słuchasz mnie.

Unhygienix wzruszył ramionami i zaczął wydawać gulasz kelnerom.

- Przestałeś mnie słuchać. Kiedyś zawsze mnie słuchałeś, a teraz nawet ze mną nie rozmawiasz.

- Taaa... Keaty uprzedził cię, żebyś nie jadła gulaszu?

- Richard!

Zmarszczyłem brwi.

- Co?
- Ty mnie wcale nie słuchasz!
- Przepraszam. Myślę o stu rzeczach naraz.
- Ale nie o mnie.
- Hmm?
- Ale o mnie nie myślisz.
- Oczywiście, że myślę.
- Nieprawda. - Dała mi kuksańca. - Chyba już mnie nie kochasz. Spojrzałem na nią zdumiony.
- Mówisz poważnie?
- Bardzo poważnie - odrzekła rozdrażniona.
- Ale... Przecież... Dlaczego wybrałaś akurat ten moment? Czy musimy rozmawiać o tym teraz?
- Tak, musimy. Etienne'a nie ma, a już niedługo pożegnamy się być może na zawsze.
- Françoise! - syknąłem. - Ciszej!
- Ciszej? Nie wiem, czy cię posłucham. Kiedy tam, na tym polu marihuany, za głośno mówiłam, powaliłeś mnie na ziemię i przygniotłeś. - Zachichotała. - To było bardzo podniecające.
- Rozejrzałem się szybko, wziąłem ją pod rękę i poprowadziłem na skraj polany. Gdy zniknęliśmy z oczu kolonistom, przytrzymałem jej głowę i uważnie obejrzałem źrenice. Były wielkie jak spodki.
- O Boże - wychrypiałem wściekły. - Ty jesteś pijana.
- Tak - przyznała. - Piłam potchentong.
- Potchentong? O czym ty, do cholery, mówisz?
- Ten napój z kokosa, Jean go tak nazywa. Nie jest to prawdziwy potchentong, ale...
- Ile wypiłaś?
- Trzy skorupki.
- Trzy? Kiedy?
- Na plaży. Podczas meczu.
- Ty idiotko skończona!
- Nie miałam wyboru! Skorupa krążyła w koło i trzeba było wypić do dna. Tamci patrzyli i klaskali, więc co mogłam zrobić?
- Chryste! Etienne też pił?
- Tak. Też trzy skorupki.

Zamknąłem oczy i zacząłem liczyć do dziesięciu. A przynajmniej chciałem. Gówniana sztuczka, nigdy nie skutkuje. Doliczyłem tylko do czterech.

- Dobra - powiedziałem. - Chodź.
- Dokąd mnie prowadzisz?
- Tam.

Głośno sapnęła, gdy wciągnąłem ją za drzewo.

- Otwórz usta - rozkazałem.
- Chcesz mnie pocałować?

Wkurzające jest to, że gdybym spróbował, na pewno by mi pozwoliła. Była do tego stopnia pijana. Pokręciłem głową.

- Nie, Françoise. Niezupełnie.

* * *

Wetknąłem jej palce do gardła, a ona ugryzła mnie tak boleśnie, że omal nie zawyłem. Poza tym szarpała się i wila jak wąż. Ale chwyciłem ją za gardło, mocno zacisnąłem rękę i kiedy już zdołałem wepchnąć palce, niewiele mogła zrobić.

Gdy skończyła wymiotować, przylała mi w twarz, co przyjąłem bez protestu.

- Mogłam sama to zrobić - wycharczała.
- Wzruszyłem ramionami.
- Nie miałem czasu na kłótnie. Trochę wytrzeźwiałś?
- Splunęła.

- Tak.

- To dobrze. Obmyj się w strumieniu i dyskretnie wróć na polanę. I nie pij już ani kropli potchentongu. Ani nie jedz gulaszu - dodałem po chwili.

* * *

Gdy dołączyłem do pozostałych, Etienne skończył roznosić jedzenie. Stał samotnie i pewnie rozglądał się za Françoise.

- Siemasz - powiedziałem. - Jesteś wlny?

Zmartwiony skinął głową.

- Potchentong. Kazali mi pić i...

- Tak, słyszałem. - Współczująco zacmokałem językiem. - Mocna rzecz, co?

- Bardzo.

- Nie szkodzi. Chodź ze mną.

Bezrobotny

Scenografia była prosta: koncentryczne kręgi pod markizą. W samym środku krąg świec. Potem ułożone w krąg bananowe liście, z których jedliśmy. W trzecim kręgu siedzieliśmy my, a czwarty i ostatni tworzyły palące się świece. Wyglądało to pięknie i przerażająco zarazem. Pomarańczowe twarze i migotliwe, rozproszone światło za kłębam dymu z trawki. Nikt nie rozmawiał, wszyscy krzyčili. Czasami nawet wrzeszczeli. Niezależnie od tego, czy opowiadali kawały, czy prosili o podanie miski z ryżem, brzmiało to jak krzyk.

Kazałem im usiąść przy mnie. Tak było bezpieczniej. Łatwiej mogliśmy pozbyć się gulaszu, no i cały czas miałem na oku Keaty'ego i Françoise siedzących między mną i Etienne'em. Dzięki temu trudniej też było zauważyć naszą wstrzemięźliwość, która jednak szybko stała się problemem. Pierwszy zauważył to Keaty, niecałą godzinę potem, gdy zaczęliśmy jeść.

- Mówiłem ci, że odpłyną. - Pod markizą panował taki zgiełk, że nie musiał nawet szeptać. - Za dużo tego dodałeś.

- Myślisz, że to trawka tak na nich działa?

- Zwidów pewnie nie mają, ale...

Spojrzałem na siedzącą naprzeciwko Sal. To dziwne, ale mimo harmideru wyglądała jak gwiazda starych, niemych filmów. Tonęła w migotliwej sepii, usta miała wykrzywione i lekko rozwarste, choć nie wydobywał się z nich żaden rozpoznawalny dźwięk. Stęzałe wargi. Łukowate brwi. Pewnie się przed chwilą śmiała.

- ...tak, powoli odpływają - dokończył Keaty. - Albo oni, albo ja.

Tuż za nami wyrósł Unhygienix.

- Dokładka! - wrzasnął. Uniosłem rękę.

- Przejadłem się, już nie mogę!

- Możesz! Jedz! - Machnął chochlą i pacnęła przede mną wielka gula gęstego gulaszu. Przełała się przez krawędź liścia niczym lawa, wyglądając i unosząc z sobą ziarenka ryżu. Małe ludziki w strumieniu lawy - pomyślałem i nagle stwierdziłem, że chyba też zacznę odpływać. Pokazałem Unhygieniksowi uniesiony kciuk i poszedł dalej.

* * *

Pół godziny później, za kwadrans dziewiąta, opuściłem towarzystwo, udając, że muszę się odlać. Właściwie to naprawdę mi się chciało, ale zrobiłem to głównie po to, żeby zajrzeć do Jeda. Sądząc po szybkości, z jaką tamci odtruwali, zakładałem, że impreza skończy się nie później niż o północy, i ciekawiło mnie, czy mamy problem z głowy, czy jeszcze nie.

Wysikałem się przed lazaretem. W normalnych okolicznościach rzecz niedopuszczalna, lecz cnoty obywatelskie nie należały już do moich priorytetów. Potem wetknąłem głowę do namiotu. Ku swemu zdumieniu stwierdziłem, że Jed śpi. Tkwił w tym samym miejscu co przedtem, z tym że teraz leżał na boku. Poprzedniej nocy pewnie nie zmrużył oka.

Jeszcze bardziej zdumiało mnie to, że Christo wciąż żyje, że wciąż ćwiczy swój stary numer: wdech-wydech, wdech-wydech. Pierś unosiła mu się tak leciutko, że trudno było nazwać to oddychaniem.

- Jed - powiedziałem. Ani drgnął. Zawołałem głośniej, ale i tym razem nie zareagował. Spod markizy buchnął chóralny okrzyk. Nie milkł dość długo i widząc, że Jed nawet się nie poruszył, doszedłem do wniosku, że trafia mi się idealna okazja.

Wpełzłem do środka przy lewej ścianie namiotu. Potem, jak sugerowałem to Jedowi, ścisnąłem Christowi nos i zatkałem mu usta. Nie walczył, nie stawiał żadnego oporu. Kilka minut później zabrałem rękę, policzyłem do stu dwudziestu i wyszedłem na chłodną noc. I już. To było naprawdę proste.

Gdy wróciłem na polanę, strzelając palcami w rytm kroków, zrozumiałem przyczynę chóralnego okrzyku, który słyszałem w lazarecie. W pierwszym kręgu świec, pośród nieustającego gwaru, powoli tańczyły Jugosłowianki z głowami na ramieniu partnerki.

Coś się tu dzieje

Jugosłowianki zainspirowały innych i nim usiadłem, do kręgu weszli Sal i Bugs, potem Unhygienix z Ellą, wreszcie Jesse i Cassie.

Owszem, może i mi trochę odwalilo, ale nie na tyle, bym twierdził, że w chwili tej nie było nic pięknego. Cztery kręcące się pary przypomniały mi, jak żyło się tu kiedyś, dawniej. Nawet Sal tchnęła ukojeniem, gdyż zapomniawszy o swoich planach i knowaniach, dała się ponieść tylko uczuciu do Bugsa. Była zupełnie inna. Straciła całą pewność siebie. Tańczyła powoli, jakby z wahaniem, mocno obejmowała Bugsa obiema rękami i przyciskała głowę do jego piersi.

- Nie poznajesz jej - rzucił Gregorio, idąc za moim wzrokiem; kiedy mordowałem Christa, zajął moje miejsce, żeby pogadać z Keatym. - Nigdy jej takiej nie widziałeś.

- Fakt, nie widziałem.

- Wiesz, dlaczego?

- Nie.

- Bo dzisiaj jest Tet, a Sal pali i pije tylko w Tet. Przez pozostałą część roku jej umysł jest czysty. Zawsze, o każdej porze dnia. My śpamy, ale ona myśli za nas.

- Bardzo jej na tej plaży zależy.

- Bardzo. Oczywiście. - Uśmiechnął się i wstał. - Idę po piwo. Przynieść wam?

Obaj podziękowaliśmy.

- A więc tylko ja piję?

- Na to wygląda.

Odszedł w stronę kublów na ryby, w których chlupotały resztki krzakówki Jeana.

* * *

Dziesiąta. Tańce ustały. W pierwszym kręgu zobaczyłem Moshego. W jednym ręku trzymał świecę, drugą dotykał policzka. Nie wiem, czy ktoś zwrócił na niego uwagę, ale ja zwróciłem.

- Ten płomień... - Gorący wosk ściekł mu po nadgarstku i ramieniu, tworząc na łokciu cienki stalaktyt. - Popatrzcie.

- Spójrz - szepnęła Etienne, wskazując Cassie. Ona też przyglądała się płomieniowi świecy, przykucnąwszy z rozanieloną, lecz skupioną miną. Jesse wymamrotał jej coś do ucha i rozdziawiła usta. Za nimi, opierając się o bambusową podporę markizy, siedział Jean, który to zakrywał oczy palcami, to je odkrywał, mrugając przy tym jak kocię.

- Dobranoc, John-Boy! - zawołał jeden z australijskich cieśli.
Odpowiedziało mu natychmiast sześcioro czy siedmioro kolonistów i pod markizą przetoczyła się fala śmiechu.

- Dobranoc, Sal! - zawołała Ella, przekrzykując konkurencję. - Dobranoc, Sal, dobranoc, dobranoc, Sal!

Przypominało to senną szantę, która ucichła dopiero wtedy, gdy wypaliłem papierosa.

- Dziękuję wam, dzieci - odparła Sal i w kręgu siedzących znowu wybuchnął śmiech.

- Widzicie to samo, co ja? - spytał po chwili ten sam Australijczyk. Nikt mu nie odpowiedział. - Bo ja widzę cholernie dziwne rzeczy...

- Potchentong - zadudnił Jean.

Zabrzmiało to jak uderzenie dzwonu.

Moshe upuścił świecę.

- Nie, poważnie. Chyba mam przywidzenia.

- Potchentong.

- Przyprawiłeś go grzybkami?

- Ten płomień - wybelkotał Moshe. - Ten płomień mnie sparzył.

- Zaczął zrywać z ręki nacieki wosku.

- Moshe linieje.

- Ja linieję?

- Liniejesz!

- Potchen, kurwa, tong!

* * *

Nachyliłem się do Keaty'ego.

- To nie może być tylko trawka - szepnąłem. - Nawet gdyby się nią obzarli, nie byłiby na takim haju.

Otarł pot z karku.

- To wariaci. Normalnym jest gorzej. Odbija mi od samego patrzenia.

- Tak - wtrącił Etienne. - Nie podoba mi się to. Kiedy idziemy?

Spojrzałem na zegarek po raz piętnasty w ciągu kwadransa. Założyłem, że wyruszymy koło drugiej albo trzeciej nad ranem, kiedy niebo pojaśnieje, ale Etienne miał rację. Robiło się nieciekawie i uznałem, że w razie konieczności możemy czmychnąć po ciemku.

- Zaczekajmy jeszcze godzinę - powiedziałem. - Myślę, że za godzinę będziemy mogli prysnąć.

Nie bardzo wiadomo, co to jest

Ale godzina nie wystarczyła. O wpół do jedenastej wszystko zaczęło się chrzącić.

Do tej pory myślałem, że panuję nad sytuacją. Niewykluczone nawet, że panowałem. Pokonaliśmy szereg trudności. Otrzeźwiłem Françoise, uporałem się z oddechem Christa, dotrwaliśmy do końca posiłku, niezauważenie wyrzucając gulasz, tak że nie licząc Jeda, nic nas tam nie trzymało. Obchody Tet powoli dobiegały końca. Musieliśmy tylko uzbroić się w cierpliwość i w odpowiedniej chwili zniknąć.

Ale kiedy o wpół do jedenastej pod markizą ukazał się pan Kaczor, wiedziałem, że mam problem.

Wyszedł z cienia i przystanął w zewnętrznym kręgu świec. Potem podszedł do Sal i Bugsa i pozdrowił mnie lekkim uśmiechem, usiadł razem z nimi.

- Gdzie idziesz? - spytała Françoise, gdy wstałem. Odezwała się pierwszy raz od długiego czasu. Po tańcach leżała z głową na kolanach Etienne'a, wpatrując się w markizę. Musiała mieć kaca po przedpołudniowym ochlaju, bo bardzo zbladła, ale w jej głosie brzmiała też wyraźna nutka strachu. Zważywszy okoliczności, nie było w tym nic dziwnego, ale nie miałem nastroju na wyjaśnienia. Ani na podnoszenie ich na duchu.

- Możemy dać dupy. - Co za idiota: powiedziałem to na głos.

Etienne rozejrzał się na wszystkie strony.

- Co? Co jest?

- Muszę coś sprawdzić. Nie ruszajcie się stąd. Jasne?

- Niejasne. - Keaty chwycił mnie za nogę. - Richard, co się dzieje?

- Muszę coś zrobić.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie powiesz, co jest grane.

- Puść. Greg na nas patrzy.

Jeszcze mocniej zacisnął rękę.

- Mam to gdzieś. Powiedz, kurwa, o co chodzi, bo...

Nachyliłem się i ucisnąłem wewnętrzną stronę jego nadgarstka, blokując dopływ krwi. Kilka sekund później sflaczała mu dłoń.

* * *

- Cześć, Sal.

- Richard - odrzekła uszczęśliwiona. - Moja prawa ręka. Jak się miewa moja prawa ręka?

- Jak mańkut. Od jakiegoś czasu widzę jakieś zjawy. - Te ostatnie słowa skierowałem do pana Kaczora, który bardzo się tym ubawił.

- Usiądź z nami.

- Idę do baraku po papierosy.

- Gdybyś z nami usiadł... - Na chwilę odpłynęła, ale szybko podjęła wątek. - Wiedziałabym, że ty i Bugs znowu jesteście przyjaciółmi.

- Przecież jesteśmy.

Pan Kaczor wybuchnął chrapliwym śmiechem, ale marzycielsko nastrojony i pełen dobrej woli Bugs kiwnął głową.

- Tak - mruknął. - Nie ma tu wrogów.

- To była... ostatnia rzecz, jaka mnie martwiła. Pragnęłam, żebyście zostali przyjaciółmi.

Poklepałem ją po ramieniu.

- Więc już się nie martw. Wszystko wróciło do normy, jak chciałaś.

- Tak... Dokonaliśmy tego, Richard.

- Ty tego dokonałaś.

- Przepraszam, że na ciebie krzyczałam. I to tyle razy... Przepraszam.

- Muszę zapalić. Pogadamy później.

- I usiądziesz z nami.

- Jasne.

* * *

Gdy tylko wszedł do baraku, chwyciłem go za kark i przyparłem do ściany.

- No, dobra - warknąłem. - Gadaj, co się dzieje.

Popatrzył na mnie, lekko skonsternowany, zrobił niewinną minę i zachichotał.

- Chcesz nas powstrzymać?

Nie odpowiedział.

- Mów, po coś tu przylazł!

- Groza - odparł.

- Co?

- Groza.

- Jaka groza?

- Groza!

- Ale jaka?

Westchnął i błyskawicznie wyszarpnął się z uścisku.

- Groza - powtórzył ostatni raz, dał nura na dwór i zniknął.

* * *

Na kilka sekund zamarłem z bezsensownie uniesionymi rękami, jakbym nadal go trzymał. Potem otrzeźwiałem i ruszyłem biegiem do markizy, prawie nie kryjąc się z pośpiechem.

- Dobra - szepnąłem, dotarłszy do Keaty'ego i pozostałych. - Przygotujcie się. Idziemy.

- Teraz?

- Teraz.

- Ale... ale tam jest ciemno choć oko wykol!

- Jakoś sobie poradzimy. Pójdę pierwszy, po Jeda i menażki z wodą. Pięć minut po mnie odejdą Françoise i Etienne. Potem Keaty. Spotkamy się przy ścieżce na plażę za...

Odgłos

Dokładnie w chwili, gdy wypowiedziałem słowo „ścieżce”, Bugs zerwał się na równe nogi. Cała marzycielskość i dobra wola wyfru-
nęły oknem. Zęby miał wyszczerzone, oczy rozszerzone.

- Co to, kurwa, za hałas? - syknął.

Wszyscy na niego spojrzeli.

- Co to, kurwa, za hałas? - powtórzył.

Unhygienix roześmiał się sennie.

- Czyżbyś słyszał głosy, Bugs?

- Jakby... jakby ktoś rozchyłał gałęzie. Jakby się przez nie przedzierał.

Sal, która siedziała w pozycji kwiatu lotosu, szybko przyklęła.
- Czy wszyscy tu jesteśmy? - spytała, przebiegając wzrokiem po rozciągniętych na ziemi postaciach.
- Ja nie - wymamrotał Jesse. - Mnie chyba nigdzie nie ma...
Bugs cofnął się o krok.
- Tam ktoś jest, na sto procent.
- Może to Karl - spekulował ktoś niepewnie.
W moją stronę odwróciło się kilka głów.
- To nie Karl.
- Jed?
- Jest w lazarecie.
- Skoro to nie Karl ani Jed...
- Cicho! - Cassie też wstała. - Ja też coś słyszałem! Teraz! Znowu!

Wyteżyliśmy słuch.
- To nic - uspokajał Jesse. - Wyluzujcie się, dobra? Jesteśmy na dziwnym hajju, dlatego...
- Na żadnym hajju - przerwał mu Bugs. - Skupcie się. Mówię wam, idą tu jacyś ludzie.
- Ludzie?

I nagle wszyscy zaczęli wstawać, ponieważ wszyscy to usłyszeli. Nie było żadnych wątpliwości. Przedzierając się przez chaszczę, szeleszcząc liśćmi, od strony wodospadu szli ku nam ludzie.

- Uciekajcie! - krzyknęła Sal. - Uciekajcie! Szybko!

* * *

Za późno.

Cztery metry przed nami, w tłustym blasku świec wokół marki-zy, zmaterializowała się jakaś postać. W ciągu kilku sekund u jej boku wyrosły następne. Ludzie. Wszyscy mieli automaty, wszyscy celowali w nas. Nie byli mokrzy, więc nie mogli zeskoczyć z wodospadu. Może znali jakąś tajną drogę do laguny, może zeszli z klifu po linach, a może po prostu spłynęli ze skał. Sądząc po tym, jak wyglądali w półmroku, było to całkiem prawdopodobne.

Popatrzyłem na kolonistów. Oprócz Françoise i Etienne'a nikt z nich nie widział dotąd żołnierzy Wietkongu i ciekawiła mnie ich

reakcja. Byli stosownie przerażeni. Dwóch z nich, Moshe i jeden z ogrodników, opadło na kolana, a pozostali zastygli bez ruchu w żywym obrazie strachu. Rozdziawione usta, zaciśnięte szczęki, przyciśnięte do piersi ręce - niemal im zazdrościłem. Pierwsze spotkanie zawsze robi tęgie wrażenie.

Apokalipsa

Zdałem sobie sprawę, że ucieczka nie wchodzi w rachubę, że wszystkich nas zabiją, i pogodziłem się z tym bez goryczy. W żaden sposób nie mogłem temu zapobiec i czułem, że będę umierał z czystym sumieniem. Chociaż wiedziałem, że Wietnam może się tak skończyć, nie uciekłem. Bezinteresownie zostałem, chcąc, żeby moi przyjaciele uciekli ze mną. Choć raz postąpiłem jak trzeba.

I właśnie dlatego byłem wściekły, że ci z Wietkongu tak nie postępują, dlatego ogarnęła mnie prawdziwa furia.

Kiedy znowu na nich popatrzyłem, szef tajskich strażników kiwnął na mnie palcem. W następnej chwili jeden z jego ludzi wywlókł mnie spod markizy i pchnął na ziemię. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że zginę pierwszy.

Pierwszy! Dziesiąty, jedenasty, dwunasty - w porządku, proszę bardzo. Ale pierwszy? Nie mogłem w to uwierzyć. Przecież ominie mnie całe widowisko.

Strażnik przytknął mi do czoła lufę kałasza.

- Robisz wielki błąd - warknąłem. - Wszystko spieprzysz. - Ruchem głowy wskazałem Moshego. - Dlaczego najpierw nie zastrzelisz jego? Co ci za różnica? Zabij jego.

Miał pociągnąć twarz i patrzył na mnie obojętnie.

- Na miłość boską, jego! Tego włochatego goryla!

- Gryła? - powtórzył.

- Goryla, ty skośnooki debilu! Ty kutasie śmierdzący! Jego! Tego tam!

Wskazałem palcem Moshego, który cicho jęknął. Strażnik kopnął mnie w plecy.

- Kurwa mać - sieknąłem, czując, że nerki zalewa mi fala czerwonego bólu.

Nie mogąc się powstrzymać, upadłem na bok i znowu zobaczyłem kolonistów. Żywy obraz strachu nie zmienił się ani na jotę, jeśli nie liczyć Etienne'a, który zasłonił sobie oczy.

- Dobra. - Z trudem ukląknęłam. - W takim razie przynajmniej pozwólcie mi wybrać kata.

Nie popełniłem tego samego błędu i już nikogo nie wskazałem. Zamiast tego obróciłem się lekko, tak że w głowę celowała mi teraz lufa broni znajomego kick boksera.

- Chcę, żeby zabił mnie on. Tyle możecie chyba dla mnie zrobić, nie? Każcie mu mnie zastrzelić.

Kick bokser zmarszczył czoło i zerknął na szefa. Szef wzruszył ramionami.

- Tak, ty. Ty z wytatuowanym smokiem. - Spojrzałem na jego usta. Miał zaciśnięte wargi. Zaciśnięte i lekko odęte z zaskoczenia. - Coś ci powiem, chcesz? Wiem, że nie masz przednich zębów. - Postukałem się w swoje. - Szpara, co?

Niepewnie podniósł palec i wetknął go do ust.

- Tak jest! - wrzasnąłem. - Nie masz przednich zębów! A ja o tym wiedziałem!

Kick bokser przez kilka chwil wodził paluchem po nagich dźwięślach. Potem powiedział coś do szefa.

- Aaaa... - Szef kiwnął głową. - To ty nas odwiedzasz, tak? Codziennie, ha? Lubisz do nas przychodzić.

Łypnąłem na niego spode łba. I nagle, ku memu zdziwieniu, Taj przykucnął i pieszczotliwie potarzał mi włosy.

- Zabawny chłopiec zza drzew. My też cię lubimy. Podbierałeś trawkę, ha? Dla przyjaciół, tak? Dobrze.

- Szybko, zabijcie mnie wreszcie - wychrypiałem odważnie.

- Zabić? Zabawny chłopiec... Nie, ja cię teraz nie zabiję. - Znowu potarzał mi włosy i wstał. - Teraz nikogo nie zabiję - rzucił w stronę zeszytnianych kolonistów. - Daję wam ostrzeżenie. Jesteście tu, żaden problem. Rok, dwa, trzy lata, żaden problem, ha?

Chyba czekał na odpowiedź, ale nikt mu nie odpowiedział. Zdaje się, że cholernie go to wkurzyło, gdyż powoli nabrał powietrza i dał upust histerycznej wściekłości.

- Ale teraz robicie problem! Kurewsko duży problem! - Wyjął z kieszeni kawałek papieru. Zapadła martwa cisza. Nawet cykady zrozumiały, że lepiej siedzieć cicho. - Rysujecie mapy! - wrzasnął

Taj. Połowy następnego zdania nie usłyszałem, gdyż ogłuszyło mnie pulsowanie krwi w uszach. - Dlaczego to robicie? Mapy sprowadzą obcych! Nowych ludzi! Nowi ludzie to dla mnie niebezpieczeństwo! I kurewskie niebezpieczeństwo dla was!

Zawahał się i nagle się uspokoił, z tą samą oszałamiającą gwałtownością, z jaką poprzednio wpadł w gniew.

- No, dobra - wymamrotał. Upuścił mapę, wyjął z kabury pistolet i wypalił. Chybił, lecz kula trafiła wystarczająco blisko celu, by papier wzbił się w powietrze. Na kilka sekund kompletnie ogłuchłem - strzelał najwyżej trzydzieści centy metrów od mojej głowy.

Gdy w końcu zacząłem odzyskiwać słuch, Taj gawędził złowieszczco normalnym tonem głosu.

- No i tak, przyjaciele. Bardzo was lubię. Bardzo. Rok, dwa lata, żaden problem. Dlatego posłuchajcie ostrzeżenia. Następnym razem zabiję was wszystkich.

Ponieważ po raz trzeci tego wieczoru skutecznie odebrano mi wszelką zdolność postrzegania - Taj akcentował swoją wypowiedź, grzmocąc mnie w głowę ręką pistoletu - ta ostatnia uwaga nie zdążyła do mnie dotrzeć. Oszołomiony, próbowałem wstać, ale znowu mi przyłożył i opadłem na kolana. Jako tako otrzeźwiawszy, poczułem, że przytrzymuje mnie za podkoszulek, bym nie runął na twarz.

- Zaczekaj - wybełkotałem. Całą junakierę szlag trafił. Sprawdziwszy, jak to smakuje, nabyłem stuprocentowej pewności, że nie chcę, by skatowali mnie na śmierć. - Zaczekaj, proszę.

Nic z tego. Tym razem uderzył mnie cholernie mocno. Przez kilka sekund zachowywałem pełną przytomność i gapilem się na jego buty. Nosił reeboki, jak nasz przewoźnik z Ko Samui. Potem ogarnął mnie mrok.

* * *

Nie wiedziałem, co się dzieje. Zarejestrowałem tylko kilka rzeczy: czyjeś kroki, szelest liści, przyciszone głosy Tajów, parę kopów, które przetoczyły mnie na bok. Ale żadne z tych spostrzeżeń nie łączyło się z innymi. Były zupełnie oderwane i zbijały z tropu.

Kiedy w końcu zdołałem wstać i utrzymać się na czworakach, co

trwało co najmniej dziesięć minut, Wietkong już zniknął. Zacząłem iść - a może pełznąć - w kierunku markizy, gdzie widziałem zamazane sylwetki kolegów, i cały czas zastanawiałem się, dlaczego zrobili ze mnie worek treningowy. I po co? Skoro nie zamierzali nas zastrzelić, to niesprawiedliwe, że narazili mnie na ból.

Teraz

Powiniennem był zadać sobie inne pytanie, ale go nie zadałem. Ze swego, teraz już rozległego doświadczenia wiem, że umknęło mi z powodu dziwnej dysfunkcji mózgu po silnym wstrząsie. Człowiek próbuje wtedy rozwiązywać nieistotne zagadki, zapominając o prawdę ważnych.

Pytanie, którego sobie nie zadałem, brzmi następująco: Dlaczego nikt nie próbuje mi pomóc? Skoro straciłem przytomność na dobre dziesięć minut, mieli wystarczająco dużo czasu, żeby coś zrobić. Mimo to nadal kulili się ze strachu w kręgu świec niczym zgraja figur woskowych.

- Pomóżcie mi - wybełkotałem. - Co z wami jest?

Próbowałem groźnie na nich spojrzeć, ale było to niezwykle trudne. Nie dość, że nie mogłem skupić wzroku, to jeszcze widziałem podwójnie i nie bardzo wiedziałem, na kogo mam patrzeć.

- Keaty... pomóż.

Słyszając swoje imię, nagle ożył. Zrobił kilka kroków w moją stronę, ale nawet ja - te cholerne oczy! - dostrzegłem, że w jego ruchach jest coś dziwnego. Jakby bał się czegoś za moimi plecami.

Łokcie nie wytrzymały i grzmotnąłem policzkiem w ziemię. Z ust pociekła mi ślina, a wraz z nią piasek.

- Szybko, Keaty.

Już był przy mnie, on i jeszcze ktoś. Sądząc po zapachu, chyba Françoise. Nie mieli siły, więc chwyciwszy mnie pod pachy, zdołali dźwignąć tylko głowę i ramiona, po czym zawlekli mnie pod markizę. Po drodze zgasilem brzuchem kilka świec. Znowu mnie zabolalo, lecz ten ból, choć zupełnie niepotrzebny, zmusil mnie przynajmniej do trzeźwiejszego myslenia. Pomogł mi również łyk

kokosowego piwa. Potchentong szybko kwaśniej i to, co przełknąłem, przypominało w smaku ocet mocny na tyle, że się skrzywiłem i zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, widziałem już normalnie.

I nareszcie zrozumiałem, dlaczego wszyscy skamienieli. Przytrzymując się Etienne'a i bambusowego wspornika, niezdarnie wstałem. Tajowie uznali, że samo bicie nie jest wystarczająco sugestywnym ostrzeżeniem. Zostawili nam coś na pamiątkę, żeby przestroga do nas dotarła.

* * *

Kule paskudnie ich poharatały. Wielkie dziury, zmiażdżone czaszki. Wszystkie ciała były nagie, co sugerowałoby, że przed śmiercią kazali im się rozebrać. Sammy leżał na plecach, ale nim zesztyniał, musiał leżeć na brzuchu, dlatego wyglądał tak, jakby próbował podtrzymać opadające niebo. Niemka o długich włosach, ta, która tak ładnie się śmiała, miała wyciągnięte ręce i spoczywała na boku. Jakby prosiła, żeby ktoś ją uściskał.

Nie ma potrzeby wdawać się w szczegóły. Ten krótki opis zupełnie wystarczy i zamieściłem go tylko dlatego, że jest istotny dla dalszego rozwoju wydarzeń.

Widok taki jak ten byłby straszny nawet w normalnych okolicznościach. To, że ujrzeliśmy go zaraz po występie tajskich strażników, jeszcze bardziej spotęgowało grozę. Ale przeżyć to wszystko na haju, po trawce i alkoholu? Każdy by zwariował.

* * *

- Dobrze. - Sal ocknęła się z transu i ruszyła w stronę sterty ciał.
- Trzeba to sprzątnąć. Jeśli wszyscy weźmiemy się do pracy...

Urwała. Lekko odchyliła ramiona, jakby zdejmowała żakiet, i gwałtownie usiadła.

- Szybko się uwiniemy. Chodźcie. Uprzątnijmy ten... Wstała.

- Bałagan. Co za bałagan...

Niemiec utknął pod pierśią Zepha i szepił się z nim zesztyniałymi ramionami. Sal szarpnęła go za nogę, ale on ani drgnął, więc

pociągnęła jeszcze mocniej. Na próżno. Patrzyliśmy na to bez słowa.

- Co za bałagan! - wy sapiała i szarpnęła ponownie.

Noga wyslizgnęła jej się z rąk.

Sal runęła do tyłu. Padając, zdążyła się odwrócić i wylądowała na zwłokach Sammy'ego.

- Ależ niezdara ze mnie! - rzuciła wesoło.

I nagle zaczęła przeraźliwie krzyczeć i drapać się po policzkach. Staczając się z Sammy'ego, musnęła twarzą jego twarz, a on nie miał dolnej szczęki.

Krzyczała tak, jak niektórzy płaczą. Ci, którzy zazwyczaj nie płaczą wcale, a jeśli już, wiadomo, że ich łzy płyną z jakiejś niezbadanej głębi. Odgłos ten przyprawiał o gęsią skórkę, ale na Bugsa podziałał zupełnie inaczej. Bugsowi odbiło.

Dużo myślałem o tym, co zrobił, i mam na to dwa wytłumaczenia. Według jednego wściekł się na Sammy'ego za to, że pocałował Sal. Według drugiego uznał, że Sammy doprowadził ją do rozpaczy, i pragnął tę rozpacz ukrócić. Oba wytłumaczenia zakładają, że Bugs był obłąkany, ale nie szkodzi. On był obłąkany.

Zawołał do niej. Potem zaszlochał, króciutko i cicho. Potem wszedł w krąg świec i chwycił jeden z krótkich, za to szerokich noży Unhygieniksa. Jeszcze potem zaatakował Sammy'ego.

Najpierw tylko go kopał, ale wkrótce zaczął dźgać. W pierś, w pachwinę, w rękę, wszędzie. Wreszcie usiadł na nim, chwycił go za szyję i kilka razy szarpnął. A przynajmniej tak myślałem. Za markizą panował półmrok, poza tym szerokie bary Bugsa zasłaniały widok. Zobaczyłem to dopiero wtedy, gdy wstał. Uciał Sammy'emu głowę. Uciał i podniósł za włosy, tak że się zakolysała.

I nagle w rękach Jeana też błysnął nóż, nagle on też dołączył do jatki, rozcinając brzuch szczupłej Niemce i wywlekając zeń wnętrzności. Do Jeana dołączyła Cassie, która pochyliwszy się nad Zephem, pracowicie chlastała mu uda. Etienne zwymiotował i nim upłynęło kilka sekund, zwłoki pokrywała chmara kolonistów.

* * *

Patrząc wstecz, wiem, że mogliśmy wtedy zwiać. Pod markizą zostali wszyscy kucharze, Jesse, Gregorio i kilku ogrodników, ale na pewno nie próbowaliby nas powstrzymać. Poza tym zdążyłem odzyskać siły, mogłem już chodzić. Rozgrywająca się przede mną scena wpompowała mi do krwi tyle adrenaliny, że zapomniałem o bólu. Gdyby było to konieczne, dałbym radę zaliczyć cały maraton, więc szybki skok w ciemność nie stanowiłby żadnego problemu.

Mimo to zostaliśmy. Proces ćwiartowania tratwarzy pochłonął nas i zahipnotyzował. Widok każdej odciętej kończyny coraz bardziej przykuwał mnie do miejsca, gdzie stałem.

Atak swoich

Nie wiem, jak długo trwał ten obłęd. Może nawet pół godziny. Nad niektórymi stawami zirytowani rzeźnicy musieli się zdrowo napocić, bo na przykład ścięgnię ramion puszczały dopiero wówczas, gdy się je ukrećilo. Ale w pewnym momencie zauważyłem, że tłum się przzerzedził, że większość kolonistów siedzi wyczerpana obok swych ofiar albo krąży bez celu w ciemności. Został tylko Moshe. W skupieniu odcinał coś małego, może palec, i chyba sprawiało mu to trudności. I właśnie kiedy obserwowałem Moshego, dobiegł mnie głos Sal.

- „Zaczekajcie tu trzy dni - czytała paraliżująco zimnym głosem. - Jeśli do tego czasu nie wrócimy, znaczy to, że się nam udało. Do zobaczenia na plaży? Richard”.

Chwilę trwało, nim słowa te do mnie dotarły. Przez kilka pierwszych sekund były tylko nic nieznaczącym ciągiem sylab. Lecz zaraz potem, w przeblýsku zrozumienia tak namacalnym, że prawie widocznym, z całkowitą jasnością zrozumiałem ich wagę.

Odróciłem się. Stała obok mnie z kartką papieru, którą zostawił szef tajskich strażników. Ogłuszony wystrzałem i rękojęścią pistoletu, zapomniałem, jak istotne znaczenie ma ten świstek papieru.

- „Do zobaczenia na plaży? - powtórzyła. - Richard...”

Chirurdzy poruszyli się niespokojnie. Kilku podeszło bliżej, mijając po drodze Keaty'ego, który patrzył na mnie z dziwnie nieobecnym wyrazem twarzy.

- Richard? - szepnął któryś. - To Richard ich tu sprowadził? - Pytała jakaś dziewczyna, do tego stopnia uwalana czymś czerwonym i czarnym, że jej nie rozpoznałem.

Nadchodzili pozostali, otaczając mnie cichym kręgiem, odcinając od Keaty'ego i Françoise. Rozpaczliwie próbowałem odszukać choćby jedną znajomą twarz. Czułem, że gdybym ją znalazł, mógłbym odwołać się do kogoś konkretnego. Że mógłbym się obronić. Lecz im więcej ich przybywało, tym bardziej anonimowe się stawały. Szurali nogami, przewracali świece, gęstniała ciemność, ich rysy się rozmywały. Kiedy zniknął Etienne, zostałem sam na sam z obcymi.

- Jean! - krzyknąłem. Obcy się roześmiali.

- Moshe! Cassie! Wiem, że tu jesteście! Sal! Sal! Ale Sal też nie było.

- Po Tet wszystko wróci do normy - syknął jakiś stwór z miejsca, gdzie jeszcze niedawno stała.

- Sal, proszę...

Poczułem ukłucie w nodze. Spojrzałem w dół. Ktoś mnie dźgnął. Niezbyt mocno, ale, nie wiedzieć czemu, tym bardziej mnie to przeraziło. Krzyknąłem i znowu mnie dźgnięto. Z taką samą siłą jak poprzednio. Ostrze zagłębiło się najwyżej na centymetr, tym razem w ramię, a zaraz potem w pierś.

Przez kilka sekund byłem zbyt zaszokowany, żeby cokolwiek zrobić. Po prostu stałem i jak głupi ścierałem z brzucha krew. Ale potem wezbrała we mnie trwoga, a gdy dotarła do gardła, zacząłem przeraźliwie wrzeszczeć. Próbowałem też walczyć. Wypuściłem cios w najbliższą twarz, ale chybiłem i pięść ześlizgnęła się niegroźnie po kości policzkowej. Następny cios przyblokowano i ktoś chwycił mnie za nadgarstki.

- Nie! - jęknąłem błagalnie i zacząłem się obracać. Strach dodał mi sił i zdołałem wyszarpnąć ręce, lecz ilekroć odwróciłem się od noży, ktoś dźgał mnie w plecy. Czułem, że jest coraz gorzej. Już mnie nie dźgali, tylko cięli. Był to inny ból, nie tak ostry. Za to nieskończenie bardziej obcy i niepokojący.

- Tylko nie tak! - zaszlochałem.

Wokół szyi owinięto mi coś śliskiego. Jelita. Moje - pomyślałem że zgrozą i czym prędzej je zerwałem. Tamci wybuchnęli śmiechem

i zaczęli ciskać we mnie częściami ciała tratwiarzy. W pierś pacnęła mi dłoń. Do skroni przywarło ucho.

Czując, że nogi miękną mi w kolanach, zasłoniłem się rękami. Po raz ostatni spojrzałem na wyjących rzeźników i na ich noże. Znowu zawołałem Sal. Błagałem, żeby kazała im przestać. Przepraszalem za to, co zrobiłem, ale już nie bardzo wiedziałem, za co. Wiedziałem tylko, że nigdy w życiu nie chciałem nikogo skrzywdzić.

W końcu przywołałem Kaczora Daffy'ego.

I nagle pośród wirujących twarzy dostrzegłem znajomą gębę. Od razu ją rozpoznałem.

Ale... ale...

Wciąż mnie dźgali, lecz już nie czułem bólu. Twarze nadal wirowały, ale ta jedna pozostawała nieruchoma. Mogłem do niej mówić, cicho i spokojnie, a ona mi odpowiadała.

- Daffy. Mamy przesrane.

- Tak jest, żołnierzu. Kurewska sprawa, i to *beaucoup*.

- Oberwać od swoich...

- Albo to pierwszy raz?

Ostrze noża rozharatało mi górną wargę.

- Ale to chyba nic nie znaczy, co?

- Niewiele.

- Nie powinno mnie tu być. To wszystko. - Westchnąłem, nogi się pode mną załamały i upadłem na dywan z palmowych liści. - Chryste, co za paskudna śmierć! Ale przynajmniej to już koniec.

- Koniec? - Daffy pokręcił głową. - Nie, jeszcze nie. Wykluczone.

- Nie?

- Skup się, Rich. Pomyśl. Pomyśl, jak się to powinno skończyć.

- Musimy...

- Płaski dach. Spanikowany tłum. Brak miejsca w...

- Ostatnim śmigłowcu.

- Zuch chłopak.

- Ewakuacja.
- Choćby zaraz.

* * *

Daffy zniknął. Dźganie ustało. Jedna z rzeźniczek rzucała się gwałtownie, gmerając po brzuchu, inna runęła na bok, wymachując ramionami.

Spojrzałem za siebie i zobaczyłem Jeda. Obok niego stali Keaty, Etienne i Françoise. Wszyscy czworo ściskali w rękach rybackie oścień skierowane ostrzami w napastników. Na ziemi siedział Bugs. Ręce przyciskał do piersi, a na kolana spływała mu krew. Moshe opierał się o bambusowy wspornik, ściskając sobie bok i głośno sapiąc przez zaciśnięte zęby.

- Cofnąć się! - wrzasnął Jed. - Wszyscy! - Chwyć mnie za rękę, zarzuć ją sobie na szyję i pomóż mi wstać. - Cofnąć się!

Bugs runął na twarz.

- Ale... - zaczęła Sal. - Ale... - Gdy zrobiła krok w naszą stronę, Jed wbił oścień w fałdy jej koszuli i natychmiast go wyszarpnął. Sal zachwiała się, lecz nie upadła.

- Do tyłu! - powtórzył Jed. - Ale już!

To zdumiewające, lecz się cofnęli. Przewyższali nas liczebnością i gdyby tylko chcieli, łatwo mogliby nas zatrzymać, tymczasem pozwolili nam odejść. Nie sądzę, żeby podziałał tak na nich widok Sal, która zamknęła oczy, nie mogąc złapać tchu. Nie. Byli po prostu zmęczeni. Poznałem to po ich sflaczałych ramionach i szklistych oczach. Zmęczeni wszystkim. Kurewska sprawa, i to *beaucoup*. Bardzo *beaucoup*.

GAME OVER

Dziwne, ale prawdziwe

Czuję, że powinienem też zdać relację z powrotu do domu. Załatwię to krótko, ponieważ opowieść dobiegła już końca. To tylko epilog.

* * *

Dużo rozmawialiśmy. Z całej podróży najbardziej pamiętam właśnie to: nasze rozmowy. Utkwiły mi w pamięci, ponieważ było to takie nieoczekiwane. Pomyślałby ktoś, że będziemy milczeć, wyalienowani i pochłonięci każde swoim horrorem. I rzeczywiście, pierwszą część drogi, nocny marsz przez wyspę, pokonaliśmy w milczeniu. Ale wyłącznie dlatego, że baliśmy się strażników. Gdy tylko odbiliśmy od brzegu, otworzyły nam się usta, a potem nie mogliśmy już ich zamknąć. Zabawne jest to, że za nic nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Może dlatego, że gadaliśmy o wszystkim, a może dlatego, że o niczym.

Ze względu na swój stan niewiele mogłem im pomóc, ale oni zmieniali się parami, by dzielnie wiosłować i płynąć. Cały czas miałem napady dreszczy. Kiedy nadchodziły, mogłem tylko zwinąć się w kłębek i dygotać jak galareta. Trwały ledwie parę minut, ale Jed uznał, że powinienem zostać na tratwie, bo mogę się utopić. Fakt, gdy płynęliśmy przez lagunę do jaskiń i do skalnego komina, omal nie poszedłem na dno. Poza tym od soli koszmarnie paliły mnie rany, co z tego, że powierzchowne.

Nie musieliśmy długo wiosłować. Kilka godzin po świcie podpłynął do nas rybacki kuter. Po żartobliwej wymianie zdań doholowali nas do Ko Samui. To było niezwykle. Rybacy niczemu się nie dziwili, okazywali tylko wesołe zaciekawienie tym, kim jesteśmy

i co robimy na tratwie w Zatoce Tajlandzkiej. Uniesienie brwi wywołał jedynie widok moich ran. Na tym się skończyło. Wzięli nas za kolejną bandę zwariowanych *farangów*, którzy robią zwariowane rzeczy, jak to *farangowie*.

Na Ko Samui napotkaliśmy drobne kłopoty, ponieważ nie mieliśmy pieniędzy. Ale dla nas, podróżników, nie stanowiło to większego problemu. Keaty i ja sprzedaliśmy zegarki. Później, ku naszemu zaskoczeniu, Etienne zwinął komuś portfel. Czarny koń z tego Etienne'a, nie ma co. Jeszcze potem jakiś dureń zostawił na plaży klucze do pokoju i poszedł się kąpać. Ukradliśmy mu koszulę z długimi rękawami i spodnie, których potrzebowałem, żeby ukryć rany. Forsy starczyło i na dotarcie do stałego lądu, i na jedzenie, i na odkupienie zegarka Keaty'ego.

Z Ko Samui pojechaliśmy do Surat Thani i tam Keaty musiał znowu opchnąć swój zegarek, bo zabrakło nam pieniędzy na bilety do Bangkoku. I wciąż gadaliśmy, co irytowało naszych współpasażerów, którzy nie mogli zasnąć.

W Bangkoku pozostawało nam tylko zadzwonić do domu. Dzwoniliśmy po kolei, z budki przy Khao San Road. Nie chciałbym na końcu popaść w sentymentalizm, ale zanim odwiesiliśmy słuchawkę, wszyscy płakaliśmy. Musieliśmy wyglądać jak banda idiotów: ja w nowej, ale już zaplamionej krwią koszuli, pozostali w łachach i wszyscy ronią krokodyle łzy.

Siedemdziesiąt dwie godziny później mieliśmy już bilety i zastępcze paszporty z naszych ambasad. Ostatni napad dreszczy zaskoczył mnie, gdy kupowałem papierosy w strefie wolnocłowej na lotnisku. Gdy tylko wsiedliśmy do samolotu, ustały jak ręką odjął.

* * *

Dokładnie w tej chwili siedzę przed komputerem. Dokładnie w tej chwili piszę to zdanie. Dokładnie w tej chwili upływa rok i miesiąc, odkąd opuściłem Tajlandię.

Już nigdy potem ich nie widziałem, ani Etienne'a, ani Françoise. Pewnego dnia zobaczę. Na pewno przypadkiem, ale wiem, że tak będzie, ponieważ świat jest mały, a Europa jeszcze mniejsza.

Keaty'ego i Jeda widuję bardzo często. Tego też nikt się nie spodziewał, tak samo jak naszych rozmów. Według wszelkich zasad powinniśmy byli się rozstać, nie mogąc poradzić sobie ze wspólnymi przeżyciami. Ale się nie rozstaliśmy. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

Keaty i Jed widują się jeszcze częściej. To dziwne, ale prawdziwe: obaj pracują w tym samym miejscu. W różnych firmach, ale w tym samym gmachu. Jeszcze dziwniejsze jest to, że szukali tam pracy osobno, nic o tym nie wiedząc. Ale najbardziej w tym wszystkim uderza fakt, że przypadek ten do złudzenia przypomina ich niegdysiejszy pobyt w indonezyjskim pensjonacie, który puścił z dymem Keaty. Co prawda biura jeszcze nie spalili, choć byłoby to piękne, acz nieco przesadne dopełnienie ich historii.

Szczerze powiedziawszy, Keaty nie znosi swojej pracy (robi w administracji), więc jeszcze nic straconego. Na wszelki wypadek nie podam tu nazwy firmy.

Cóż poza tym?

Jakieś trzy, może cztery miesiące temu, przeglądając gazetę telewizyjną BBC, zatrzymałem wzrok na pewnym nagłówku: „Anielka schwytana na szmuglu w Malezji”. Chodziło o Cassie. Kilka dni później pokazali ją w dzienniku. Otoczona policjantami w mundurach khaki, siedziała w japońskim isuzu przed zapuszczonym gmachem sądu. Zgarnęli ją na lotnisku w Kuala Lumpur. Miała przy sobie prawie pół kilograma heroiny i krążyć słuchy, że będzie pierwszą Europejką straconą w Malezji od sześciu lat. Zanim odwieźli ją do więzienia, do furgonetki przepchnął się reporter BBC z mikrofonem. „Przekażcie moim rodzicom, że bardzo ich przepraszam, iż tak długo nie pisałam”. Tyle zdążyła powiedzieć.

Biedna Cassie. Pewnie próbowała zdobyć pieniądze na bilet do domu. Jej mama i ojciec wyglądają na porządných ludzi. Apelują o ulaskawienie i często występują w telewizji.

Ale tracą tylko czas. Już po niej. Cassie to już zimny trup.

Ważne jest coś innego: skoro ona wydostała się z wyspy, uciec stamtąd musieli też inni. Ciekawe, którzy. Wmawiam sobie, że Gregorio i Jesse, Unhygienix i Ella. Tak, na pewno im się udało. Jestem również przekonany, że Bugs nie żyje i że Sal umarła razem z nim. Nie, to nie złośliwość przeze mnie przemawia. Po prostu nie mogę znieść myśli, że któregoś dnia mogłaby stanąć przed moimi drzwiami.

Jeśli zaś chodzi o mnie...

Czuję się dobrze. Miewam też sny, ale pan Kaczor już mnie nie odwiedza. Gram w gry wideo. Czasami palę trawkę. Mam spojrzenie wiekowego mędrca. I wiele blizn.

Nieźle to brzmi.

Mam wiele blizn.